KULTURA KOSZALIŃSKA almanach 2008

KULTURA KOSZALIŃSKA
almanach 2008

4

KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach

2008

Koszalin 2009

„Kultura Koszalińska. Almanach 2008"
Wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina

Kolegium Redakcyjne:
Anna Mosiewicz - przewodnicząca
członkowie:
Maria Słowik-Tworke
Anna Marcinek-Drozdalska
Andrzej Ciesielski
Jupi Podlaszewski

Małgorzata Kołowska – redaktor prowadzący

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 094 348 15 61
e-mail: kolowska@biblioteka.koszalin.pl

Opracowanie graficzne, druk:
Wydawnictwo „Alta Press"
ul. Zwycięstwa 168
75-612 Koszalin
tel./fax 094 346 51 77
www.altapress.pl

Kolegium Redakcyjne dziękuje koszalińskim
instytucjom kultury za udostępnienie fotografii
z zasobów archiwalnych

Projekt okładki:
Arkadiusz Docz

ISSN 1896-5504

Szanowni Państwo,

Jest mi niezwykle miło, że już po raz czwarty trzymacie Państwo w ręku Almanach „Kultura Koszalińska". Wydawnictwo to potwierdza tezę, którą postawiłem już w pierwszym numerze Almanachu, a mianowicie, że „Koszalin kulturą stoi". Coroczne – nie boję się tego tak nazwać – sukcesy koszalińskiej kultury utwierdzają mnie w przekonaniu, że każda złotówka wydana na sferę duchową naszego miasta jest wydatkowana nie tylko z sensem, ale także z perspektywą jej rozwoju. Mijający rok świadczy o tym wyraźnie.

Pozytywna ocena mieszkańców miasta świeżo odnowionej siedziby Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, pokazuje wyraźnie, że takiego właśnie przedsięwzięcia oczekiwali. Równie przychylne spojrzenie na projekt nowej siedziby Filharmonii Koszalińskiej utwierdza mnie w przekonaniu, że należy robić wszystko, by nasza lokalna kultura miała dobre warunki rozwoju.

Teatr, muzyka, literatura, plastyka, historia, film, radio... W każdej z tych dziedzin możemy się pochwalić sukcesami. Dokonania Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej, Agaty Szymczewskiej, Anatola Ulmana, Krzysztofa Rećko-Rapsy, Wojciecha Grobelskiego czy Jolanty Rudnik wysoko ustawiają poprzeczkę oczekiwań i wskazują drogę kolejnym twórcom kultury.

A sukcesy koszalińskiej kultury to nie tylko „dorosła" kultura. W Koszalinie rodzi się wiele talentów, które później widać na krajowych scenach. Z myślą o najmłodszych mieszkańcach miasta przygotowywane są ciekawe zajęcia w Centrum Kultury 105 i Pałacu Młodzieży. Wierzę, że wśród nich znajdą się następcy np. Kasi Cerekwickiej, Beaty Pawlikowskiej, Yaro Płocicy, Kasi Sobczyk, Adama Sztaby i Arkadiusza Tomiaka.

Zadaniem Almanachu jest przypomnienie minionego roku w koszalińskiej kulturze. Zanurzmy się zatem w otchłań wyrazu koszalińskiej wyobraźni i zacznijmy lekturę...

Mirosław Mikietyński
Prezydent Koszalina

Już po raz czwarty z wielką przyjemnością prezentujemy Państwu kolejną edycję Almanachu „Kultura Koszalińska". Miło mi jest podzielić się refleksją, że obawy towarzyszące nam przy podejmowaniu tej nowatorskiej na naszym gruncie inicjatywy, całkowicie się rozwiały. Teraz już możemy być pewni, że nasza publikacja przyjmowana jest przez Państwa z zainteresowaniem, a także – że stała się trwałym elementem koszalińskiej tradycji kulturalnej.

Podobnie jak w latach ubiegłych pragniemy ocalić od zapomnienia ludzi i wydarzenia tworzące wielobarwny pejzaż koszalińskiej kultury. Mam nadzieję, że czytając Almanach „Kultura Koszalińska 2008" chętnie będziecie Państwo podróżować po alternatywnych światach kreowanych siłą talentu znakomitych koszalińskich artystów – pisarzy, plastyków, muzyków, aktorów, reżyserów, architektów. Światach złożonych z muzyki, pięknego słowa, dzieł plastycznych, filmowych obrazów, a także – z refleksji. Wierzę, że z przyjemnością poznacie także galerię koszalińskich kreatorów kultury – od zasłużonych jubilatów po „młode lwy szykujące się do skoku". Ich pasja, wyobraźnia i różnorodność artystycznych talentów przekłada się na tysiące emocji. Tych najbardziej szlachetnych i najbardziej wartościowych. Prowokuje również do refleksji nad światem i złożonością ludzkiej natury.

Zjawiska ze sfery ambitnej, wysokiej sztuki nie zawsze mogą przebić się przez medialny szum i zbyt często giną w chaosie współczesności. Tymczasem ich unikalność, szlachetność i niepowtarzalność zasługuje na najwyższe uznanie. Nasza publikacja pełni więc nie tylko pragmatyczną funkcję informacyjną. Przede wszystkim jest ukłonem w stronę kreatorów i animatorów kultury sprawiających, że otaczający nas świat jest po prostu lepszy i piękniejszy.

Twórcom koszalińskiej kultury życzę więc nieustającej artystycznej weny, a odbiorcom ich dzieł – radości płynącej z kontaktu z doskonałością treści i formy.

Bogdan Gutkowski
przewodniczący Rady Kultury

MUZYKA

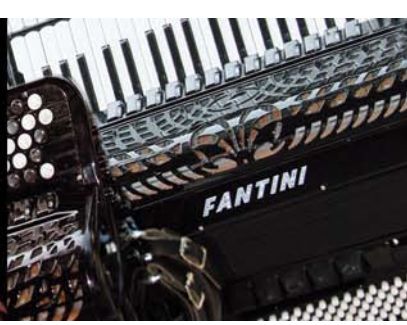

Kazimierz Rozbicki

Filharmonia Koszalińska w roku 2008

Dobry rok z nadziejami

W publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007" pisałem: jednak rok ten jest o tyle różny od poprzednich, że zapłonęło światełko – jeśli już nie światło – nadziei na zmianę, na budowę prawdziwej filharmonii, na pracę rozwojową, na realizację pomysłów twórczych, na uczynienie z Filharmonii Koszalińskiej silnego ośrodka kultury, promieniującego na całe Pomorze, liczącego się w całym kraju, a nade wszystko obdarzającego harmonią i pięknem własnych mieszkańców. Otóż nadzieja spełnia się. Rozstrzygnięto konkurs na gmach filharmonii – projekt bardzo piękny, prace realizacyjne w toku. Cieszmy się zatem na przyszłość, a oto miniony sezon 2008:

Po filharmonicznych szaleństwach karnawałowych (10 koncertów) wystąpiła w pierwszym symfonicznym programie muzyczna rodzina Bugajów (22 II) dając wyraz swym upodobaniom do muzyki hiszpańskiej, z czym korespondowała hiszpańską kulturą nasiąknięta dusza dyrygenta, **Rubena Silvy**; przyszło mu bowiem prowadzić ten program z powodu nagłej niedyspozycji dyrygenta, Tomasza Bugaja; zamiast rodzinnego kwartetu mieliśmy trio. Koncert otworzyła rapsodia *Espania* Emanuela Chabrier, francuski utwór eksponujący „hiszpańskość" niezwykle efektownie. Wielokrotnie w Koszalinie wykonywany, nie zawiódł i tym razem. Po *Espanii* muzyka hiszpańska z pierwszej ręki: *Noce w ogrodach Hiszpanii* Manuela de Falli – symfoniczne impresje z fortepianem, a przy nim **Alicja Paleta-Bugaj**. Grała bardzo dobrze, zbyt jednak delikatnie: poetyckie aluzje fortepianu ginęły w rozpasanych dźwiękowo konkretach orkiestry. W drugiej części skrzypaczka **Aleksandra Bugaj** (córka) zagrała arcytrudną *Fantazję na tematy z „Carmen"* Pablo Sarasatego – bardzo biegle, choć może nie dość wyraziście – następnie, razem z **Christianem Danowiczem** - także Sarasatego *Navarrę*; grali bardzo szybko, z pewną zadyszką, pozwalali jednak słuchaczom zauważać, że są razem. Ruben Silva świetnie akompaniował. Ukoronowaniem koncertu była *Rapsodia hiszpańska* Ravela; to chyba najpiękniejsza manifestacja hiszpańskiego idiomu w muzyce, a nadto urzekająca niesłychanie bogatym kolorytem orkiestry. Ruben Silva ujawnił tu znakomicie swe iberyjskie korzenie, orkiestra wielkie możliwości, słuchacze zaś odbyli duchową podróżą do uwodzicielskiej Hiszpanii.

W następnym tygodniu (29 II) sala znów wypełniona po brzegi, nastrój odświętny: Koszalin obchodzi **80-lecie Andrzeja Cwojdzińskiego**, zasłużonej postaci w historii koszalińskiej filharmonii i Koszalina Tu tworzył dzieła symfoniczne, oratoryjno-kantatowe, kameralne, chóralne i, nade wszystko, fortepianowe: muzykę o bardzo indywidualnym obliczu, utrzymaną w kręgu poszerzonej tonalności; rzadka to dziś cecha – owa wierność sobie, swej estetycznej postawie. Prawie cały ten dorobek grany był na estradzie koszalińskiej. (Więcej o Andrzeju Cwojdzińskim piszemy w rozdziale „Jubileusze" – dop. red.) Koncert jubileuszowy zawierał tylko utwory fortepianowe Jubilata, w większości pisane dla dzieci, co zdarza się dziś kompozytorom niezmiernie rzadko, a w takim wymiarze chyba w ogóle się nie zdarza. To był bardzo dobry pomysł – pokazanie przy tej okazji rzeczy zupeł-

nie nieznanych, a zajmujących ważne miejsce w dorobku kompozytora. Utwory świetne, wyraziste, pełne humoru i świeżości, świetnie grane przez **Andrzeja Tatarskiego** – przy współudziale **Macieja Pabicha** (w utworach na cztery ręce lub na dwa fortepiany). Wieczór przyjęto bardzo gorąco – zarówno jego pełną ciepła i wdzięczności część laudacyjną, bogatą w liczne wystąpienia, jak i bardzo bogatą koncertową.

Na afiszu kolejnego wieczoru filharmonii (7 III) Sibelius i mało znany Norweg, Christian Sinding. Jego *I koncert skrzypcowy A-dur*, napisany w 1900 r., zabrzmiał dzięki pasji koncertmistrza koszalińskiej orkiestry, **Natana Dondalskiego**, do odkrywania rzeczy nieznanych – była to polska premiera tego dzieła. Artysta pokazał świetne *métier* – oraz samo dzieło, dość szczególne w swoich tematycznych oraz formalnych ograniczeniach, ale bardzo popisowe i niełatwe w partiach solowych. Skromna partia orkiestry nie nastręczała trudności, jedyną była synchronizacja z solistą, ale sprostał temu z powodzeniem **Ruben Silva**. Wieczór rozpoczął popularny *Valse triste* Sibeliusa – rodzaj sentymentalnej, fińskiej „przystawki" do jego monumentalnej *II symfonii D-dur*, która zabrzmiała po przerwie. To monumentalne, epickie dzieło, złożone z mnóstwa epizodów, pomysłów, kontrastów, w akustyce kina traciło jednak spójność i rozmach, a także barwy i wzajemne proporcje grup orkiestry, choć Ruben Silva prowadził je bardzo dobrze. Wielka symfonia mogłaby pokazać swe walory tylko w dobrej akustyce, nie pomoże nagłośnienie. Wypełniona oryginalnym dźwiękiem instrumentów przestrzeń estrady jest niezbędną wartością, unosi wrażliwość słuchaczy w rejony metafizyki i estetycznego przeżycia. Symfoniczne wizje bez tego pozostają jałowe i puste.

Dzięki Ambasadzie USA w programie kolejnego koncertu (14 III) pojawiło się troje amerykańskich artystów. Występ ich zgromadził tłumy melomanów, wielu nie dostało biletów, ale też to, co pokazali ci artyści przeszło wszelkie oczekiwania. Na czele wykonawców stanął **David Handel**, dyrygent fantastyczny: miękki, delikatny, rozluźniony w skromnych ruchach, ale niesłychanie precyzyjny i sugestywny. W ciągu czterodniowych prób przygotował program jakże różny od obiegowego symfonicznego repertuaru: Gershwina operę *Porgy and Bess* (obszerną wersję estradową) oraz suitę orkiestrową z Bernsteina *West Side Story*. Pod ręką Davida Handla orkiestra grała tak, jakby wszystkie zwariowane „podziały" tej muzyki były chlebem powszednim. Nie poznawaliśmy jej brzmienia wyzwolonego sztuką i wolą dyrygenta.

Bohaterami wieczoru byli murzyńscy soliści w *Porgy and Bess*: sopran **Charlea Olaker** (w partiach Bess, Sereny, Marii i Klary),) oraz baryton **Lawrence Craig** (w partiach Porgy'ego, Life'a, Jake'a). Piękne głosy, swoboda sceniczna, bogactwo środków artystycznych – pozwoliły im niezwykle sugestywnie przedstawić dramat murzyńskich bohaterów opery. Sekundował im znakomicie chór **Opery Nova** w Bydgoszczy, przygotowany przez **Henryka Wierzchonia**. David Handel kapitalnie akompaniował solistom i rewelacyjnie prowadził cały ten 120-osobowy tłum, zaś muzycy i chórzyści nie tylko z polotem wykonywali swe partie, ale nadto, pod magiczną batutą dyrygenta, zyskali ton spontaniczności, jakiego trudno by na naszej (i nie tylko naszej) estradzie oczekiwać; zaś przy całej owej swobodzie tłum ten grał i śpiewał z nadzwyczajną precyzją i ekspresją. Soliści dostali naprawdę doskonałą oprawę i mogli rozwinąć wszystkie walory swej wielkiej sztuki, podziw budził także ich kapitalny ruch sceniczny, wirtuozowsko rozgrywany na maleńkim skrawku estrady – między skrzypcami a pulpitem dyrygenta. Podkreślić tu trzeba, że odbiór opery Gershwina przez publiczność ograniczyłby się tylko do warstwy muzycznej, gdyby nie świetne wprowadzenie do jej dramatycznej treści przez **Andrzeja Zborowskiego**, który wie wszystko o wszystkich operach. Nad amerykańskim programem rozpięto amerykańską flagę: zagrany na początku marsz Philipa Sousy *Pod gwiaździstym sztandarem*, traktowany w Ameryce ja-

ko drugi hymn narodowy; orkiestra (a zawłaszcza obydwie pikuliny **Urszuli Grąbczewskiej** i **Joanny Antolak**) grała świetnie i z temperamentem wprowadziła publiczność w muzyczny świat tego niezwykłego koncertu.

Trzeci marcowy program (28 III) przedstawił typową triadę koncertową: uwertura – koncert - symfonia, ale zawartość tej triady typową nie była. Owszem, uwertura *Coriolan* Beethovena otwierała już setki, jeśli nie tysiące, koncertów, ale *Koncert fletowy e-moll* Saveria Mercadantego na pewno do repertuarowego kanonu nie należy, zaś *III symfonia* Grażyny Bacewicz to już bardzo rzadki koncertowy rarytas. Na podium dyrygenta stanął **Piotr Wajrak**. *Coriolana* prowadził z pamięci – wykonanie poprawne, acz pozbawione emocjonalnego napięcia. Słuchaliśmy uporządkowanych według partytury dźwięków, uczuciowa, dramatyczna warstwa dzieła zaś pozostała nietknięta. Nastrój sali ożywiły dopiero pierwsze frazy fletu **Łukasza Długosza** – i aż do końca słuchaliśmy gry pięknej, fascynującej, nobilitującej dość konwencjonalną kompozycję Mercadantego, choć w partii fletowej bardzo wymagającą. Wybitny muzyk pokazał nie tylko brawurową wirtuozerię, ale ogromne bogactwo kolorystyki (także w wykonanym na bis błyskotliwym *Flamenco* Krzysztofa Zgrai - prawdziwym wykonawczym majstersztyku). Soliście dobrze sekundowała orkiestra pod czujną ręka dyrygenta. Wydarzeniem programowym nie tylko tego wieczoru była *III symfonia* Grażyny Bacewicz: zjawisko w muzyce polskiej niezwykłe, jest właściwie pierwszą nowatorską manifestacją takiego artystycznego formatu w muzyce polskiej; dzieła bardzo trudnego, wymagającego absolutnego zgrania i osiągnięcia wykonawczej swobody w niesłychanie kapryśnym przebiegu. Czterodniowy cykl prób był tu zbyt krótki, aby dyrygent i orkiestra mogli ten cel osiągnąć. Emocje artystyczne ustąpiły miejsca emocjom orkiestry, usiłującej być w porządku wobec wymogów dzieła, a nade wszystko być razem; na ogół z dobrym skutkiem, ale nic więcej. Nietknięte pozostały strony brzmieniowa, artykulacyjna i wyrazowa kompozycji. Wymagania dzieła zdawały się przerastać także sztukę dyrygencką Piotra Wajraka, wystarczyło jej jednak na poznawczą lekturę dzieła.

Już dwa lata wcześniej (21 IV 2006 r.) filharmonia poświęciła wieczór Katarzynie i Natanowi Dondalskim; Natan, od września 2004 koncertmistrz koszalińskiej orkiestry, grał owego wieczora pierwszy raz w Polsce *III koncert skrzypcowy* Hubaya, zaś jego siostra, skrzypaczka i sopranistka – po raz pierwszy przedstawiła nam swój niezwykły kunszt wokalny (Verdi, Gounod, Walter). O jej występie pisałem wtedy: *To niesłychanie giętki i swobodny w najwyższych rejestrach głos, głos ciepły w barwie i może nieco nadto rozwibrowany, ale służący śpiewaczce nadzwyczaj muzykalnej*. Tym razem (4 IV) występ **Katarzyny Dondalskiej** był rewelacyjny. Artystka w ciągu minionych dwu lat doprowadziła swą sztukę do perfekcji, „zgubiła" owe vibrato, zadziwia pięknym, wyrównanym we wszystkich rejestrach sopranem o olbrzymiej, unikatowej skali: do trzykreślnego „b"!, co się jeszcze w historii wokalistyki nie zdarzyło. Najważniejsze jednak, że tym fenomenalnym warunkom towarzyszą niezwykła kultura, muzykalność i nienaganna dykcja, a wszystkie te walory w sztuce wokalnej łączą się nadzwyczaj rzadko. Program wieczoru zawierał utwory świetnie eksponujące koloraturowo-liryczny typ głosu artystki, a więc arie: Rozyny z *Cyrulika sewilskiego*, Lauretty z *Gianni Schicchi* Pucciniego, Adeli z *Zemsty nietoperza* Straussa, świetną *Serenadę* – wokalizę S.J.Waltera (męża artystki), „Przetańczyć całą noc" z *My Fair Lady*, oraz piosenki z repertuaru Marilyn Monroe – każdy z tych utworów był interpretacyjnym klejnocikiem błyszczącym temperamentem, wokalną brawurą i urodą ciepłego sopranu solistki. Sekundował jej znakomicie dyrygent tego wieczoru, **Tomasz Tokarczyk**, bardzo doświadczony, doskonale znający wykonywany repertuar. Wprawdzie uwertura do *Cyrulika sewilskiego* była nieco nerwowa, nie płynęła gładko jak to u Rossinie-

go, ale dalej wszystko szło bardzo dobrze, zaś walc *Wiedeńska krew* Straussa był prawdziwym dyrygenckim majstersztykiem – a jest to rzecz dla dyrygenta wcale nie łatwa; jego specyficzny, bardzo skuteczny sposób dyrygowania pasował tu jak ulał.

52. sezon koncertowy Filharmonii Koszalińskiej zapisze się w jej historii dwoma wielkiej rangi artystycznej wydarzeniami, niejako importowanymi: omówionym wyżej występem dyrygenta i dwojga śpiewaków z **USA** w programie muzyki amerykańskiej, oraz występem **Orkiestry Kameralnej Narodowej Orkiestry Chińskiego Radia i Telewizji** z Pekinu (18 IV); wieczór ten wypełniła tradycyjna muzyka chińska, której nie należy rozumieć jako muzyki ludowej w europejskim znaczeniu, chodzi tu o muzykę traktowaną profesjonalnie. To zetknięcie się z nieznaną nam kulturą muzyczną wielkiego narodu, kultywowaną i rozwijaną w czasie liczonym nie na wieki, lecz na tysiąclecia, było przeżyciem niezwykłym – tak ze względu na odmienność, jak i artystyczną doskonałość prezentowanej sztuki: jej dźwiękowego kształtu i perfekcyjnego wykonawstwa. Sam, bardzo sfeminizowany, czternastoosobowy zespół (w nim tylko czterech panów) był doskonałym instrumentem, ale też na jego instrumentarium – różne od europejskiego – składały się prawdziwe arcydzieła sztuki organologicznej, instrumenty zupełnie nam nieznane: smyczkowe, idiofony strunowe, dęte fletowe, bogata perkusja. Repertuar orkiestry składał się z kilkuminutowych utworów, z których każdy był udramatyzowanym cyklem rozwijanych, tradycyjnych melodii – muzyka silnie przepojona orientem, ale dość bliska europejskim strukturom muzycznym (w przeciwieństwie do np. indyjskiej). Niektóre utwory zdawały się wprost naznaczone romantyzmem (fantastyczny występ cymbalistki Qin Yan), a nawet impresjonizmem. Podziw budziła mistrzowska instrumentacja czarująca misternymi, wysmakowanymi kolorystycznie przebiegami. Ciekawe, że nie stosowano dźwięków długich, przetrzymywanych – takie bowiem uważa się w tej estetyce za suche, martwe. W ogóle cechą tej muzyki był ruch, lekkość, subtelność, przejrzystość, choć pojawiały się także emocje i motoryka (tu jakże brawurowo grany na skrzypcach utwór *Galopujące konie*), a nawet dramatyzm – bez uszczerbku jednak dla poezji, nastrojowości i piękna samych dźwięków. Miłym akcentem były dwie melodie polskie: wyłaniając się z orkiestrowej materii zyskiwały entuzjazm widowni – nie żadne tam echa „Mazowsza", tylko po prostu: „Zasiali górale..." i... „Wszystkie rybki śpią w jeziorze..." – oczywiście, bardzo tu uszlachetnione. Sugestywny klimat koncertu wzbogaciła gustowna oprawa plastyczna z filmową projekcją widoków chińskich krajobrazów i miast, akustyczne zaś niedostatki koszalińskiej estrady naprawiło doskonałe nagłośnienie: zespół brzmiał bardzo dobrze, naturalnie, w dobrych proporcjach. Mistrzem ceremonii był artysta scen krakowskich, **Jan Korwin-Kochanowski**, którego miły głos, kultura, celne słowo wiążące, świetnie dobrane i podane fragmenty chińskiej poezji z Dynastii Tang – były istotnym wkładem do tego pięknego, niezwykłego wieczoru przyjętego entuzjastycznie przez publiczność szczelnie wypełniającą salę.

Dwa wielkie dzieła Dworzaka: *IX symfonię e-moll* i *Koncert wiolonczelowy* wybrał **Ruben Silva** na kolejny wieczór (25 IV), prowadzony przez siebie. Program zbyt jednorodny, jak na taką porcję muzyki, zwłaszcza że ten *Koncert wiolonczelowy* nie jest zwykłym utworem solowym z akompaniamentem, lecz raczej wielką symfonią koncertującą. Oczywiście dyrygent i orkiestra przedstawili dzieła te przyzwoicie, ale jedynie na poziomie – nazwijmy to – poglądowym. W lepszej sytuacji był solista, **Tomasz Strahl**, którego wielka osobowość wynosiła interpretację nad poziom koncertowej normy – choć, może na skutek dość nerwowego i zbyt głośnego towarzyszenia orkiestry, partię swą nieco przeszarżował; w każdym razie cudowna, ciepła liryka Dworzaka miała pod jego palcami swe piękne strony. Owa nerwowość cechowała także cały przebieg *Symfonii „Z Nowego Świata"*. Arcy-

bogata tkanka tego dzieła, natłok tak różnych epizodów zmieniających się jak w kalejdoskopie, przy ich zaledwie odczytaniu, nie pozwalały na płynną grę. Były miejsca piękne, świetne epizody solowe, ale były także niezestrojone partie rogów oraz puzonów, których chropawe brzmienie zniweczyło arcysubtelny wstęp „piano pianissimo" do *Largo*; *Largo* zresztą zbyt largo (szeroko). Listę niedostatków wykonania można by mnożyć, w każdym razie koncert miał także swoje pozytywy: przede wszystkim wykonanie ulubionych przez słuchaczy dzieł oraz ważne doświadczenie na przyszłość: tak wielka porcja muzyki o najwyższych wymaganiach musi mieć wystarczający czas na próby. Oczywiście, piękno tych utworów zrobiło jednak swoje, publiczność przyjęła je bardzo dobrze.

Koncert pod batutą **Jerzego Salwarowskiego** (9 V) zalecał się ładnie zestawionym programem – rzecz raczej nieczęsta – ale kształt, jaki przyjęło wykonanie, każe mówić o niespełnionych oczekiwaniach. Dotyczy to przede wszystkim *III koncertu fortepianowego c-moll* Beethovena. Materia jego jest dramatyczna, pełna kontrastów, licznych *sforzat*, *crescend* kończonych nagłym *piano* – i innych tego rodzaju środków wyrazu i, co najważniejsze, szczególnej ekspresji. Tymczasem dyrygent w ekspozycji zaprezentował bezpłciową muzyczkę: wygładził kontrasty, wygasił ekspresję, nadał dziełu kształt ograniczony do sprawnie i razem zagranych nut. Nijakich. Znalazł w tym świetnego partnera w soliście – choć to historia szczególna: otóż na skutek niedyspozycji przewidzianego solisty, w nagłym zastępstwie *Koncert* wykonał **Wojciech Waleczek**, po jednej zaledwie próbie, a grał go ostatnio przed kilkunastu laty. Oczywiście, była to ostrożna gra z nut, ale akurat korespondująca ze stylem dyrygenta. W każdym razie należy docenić odwagę i umiejętności pianistyczne artysty, zwłaszcza że, mimo stresującej sytuacji, potrafił zaznaczyć swą niebanalną osobowość. Natomiast Jerzy Salwarowski posiadł szczególną zdolność: mimo bardzo szybkich, zdawałoby się: efektownych temp, a lubi takowe, narracja wcale nie nabiera płynności, przeciwnie, traci ją: orkiestra gra w napięciu od taktu do taktu, aby tylko być razem – i nic więcej. Może to tajemnica jego ruchów przypominających strząsanie osy z ręki? W każdym razie ową płynność straciła zarówno uwertura do *Włoszki w Algierze* Rossiniego, jak i *Symfonia nr 104* Haydna, która jednak, na ogół, wyszła z tej materializacji obronną ręką; prawdziwym dziwolągiem był tylko wstęp – akurat dwa razy wolniejszy niż trzeba. Orkiestra w całym programie grała staranie, dokładnie, w sumie jednak cały program przypominał wydmuszkę: uszom jawił się kształt zewnętrzny, wnętrze pozostało puste.

Kolejny wieczór (16 V) rozpoczynał *V koncert fortepianowy Es-dur* Beethovena powierzony **Beacie Bilińskiej**; dzieło, które jest wyzwaniem dla każdego pianisty, choć nie przed każdym otwiera swój niezwykły świat piękna, emocji, pogody, liryki – w oprawie żywiołowej wirtuozerii. Przed Beatą Bilińską otworzył: grała swą partię rewelacyjnie. Klasyczne piękno, harmonia, żywiołowa wirtuozeria, bogactwo muzycznych wątków, „militarny" ton – ujęte w klasyczne karby! Rzadko estradowe wykonania oddają sprawiedliwość artystycznemu fenomenowi tego dzieła, natomiast dla Beaty Bilińskiej było to coś naturalnego, oczywistego i prostego. Słuchaliśmy gry absolutnie pięknej i doskonałej technicznie, ale to tylko jej tło, podstawa, cała wyrazowa treść dzieła jawiła się jako jedność: wielkiego temperamentu i radości muzykowania artystki, harmonijne połączenie emocji, bohaterskiego charakteru z klasycznym wdziękiem i umiarem; finałowe Rondo w swej żywiołowości absolutnie rewelacyjne. A w owym żywiole skrajnych części piękno poetyckiego *Adagio*, granego cudownie... Przejście solistki z *Adagio* w radosny, brawurowo grany finał *Koncertu*, było prawdziwym majstersztykiem. Swą artystyczną wizję Koncertu mogła kreować swobodnie dzięki starannej grze orkiestry pod ręką **Rubena Silvy** – jednak grze w innym, uboższym emocjonalnie świecie. O drugiej części wieczoru trudno mi pisać: po kreacji Beetho-

venowskiego arcydzieła było to zejście z Olimpu do owego „uboższego świata" – kontrast ogromny, także programowy: Czajkowskiego polonez i walc z *Eugeniusza Oniegina* oraz poemat *Romeo i Julia*. Słuchałem skonsternowany jakby z oddali, chyba grano dobrze, ale w poemacie dęta grupa ani razu nie zagrała czysto i piano, choć akurat ona była wyrazicielką delikatnej liryki przypisanej młodym kochankom; to bardzo trudna partytura, jeśli chodzi o ekspresję uczuć. Jedyny plus tego wykonania: że ją przypomniano.

Palester – któż to jest? Pytanie takie mógłby zadać sobie każdy z melomanów udających się na następny koncert (23 V), zawierający w programie tańce z jego baletu *Pieśń o ziemi*. Ten i ów zapewne przeczytał notkę biograficzną wybitnego i równie tajemniczego polskiego kompozytora, zamieszczoną w majowym programie filharmonii, ktoś ze starszego pokolenia mógł usłyszeć jego nazwisko w audycjach Radia Wolna Europa – w którym Palester kierował działem kulturalnym, ale muzyki nie znał raczej nikt. Dlaczego? To jasne: zarówno nazwisko, jak i muzyka tego autora były w powojennej Polsce do 1977 roku wykreślone z życia publicznego. I oto teraz **Łukasz Borowicz** poprowadził owe tańce z baletu napisanego w 1937 roku. To pierwsze w Koszalinie spotkanie z **Romanem Palestrem** było bardzo interesujące, nawet fascynujące – na co złożyły się sama muzyka, inspirowana polskim folklorem, i jej świetne wykonanie. W *Pieśni o ziemi* zdają się pobrzmiewać echa *Święta wiosny* Strawińskiego, choć wątpię, czy Palester znał to dzieło, w Polsce przed wojną nie było bowiem wykonywane (za trudne dla ówczesnych orkiestr). Balet *Pieśń o ziemi*, nie mniej trudny jak *Święto wiosny*, był wielkim wyzwaniem dla koszalińskiej orkiestry, zespół jednak wyszedł z tej próby zwycięsko – przede wszystkim dzięki talentom dyrygenckim Łukasza Borowicza. Niesłychanie bogatą, skomplikowaną, tyle żywiołową co kapryśną muzykę poprowadził brawurowo, orkiestra grała jak urzeczona, brzmiała bardzo dobrze. Tanecznej ekspresji muzyki towarzyszyła przy tym bardzo dynamiczna ekspresja ciała dyrygenta, a także przesadna gestykulacja – nie przeszkadzała wprawdzie grze muzyków, niewątpliwie jednak pochłaniała znaczną część uwagi słuchaczy na niekorzyść muzyki; także muzykom grałoby się jeszcze lepiej przy gestach tylko niezbędnych. To pozostaje jeszcze problemem młodego dyrygenta. Po przerwie dawno niewidziany **Stanisław Drzewiecki** grał *II koncert fortepianowy* Rachmaninowa. Grał ze swadą i doskonale, z wszystkimi przypisanymi temu dziełu stylistycznymi oraz wyrazowymi cechami, na poziomie dojrzałości stosownej do swego wieku – przy świetnym akompaniamencie Łukasza Borowicza – ale z pewnością sukces, jaki odniósł, byłby jeszcze większy i bardziej autentyczny, gdyby nie pretensjonalny wygląd: kostium i fryzura stylizowane na XIX-wiecznego wirtuoza, nieco à la Liszt. Jeśli już, to może lepsze byłyby dżinsy...

Ostatni koncert 52. sezonu (13 VI) przyniósł dwa dzieła: *Koncert potrójny* op. 56 Beethovena i *Pietruszkę* Strawińskiego. Na estradzie wylądował znakomity „desant krakowski": **Kaja Danczowska** (skrzypce), **Justyna Danczowska** (fortepian) oraz **Bartosz Koziak** (wiolonczela) i zadał kłam opiniom o marginalnym charakterze Beethovenowskiego opusu 56. To dzieło spod genialnej ręki, mistrzowsko łączące gatunki: solowy, kameralny, koncertujący, orkiestrowy, w doskonałej harmonii i narracji. Soliści grali wspaniale, ofiarując słuchaczom muzyczną rozrywkę w najwyższych rejonach sztuki. Czujny akompaniament **Rubena Silvy**, staranność i polot gry orkiestry, pozwoliły im swobodnie rozwijać ekspresję: grali przepięknie, odnieśli zwycięstwo całkowite, finałowego poloneza bisowano. Po przerwie zaś ostatni akord sezonu: *Pietruszka,* legendarny balet-pantomima Igora Strawińskiego. Partyturę tę można w pełni ocenić tylko w wersji scenicznej, gdy muzyka prowadzi całą akcję jak po sznurku, nie ma tu ani jednego taktu zbędnego, związek muzyki ze sceną jest totalny; partyturę bardzo trudną.

Filharmonicy nasi dali tu jednak jedno ze swych najlepszych wykonań, orkiestra brzmiała pięknie, akcja muzyczna toczyła się płynnie, w doskonałych tempach. Muzycy i liczni tu jej soliści grali jak w transie (piękne fletowe sola **Joanny Antolak**). Ruben Silva świetnie sterował całą skomplikowaną machiną wielkiej orkiestry w nieustannie zmieniających się rytmach i nastrojach – prowadząc ją do zwycięstwa.

To bardzo dobre zwieńczenie symfonicznego sezonu, właściwym jego zakończeniem było jednak wystawienie opery. Tu już zespoliły swe możliwości wszystkie siły techniczne, organizacyjne i artystyczne filharmonii: wystawiono w amfiteatrze **TRUBADURA** Verdiego (sobota, 21 VI) bez teatru, solistów, chóru i zaplecza całej teatralno-operowej struktury. A przecież był to pełnowartościowy operowy spektakl, w dodatku grany dla pięciotysięcznej publiczności. Miał przy tym walor szczególny: entuzjazm wykonawców, w ogromnej większości artystów **Opery NOVA** w Bydgoszczy. Spektakl całkowicie wciągnął słuchaczy w swą skomplikowaną akcję, tworząc sugestywny jej klimat wizualną otoczką pomysłowo naszkicowanej scenografii. Ale nade wszystko było to dziełem muzyków. Zacznę od **chóru**: śpiewał wspaniale, piękną barwą, z temperamentem i blaskiem szczególnie wyeksponowanych tu głosów męskich – oraz miękkich, serafickich barw chóru żeńskiego. Soliści: *Manrico* **Edwarda Kulczyka** doskonały, początkowo o nieco stonowanej

Na scenie amfiteatru wystawiona została opera Giuseppe Verdiego „Trubadur" w znakomitej obsadzie. Na zdjęciu: scena zbiorowa, pierwsza z lewej: Gabriela Orłowska de Silva jako Leonora.

fot. Paweł Mielcarek

ekspresji, ale w swej końcowej arii już pełen wyrazu z bohaterskim, wysokim „c"; hrabia *Luna* **Włodzimierza Skalskiego**, sugestywnie zarysowana postać negatywnego bohatera, chyba nie w pełni wokalnych możliwości; **Marcin Naruszewicz** (Ruiz) w przyzwoitej operowej normie. Cała oś przejmującej intrygi dramatu skupia się tu w głosach pań. Wspaniałą postać bohaterki (Leonory) stworzyła **Gabriela Silva** – rewelacyjna wokalnie i aktorsko, partnerowała jej na tym samym najwyższym poziomie **Barbara Krahel** (Azucena). One nadały spektaklowi artystyczną prawdę, dramatyzm, gorącą temperaturę uczuć. A poza tym mieliśmy wszystkie owe cudowności teatru Verdiego, jak np. efektowne sceny zbiorowe, a w nich niezwykle udatne pokazy **Koszalińskiej Grupy Akrobatycznej** oraz **Pirotechnicznej**. Należytą percepcję spektaklu zapewnił **Andrzej Zborowski** swym znakomitym słowem wiążącym (jest w tym bezkonkurencyjny), zaś niezwykle ważną, jeśli nie najważniejszą stronę dźwiękową – w realizacji plenerowej – miał w swych rękach **Jerzy Sochal**: świetna robota, wręcz wzorowa. A wszystkie owe elementy inscenizacji i cała skomplikowana strona organizacyjna imprezy były dziełem **Wandy Vogelsinger**, *spiritus movens* śmiałego projektu. Na koniec najważniejsi, choć niewidoczni: **muzycy orkiestry** grający świetnie, jak rutynowane orkiestry operowe o długich tradycjach, zaś na czele wszystkich wykonawców **ON**, demiurg dźwięku i ekspresji **Ruben Silva**, dyrygent czujący operę każdym swym nerwem. Osiągnął całkowitą jedność wszystkiego, co grało i śpiewało. Owacjom nie było końca, bisowano scenę z obozu cygańskiego – przy udziale publiczności.

*

Już tydzień później (w piątek 27 VI) zaczął zbierać obfite owoce swej całorocznej pracy przygotowawczej **Bogdan Narloch**, dyrektor artystyczny **Międzynarodowego Festiwalu Organowego**, odbywającego się w Koszalinie już po raz 42. Obecnie Koszalin jest rdzeniem tej imprezy, odbywa się ona bowiem także w pobliskich miastach i miejscowościach: w Białogardzie, Darłowie, Dźwirzynie, Sarbinowie. Wysiłek organizacyjny ogromny, zwłaszcza, że w koncertach biorą udział także organiści, soliści i zespoły z zagranicy. Festiwal trwał od 27 VI do 22 VIII, obejmował 9 koncertów w Koszalinie, i po kilka koncertów w owych kościołach ościennych, w sumie były to 24 koncerty; w sześciu wieczorach koszalińskich brała udział orkiestra filharmonii. Wykonano morze muzyki organowej, chóralnej, instrumentalnej. Festiwal otwierało wykonanie mszy *Missa Miseri Cordis* Leszka Kułakowskiego (z udziałem połączonych chórów ze Słupska i Kartuz oraz czwórki solistów), zamykało oratorium *Chrystus na Górze Oliwnej* op. 85 Beethovena (trójka solistów, chóry z Torunia, Bydgoszczy, Lutomierska), obydwa wykonania z koszalińską orkiestrą. Wydarzenie: niebiosa oddelegowały na festiwal swój chór z Tajpej (Tajwan) – do Koszalina, Białogardu i Darłowa. Według wszystkich opinii, był to chór absolutnie rewelacyjny, dystansujący wszystko, co w tej dziedzinie znamy; a przecież, choćby z koszalińskiego festiwalu, znamy dużo. Ja oczywiście 42. Festiwal tylko relacjonuję (byłem zaledwie na jednym koncercie, chóru nie słyszałem, jestem niepocieszony).

Festiwal Organowy, nie tylko ten 42., ma swego bohatera – to **Andrzej Zborowski**, wykształcony muzyk (śpiewak), ale także popularyzator muzyki, o muzyce wie wszystko. To instytucja. Od kilkunastu lat towarzyszy doskonałym słowem wiążącym wszystkim koncertom festiwalowym, wprowadzając w świat muzyki tysiące ich słuchaczy, tak jak wprowadza chyba już setki tysięcy młodych ludzi na audycjach szkolnych, które prowadzi od lat kilkudziesięciu. A to rzecz wyjątkowo trudna – i wyjątkowo cenna w okresie tumanienia i ogłuszania dzieci muzyką tzw. młodzieżową lub jej podobną. Nie ma nagrody ani orderu, jakie mogłyby być dlań adekwatną nagrodą (i nie ma takowych). Nie jest tu

osamotniony, bo obok stoi **Bogdan Narloch**, twórca i organizator tak wielkiej i tak artystycznie doskonałej imprezy. To skarby Koszalina.

*

Orkiestra zaczęła powakacyjne próby w pierwszych dniach września, przygotowując swój program do finałowego koncertu **42. Festiwalu Pianistyki Polskiej** (12 IX). Zawierał akompaniamenty do dwóch dzieł: *Koncertu fortepianowego* Tadeusza Majerskiego (1888-1963) – solista **Michał Drewnowski**, i *Koncertu fortepianowego Es-dur* Liszta – solista **Marcin Koziak**; koncert odbył się 12 września, dyrygował **Ruben Silva**. Orkiestrę i wykonawców przyjęto bardzo gorąco.

53. sezon koncertowy rozpoczęła filharmonia koncertem jubileuszowym z okazji 50-lecia pracy artystycznej **Kazimierza Rozbickiego** (26 IX), autora niniejszych recenzji, co oczywiście ogranicza aspekt mego w nim udziału jedynie do informacji. Wykonano po raz pierwszy drugą wersję mej orkiestracji *Sonaty wiolonczelowej* Chopina (tę jej postać nazwałem *symfonią koncertującą*). Przy okazji przygotowywania nowych materiałów orkiestrowych (były już mocno sfatygowane: I wersja została nagrana przez Wydawnictwo DUX, następnie kilkakrotnie wykonywano ją na estradach) dokonałem w partyturze wielu istotnych zmian – przede wszystkim wzbogacając partię orkiestry, nadając jej wymiar prawdziwie symfoniczny, uplastyczniając przebieg myśli Chopina; partia fortepianu pozostała *in extenso*. Wykonała ją rewelacyjnie, z pamięci, **Joanna Marcinkowska**, znakomicie wpisując się w symfoniczny wątek; dyrygent **Ruben Silva** i orkiestra przeszli samych siebie. Tę postać dzieła Chopina przyjęto długotrwałą owacją. Poza tym program zawierał uwerturę *Fidelio* Beethovena oraz *Koncert skrzypcowy* Brahmsa, grany pięknie, w wielkim stylu, przez **Martę Kowalczyk**.

Na koncercie następnym (3 X) odkryliśmy muzykę duńską. Wykonano Nielsa Gadego, uwerturę *Reminiscencje z Ossiana,* po czym zabrzmiał *Koncert fletowy* Carla Nielsena, niewątpliwa kulminacja artystyczna wieczoru – tak za sprawą świetnej kompozycji, jak i rewelacyjnej solistki. **Ulla Miilmann** zaprezentowała grę niezwykle bogatą kolorystycznie, precyzyjną, a przy tym fantastyczną muzykalność i temperament. Bardzo dobrze towarzyszyli solistce **Ruben Silva** i orkiestra. Publiczność przyjęła *Koncert* niezwykle gorąco. Po przerwie wykonano drugi utwór Carla Nielsena: *I symfonię* z 1892 roku. 27-letni autor wykazał w niej pełną już dojrzałość oraz opanowanie arkanów rozwijania wielkiej formy symfonicznej. Dyrygent świetnie wyczuł charakter dzieła, prowadził je ze skupieniem i pasją zarazem – dzieła jakże oryginalnego, wolnego od wpływów wielkich niemieckich kolegów Nielsena jego czasów, naznaczonego wyczuwalnym idiomem rodzimej muzyki.

Kolejny koncert (10 X) powierzono **Andrzejowi Knapowi**, w programie znalazły się sztandarowe dzieła klasyków wiedeńskich: uwertura do *Czarodziejskiego fletu* Mozarta i *Eroica* Beethovena. Między te utwory włożono farsz, jaki nie mógł tu smakować: *Koncert f-moll na tubę* Ralpha Williamsa – i nie smakował – ale na szczęście, i ku satysfakcji słuchaczy, kompozycja ta (napisana w 1954 na jubileusz Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej) znalazła bardzo dobrego wykonawcę partii solowej – granej jednak nie na tubie, lecz na puzonie basowym. Publiczność i kompozycja jednak na zamianie instrumentu nic nie straciły, solista, **Zdzisław Stolarczyk**, z wielkim polotem demonstrował frapujące, bogate i pełne blasku brzmienie swego instrumentu, a nade wszystko świetnie interpretował ów prezent Williamsa dla znakomitej londyńskiej orkiestry. Dobrze wykonali swą pracę także dyrygent i orkiestra. Pozostałe utwory, usytuowane na najwyższej półce symfonicznych arcydzieł, znalazły w dyrygencie muzyka znakomitego, o wielkim doświadczeniu. Uwertura Mozarta zabrzmiała bardzo dobrze we wszystkich swych faktorach: tempa, dynamiki, stylu; lekka, baśniowa, klarow-

nie niosąca swe przesłanie wolnomularskie. Po przerwie *Eroica* – ów ogromny skok emocjonalny: mozartowskie, wolnomularskie idee miłości i braterstwa ustępujące miejsca Beethovenowskiej walce i bohaterstwu... Uchwycił to znakomicie Andrzej Knap, nie przesadzając przy tym z ekspresją tego przesłania, skupiając się w *Eroice* raczej na jej wartościach czysto muzycznych, bez emocjonalnych „przesterowań"; doskonałe tempa, świetny, wierny partyturze plan dynamiczny, charakterystyczny dla Beethovena. Ale nade wszystko trafnie oddany charakter dzieła.

Bardzo atrakcyjny program (23 X) zaprezentowali artyści z Niemiec: Rosjanka i Polak, oboje mieszkający i prowadzący żywą działalność muzyczną w Berlinie. **Karol Borsuk**, dyrygent dobrze znany w Koszalinie, oraz pianistka **Natalia Nikołajewa**, która wystąpiła po raz pierwszy – od niej przeto rozpocznę niniejsze refleksje, zwłaszcza, że była najjaśniejszym punktem programu. Grała *Koncert fortepianowy d-moll* Mozarta, dzieło należące do wyjątkowo pięknych, głęboko nasycone ekspresją niemal Beethovenowską, nutami bardzo osobistymi i dramatycznymi. Solistka dała jego postać niezwykle klarowną, grała perliście, z wyjątkową dyscypliną, a zarazem pełnym brawury i smaku polotem. Romantyzujący naddatek w interpretacji, dość częsty w jego wykonaniach, byłby pewnym stylistycznym fałszem, artystka jednak znalazła doń idealny klucz, słuchaliśmy Mozarta klasycznego, wcale przy tym niepozbawionego swoistej ekspresji, jakże sugestywnie komentowanej przez Beethovena w jego świetnie granych przez Natalię Nikołajewą kadencjach. Bardzo piękny występ i bardzo gorąco przez publiczność przyjęty. Program wieczoru otworzyła *Symfonia B-dur* Johanna Christiana Bacha – pierwsza jego symfonia na naszej estradzie. Tę piękną, pełną rokokowego wdzięku i szlachetnej prostoty muzykę, jakże inną już od muzyki ojca, Jana Sebastiana, bardzo dobrze prowadził Karol Borsuk przy czujnym współdziałaniu orkiestry i jej świetnych solistów, zwłaszcza obo-

Solistką koncertu 16 maja była **Beata Bilińska.** fot. Paweł Mielcarek

ju (**Janusz Vogelsinger**). Po przerwie *Symfonia „Włoska"* Mendelssohna, muzyka lekka, radosna, niezwykle efektowna i barwna, inspirowana włoskim folklorem. Pod ręką Karola Borsuka jawiła się we właściwym kształcie i charakterze, miała dobre tempa, przejrzystość, zróżnicowane plany dynamiczne, brakowało może nieco finezji i wyrazistości szczegółów. W ogólności jednak sprawiła słuchaczom radość – tak jak i cały ten piękny, świetnie dobrany program.

Listopadowy, niepodległościowy program (7 XI) zaakcentowano dziełami polskimi: uwerturą *Jadwiga królowa polska* Karola Kurpińskiego oraz *Koncertem fortepianowym f-moll* Fryderyka Chopina. Uwertura była przypomnieniem ważnej i zasłużonej postaci w muzyce polskiej pierwszej połowy XIX wieku, zaś jej wykonanie pod batutą **Rubena Silvy** poprawnym odegraniem nut miłej, choć nieco może niesfornej formalnie uwertury. Muzyka polska znalazła właściwą reprezentację dopiero w drugim dziele: *Koncercie* Chopina. Grała go **Joanna Ławrynowicz** – przepięknie, nieskazitelnie technicznie i z wirtuozowskim blaskiem, nie roniąc przy tym nic z jego uczucia i ciepła, wtopionych w urzekające *brillant*. Była to sama istota najgłębiej przeżywanej polskości. Ale niesłychanie rzadko zdarza się przeżywanie polskości w muzyce obcej. Tu Ruben Silva niezwykle szczęśliwie sięgnął do dorobku dwóch gigantów XIX wieku: Liszta i Wagnera; obaj dali dobitny wyraz swej sympatii do zniewolonej Polski w dwóch symfonicznych „kawałkach". Zestawienie ich na jednym koncercie ujawniło, że Liszt, pisząc w ostatniej dekadzie swego życia *Interludium* do nieistniejącego jeszcze, „polskiego" oratorium *Święty Stanisław* (i nigdy nie ukończonego) wykorzystał pomysł z wcześniejszej uwertury Wagnera *Polonia*: podobny sposób operowania motywami polskich pieśni patriotycznych. Wagner w tym duecie wypadł zdecydowanie lepiej, napisał dzieło czytelne w intencjach, bardzo efektowne, pełne blasku; Liszt osiągnął to dopiero w partiach finałowych. W każdym razie dyrygent i orkiestra mieli w obydwu utworach pole do popisu i całkowicie to wykorzystali.

Wieczór 14 XI należał do wyjątkowo pięknych. Od strony muzycznej gwarantowały to nazwiska Brahmsa i Dworzaka, od strony wykonawczej świetny dyrygent i dwaj wybitnie utalentowani młodzi soliści. I oczywiście orkiestra, która pod dobrym dyrygentem potrafi wysoko wspiąć się w swej sztuce. A przy tym dyrygujący tego wieczora **Piotr Sułkowski** doskonale znał i potrafił wydobyć urodę wykonywanych partytur, młodzi soliści zaś – skrzypek **Maciej Strzelecki** (wychowanek koszalińskiej Szkoły Muzycznej I st.) i wiolonczelista **Adam Krzeszowiec**, choć jeszcze studenci grają już na poziomie dojrzałych mistrzów. Rozpoczynało nastrojowe *Notturno* na smyczki Dworzaka; Piotr Sułkowski może zbyt na wyrost prowadził tę błahostkę niemal jak Mahlerowskie *Adagio*, jednak zbyt skromne obsadowo koszalińskie smyczki nie mogły podjąć tu sugestii dyrygenta i zapewnić odpowiednio nasycone brzmienie, choć poza tym grały dobrze. Było to świetne wprowadzenie do odbioru *Koncertu podwójnego na skrzypce i wiolonczelę* Brahmsa, dzieła dość rzadko wykonywanego z racji wielkich wymagań. W omawianym wykonaniu był to zachwycający dyskurs dwóch znakomitych już, pełnych temperamentu muzyków, niezawodnie oddających wszelkie emocjonalne odcienie i piękności obydwu partii, nie wyłączając humoru; to wszystko przy bardzo dobrym towarzyszeniu orkiestry, choć dyrygent, wciągnięty w tę arcyzajmującą grę, jakby zapominał, że to jednak nie symfonia lecz akompaniament – na szczęście bez uszczerbku dla partii solowych. Był to prawdziwy triumf obu studentów, artystów w pełni już dojrzałych muzycznie i technicznie. Na bis zagrali – drobnostka – brawurową *Sonatinę na skrzypce i wiolonczelę* Arthura Honeggera, prezentując prawdziwy wykonawczy majstersztyk. Jak zwykle po przerwie dano danie główne programu: *VIII symfonię G-dur* Dworzaka; utwór niezwykły, jak to określił autor: *suma nastrojów, wrażeń i wspomnień*; takie-

go bogactwa urokliwych melodii – tu czeskich ludowych – próżno by szukać w całej literaturze symfonicznej. Dworzak klejnotom tym nadał wspaniałą, monumentalną oprawę. Piotr Sułkowski prowadził ją znakomicie. Może zbyt wielkim gestem (pewnie operowe przyzwyczajenia dyrygenta), ale niezwykle skutecznym. Nade wszystko jednak była to ekspresja partytury głęboko przeżytej – co udzieliło się orkiestrze i jej bardzo tu eksponowanym solistom; grali jak w transie. Te wyrazowe walory wykonania sprawiły, że jego pewne niedostatki techniczne, nie do uniknięcia w dziele tak trudnym, zostały całkowicie usunięte w cień. Zarówno ten utwór, jak i cały program wieczoru, były dla słuchaczy pięknym koncertowym przeżyciem oraz wielkim sukcesem dyrygenta i orkiestry.

Filharmonicy koszalińscy, tradycyjnie już, łagodzą późnojesienne chłody gorącymi rytmami Hiszpanii – z nieodłączną gitarą. Sprzyjają temu także iberyjskie korzenie, z jakich czerpała soki muzyczna wrażliwość **Rubena Silvy**. On poprowadził „hiszpański" w całości program (21 XI), w którym dał doskonały obraz fenomenu muzyki hiszpańskiej, inspirujących sił jej ludowonarodowej kultury. Próżno by szukać drugiej takiej siły w muzyce europejskiej. Rozpoczęła orkiestrowa wiązanka brawurowych melodii z opery Jimeneza *Wesele Luisa Alonso* – przykład XIX-wiecznej hiszpańskiej muzyki operowej, gatunku niezwykle tam popularnego (szczególnie wodewilu zwanego *zarzuela*) i obfitego, w którym ludowość jest mocno już poddana europejskiemu szlifowi. Ruben Silva prowadził ją niezwykle oszczędnie, kompetentnie i efektywnie zarazem, orkiestra zaś szalała – świetny wstęp do o 40 lat późniejszej *Fantasia para un gentilhombre* Joaquina Rodrigo. Ta z kolei wiązanka stylizowanych melodii należała do wirtuoza gitary **Tomasza Zawieruchy**. Grał wspaniale, z wielką kulturą i maestrią ewokując wykwintny urok hiszpańskiej kultury – przy świetnym towarzyszeniu Rubena Silvy. Po przerwie fascynacje hiszpańskie „à la française" – z kompozytorskich pracowni Ravela i Debussy'ego. To już muzyka najwyższej artystycznej próby i najwyższych wymagań wykonawczych. *Alborada del gracioso* Ravela pozwoliła usłyszeć naszą orkiestrę w powiększonym składzie, choć sama faktura utworu jest przejrzysta, niemal kameralna, oczywiście z efektownymi „gęstymi" kulminacjami, przy tym niezwykle wysmakowana kolorystycznie – i z tego wyzwania orkiestra nie wyszła zwycięsko: po prostu poprawnie zagrano nuty, zabrakło płynności i temperatury (barw). To samo można by powiedzieć o zagranej na zakończenie wieczoru *Iberii* Debussy'ego; owe trzy barwne, impresjonistyczne obrazy miały fragmenty wykonane bardzo efektownie; muzycy zdali tu niezwykle trudny egzamin, ale w skomplikowanej tkance tej muzyki ginęły wątki, myśli. Wszystko było jakby równie ważne, zaś dynamika mało zróżnicowana – stąd, mimo wielkiej obsady i wspaniałej instrumentacji, trudno było nie poddać się pewnej monotonii nawały barw i rytmów.

W całym jesiennym kwartale 2008 każdego wieczora zdarzały się powody do artystycznej satysfakcji: raz były to dobre produkcje orkiestry – a więc i czyn dyrygenta – innym razem gra solisty, a najczęściej po prostu sama muzyka. W piątek **5 XII** wszystkie one złożyły się na koncert wyjątkowy. Na podium dyrygenta stanął artysta młody, bezapelacyjny zwycięzca ubiegłorocznego, arcytrudnego Konkursu Dyrygenckiego im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach, **Eugene Tzigane Donough**. Jego swoboda, celowość i estetyka gestów, a nade wszystko muzykalność, zabłysły już w wykonanej na początku uwerturze *Rosamunde* Schuberta: był to Schubert na wskroś wiedeński, lekki, pełen wdzięku i klasycznego umiaru – wszystko w doskonałych proporcjach i przy całkowitym współdziałaniu orkiestry, która grała i brzmiała nadzwyczajnie. W tym niezwykłym już nastroju na estradzie pojawiła się triumfatorka innego międzynarodowego konkursu: **Agata Szymczewska**. Artystka, na swej macierzystej niejako estradzie, grała *Koncert skrzypcowy g-moll* Ernesta Brucha. I grała, nie waham się tego powiedzieć, rewela-

cyjnie. Naturalne rozwijanie ekspresji jego pięknej liryki, pogłębione pełnym poezji, osobistym tonem artystki (i pięknym brzmieniem Stradivariusa), w finałowym *Allegro energico* wzbogacone perlistą precyzją, finezją, lekkością i brawurą – były wydarzeniem i przeżyciem koncertowym wielkiej miary. Zwłaszcza, że orkiestra pod czułą batutą dyrygenta grała najlepszy chyba akompaniament w swej historii: lekki, przejrzysty, całkowicie podległy charakterowi i przebiegowi utworu; to oczywiście zasługa dyrygenta, który miał w pełnym posiadaniu orkiestrę – w idealnej zgodności z interpretacją solistki. Wieczór ukoronowała *II symfonia D-dur* Beethovena – ukoronowała swym pięknem, temperamentem, pogodą, a nade wszystko interpretacją Eugene'a Tzinage'a. Orkiestrowe dzieła Beethovena stawiają zespołom określone wymagania stylistyczne, spełnienie ich decyduje o powodzeniu, a przede wszystkim o tożsamości tej symfoniki. Słyszałem już w Koszalinie kilkaset jej wykonań (symfoniki), ale po prawdzie certyfikat owej tożsamości mógłbym dać zaledwie kilku z nich. Do nich należy wykonanie Eugene'a Tzigane'a: lekkie, klarowne, zachwycające szczegółami, respektowaniem wszystkich autorskich i stylistycznych wymagań odnośnie tempa, dynamiki, artykulacji. A przy tym był to obraz *II symfonii* jego własny: rwący strumień czystej muzyki, w jakim znał każdy kamyk. Rzadki to przypadek na naszej, i nie tylko naszej, estradzie. A przy tym kultura, smak, muzykalność, temperament. Uwertura i symfonia dyrygowane z pamięci. Odniósł sukces absolutny, a z nim orkiestra, która pokazała możliwości daleko wykraczające poza naszą normalną praktykę. Młody, fantastycznie zdolny 27-letni muzyk stoi u progu wielkiej kariery. To wielki dar, że dał się poznać w Koszalinie nie z ekranu telewizji – i że dał poznać Beethovena w tak doskonałym kształcie.

Mając tak zaostrzone apetyty słuchacze otrzymali w następnym tygodniu (**12 XII**) cały wieczór Beethovena, który tym razem sygnował swą sztuką **Mieczysław Nowakowski**, dyrygent znany w Koszalinie z bardzo udanych koncertów w latach ostatnich. Przedstawił on program złożony z samych arcydzieł Beethovenowskiej symfoniki: Uwertura *Coriolan, IV koncert fortepianowy G-dur, V symfonia c-moll*. Wielkie doświadczenie dyrygenta pozwalało w tym programie oczekiwać wielkich przeżyć, i tu – zarówno w *Uwerturze*, jaki i w *Symfonii* – nie było zawodu, ale głównie za sprawą orkiestry, która była bohaterką tego wieczoru i grała bardzo dobrze – choć bez owych pożądanych cech, jakich grze nadają indywidualność i gest dyrygenta. Mieczysław Nowakowski bowiem był w gestach, a więc i wymaganiach, wyjątkowo skąpy, pozostawał na dyskretnym planie, słuchacze zaś czerpali artystyczną satysfakcję z samych poprawnie granych dźwięków; trudno by więc mówić o wielkich przeżyciach. Oczekiwanym bohaterem wieczoru był młodziutki pianista **Piotr Różański**, który podjął ambitne zadanie wykonania *IV koncertu* Beethovena. Problemy wykonania tego dzieła są ogromne, niosą bowiem ze sobą rodzaj artystycznej pułapki. Jeśli chodzi o stronę techniczną solista nie miał problemów, grał ze swadą, doskonale. Natomiast cała strona wyrazowa, wyjątkowo tu bogata – pełna kontrastów, łącząca głęboką ekspresję z powabną, choć wcale nie płochą, wirtuozerią – pozostaje jeszcze w sferze młodemu artyście niedostępnej. Także strona dźwiękowa oferowała paletę ubogą: przede wszystkim siłowe forte i nijakie, „szklane" piano – z lewym pedałem; to zresztą dość powszechne obecnie niedostatki, nie tylko u młodych pianistów. Piotr Różański ma wszelkie dane, aby wypracować bogaty zestaw barw (sędziwy już Horovitz zapytany przez dziennikarza, co uważa za swoje najważniejsze osiągnięcie, odpowiedział: *wypracowałem 46 barw fortepianowych*. On je nawet policzył...). Strona wyrazowa gry młodego artysty na pewno pogłębi się wraz z upływem lat. Miał za to dobry akompaniament orkiestry pod niezawodnym tu Mieczysławem Nowakowskim.

Sylwester Podgórski

Kameralistyka na salonach

W ostatnim czasie kilka razy spotkałem się w tzw. towarzystwie z „zaczepnym" pytaniem: czym różni się radio publiczne od radia komercyjnego? Trochę mnie irytuje tak postawione pytanie, ale po krótkiej chwili odpowiadam pytaniem: *czy słyszałeś w radiu komercyjnym lub telewizji koncert muzyki poważnej?* Odpowiedź, której się zresztą spodziewam, brzmi, że nie. Przyczyna jest banalna: stacjom komercyjnym to się nie opłaca albo, inaczej, nic na tym nie zarobią.

Kilka lat temu wieloletnia dziennikarka Radia Koszalin Maria Słowik-Tworke wpadła na genialny w swojej prostocie pomysł, aby przy współpracy z Filharmonią Koszalińską organizować także dodatkowy koncert kameralny w Studiu Koncertowo-Nagraniowym im. Czesława Niemena w Radiu Koszalin. Gwiazdy, które zapraszała filharmonia, mogły zaprezentować się tu w innym repertuarze i, przede wszystkim innej – bardziej kameralnej – atmosferze. Cykl opatrzony szyldem „Salon Muzyczny" okazał się strzałem w dziesiątkę; koszt organizacji dodatkowego koncertu nie był zbyt wysoki, a zaproszenia rozchodziły się jak ciepłe bułeczki. Dla melomanów Salon Muzyczny okazał się innym światem. Ich muzyczni idole, gwiazdy są na wyciągnięcie ręki, można im spojrzeć głęboko w oczy, popatrzeć, jak palce zgrabnie poruszają się po klawiaturze fortepianu czy chwytni skrzypiec, poprosić o autograf czy podziękować osobiście za koncert. Formuła przewiduje też wywiad z artystą w trakcie koncertu, a właściwie ciepłą, familiarną rozmowę z wykonawcami i to z pewnością jest dodatkowy magnes, gdyż trudno wyobrazić sobie podobny schemat w sali filharmonii. Artyści opowiadają z reguły nie tylko o muzyce, ale też o swoich dodatkowych pasjach, podróżach, życiu prywatnym, sypią anegdotami jak z rękawa, zabawiając niekiedy do łez roześmianą publiczność.

Niemal wszystkie koncerty prowadzone są przez świetnie przygotowane Marię Słowik-Tworke i Beatę Górecką-Młyńczak. Wiedza, kultura, aparycja oraz świetna umiejętność uzupełniania się sprawiają, że stali bywalcy Salonu nie wyobrażają sobie innych „gospodyń" tych niezwykłych wieczorów. Mam wrażenie, że każdy uczestnik takiego koncertu czuje się jak ktoś wyjątkowy i wyróżniony.

W najlepszych latach działalności recitale w Salonie Muzycznym odbywały się raz w miesiącu, z wyłączeniem wakacji. Ileż to wielkich nazwisk wystąpiło w Radiu Koszalin: Piotr Pławner, Ewa Pobłocka, Piotr Paleczny, Grażyna Brodzińska, Bogusław Morka, Krzysztof Jabłoński, Adam Wodnicki, Krzysztof Jakowicz, Natan Dondalski, Krzysztof Pełech czy wreszcie „nasza" Agata Szymczewska. Nie zabrakło też wykonawców z Niemiec, Austrii, Włoch, Szwajcarii czy Stanów Zjednoczonych.

W minionym roku Salon Muzyczny otworzył swoje podwoje tylko cztery razy, cieszyć się jednak należy, że nie znikł zupełnie z kulturalnego kalendarza Koszalina. Na początku ubiegłego roku(16 stycznia), zgodnie zresztą z tradycją, odbył się koncert karnawałowy zespołu „Triada", w składzie: Joanna Antolak – flet, Iwona Przybysławska – obój i Anna Kabacińska – gitara. Siostry Joanna i Iwona na co dzień grają w Filharmonii Koszalińskiej, a trio założyły już 10 lat temu, z zamiarem grania bardzo różnorodnego repertuaru. Określenia *przebój* przeważnie używa się w odniesieniu do muzyki popularnej, ale

podczas tego koncertu mogliśmy się przekonać, że nie tylko. To był iście przebojowy wieczór z walcem z „Maskarady" Arama Chaczaturiana, „Habanerą" George'a Bizeta, swingującym „I Got Rhythm" George'a Gershwina i „Strangers In The Night" z repertuaru Franka Sinatry. Z kolei muzyka latynoska to słynne tango Geraldo Matosa Rodrigueza „La Cumparsita" i serenada hiszpańskiego kompozytora Sebastiana Yradiera „La Paloma". Ale to jeszcze nie koniec; z polskich hitów „Triada" zaproponowała ciekawe interpretacje „Zacznij od Bacha" (z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego) oraz nieśmiertelne „Pod Papugami" Mateusza Święcickiego (z repertuaru Czesława Niemena). Trzeba przyznać, że instrumentalistki zgrabnie poruszają się w różnych stylach, a prawdziwy temperament pokazały we fragmentach niezwykle popularnego show *Lord Of The Dance*. Zapachniało Irlandią, zieloną łąką i lasami. Kolejna muzyczna wolta to *Tico Tico* Zequinha de Abreu, zderzone chyba trochę niefortunnie z lirycznym i żałobnym *Tears In Heaven* Erica Claptona. Twórczość zespołu „The Beatles" reprezentowała *Michelle*. A na bis miłym zaskoczeniem był temat Pata Metheny *Follow Me*. Większość wykonywanych utworów koszalinianki aranżują same (kilka utworów zaaranżowała Monika Zytke, obecnie mieszkająca w Słupsku, która była pierwszą gitarzystką w „Triadzie"), co tylko potęguje uznanie dla tworzących zespół artystek, że o wyglądzie i pięknych strojach, jako przedstawiciel płci brzydkiej, nie wspomnę.

Kolejny koncert, który odbył się pod koniec kwietnia, był w pewnym sensie wyjątkowy, bo po raz pierwszy w Radiu Koszalin zagrały zespoły amerykańskich sił lotniczych bazujących w Europie. Były to dwie formacje dęte „Winds Aloft" (kwintet dęty drewniany) i „Five Star Brass" (kwintet dęty blaszany z perkusją). Na dodatek, powiedzenie „za mundurem panny sznurem" w tym przypadku można było odwrócić, gdyż część zespołu stanowiła płeć piękna, radząca sobie nie gorzej z trudną sztuką gry na instrumentach dętych. Z pewnością zaskakujący okazał się dobór repertuaru obydwu zespołów, bardzo urozmaicony i, jak na formację wojskową, ambitny. Jeśli ktoś spodziewał się marszów wojskowych, to mógł być srodze zawiedziony. Usłyszeliśmy za to muzykę współczesną: Michaela Kamena (słynny kompozytor muzyki filmowej m.in. do kinowego hitu „Robin Hood: Książę Złodziei"), Carla Nielsena i Kerry Turnera. Wielkich mistrzów reprezentowali: Jan Sebastian Bach (*Fuga g-moll*), Gioacchino Rossini (uwertura z opery *Wilhelm Tell*), Camille Saint-Saens (*Dance Bacchanale*) i Charles Lefebvre (*Suita* op. 57). Już przed koncertem widać było pewne napięcie, ciekawość publiczności, która tak do końca nie bardzo wiedziała, czego może się spodziewać. Instrumenty dęte zarówno drewniane jak i blaszane zabrzmiały szlachetnie, niebanalne aranżacje pokazały możliwości, jakie drzemią w „dęciakach", szczególnie w warstwie współbrzmień. Zdarzały się niedociągnięcia ale ogólny wydźwięk całości należy uznać za pozytywny, zważając że to jednak orkiestry wojskowe, gdzie rotacja w zespołach jest na porządku dziennym. Na bis połączone zespoły wyciągnęły asa z rękawa czyli słynne *Bohemian Rhapsody* grupy „Queen", które zakończyło ten interesujący koncert.

Stało się już tradycją, że jeden koncert Salonu Muzycznego zarezerwowany jest dla laureata „Estrady Młodych" Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku, jako nagroda ufundowana przez Radio Koszalin. Podczas 41 edycji tego zasłużonego festiwalu laureatem „Estrady Młodych" został Dawid Andraszewski, rocznik 1982, absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu w klasie prof. Waldemara Andrzejewskiego. Recital odbył się 19 czerwca. Choć Andraszewski nie ukrywa swojej „pierwszej" miłości do muzyki Chopina, to koszalińskiej publiczności zaprezentował dość bogaty i różnorodny repertuar. Oprócz dzieł ulubionego kompozytora zabrzmiała muzyka J.S.Bacha, ale przede wszystkim dwóch genialnych rosyjskich kompozytorów i pianistów XX wieku, Sergiusza Rachmaninowa i Sergiusza Prokofiewa. Dawid Andraszewski zmie-

rzył się z *Wizjami ulotnymi* Prokofiewa, dziełem, w którym niezwykle ważna jest interpretacja ze względu na duże skoki dynamiki i zróżnicowanie emocjonalne w poszczególnych częściach. Spośród 20 miniatur pianista zagrał 10, z pasją, naturalnie i z ogromną inwencją (zresztą jedna z wizji *Pittoresco* została powtórzona na bis). Z bogatej twórczości Rachmaninowa Andraszewski sięgnął po *Etiudę es-moll* op. 39 nr 5 oraz *Etiudę cis-moll* op. 33 nr 8. Szlachetny dźwięk, znakomity warsztat i muzyczna erudycja świadczą o wielkich możliwościach młodego pianisty, którego pasją, prócz muzyki, są góry i... lotnictwo (marzenie poza zawodowe to zrobienie licencji pilota turystycznego!). Chciałoby się powiedzieć: wysokich lotów do światowej kariery!

Ostatni ubiegłoroczny koncert odbył się 6 listopada. Jego gwiazdą była pianistka Joanna Ławrynowicz, której towarzyszył Kwartet Smyczkowy Filharmonii Koszalińskiej w składzie: Agnieszka Tobik – I skrzypce, Adam Vogelsinger – II skrzypce, Maciej Śmietański – altówka i Wiktor Cisoń – wiolonczela. Pianistka wystąpiła już rok wcześniej w Salonie Muzycznym z repertuarem Chopinowskim. Utworów tego kompozytora i tym razem nie zabrakło, ale na początku rozbrzmiała muzyka Ludwiga van Beethovena *Allegro Con Brio* cz.1 z *Kwartetu smyczkowego B-dur* op. 18 nr 1. Okazało się, że tak naprawdę była to tylko „przystawka" do dania głównego czyli *Koncertu fortepianowego f-moll* op.21 Chopina w wersji kameralnej (takie były zresztą pierwsze wykonania tego wybitnego dzieła z udziałem samego kompozytora). Wykonanie koncertu Chopina z kwartetem smyczkowym jak mówi sama pianistka: *daje wyjątkowe możliwości, ponieważ pianista może sobie pozwolić na bardzo dużą elastyczność w interpretacji. Ma do czynienia z czterema bardzo uzdolnionymi muzykami i dzięki temu każdy zamysł artystyczny jest możliwy do zrealizowania. Z orkiestrą symfoniczną jest trochę inaczej, trzeba się bardziej pilnować. Orkiestra jest dużą machiną, którą trudniej poruszać. Muszę tu jednak dodać, że ma to się nijak do Filharmonii Koszalińskiej, ponieważ po dwutygodniowej współpracy przy nagrywaniu koncertów Henryka Melcera, czuję się doskonale zarówno podczas prób jak i koncertów.*

Koncert fortepianowy f-moll op.21 zabrzmiał w kameralnym studiu Radia Koszalin jakby był stworzony do takich właśnie miejsc. Joanna Ławrynowicz niezwykle sugestywnie zagrała zwłaszcza drugą część koncertu, lirycznie, z ogromną dawką emocji. Kwartet Smyczkowy Filharmonii Koszalińskiej okazał się znakomitym partnerem dla słynnej pianistki (mimo dość krótkich, acz intensywnych przygotowań), nie tylko odgrywającym swoje partie, ale przede wszystkim „czującym" i grającym w idealnej symbiozie. Zespół grał wersję kameralną w bardzo dobrym opracowaniu Bartłomieja Kominka, w którym wszystkie partie instrumentów orkiestrowych są skomasowane i opracowane tylko na cztery instrumenty, natomiast partia fortepianu została zachowana w oryginalnej wersji. Koszalińska publiczność bez trudu dostrzegła wyjątkowość wykonania kameralnego koncertu Chopina, nagradzając artystów burzą oklasków. Nie mogło więc zabraknąć bisów, na które złożyły się, zagrane solo, miniatury: *Walc Es-dur* op.18 i *Polonez B-dur* Fryderyka Chopina. To był piękny wieczór, pokazujący z jednej strony geniusz Chopina (to pewnik), a z drugiej kreatywność artystów, dzięki którym możemy po raz kolejny zachwycać się tymi samymi dziełami.

*

Salon Muzyczny Radia Koszalin silnie wpisał się w ciągu kilku lat w krajobraz kulturalny Koszalina. W imieniu swoim i melomanów wyrażam nadzieję, że koncerty znów będą odbywać się cyklicznie (raz w miesiącu), a nie jedynie sporadycznie. Działalność koncertowa, pozaantenowa Radia Koszalin jest jednym z wyróżników radiofonii publicznej, jako element misji radia publicznego, której obecnie tak niewiele w naszych mediach.

ks. Arkadiusz Jędrasik

Wspólnota muzycznych pokoleń

Szymczewska, Cwojdziński i Rozbicki na jednej płycie

Wiosną 2008 r. ukazał się na polskim rynku album niecodzienny. Na jednej płycie utrwalono dokonania artystyczne kilku pokoleń koszalińskich muzyków. Mowa tu o nagranych znakomitych dziełach koszalińskich kompozytorów: *Symfonii* Andrzeja Cwojdzińskiego i poemacie *Uniesienia gasnące* Kazimierza Rozbickiego, pomiędzy którymi została utrwalona mistrzowska gra na skrzypcach koszalinianki Agaty Szymczewskiej w polskim repertuarze: *Kaprysie polskim* Grażyny Bacewicz i *Cadenzy* Krzysztofa Pendereckiego. Ostatnie z wymienionych dzieł nasza wybitna skrzypaczka gra solo. Utwory Cwojdzińskiego i Rozbickiego grają koszalińscy filharmonicy pod znakomitą batutą swojego szefa Rubena Silvy.

Od razu trzeba przyznać, że zarówno program płyty jak i jego wykonanie stoją na bardzo wysokim poziomie. Pomysł, by na jednym krążku połączyć kilka pokoleń koszalińskich muzyków, to prawdziwy strzał w dziesiątkę. Tak też o tym pisze we wstępie do płyty prezydent miasta Mirosław Mikietyński: *Koszalin to miasto o wyjątkowym klimacie, który tworzyli i tworzą artyści oraz muzycy skupieni wokół Filharmonii Koszalińskiej. To dzięki nim Koszalin rozbrzmiewa już od ponad pół wieku muzyką, zachwycając gości przyjeżdżających do naszego miasta z różnych stron Polski i świata. Koszalin tętniący muzyką, która zaciekawia i inspiruje, napawa dumą mieszkańców. To niewątpliwy atut stolicy Pomorza Środkowego. Kultura i muzyka to nasze okno na świat. Dowodem, że koszalińskie okno jest stale i szeroko otwarte, jest właśnie niniejsza płyta…*

Profesor Andrzej Cwojdziński to znakomity dyrygent, kompozytor i pedagog, związany z Koszalinem od początku lat 60. ubiegłego wieku. Jego *I Symfonia* op. 43 powstała w okresie od 15 października 1993 r. do 5 stycznia 1994 r., a już 27 maja tego samego roku odbyło się jej prawykonanie w Koszalinie. Jest to dzieło czteroczęściowe, w charakterze zgoła romantyczne, o wyraźnym zabarwieniu emocjonalnym. Na ogół przeważa w nim myślenie neoklasyczne. Zwraca uwagę rozbudowana perkusja. Po „romantycznej" części pierwszej następuje *Scherzo* utrzymane w bardzo szybkim tempie, ze środkowym trio poruszającym nuty poważniejsze; kameralna początkowo faktura gęstnieje, prowadzi do kulminacji zakończonej dramatycznym akcentem perkusji, po którym wraca rozpędzone scherzo. Trzecią część nazwał kompozytor *Intermezzem*, może ze względu na małe rozmiary, jest to jednak muzyka bardzo serio, stanowiąca ekspresyjne rozwinięcie łuku; piano – forte – piano. Zaskakujący jest *Finał,* łączący nuty dramatyczne z obsesyjnym, krótkim motywem o wydźwięku groteskowym. Jest to dla kompozytora zapewne muzyka bardzo osobista i głęboko przeżyta, choć on sam zaprzecza jakimkolwiek skojarzeniom programowym i określa tę symfonię jako muzykę absolutną. Swoją *Symfonię* Andrzej Cwojdziński zadedykował orkiestrze Filharmonii Koszalińskiej, której oddał piętnaście lat swego życia. Taka dedykacja jest zawsze wyrazem potrzeby serca.

Kazimierz Rozbicki to także świetny kompozytor, dyrygent, pedagog a także znakomity publicysta i krytyk muzyczny. Do Koszalina przyjechał w 1967 r. Jego poemat *Uniesienia gasnące* powstał w roku 2006 na zamówienie Związku Kompozytorów Polskich w ramach programu operacyjnego *Znaki czasu*. To studium symfoniczne - jak o utworze pisze sam kompozytor - jest próbą humanizacji przebiegu muzycznego. Kontrastową dynamikę o szerokiej amplitudzie kompozytor łączy z emocjonalnością, a zarazem metaforycznymi odniesieniami do stanów ludzkiej psychiki, rozpiętych pomiędzy euforią i rezygnacją. Można to odbierać po prostu jako obraz dźwiękowy, utkany ściśle według reguły harmonicznej czterodźwięku beztercjowego, tworzącego aurę intensywnej wyrazowości.

A jak na omawianej płycie brzmią oba dzieła koszalińskich kompozytorów? Mówiąc krótko: znakomicie. W obu dziełach koszalińscy muzycy prezentują dobrą formę i dużą wrażliwość dla kompozycji Cwojdzińskiego i Rozbickiego. Ruben Silva jest dyrygentem o wielkiej wrażliwości i z każdej partytury tworzy muzykę piękną i widowiskową. Całość jest więc świetnie wykonana; pełno tu młodzieńczego polotu i werwy. Orkiestra wyjątkowo dobrze prezentuje wszystkie linie melodyczne, które w poszczególnych sekcjach są czytelne. Brzmienie „blachy" jest żywe, a „drzewo" - efektowne i ładne. Wszystkie sekcje orkiestry pokazują barwny kalejdoskop dźwiękowy.

Symfonię Cwojdzińskiego orkiestra gra mocnym, nasyconym dźwiękiem, pokazując precyzyjnie cały rozmach symfoniczny koszalińskiego kompozytora i jego emocjonalne przeżycia. Studium symfoniczne *Uniesienia gasnące* Rozbickiego cechuje wielka elegancja i duża muzyczna fantazja w prezentowaniu nowocześnie brzmiącego materiału muzycznego. Kapitalnie brzmią wyrafinowane kompozytorsko struktury muzyczne. I tu orkiestra brzmi wyśmienicie. Ko-

Agata Szymczewska, skrzypce
Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej, Ruben Silva, dyrygent (Acte Préalable AP0174, 44' 33")

szalińscy filharmonicy pod batutą Rubena Silvy zapewniają błyskotliwy warsztat wykonawczy i inteligentną interpretację mało znanej, a efektownej muzyki rodem z Koszalina.

Na drugą – solistyczną część płyty złożyły się dwa wybitne dzieła muzyki polskiej XX wieku. *Kaprys polski* to jedna z lepiej znanych kompozycji skrzypcowych Grażyny Bacewicz. Powstała w 1949 r., jest rodzajem wariacji na temat szybkiego tańca. Natomiast skomponowana w 1984 r. *Cadenza* Krzysztofa Pendereckiego jest dodatkiem do napisanego rok wcześniej *Koncertu na altówkę*.

Oba te działa wykonuje Agata Szymczewska, młoda skrzypaczka urodzona w Gdańsku, ale od wczesnego dzieciństwa związana z Koszalinem. Tutaj, pod okiem Danuty Kaluty-Jakubowskiej – znakomitego pedagoga koszalińskiego Zespołu Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, rozpoczęła ona swoją wiolinistyczną edukację, kontynuowaną w Poznaniu i Hanowerze. W październiku 2006 r. Agata Szymczewska została laureatką I nagrody oraz Złotego Medalu i Nagrody Publiczności TVP Kultura podczas XIII Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Dziś koncertuje w wielu krajach świata.

Omawiana płyta powstała z myślą o jej sztuce wykonawczej. Zarówno w *Kaprysie polskim* Bacewicz, jak i w *Cadenzy* Pendereckiego Agata Szymczewska potwierdza swoje mistrzostwo. Gra pewnie, pięknym i eleganckim dźwiękiem. Każdy utwór mieni się bogactwem kolorów i świetnym prowadzeniem frazy. Można śmiało stwierdzić, że spośród wielu nagrań *Cadenzy* Pendereckiego właśnie to nagranie prezentuje całą efektowność kompozycji i jest najlepsze z dotychczas zrealizowanych. Podobnie jej wykonanie *Kaprysu* Bacewicz nie ma sobie równych. Jest świetnie zagrany. W obu utworach, zwłaszcza w szybkich przebiegach, skrzypaczka imponuje sprawnością techniczną, zaś w częściach wolnych – wyczuciem w prowadzeniu frazy i cudownie pięknym dźwiękiem, aksamitnym, wielokolorowym. A wszystko to za sprawą niecodziennego talentu skrzypaczki, w której dłoniach wyborny instrument – skrzypce Antonio Stradivariusa – są świetnie i ekscytująco wykorzystane.

Reasumując: otrzymaliśmy płytę bardzo interesującą, szczególnie dla tych melomanów, którzy szukają w muzyce współczesnej zarówno refleksji, jak i dobrej, efektownej symfoniki, wyrażonej czytelnie poprzez „przyjemne dla ucha" techniki kompozytorskie.

Cwojdziński *Symfonia*; Bacewicz *Kaprys polski*; Penderecki *Cadenza*; Rozbicki *Uniesienia gasnące*

Agata Szymczewska, skrzypce • Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej, Ruben Silva, dyrygent (Acte Préalable AP0174, 44' 33")

ks. Arkadiusz Jędrasik

Zespolone mistrzostwo

Joanna Ławrynowicz gra *Koncerty* Melcera z Filharmonią Koszalińską

Joannę Ławrynowicz można określić mianem najbarwniejszej i najbardziej twórczej osobowości wśród polskich pianistek. Potwierdzają to jej dotychczasowe osiągnięcia koncertowe i fonograficzne. Całkiem niedawno wydała znakomity album z *Koncertami fortepianowymi* Henryka Melcera. Jest to nagranie zrealizowane przy współudziale Filharmoników Koszalińskich pod dyrekcją ich szefa Rubena Silvy. To bodajże najwybitniejsza płyta w dotychczasowym dorobku pianistki, a także pierwsze polskie nagranie Koncertów fortepianowych Henryka Melcera dokonane przez jedną pianistkę. Jej dzieło znakomicie wpisało się w obchody 80. rocznicy śmierci kompozytora.

Joanna Ławrynowicz należy do grona najwybitniejszych polskich pianistek. Urodziła się w Warszawie, w rodzinie o wielopokoleniowych tradycjach muzycznych. Naukę gry na fortepianie rozpoczęła jako czterolatka u Hanny Lachertowej, ukończyła z wyróżnieniem studia w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, w klasie prof. Teresy Manasterskiej. Po studiach kontynuowała naukę u prof. Haliny Czerny-Stefańskiej, aż do jej śmierci w 2001 roku.

Joanna Ławrynowicz jest laureatką wielu prestiżowych międzynarodowych konkursów pianistycznych. Od kilku lat prowadzi bardzo ożywioną działalność koncertową jako solistka i kameralistka na całym świecie. Ma na swoim koncie wiele prestiżowych koncertów z towarzyszeniem znakomitych orkiestr i wybitnych dyrygentów. Pod względem dokonań fonograficznych nie ma sobie równych w Polsce. Od 2002 r. jest związana ekskluzywnym kontraktem z Wydawnictwem Muzycznym Acte Préalable, dla którego nagrała już ponad 20 albumów płytowych. Są to m.in. wszystkie utwory na skrzypce i fortepian, na fortepian solo, dzieła kameralne, a także *I Koncert fortepianowy* Romualda Twardowskiego; komplet dzieł kameralnych i koncertów fortepianowych Henryka Melcera; utwory na fortepian solo Władysława Żeleńskiego; dzieła kameralne Józefa Elsnera; dzieła wiolonczelowe z towarzyszeniem fortepianu Zygmunta Stojowskiego. Większość zarejestrowanych przez nią utworów to światowe premiery fonograficzne. Jej płyty są wysoko cenione przez melomanów i krytyków muzycznych oraz zdobywają znakomite recenzje i wyróżnienia w renomowanych magazynach muzycznych na całym świecie. Obecnie pianistka prowadzi również działalność pedagogiczną na stanowisku adiunkta w klasie fortepianu na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie.

Kim był zatem kompozytor, którego koncerty zostały nagrane po raz pierwszy w Koszalinie? Henryk Melcer – pianista, kompozytor, pedagog, dyrygent – urodził się 25 lipca 1869 r. we wsi Marcelin pod Warszawą, w rodzinie o bogatych tradycjach muzycznych.

Naukę gry na fortepianie rozpoczął pod kierunkiem babki oraz ojca. Publicznie wystąpił po raz pierwszy w wieku 8 lat. W roku 1887 ukończył z odznaczeniem Gimnazjum Klasyczne w Kaliszu, a następnie studiował matematykę

na Uniwersytecie Warszawskim oraz w Instytucie Muzycznym w Warszawie – w klasie fortepianu Rudolfa Strobla i kompozycję u Zygmunta Noskowskiego. W 1891 r., w ramach stypendium zagranicznego, wyjechał do Wiednia i do 1895 r. kontynuował naukę gry na fortepianie pod kierunkiem Teodora Leszetyckiego.

W tym okresie prowadził bardzo ożywioną działalność koncertową, a także kompozytorską.

W roku 1895 zdobył I nagrodę na II Konkursie Kompozytorskim i Pianistycznym im. Antona Rubinsteina w Berlinie za *Koncert fortepianowy e-moll, Trio g – moll* i dwie miniatury oraz III nagrodę w dziedzinie wykonawstwa. W roku 1898 uzyskał znów I nagrodę na Konkursie Kompozytorskim im. Ignacego Jana Paderewskiego w Lipsku, za swój *II Koncert fortepianowy c – moll*. W latach 1903 – 1907 prof. Henryk Melcer wraz z rodziną mieszkał w Wiedniu, gdzie prowadził mistrzowską klasę fortepianu w tamtejszym Konserwatorium. Odnosił także ogromne sukcesy jako pianista – wirtuoz. Koncertował w wielu miastach Europy, zyskując sławę i popularność. Jesienią 1907 r. Melcer powrócił do kraju, osiadł na stałe w stolicy, gdzie sprawował funkcję dyrektora artystycznego Filharmonii Warszawskiej, Opery Warszawskiej i Konserwatorium Warszawskiego. Henryk Melcer – wielki patriota, cieszył się nienaganną opinią; w jego osobie postrzegano znakomitego muzyka, światowej klasy pedagoga i organizatora życia muzycznego. W 1927 r. był jurorem I Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Rok później – 18 kwietnia 1928 r. Henryk Melcer zmarł podczas lekcji w Konserwatorium. Spoczął na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Joanna Ławrynowicz to artystka, która nie stroni od twórczości zapomnianych polskich kompozytorów, czego dowodem jest nagrany z koszalińskimi filharmonikami album. To najnowsze nagranie *Koncertów* Melcera ma wszel-

Joanna Ławrynowicz
Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej, Ruben Silva, Acte Préalable (AP0163a, 76'04")

kie cechy interpretacji wybornej, która ujmuje w każdej nucie, co udało się uzyskać poprzez świetne porozumienie solistki, dyrygenta i orkiestry. W całej interpretacji słychać, że mamy do czynienia ze znakomitą, bardzo polską w klimacie muzyką.

Wykonanie Joanny Ławrynowicz od pierwszych dźwięków ujawnia doskonałe techniczne opanowanie obu koncertów i elegancję stylu. Jej gra jest pewna, zdecydowana, intensywna emocjonalnie, z przepięknym uchwyceniem polskiej duszy i polskiego serca tej muzyki. Fragmenty solo urzekają dynamiką, ładnym dźwiękiem, a dialogowanie i koncertowanie z orkiestrą daje fantastyczny przykład współpracy i artystycznego porozumienia. Orkiestra pod batutą Rubena Silvy mieni się bogactwem odcieni wyrazów: bywa zarówno patetyczna, jak i enigmatyczna, burleskowa, a wszystko w romantycznym charakterze. Znakomity efekt udało się uzyskać dzięki wysokiej klasie muzycznej wszystkich artystów biorących udział w nagraniu: znakomitej solistki, wybitnego dyrygenta i dobrej orkiestry, dla których liczy się przede wszystkim wyśmienita muzyka i nagranie.

Nie sposób w tej krótkiej recenzji płytowej wymienić wszystkie walory tej płyty. Samo obcowanie z tym albumem i wsłuchiwanie się w *Koncerty* Melcera stanowi nie lada przyjemność. Podczas symfonicznego wieczoru w Filharmonii Koszalińskiej oba koncerty zostały przyjęte przez publiczność owacyjnie. Po występie zaś pianistkę odwiedziło bardzo wiele osób, entuzjastycznie wypowiadających się o muzyce Melcera. Nie pozostaje nic innego, jak zarazić się tym zachwytem i włączyć do swych zbiorów fonograficznych tak dobrą muzykę i płytę. Polecam gorąco ten album!

Henryk Melcer, *Koncerty fortepianowe*, Joanna Ławrynowicz, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej, Ruben Silva • Acte Préalable (AP0163a, 76'04")

Koszalin to niezwykłe miejsce…

Rozmowa z pianistką Joanną Ławrynowicz

ks. Arkadiusz Jędrasik: Temat dzisiejszej naszej rozmowy jest znakomity, ukazał się właśnie Twój najnowszy album z koncertami fortepianowymi Henryka Melcera. Skąd masz taką pasję, taką chęć grania i nagrywania repertuaru zupełnie nieznanego… Ba, większość Twoich nagrań to premiery światowe…

Joanna Ławrynowicz: To wspaniałe móc nagrywać utwory, których nie zna się ze słyszenia, bo dzięki temu uczenie się ich to jak czytanie nowej książki o nieznanej treści. Po zapoznaniu się z treścią, mogę ukształtować własny, zupełnie niezależny sposób jej interpretowania. Dla mnie jest to tak fascynujące, jak przemierzanie nowych, nieznanych szlaków!

ks. A.J.: Trzeba przyznać, że dobór repertuaru jest znakomity – jak sądzisz, dlaczego w czasach współczesnych nikt jeszcze w Polsce tych koncertów nie nagrał, nikt też ich nie grywa? Co jest powodem ich absencji w życiu koncertowym?

J.Ł.: No nie, aż tak źle nie jest, było kilku pianistów, którzy koncerty Melcera grywali. Niektórzy je nagrali i te nagrania są w archiwum Polskiego Radia. Jedno polskie wykonanie doczekało się też wydania na płycie, tylko, niestety, niedostępnej w sprzedaży. Oczywiście, że można marudzić, że to za mało, że te Koncerty są zbyt dobre, by ich partytury pokrywały się kurzem, itd. Jest jeszcze druga strona medalu: trudno jest przekonać większość dyrygentów (nie wszystkich, są wyjątki) by podjęli trud przygotowania orkiestry do wykonania nieznanego i w dodatku trudnego dzieła. Z punktu wi-

dzenia solisty nie opłaca się włożyć tyle pracy w utwory, na które, być może, nie uda się namówić więcej, niż jednego dyrygenta… Koło się zamyka. Dla mnie prywatnie kompozycje Melcera w większości są znakomite. Znalazłabym z pewnością wielu muzyków, którzy mają podobny pogląd, być może też wielu, którzy temu zaprzeczą. Każdy z muzyków posiada swój własny kodeks artystyczny. Dla mnie z pewnością jednym z najważniejszych celów mojej pracy jest promocja rodzimej twórczości, znanej i nieznanej, ale zawsze najlepszej, bo naszej…

ks. A.J.: A skąd wziął się pomysł na nagranie koncertów Melcera?

J.Ł.: Dobre pomysły w *Acte Préalable* pochodzą zawsze z jednego źródła. Producent, Jan A. Jarnicki jest niezmordowany w wymyślaniu pasjonujących projektów.

Joanna Ławrynowicz fot. Agnieszka Indyk

ks. A.J.: Jak to się stało, że trafiłaś z tym projektem do Filharmonii Koszalińskiej?

J.Ł.: To był szczęśliwy zbieg okoliczności. Otrzymałam stypendium Narodowego Centrum Kultury na realizację tego projektu. Szukaliśmy (razem z szefem *Acte Préalable*) orkiestry, ale wszystkie oferty przerastały wysokość mojego stypendium. Zadzwoniłam do Rubena Silvy w chwili, gdy straciłam już kompletnie nadzieję, a on… oddzwonił następnego dnia z terminem nagrania! Okazało się, że Filharmonia Koszalińska postanowiła zainwestować w nagranie Koncertów Melcera i dofinansuje projekt! Jestem obu dyrektorom – panu Rubenowi Silvie i Robertowi Wasilewskiemu – ogromnie za to wdzięczna… Bez ich pomocy i wsparcia trudno byłoby zrealizować ten projekt.

ks. A.J.: Nim koncerty zostały nagrane wykonałaś je podczas koncertu filharmonicznego w Koszalinie (16 listopada 2007 – dop. red.). Jak zostało przyjęte Twoje wykonanie, jak publiczność odebrała te nieznane utwory? Taki program jest czymś niezwykłym w skali całego kraju, ale także wymaga wiele wysiłku od pianisty grającego prawie bez przerwy 75 minut muzyki …

J.Ł.: Tuż przed koncertem zaczęłam się zastanawiać nad sprawą najważniejszą – jak publiczność przyjmie tak dużą dawkę muzyki zupełnie jej nieznanej? Podzieliłam się moimi obawami z dyrygentem, a na to Ruben Silva mi odpowiedział: „Spokojnie, kupią to!" I stało się rzeczywiście tak, jak powiedział. Publiczność koszalińska owacyjnie przyjęła oba koncerty, nie obyło się bez bisów, a po występie odwiedziło mnie bardzo wiele osób, entuzjastycznie wypowiadających się o muzyce, którą słyszeli… Trzeba dodać, że niewielki w skali innych miast w Polsce, posiadających filharmonie, Koszalin jest prawdziwym ewenementem. Mieszkańcy, mówiąc kolokwialnie, „walą drzwiami i oknami" na każdy koncert i często wielu chętnych odchodzi z kwitkiem, z braku miejsc… Publiczność Koszalina można więc określić mianem melomanów z prawdziwego zdarzenia, tym bardziej cieszy ich reakcja!

ks. A.J.: Jest to Twoje pierwsze nagranie z dyrygentem, dyrektorem artystycznym Filharmonii Koszalińskiej, Rubenem Silvą. Jak się układała Wasza współpraca przy koncercie i potem przy nagraniu?

J.Ł.: Moje spotkanie z Rubenem Silvą przy okazji nagrań *Koncertów* Melcera, śmiało nazywam prawdziwym zrządzeniem losu. Po raz pierwszy graliśmy razem na koncercie absolwentów Warszawskiej Akademii Muzycznej jakieś 10 lat temu i z tamtego występu, choć miałam wówczas niewielkie doświadczenie w pracy z dyrygentem i orkiestrą, pamiętam wrażenie, jakby studencka orkiestra stała się nagle wytrawnym kameralistą, reagującym na najdrobniejszy niuans w najeżonym rubatami Koncercie Chopina… Grało się z panem Silvą tak naturalnie i twórczo, że do dziś to pamiętam… To nasze spotkanie po latach jeszcze pogłębiło moje pierwsze wrażenie. Podczas prób rozumieliśmy się doskonale, ale dopiero na koncercie pojawiło się coś wręcz magicznego; udało nam się stworzyć interpretację, która wzruszyła nie tylko publiczność, ale również nas samych… Późniejsze nagranie było już tylko naturalną kontynuacją tego fantastycznego porozumienia emocjonalnego, jakie zdarzyło się nam na koncercie.

ks. A.J.: Wprawdzie Ruben Silva od chyba 30 lat mieszka i pracuje w Polsce, ale pochodzi z Boliwii. Jak poradził sobie z muzyką niewątpliwie bardzo polską?

J.Ł.: W przypadku człowieka tak wrażliwego i o tak głębokiej muzykalności, jak Ruben Silva, jego miejsce urodzenia dla wykonawstwa muzyki polskiej nie ma żadnego znaczenia. Wykonawca tak doskonale rozumiejący i, co jeszcze ważniejsze, prawdziwie kochający muzykę, potrafi z łatwością odnaleźć się w każdym jej rodzaju i gatunku, bez względu na szerokość geograficzną.

ks. A.J.: Przygotowując się do wykonania i nagrania Koncertów Melcera słuchałaś innych nagrań. Jak podeszłaś do swojej interpretacji? Jaki znalazłaś do niej klucz?

J.Ł.: Drobny niuans: słuchałam ich, celowo, dopiero w ostatnim momencie, na jakieś dwa dni przed wyjazdem do Koszalina. To zasada, którą często stosuję, a która ma pomóc w tym, by nie ulegać sugestiom. Tak naprawdę interpretacja rodziła się na gorąco, podczas prób w Koszalinie. Ciągłe dyskusje, nie tylko z dyrygentem, ale i z poszczególnymi członkami orkiestry, na próbach, na korytarzach, podczas obiadu… Miałam wrażenie, że wszyscy żyjemy Melcerem. Pamiętam, jak telefonowałam późnym wieczorem do dyrektora Silvy, zupełnie nie zważając na godzinę, żeby przedyskutować tempa w części, od której następnego dnia rano zaczynaliśmy nagranie… Nie byłoby tej interpretacji bez wspólnego zaangażowania, ciągłej „burzy mózgów" i za to jestem orkiestrze i dyrygentowi ogromnie wdzięczna!

ks. A.J.: Słuchając Twojej interpretacji koncertów Melcera od razu uderza znakomite techniczne ujęcie obu dzieł. To po prostu dobre nagranie, po które warto sięgnąć! Chyba trudno jest znaleźć swój klucz do tej muzyki i osiągnąć tak dobre porozumienie w jej przekazaniu z dyrygentem i orkiestrą?

J.Ł.: Bardzo trudno. Orkiestra to kilkadziesiąt osób, z których każda ma jakiś własny pogląd na to, co w danej chwili interpretuje, jak również prawo do ludzkich słabości. Podobnie rzecz ma się z dyrygentem i solistą. Czułam, że polubiliśmy się z orkiestrą i to nam z pewnością pomagało. Oni po prostu naprawdę starali się grać jak najlepiej, co mnie i dyrygenta jeszcze bardziej mobilizowało. Myślę, że kluczem do sugestywnej interpretacji jest przede wszystkim intensywność zaangażowania wszystkich wykonawców.

ks. A.J.: Dziękuję za rozmowę.

Zbigniew Dubiella

Z gitarą w roli głównej

Koncerty gitarowe mają w Koszalinie bogatą tradycję. Przypomnijmy „Spotkania z Muzyką Gitarową", które odbywały się w latach 80. Wystąpili wtedy m.in. Jorge Cardoso i Jorge Morel z Argentyny, Nicola Hall z Anglii, Juan Antonio Muro z Hiszpanii czy Frank Bungarten z Niemiec. Od wielu lat, dzięki współpracy z Filharmonią Koszalińską, koszalińska publiczność raz w sezonie ma możliwość wysłuchania koncertu na gitarę i orkiestrę. W roli solisty wystąpiła już czołówka polskich gitarzystów klasycznych, by wspomnieć takie osobistości jak: Marcin Dylla, Łukasz Kuropaczewski, Tomasz Zawierucha, Waldemar Gromolak, Krzysztof Pełech oraz duet „Duo Sonare" z Niemiec.

Od kilku lat realizowany jest cykl koncertów pod nazwą „Gryfy i Riffy", których organizatorem jest Centrum Kultury 105. To zamierzenie miało na celu pokazywanie instrumentalnej muzyki gitarowej w jej różnych odcieniach, czyli od klasycznej poprzez folkową, flamenco, latynoską do elektrycznej włącznie. Cykl okazał się trafionym pomysłem, co potwierdza frekwencja podczas tychże koncertów, odbywających się bądź to w sali kina „Kryterium", bądź w Domku Kata. Na długo w pamięci pozostaną koncerty duetu „ Los Desperados", Michała Czachowskiego i Jakuba Niedoborka z grupami flamenco, Marcina Dylli czy największego obecnie mistrza w stylu *fingerstyle*, Tommy'ego Emmanuela z Australii.

W roku 2008 odbyły się tylko dwa koncerty w tym cyklu, ale gościliśmy artystów klasy mistrzowskiej w swoich specjalnościach. Z początkiem lata (28 maja) wystąpił ukraiński gitarzysta pochodzenia tatarskiego Enver Izmaiłow. Nie ma on jeszcze tak wielkiej popularności, na jaką zasłużył, ale nawet w naszym kraju grał już z sukcesem na największych festiwalach, by wspomnieć choćby *Jazz Jamboree* w Warszawie. Grał na gitarze (a nawet na dwóch gitarach jednocześnie!), rzadką techniką zwaną tappingiem. Podstawowa różnica polega na tym,

Joscho Stephan fot. strona www. artysty

że w tradycyjnej technice gitarzysta lewą ręką dociska struny, a prawą je zarywa. W grze opartej na tappingu natomiast prawa ręka dociska i jednocześnie zarywa struny, co daje możliwości bliższe fakturze fortepianowej. Enver Izmaiłow, podobnie jak jego najbardziej znany kolega z USA Stanley Jordan, uczynił z tej techniki główny sposób grania. Co najważniejsze robi to w mistrzowski sposób, pomimo komplikacji z częstym stosowaniem bałkańskich podziałów metrorytmicznych. Na scenie kina „Kryterium" Izmaiłow grał z nieprawdopodobnym polotem, poruszając się z podziwu godną swobodą w warstwie rytmicznej i melodycznej. Jego inwencja improwizatorska stawia go w rzędzie najciekawszych gitarzystów świata. Grał standardy jazzowe i popularne, swoje kompozycje oraz opracowania ludowych tematów. Koncert przeplatał elementami humorystycznymi, naśladując na gitarze odgłosy cywilizacji i przyrody. Śpiewał też scatem, często unisono improwizując. Jego wykonania standardów z repertuaru legendarnego Cheta Atkinsa brzmiały równie atrakcyjnie, przy czym słyszeliśmy wykonywane na jednej gitarze równocześnie trzy partie: solową, akompaniującą i basową. Takie właśnie możliwości stwarza technika tappingowa w mistrzowskim wykonaniu.

5 października odbył się drugi koncert z omawianego cyklu. Tym razem wystąpił mistrz stylu *gypsy swing* Joscho Stephan. Ten gitarzysta o proweniencji cygańskiej mieszka w Niemczech w Zagłębiu Ruhry. Kształcił się najpierw w grze na gitarze klasycznej, a później zafascynował się sztuką słynnego Django Reinharda.

W Koszalinie artysta wystąpił z zespołem w składzie przypominającym słynny *Quintette-Hot Club du France*, gdzie grał sam Django ze Stephenem Grapelli. Na gitarze rytmicznej grał Günter Stephan – ojciec Joscho, na basie Max Schaff, a na skrzypcach rewelacyjny Sebastian Reimann. Na repertuar złożyły się typowe standardy dla stylu swing („Autumn leaves", „Smoke gets in your eyes", „Sweet Georgia Brown"), a także brzmiące stylowo kompozycje lidera. Joscho grał na gitarze elektro-akustycznej używając plektronu. Jego popisowe pasaże zachwycały szybkością i sprawnością wykonania. Barwnością pomysłów skrzyły się jego dialogi ze skrzypkiem, poparte dużą dawką humoru tak muzycznego jak i słownego. Co najbardziej zapamiętałem z tego wyjątkowego koncertu, to fenomenalne połączenie dynamiki z frazowaniem. Zespół po mistrzowsku operował nastrojami od pianissima do pełnego forte , delektując się dźwiękami podanymi raz w artykulacji legato raz staccato. Imponowała wibracja umiejętnie połączona z podciąganiem. Tu widać było pozytywne skutki klasycznej edukacji. Usłyszeliśmy zresztą także pastiszową wersję słynnego ronda „Marsz turecki" Wolfganga Amadeusza Mozarta z Sonaty A-Dur.

Po koncercie w kuluarach Centrum Kutury 105 można było usłyszeć głosy pełne uznania dla niemieckich muzyków. Szkoda tylko, że afisz, którym organizatorzy reklamowali występ zespołu, niewiele mówił o klasie mistrza. Tymczasem pojawienie się słowa „rewelacyjny" nie byłoby tu przesadą. Joscho Stephan wystąpił później m.in. na festiwalu „Śląska Jesień Gitarowa" w Tychach i spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. W Koszalinie sala była „prawie" zapełniona, ale niech żałują ci, którzy nie przyszli.

Myślę, że melomani spragnieni nietuzinkowej muzyki, czekać będą na następne koncerty z cyklu, który wymyślił wyżej podpisany, a nazwę mu nadał sam szef CK105 Jacek Paprocki.

Beata Górecka-Młyńczak

Jazzowe apetyty rosną

Jednym z pierwszych mocnych akcentów zapowiadających kolejny udany rok jazzu nad Dzierżecinką był wprost fenomenalny koncert Tria Marcina Wasilewskiego, które (23 lutego 2008 r.) wykonało program z płyty „January", nagranej dla wytwórni ECM Manfreda Eichera. (Recenzję tej płyty zamieszczamy w rozdzial „Nasi w świecie" – dop. red.)

Trio Marcina Wasilewskiego wystąpiło w Koszalinie w ramach długoletniego cyklu „Big Star Jazz", którego wszystkie ubiegłoroczne koncerty warto odnotować, bo na wszystkich jazzowych scenach: w sali kina „Kryterium", w klubie „Rezerwat" i Domku Kata, wystąpili prawdziwi mistrzowie.

Marek Napiórkowski to gitarzysta „totalny", potrafiący zagrać chyba wszystko. Na co dzień gra w zespole Anny Marii Jopek i w dużej mierze jest współtwórcą sukcesu wokalistki. 25 stycznia gitarzysta z własnym zespołem zaprezentował materiał z drugiego solowego projektu pod tytułem „Wolno".

Krzysztof Popek to jeden z najlepszych polskich flecistów jazzowych, który od lat wygrywa w rankingach „Jazz Forum". W Koszalinie wystąpił on 24 kwietnia, ze złożoną z amerykańskich muzyków grupą „International Quintet", prezentując bardzo żywiołowe i dynamiczne kompozycje. 7 maja gościliśmy Adama Wendta z zespołem „Power Set". Adam Wendt to jeden z czołowych polskich saksofonistów, stały gość (w roli instruktora) Hanza Jazz Festiwalu. W międzynarodowym składzie – z perkusistą Samuelem Torresem (na stałe współpracującym z Richardem Bona) i trębaczem Christophem Tiztem – zaprezentował nurt jazzu elektrycznego.

Po wakacyjnej przerwie (14 października) wystąpiła Dorota Miśkiewicz z zespołem; wokalistka promowała swój nowy album zatytułowany „Caminho", a na estradzie znów pojawił się Marek Napiórkowski – gitara, oraz: Robert Kubiszyn – kontrabas, gitara basowa, Robert Luty – perkusja, Tomasz Kałwak – instrumenty klawiszowe, oraz gość specjalny z Brazylii, grający na instrumentach perkusyjnych Luiz Carlos Xawier Coelo Pinto „Guello".

Niewielka liczba koncertów w cyklu „Big Star Jazz" nie oznacza mniejszej obecności tego gatunku muzycznego na estradach w naszym mieście. Centrum Kultury 105 organizuje inne imprezy, w które jazz świetnie się wpisuje. Ta właśnie muzyka wyznaczyła bardzo ważny nurt towarzyszący 27. Festiwalowi Debiutów Filmowych „Młodzi i Film". W klubie festiwalowym „Rezerwat" jako pierwszy wystąpił zespół Eryka Kulma. Gościliśmy także artystę tej miary co Włodek Pawlik, który z duńskim kwintetem jazzowym „Kattorna" wykonał m.in. kilka filmowych kompozycji Krzysztofa Komedy. W ramach specjalnego projektu pn. „Wilkanoc" na klubowej scenie wystąpił zespół „Pink Freud", ceniona trójmiejska grupa jazzowo-awangardowa. Muzyka wykonywana na żywo była tłem dla animacji znanego i cenionego na całym świecie reżysera Mariusza Wilczyńskiego.

No, i w końcu przyszedł czas na IV Hanza Jazz Festiwal, który trwał od 22 do 25 października. Przypomnijmy, że jest to wydarzenie artystyczne adresowane przede wszystkim do młodych muzyków i fanów muzyki jazzowej w Polsce i Niemczech. Czterodniowe warsztaty stwarzają możliwość poznania dorobku kulturalnego partnerów, oraz wspólnych ćwiczeń pod okiem doświadczonych jazzmanów. Jak zawsze oficjal-

ne otwarcie festiwalu nastąpiło w sali kina „Kryterium", gdzie wystąpiła kadra profesorska, która podczas koncertu potwierdziła swoją wirtuozowską klasę, a która i tym razem nie szczędziła czasu swoim podopiecznym instrumentalistom i wokalistom, studentom i uczniom szkół muzycznych z Polski i Niemiec. W tym roku w warsztatach uczestniczyło 20 studentów z Niemiec i 30 młodych jazzmanów z Polski. Z instrumentalistami pracowali: trębacz Adam Wendt, gitarzyści Maciej Garbowski i Krzysztof PUMA Piasecki, perkusista Janusz Maria Stefański oraz grający na instrumentach klawiszowych Bogdan Hołownia. Warsztat wokalny poprowadziły Krystyna Prońko i Anna Serafińska przy współpracy akompaniatorów Przemysława Raminiaka i Rafała Stępnia.

Ozdobą koncertu inauguracyjnego był duet Anna Serafińska i Rafał Stępień oraz Krzysztof PUMA Piasecki Trio. Anna Serafińska to wnuczka słynnej Carmen Moreno, ale przede wszystkim jedna z najlepszych polskich wokalistek jazzowych, laureatka nagrody głównej na festiwalu w Montreux. W swym dorobku obok płyt ma doktorat obroniony na macierzystej uczelni Akademii Muzycznej w Katowicach, gdzie w Instytucie Jazzu prowadzi własną klasę wokalną. Anna Serafińska z akompaniamentem Rafała Stępnia - pianisty grającego min. w zespole Maryli Rodowicz - zaprezentowała standardy oraz piosenki Jonasza Kofty, które artystka przypomina w 20. rocznicę śmierci poety. Po tym kameralnym i akustycznym recitalu na estradzie pojawiło się trio Krzysztofa PUMY Piaseckiego ze Stanem Michalakiem na basie i Zbigniewem Lewandowskim „Levandkiem" na perkusji. W kuluarach słyszałam opinię, że koncert z Levandkiem nie może się nie udać - i to prawda; znakomicie zabrzmiał nawet najpopularniejszy przebój grupy Led Zeppelin „Stairways To Heaven".

Hanza Jazz Festiwal cieszy się już dużym uznaniem, jako jedna z najważniejszych imprez tego typu w Polsce. Nic więc dziwnego, że patronat medialny nad nim objął magazyn „Jazz Forum", którego redaktor naczelny Paweł Brodowski już po raz kolejny poprowadził koncert inauguracyjny.

Po koncercie zarówno publiczność jak i uczestniczący w festiwalu artyści przenieśli się do klubu festiwalowego „Rezerwat". Stworzenie jazzowej scenki w Centrum Kultury 105, gdzie odbywały się wszystkie zajęcia warsztatowe „Hanzy", było znakomitym pomysłem. To właśnie w „Rezerwacie" już wczesnym wieczorem można było obejrzeć świetne koncerty jazzowe zrealizowane przez TVP i w miłej atmosferze poczekać na koncert gwiazd. To tam można było spotkać wykładowców i uciąć sobie jazzowe pogawędki. To właśnie w „Rezerwacie" późną już nocą na scenę wkraczali młodzi muzycy, nie tracący ani chwili, by pokazać jakie postępy zrobili w ciągu roku; wielu z nich przyjechało do Koszalina po raz drugi, a nawet trzeci.

„Hanza Jazz Festiwal"
w Centrali Artystycznej. fot. Mariusz Wacławiak

Klub festiwalowy to jedna z nowinek czwartej „Hanzy". Kolejną były wieczorne koncerty mistrzów. Drugiego dnia festiwalu (22 października) wystąpił solo Bernard Maseli, znakomity polski wibrafonista, który wykonał świetny recital złożony z kompozycji Milesa Davisa i „The Beatles". Następnego dnia zagrał Mack Goldsbury & Polish Connection – amerykański saksofonista z polską sekcją rytmiczną, który gra bardzo przystępny jazz dla koneserów i amatorów, a ponieważ jest bardzo bezpośredni – jego koncert cieszył się wielkim powodzeniem.

Kolejne dni festiwalu to warsztaty i ćwiczenia młodych adeptów jazzu, a wieczorami koncerty wybranych zespołów, tworzących się „tu i teraz", w klubach i pubach naszego miasta: „Akwarium", „Na Pięterku", „Centrali Artystycznej" i „BeWuA". Wstęp na wszystkie koncerty był wolny.

Na zakończenie festiwalu, na koncercie galowym zaprezentowali się najlepsi uczestnicy warsztatów. Zagrali także sami profesorowie; tym razem z mini recitalem wystąpiła Krystyna Prońko, która zaśpiewała m.in. piękne „Ja nie chcę spać …" z muzyką Krzysztofa Komedy. „Sambę Pa Ti" Carlosa Santany zagrał Krzysztof PUMA Piasecki. We własnej bardzo romantycznej kompozycji „Musical Brothers" usłyszeliśmy Adama Wendta. Co najważniejsze koncert finałowy pokazał, że poziom wykonawczy młodych jazzmanów z roku na rok jest coraz wyższy, zatem warsztaty spełniają swoją rolę.

Pieczę artystyczną nad całością sprawował Bogdan Bogiel – dyrektor artystyczny Hanza Jazz Festiwalu, redaktor muzyczny szczecińskiego oddziału Telewizji Polskiej. Imprezę ponownie zorganizowało Centrum Kultury 105 przy współudziale koszalińskiego Urzędu Miejskiego i z dofinansowaniem przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży.

Z niecierpliwością czekamy na V jubileuszową edycję tej imprezy. Poprzeczka postawiona została wysoko, więc i oczekiwania są duże.

„Hanza Jazz Festiwal" w Centrum Kultury 105. fot. Mariusz Wacławiak

Beata Górecka-Młyńczak

Koncerty na wiele serc i akordeonów

Od 2001 roku, zawsze we wrześniu, do Koszalina przyjeżdżają rzesze akordeonistów z kraju i zagranicy. W tym roku czterodniowa impreza odbyła się już po raz ósmy. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej powstał z inicjatywy Artura Zajkowskiego, który w październiku 1996 roku, w ówczesnym Miejskim Ośrodku Kultury – obecnym Centrum Kultury 105 – stworzył z powodzeniem działający do dziś zespół akordeonowy „Akord".

Głównym celem imprezy jest prezentacja akordeonu jako instrumentu zespołowego, popularyzacja muzykowania w zespołach, umożliwienie zaprezentowania dorobku formacji akordeonowych, integracja środowiska akordeonowego, a także wymiana pomysłów, repertuaru i doświadczeń płynących z tego typu działalności. W festiwalu biorą udział wszystkie chętne zespoły akordeonowe, zarówno te działające w szkołach, domach kultury i innych placówkach kulturalnych, jak i amatorskie oraz niezależne.

VIII Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej odbył się w dniach 25-28 września, z udziałem jedenastu zespołów amatorskich, jednego zespołu zawodowego i dwojga solistów – zawodowych akordeonistów. Na scenie kina „Kryterium" zaprezentowały się grupy z Nowej Soli, Zielonej Góry, Gryfic, Nakła i, rzecz jasna, Koszalina oraz akordeoniści z Niemiec, Estonii i Litwy.

Wieczorne koncerty mistrzowskie w roku 2008 odbywały się w Katedrze NMP w Koszalinie, tradycyjnie koncert galowy kończący imprezę odbył się w niedzielę 28 września, w samo południe, w sali kina „Kryterium". Przesłuchania zespołów akordeonowych odbywały się w Domku Kata, tam także można było obejrzeć wystawę akordeonów firmy D & D Fantini Accordions di Fantini Leandro – głównego sponsora festiwalu i koszalińskiego zespołu, którego pełna nazwa obecnie brzmi „Fantini Akord Kwintet".

Podczas zorganizowanego 25 września, tym razem w koszalińskiej katedrze, koncertu inauguracyjnego wystąpili gospodarze festiwalu pod wodzą Artura Zajkowskiego, czyli Koszalińska Orkiestra Akordeonowa „Akord" i „Fantini Akord Kwintet". Licznie zgromadzona publiczność podziwiała także grę ukraińskiego solisty Enviera Seit-Abdulova. W programie koncertu znalazły się utwory oryginalnie napisane na akordeon, a także transkrypcje m.in. kompozycji Jana Sebastiana Bacha, Wolfganga Amadeusza Mozarta, Johannesa Brahmsa, Modesta Musorgskiego.

Nazajutrz, 26 września, koncert wieczorny uświetnili zawodowi akordeoniści: duet akordeonowy „Harmonium Duo" z Warszawy, który tworzą Hubert Giziewski i Paweł Sulej oraz Yury Shishkin z Rosji. Artyści przedstawili program „Akordeonowe fascynacje", na które składają się utwory będące przeglądem stylów muzycznych zawartych w twórczości najwybitniejszych kompozytorów ubiegłego stulecia. O tym, jaki wpływ artyści tworzący „Harmonium Duo" wywarli na sposób postrzegania akordeonu jako instrumentu koncertowego, świadczy pełna superlatyw recenzja ich debiutu w nowojorskiej Carnegie Hall w kwietniu 2006: *Nie potrafię wystarczająco oddać słowami ich niebywałego poziomu muzykalności i wręcz nadludzkiej integra-*

cji brzmienia, artystycznego zespolenia, więc pozostawiam temat, mając nadzieję usłyszeć ich znowu już wkrótce. Yuri Shishkin natomiast jest rewelacyjnym bajanistą, wirtuozem wykonującym muzykę klasyczną na tym instrumencie. Niezwykle aktywny, daje rocznie ponad sto koncertów na wszystkich kontynentach świata. Jego koncert w Koszalinie był niezwykłym przeżyciem dla wielu słuchaczy. Absolutny profesjonalizm i szczerość przekazu stworzyły kreację artystyczną, do której, jak sądzę, wielu melomanów będzie powracać pamięcią.

W czasie ostatniego festiwalu podziwialiśmy także orkiestry akordeonowe z Estonii i z Litwy. Zwłaszcza ta druga – orkiestra szkolna, dziecięca – dała znakomity popis swoich możliwości trzy razy bisując dla gorąco oklaskującej ją publiczności.

Fantini Akord Kwintet. fot. archiwum Artura Zajkowskiego

Festiwal nie ma charakteru konkursu, mimo to pracuje przy nim jury złożone z profesorów muzycznych ośrodków akademickich i instruktorów grup akordeonowych. W roku 2008 organizatorzy zaprosili do tego gremium prof. Elżbietę Rosińską z Akademii Muzycznej w Gdańsku, Jerzego Siemiaka z Akademii Muzycznej w Szczecinie, Zbigniewa Ignaczewskiego z Akademii Muzycznej w Łodzi i Jerzego Patera z Akademii Muzycznej w Krakowie. Oceny profesjonalistów nie służą rozdawaniu nagród, mają jednak trudny do przecenienia walor edukacyjny. Pod kierunkiem zaproszonych pedagogów odbywają się też warsztaty instrumentalne, które stanowią istotny nurt festiwalu.

VIII Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej pokazał jak ważne dla młodych akordeonistów są instrumenty, jak bardzo zmieniło się brzmienie koszalińskich zespołów, odkąd grają na bardzo dobrych akordeonach, i że to procentuje; w dorobku podopiecznych Artura Zajkowskiego jest wiele prestiżowych nagród. Na początku maja 2008 roku nasi akordeoniści zdobyli I nagrodę na III Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym „EUROORCHESTRA" w Moskwie, zostali także laureatami Bydgoskich Impresji Muzycznych. Także rok 2009 zapowiada się znakomicie, zespół Artura Zajkowskiego otrzymał bowiem zaproszenia na występy do Estonii i do Chin, szykują się koncerty z rewelacyjnym zespołem wirtuozów „Motion Trio", a muzykę do tego projektu pisze Krzesimir Dębski. Gratulujemy!

TEATR

Jadwiga Koprowska

Powinno boleć!

Prowincja – jakże boimy się tego słowa w Koszalinie.

Dla nas ma ono wyłącznie znaczenie pejoratywne, zwłaszcza po utracie statusu miasta wojewódzkiego. Tylko czasami ktoś przypomni, że prowincja tkwi w głowie, a jej znaczenie kulturowe zupełnie nie pokrywa się z geograficznym… Cóż z tego! Mamy kompleksy i nic tu nie pomoże kolejne centrum handlowe czy kolejna nagroda w jakimś tam rankingu miast.

A kompleksy, lęki i fobie to świetna pożywka dla sztuki. Artyści chętnie budują na nich swe dzieła, mierzą wrażliwość odbiorcy, posługują się nimi dokonując wiwisekcji zjawisk. I tak się stało w przypadku spektaklu „Wodzirej"; nasze kompleksy i prowincjonalny sposób myślenia stały się kanwą przedstawienia powstałego na motywach scenariusza słynnego filmu Feliksa Falka.

Oto młody prezenter - Tomasz Danielak, wodzirej mniejszych i większych imprez gminno-powiatowych, pracownik agencji rozrywkowej, dowiaduje się, że w Koszalinie odbędzie się wielki bal transmitowany przez TVN, na który zjedzie się cała śmietanka towarzyska kraju. Danielak szybko wietrzy dla siebie szansę zabłyśnięcia i zaistnienia w branży; innymi słowy dla niego pojawia się szansa na ogólnopolską karierę.

Co robi? Układa plan wywalczenia sobie prawa do poprowadzenia imprezy. A walczy bezpardonowo! Świat show-biznesu nie pozostawia mu wyboru, bo nie ma możliwości uczciwego ścigania się z konkurentami, zresztą kolegami z własnej firmy; jeśli chce poprowadzić wymarzoną galę, musi ich zniszczyć lub zdyskredytować.

Czy naprawdę musi? I to jest pierwsze pytanie, jakie stawia sobie widz koszalińskiego spektaklu. Ale zaraz pojawia się drugie: czy sposób, w jaki to robi, jest specyficzny dla naszego miasta? Oba pytania powracają natrętnie w czasie całego, mocno zanurzonego w lokalnym sosie spektaklu, skłaniając do zastanowienia się: czy w innych miejscach ludzie równie bezkompromisowo rozpychają się łokciami w myśl zasady „…liczy się asertywność i parcie"? Czy gdzieindziej lizusostwo i sprzedawanie przyjaciół są także normą, gdy chce się zrobić karierę? A może to jest tylko tak, że w małym środowisku niedużego miasta lepiej widać coś, co jest typowe dla wszelkiej maści karierowiczów w Polsce początku XXI w.? Bo czyż można powiedzieć, że ambicja wybicia się to prowincjonalna cecha? Czy konieczność ukrywania odmiennej orientacji seksualnej to specyfika takich miast jak Koszalin? A może szukanie szczęścia i „życia naprawdę" poza miejscem, gdzie się mieszka, jest charakterystyczne tylko dla stutysięcznych miast?

Tylko z pozoru odpowiedź „nie" wydaje się oczywista. Dojrzały i bywały w świecie widz koszalińskiego spektaklu wie, że po każdym „nie" pojawia się „ale"… i rozwija się samoistnie w teorię, że owszem, ambicja nie jest cechą prowincjuszy, ale tu potrafi przybierać karykaturalne kształty, stając się formą wynaturzenia. Odmienną zaś orientację trudniej ukryć w małym mieście, dużo trudniej też uzyskać jej akceptację otoczenia itd. Przez cały czas oglądania koszalińskiego „Wodzireja" gdzieś z tyłu głowy kołaczą nam takie refleksje i porównania. A reżyser nie pozwala nam zapomnieć, że jesteśmy z Koszalina.

Ciągłe odwoływanie się, w niemal każdej scenie, do lokalnego kolorytu, nazewnictwa, bieżących problemów Koszalina, czyli wyraźnie czytelnych koszalińskich tropów, musi widza ba-

wić i zarazem denerwować, a już na pewno nie pozostawia obojętnym. To nie jest spektakl łatwy i przyjemny, choć czasami próbuje łechtać nasz lokalny patriotyzm odwołując się do koszalińskich sentymentów. Najczęściej jednak wzdrygamy się, MY „publiczność – gnom", bawiona przez Tomka Danielaka z różnych estrad, estradek i podestów. To NAS rozśmiesza na pokazach, rautach i sylwestrach we „Fregacie" i to NAM śpiewają gwiazdy powiatu!

Czy boli, kiedy sami siebie oglądamy w opowieści płynącej ze sceny? Boli. Przynajmniej powinno boleć! I tu kolejny raz pojawia się pytanie: czy tylko w Koszalinie? Teoretycznie nie, choć kolejne, całkiem rzeczywiste gale, wernisaże i przebieg niektórych karier w mieście nad Dzierżęcinką uświadamiają, jak życie czasami w zbyt oczywisty sposób pokrywa się ze sztuką. Jako żywo da się przenieść do rzeczywistości scena, w której Wołyniec próbuje odczytać sens dzieła wiszącego na ścianie jego gabinetu. Ta bezradność działacza kultury, który nie potrafi ocenić wartości artystycznej obrazu, ta jego nieporadność w szukaniu kryteriów i mieszanie ich z gustem. Czyż do złudzenia nie przypomina niedawnych korowodów z akcją „Kocham Koszalin" i pewnym zdjęciem? Albo scena, kiedy Danielak prosi o posłuchanie Wołyńca i wmawia mu, że jest najlepszym kandydatem na wodzireja w rzeczonym balu.

Bałtycki Teatr Dramatyczny, Artur Pałyga (wg scenariusza Feliksa Falka) „Wodzirej. Koszalin Kulturkampf", reżyseria i opracowanie muzyczne Piotr Ratajczak, scenografia i kostiumy Matylda Kotlińska, efekty wizualne i reżyseria światła Janusz Turkowski, choreografia Arkadiusz Buszko, utwór „Romek song"- muzyka i tekst Krzysztof Czeczot. Obsada: Ula Miziała, Krystyna Myśliwiec-Zajączkowska, Sekretarka - Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska; Romek Zaradny - Artur Paczesny; Janusz Kobus, Ryszard Wołyniec, Jarosław Zielony - Jacek Zdrojewski, Tomasz Danielak - Robert Zawadzki (gościnnie); Czesław Lasota, Krystian Mejer - Wojciech Rogowski (gościnnie)

Premiera 28 marca 2008
fot. Jakub Ruszkowski

Czyż nie tak odbywają się targi i załatwianie sobie stanowisk przez różne miernoty także w naszym mieście? Nie są ważne kompetencje i umiejętności, ważna jest przebojowość, absolutna pewność siebie i dobre przygotowanie gruntu pod propozycję… No, i coś za coś. Czy to charakterystyczne tylko dla Koszalina? Nie, tylko tu lepiej widać.

I jeszcze jeden przykład: edukowanie Uli

…Cyc to ty masz , Ula.
No, pokaż - o tak…bo na co oni chcą
Patrzeć, ci wszyscy prezydenci,
Wiceprezydenci, prezesi, cały ten
Koszaliński biznes, ten szef rozgłośni…
To jest właśnie ten Koszalin Kulturkampf.

Ta dosłowność jest siłą, ale i słabością przedstawienia. Siłą – bo większość koszalińskich widzów nie pozostaje obojętna na oczywiste analogie i jeszcze po wyjściu z teatru komentuje poszczególne wątki, sceny i postaci. Słabością – bo ginie w tej dosłowności artystyczne uogólnienie. Nieszczególnie mnie to jednak martwi. Teatralny widz poruszony tym, co zobaczył, wydaje mi się najważniejszym i najcenniejszym osiągnięciem „Wodzireja" - spektaklu o dzisiejszej polskiej prowincjonalności w najgorszym tego słowa znaczeniu. Prowincjonalne rekwizyty i kostiumy, w tle przebrzmiałe przeboje schlebiające prowincjonalnym gustom i słowa piosenki Romka Zaradnego:

Boże spraw, żeby tu nie było tak smutno…

Świat przedstawiony w spektaklu wyreżyserowanym przez Piotra Ratajczaka jest momentami naturalistycznie koszaliński, ale poprzez monologi bohaterów (np. świetny monolog Czesława – Wojciecha Rogowskiego) czy poprzez paralele do wielkiej literatury polskiej (np. chocholi taniec w finale), staje się przedstawieniem przemyślanym i miejscami metaforycznym. Pomieszanie konwencji: z jednej strony łączenie scen metodą wideoklipu, z drugiej stylistyka talk-show z udziałem publiczności, nadaje całości tempa. Zastosowanie scen filmowych jako integralnej części spektaklu, a zaraz potem jako tła (mix archiwalny z czołówką polskich prezenterów: Tomasz Kammel, Grażyna Torbicka, Katarzyna Cichopek) urozmaica go i uatrakcyjnia. Do tego znakomicie dobrana muzyka ilustrująca lub uzupełniająca sceny, a na koniec niepokojąco-drażniąca, jak na gorzki finał przystało.

Wielką zaletą przedstawienia jest gra aktorów. Wspomniany już Wojciech Rogowski i znakomita w trzech różnych rolach jednocześnie Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska: naiwna i przebojowa na swój sposób Ula, wyważona i cyniczna Krystyna, głupia do bólu Sekretarka; zwłaszcza Ula i Krystyna to dwie różne kobiety pokazane z całym bagażem ich pragnień i niedostatków.

Trochę mniej przekonujący jest duet męski: Jacek Zdrojewski w rolach Kobusa, Wołyńca i Zielonego oraz Artur Paczesny jako Romek Zaradny. I jeszcze słów parę o odtwórcy głównej roli Tomasza Danielaka – Robercie Zawadzkim. Widz pamiętający film Feliksa Falka mimowolnie będzie porównywał go z Jerzym Stuhrem. Niestety, młody aktor nie wychodzi z tej konfrontacji obronną ręką. Zwłaszcza drażnią wszelkie przerysowania w grze aktorskiej, brak finezji w scenach, w których Danielak udaje zażenowanie czy kryguje się. A może dzisiejszy wodzirej jest już tak rozhukanym, niczego nie maskującym cwaniakiem i próżno by szukać w nim finezji nawet w kłamstwie i obłudzie?

Przedstawienie plastycznie znakomicie skomponowane przez scenografkę i autorkę kostiumów Matyldę Kotlińską, kończy częstochowski rym:

Gdy płyną dźwięki tej piosenki,
każdy się robi w sercu miękki, la, la, la.

Mnie też się robi miękko, ale nie z powodu sentymentu do miejsca, w którym mieszkam prawie 30 lat, lecz ze strachu, że degrengolada układów i ludzi w tym mieście, tak tęskniącym za statusem stolicy województwa, odbierze mu cały urok i szansę na bycie piękną PROWINCJĄ w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Małgorzata Kołowska

BTD po liftingu

Teatr wypiękniał, Fredro – niekoniecznie!

Wydarzeniem 2008 roku w zbliżającej się ku swemu półwieczu historii Bałtyckiego Teatru Dramatycznego bez wątpienia było zakończenie trwającego od wiosny 2007 roku generalnego remontu siedziby BTD przy ulicy Heleny Modrzejewskiej. Na sezon 2008/2009 pracownicy koszalińskiego teatru wraz ze swą publicznością wrócili z „wygnania" do przysposobionego do potrzeb teatru dawnego kina „Muza" przy ulicy Morskiej. Było to jednak, mimo wielu wcześniejszych obaw, wygnanie ze wszech miar udane; stworzona przy ulicy Morskiej scena okazała się na tyle przychylna Melpomenie, że zrodziła się nawet tęsknota za utrzymaniem tam właśnie kameralnej sceny BTD. Jak często bywa, tak i tym razem na przekór marzeniom stanęły kwestie finansowe. Pocieszające jest to, że wiele wskazuje na pozostanie jednak obiektu w gestii kultury.

Tymczasem 20 września 2008 r. premierą „Dam i huzarów" Aleksandra Fredry zainaugurowana została działalność koszalińskiej sceny w jej stałej siedzibie. Przygotowaną przez Piotra Ziniewicza premierę poprzedziły Dni Otwarte BTD, kiedy to widzowie mogli zobaczyć swój TEATR po „liftingu", zaglądając w różne jego, niedostępne na co dzień zakamarki. Nie tylko odnowione pomieszczenia musiały ucieszyć teatromanów; nowe fotele na widowni zapewniają obecnie nieporównywalnie większy niż dotąd komfort oglądania spektakli, a nowa instalacja elektryczna pozwala pełniej zaistnieć scenicznej iluzji i wyczarowywać światłem całkiem nowe światy i przestrzenie. Największy w historii BTD remont siedziby przeprowadzony został kosztem ponad 8 mln zł, z czego ok. 6 mln zł pochodziło ze środków Unii Europejskiej, a ok. 2 mln z budżetu samorządu koszalińskiego, który w dalszym ciągu pomaga teatr doposażyć i uczynić bardziej dostępnym także dla widzów niepełnosprawnych.

W premierowym przedstawieniu „Dam i huzarów" wystąpił popularny aktor Stanisław Górka, później zastąpiony w roli Majora przez Zdzi-

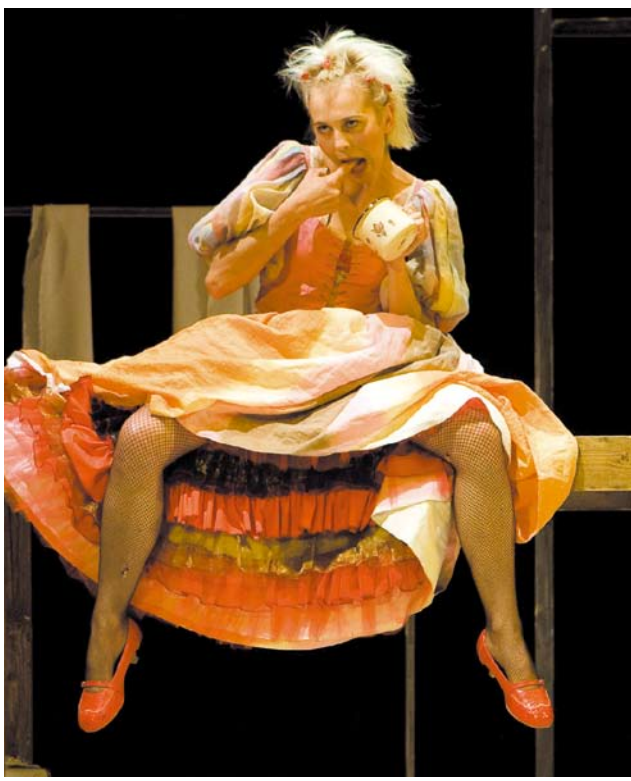

Beata Niedziela jako Fruzia. fot. Jakub Ruszkowski

sława Derebeckiego – bez straty dla atrakcyjności całości przedstawienia. A atrakcyjność twórcy chyba postawili sobie za cel pierwszy, dając się uwieść przeświadczeniu, że publiczność będzie tym bardziej usatysfakcjonowana, im wyraźniej i częściej będzie się do niej puszczać perskie oko i dawać powód do rubasznego „uchachania". Starego Fredrę, którego znamy i kochamy za jego skłonność do pewnej frywolności, uroczej, bo „z myszką", postanowiono też – jak i gmach teatru – poddać „liftingowi". Dodano więc inscenizacji rzeczywiście na wskroś współczesną dosadność i dosłowność w kwestiach damsko-męskich. Tak dalece, że tytuł „Damy i huzary" raczej brzmieć by mógł „Damy huzarom".

O tym, że nie jest to kwestia kobiecego lub męskiego spojrzenia na spektakl świadczy recenzja Artura Daniela Liskowackiego na łamach „Kuriera Szczecińskiego": *Nie trzeba dziś wielkiej przenikliwości, ani inscenizacyjnej odwagi, by poczciwego – jak to się kiedyś mówiło – Fredrę czytać przez jego rubaszne, ba, grubo obsceniczne wiersze, które od lat krążą „pod stołem" wśród zwolenników świntuszenia. Mniejsza, czy strofy te faktycznie spod pióra hrabiego F. wyszły, czy stanowią tylko znak zgody na jeden z jego wizerunków, dość że zderzają się twardo z innym wizerunkiem – lekturowego komediopisarza dla dziatwy szkolnej.*

A gdzie jest ten właściwy Fredro, arcymistrz polszczyzny i bystry obserwator, autor uniwersalny i wciąż współczesny? Na pewno ani po jednej, ani po drugiej stronie tak ustawionej sceny. Raczej między jej skrajnościami.

Piotr Ziniewicz zdawał się to rozumieć – proponując Fredrę na ostro, choć z dodatkiem tradycyjnych smaków – ale wziął się za to z nadmiernym rozmachem, a niedostatkiem refleksji. Efekt? Spektakl ledwie naszkicowany, za to grubą kreską. I choć śmiechu w nim sporo, to hałaśliwego, ciężkiego, a mało finezji i dowcipu. (…) Tak że zamierzona przypowieść o tym, że walka płci to pozór, bo wszystko i tak pogodzi chuć, pomimo licznych scen, które być miały nasycone seksem, wypada równie nieprzekonująco jak cała ta niekonsekwentna rozbieranka.

Przedstawieniu brak też, niestety, pieprzyka, co raczej z niedopowiedzeń się rodzi, niż z dosłowności. Owszem, postaci służących, kuszących i wyzywających niczym panienki z Playboya – Fruzi, Józi i Zuzi (Beata Niedziela, Anna Przedpełska, Aleksandra Padzikowska) – bawią i budzą miły dreszczyk, ale w większości relacji między damami i huzarami nie ma smaku słodkiej, więc zabawnej pikanterii. Nawet najśmielsza i dynamiczna scena między Rotmistrzem (Wiesław Zanowicz) i Anielą (Katarzyna Ulicka-Pyda) wypada tak sobie. Dosłowność przytłacza tu farsę, tak jak Rotmistrz (grany ponuro, momentami aż brutalny w wyrazie, a nie wiem – czy to zamiar celowy, czy po prostu brak vis comica) rozochoconą Anielę. O ile zresztą aktorzy są przez Ziniewicza prowadzeni dobrze jako zespół – sceny zbiorowe są może przesadnie rozbiegane, lecz układają się zgrabnie – to postaci huzarów i dam nie dźwigają komizmu ani niuansów tekstu Fredry.

(…) Owszem, „Damy i huzary" w Bałtyckim toczą się po scenie w dużym tempie, aktorzy często mrugają do publiczności, a ta bywa zadowolona, rozpoznając w perypetiach damsko-męskiej obłapki żart uniwersalny, ale nawet zabawne chwile nie rekompensują rozczarowania. Bo tak ukazanym damom brak na ogół wdzięku, a huzarom – rasy i stylu. Tak że słynne „nie uchodzi!" - wygłaszane przez Leszka Żentarę w roli Kapelana – skądinąd śmieszne i sympatyczne, staje się tu swoistym mottem dla całości.

Pozostaje mieć nadzieję, że nie tylko dla wygodnych foteli widzowie pozostaną wierni swemu teatrowi, ten bowiem z dobrym (lepszym?) skutkiem będzie szukał swojego nowego języka, czerpiąc z nowych możliwości i prowadząc ważną, ciekawą, intrygującą, zaskakującą – choćby i czasem bulwersującą – rozmowę z widzami przez co najmniej kolejne półwiecze.

Izabela Nowak

Aktorstwo – sztuka przekazywania emocji

17 stycznia 2008 roku znany aktor filmowy, teatralny i telewizyjny Lech Dyblik zaprezentował się koszalińskiej publiczności w Teatrze Propozycji „Dialog" w koncercie „Rosyjski szanson", prezentując *błatnyje* pieśni – mało znany w Polsce, a bardzo popularny za naszą wschodnią granicą gatunek muzyczny. Zarówno dla widzów jak i dla samego wykonawcy było to szczególne przeżycie. Lech Dyblik powrócił bowiem po dwudziestu ośmiu latach w miejsce, gdzie rozpoczęła się jego zawodowa, jakże bogata w wydarzenia kariera.

To właśnie tutaj, w koszalińskim „Dialogu" pod czujnym, ale życzliwym okiem Henryki Rodkiewicz, niezapomnianej założycielki tej alternatywnej sceny, zdobywał pierwsze aktorskie szlify. Tu pokochał teatr i poezję, tu po raz pierwszy przeżywał wielkie emocje związane z występami przed publicznością, tu narodziły się jego artystyczne pasje. I trudno uwierzyć, że „Dialogowy" epizod rozpoczynający karierę jednego z najbardziej interesujących polskich aktorów, był właściwie dziełem przypadku...

– Do „Dialogu" przyprowadzili mnie koledzy z teatru „Pakamera", działającego wówczas przy Technikum Budowlanym – wspomina Lech Dyblik – Prawdę mówiąc, w tym czasie byłem o wiele bardziej zainteresowany koszykówką, niż sztuką teatralną. Nie myślałem jeszcze poważnie o swojej przyszłości, nie robiłem planów. Lecz podczas zupełnie przypadkowej przecież wizyty w „Dialogu" zauroczyła mnie magiczna atmosfera tego niezwykłego miejsca. Natychmiast znalazłem się także pod urokiem Henryki Rodkiewicz. Dzięki niej, a także dzięki zakochanym w teatrze ludziom poznanym w „Dialogu", odkryłem nieznany dotąd świat. Pamiętam wielogodzinne rozmowy poprzedzając kolejne dialogowe spektakle, pamiętam dreszcz emocji towarzyszący moim pierwszym aktorskim próbom, życzliwie przyjmowanym przez kolegów i publiczność. Nie ukrywam, że ta artystyczna działalność sprawiała mi coraz więcej satysfakcji i radości.

Na scenie „Dialogu" debiutowało wiele interesujących osobowości, nieomylnie rozpoznawanych przez Henrykę Rodkiewicz. (W „Dialogu" pierwsze doświadczenia sceniczne zdobywali Elżbieta Okupska, Edward Żentara i, zmarły w 2008 r., Dariusz Siatkowski – dop. red.) Także Lech Dyblik z coraz większym powodzeniem kreował swój sceniczny wizerunek, a Henryka Rodkiewicz natychmiast zauważyła wyrazistą osobowość i talent kilkunastoletniego wówczas chłopaka. Nic dziwnego więc, że stwierdziła kategorycznie: – *Musisz zostać aktorem!* I tak właśnie się stało. Po maturze Lech został przyjęty do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie.

Obecnie ma on na swym koncie ponad pięćdziesiąt zróżnicowanych gatunkowo ról filmowych i współpracę z wybitnymi reżyserami. Przyznaje, że jego osobowość jako aktora ukształtowały doświadczenia wyniesione z „Dialogu", a podczas studiów – kontakt z profesorami, dla których teatr i praca aktora były misją: – *W tym okresie moimi mistrzami byli wybitni aktorzy – Katarzyna Meyer i Jerzy Goliński* – mówi Lech Dyblik. – *Na zajęciach z Kasią pracowaliśmy na tekstach poetów romantycznych, głównie Cypriana Kamila Norwida. Wówczas uświa-*

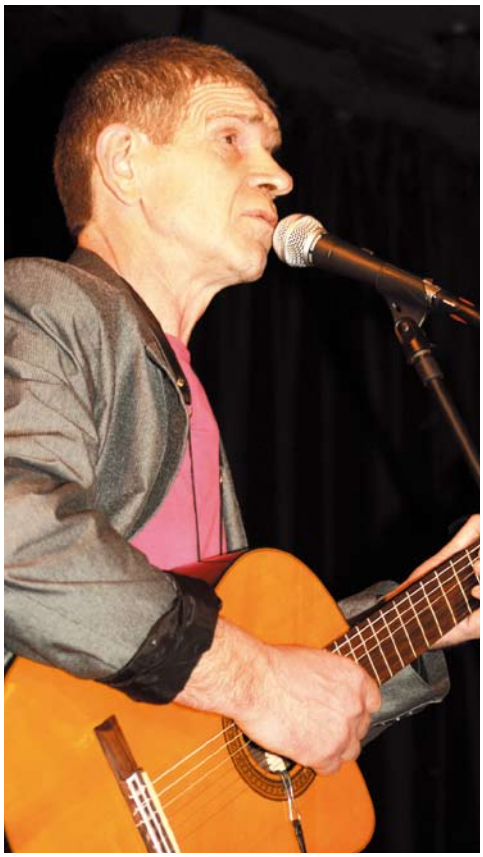

Lech Dyblik podczas recitalu w „Dialogu". fot. Ilona Łukjaniuk

domiłem sobie, jak wielkie znaczenie dla aktora ma konstrukcja literackiego tekstu, jak wiele znaczeń można w nim odkryć. Natomiast Jerzy Goliński podczas naszych ćwiczeń dotknął czegoś, co dla mnie jest samą istotą aktorstwa. Sztuki aktorskiej nie można przecież sprowadzać do biegłości warsztatowej, czy umiejętności prowadzenia dialogu z publicznością. To coś o wiele głębszego. To pragnienie, aby poprzez tekst i teatralną konwencję ukazać samego siebie, przekazać to, co w każdym człowieku jest najważniejsze – marzenia, pragnienia i emocje…

Po skończeniu studiów Lech Dyblik, już z dyplomem w kieszeni znalazł się w zespole aktorskim Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Myśląca już o przejściu na emeryturę Henryka Rodkiewicz chciała także, aby ten jej „wychowanek" został następcą jako kierownik artystyczny „Dialogu". Wkrótce jednak Lech Dyblik opuścił Koszalin, do współpracy zaprosił go bowiem dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, Adam Hanuszkiewicz:

– *Zadebiutowałem monologiem Kościuszki w reżyserowanym przez Hanuszkiewicza spektaklu „O poprawie Rzeczypospolitej". Temu wydarzeniu towarzyszył ogrom emocji! Co najbardziej zapamiętałem? Chyba przerażenie…* – wspomina Lech Dyblik. – *W Teatrze Narodowym spędziłem kilka sezonów, walcząc z narastającym poczuciem rozczarowania. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jednak teatr nie jest moim przeznaczeniem Nie potrafiłem odnaleźć swojego miejsca i czułem się coraz bardziej zagubiony. Podjąłem więc szokującą dla otoczenia decyzję i zrezygnowałem z etatu w Narodowym. Chociaż dyrektor poddawał nawet w wątpliwość stan mojego umysłu, teraz z perspektywy lat widzę, że to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. Byłem wolny i mogłem poświęcić się sprawom, które najbardziej mnie interesowały.*

Krótką przerwę w zawodowej aktywności Lech wykorzystał na naukę języków obcych. Teraz znajomość angielskiego i francuskiego ułatwia mu nawiązywanie kontaktów w międzynarodowym świecie filmu. Zanim jednak stał się znany w Europie, posypały się propozycje filmowe od rodzimych reżyserów. Zagrał między innymi w „Krollu" i drugiej części „Psów" Władysława Pasikowskiego, w „Cwale" Zanussiego, „Panu Tadeuszu" i „Zemście" Andrzeja Wajdy, w „Pręgach" Magdaleny Piekorz. Wyjątkowo sugestywną rolę niesłusznie oskarżonego o zdradę kozackiego atamana Antona Tatarczuka wykreował w superprodukcji Jerzego Hoffmana „Ogniem i Mieczem". Twarz Lecha Dyblika pojawiała się równie często na wielkim, jak i na małym ekranie, gdzie występował w bardzo popularnych telewizyjnych serialach. „Klan", „Boża podszewka", „Miodowe lata", „Świat według Kiepskich", „Przedwiośnie", „Plebania", „Wiedź-

min", „Niania", „Egzamin z życia", „Rodzina zastępcza", „M jak miłość", „Na dobre i na złe" – to tylko niektóre z tytułów, które przyniosły aktorowi popularność i sympatię publiczności. Swoistym ukoronowaniem dotychczasowej telewizyjnej kariery Lecha był udział w międzynarodowej superprodukcji „Wojna i pokój". Jednak aktor najbardziej ceni sobie współpracę z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem obsypanego nagrodami „Wesela". Wykreowaną tu postać wujka Edka Lech Dyblik uznaje za najlepszą i najbardziej ulubioną spośród swoich kilkudziesięciu ról. – *Smarzowski zapewnia niesłychany komfort pracy* – mówi aktor. – *Przed przystąpieniem do zdjęć dokładnie wszystko omawiamy. Ta metoda sprawia, że człowiek wchodzi w rolę jak w doskonale dopasowany garnitur. Możemy nawet posługiwać się swoim własnym językiem.*

Kariera filmowa ujawnia wszechstronność i oryginalność talentu Lecha Dyblika. Jego role rozpięte są między stylistyką komediowej groteski – a najbardziej przejmującym dramatem.

Kolejna wielka, artystyczna pasja zrodziła się wraz z zauroczeniem pieśniami rosyjskiego półświatka, zwłaszcza w ich odesskim wydaniu. Teraz Lech Dyblik jest znakomitym interpretatorem zrodzonych za kratami rosyjskich więzień pieśni, które sam żartobliwie nazwał w międzynarodowym żargonie: „banditen songs". Charakterystyczna chrypka i wielka sceniczna ekspresja podkreślają dramatyzm przejmujących kompozycji opowiadających o zdradzie, samotności, miłości, tęsknocie za wolnością. O tym, jak silnie działają zawarte w nich emocje, aktor przekonał się koncertując po prostu na ulicy. Chociaż tego rodzaju występy budziły w nim wiele obaw, reakcje słuchaczy były bardzo przychylne. *Błatnyje* pieśni prezentował również podczas recitali w Gdańsku, Krakowie i w Łodzi. Wystąpił także podczas festiwalu „Dialogu czterech kultur". W listopadzie 2008 koncertował natomiast w Odessie, dokąd został zaproszony przez znanego rosyjskiego barda i poetę Aleksieja Sieminiszczewa. Wspólny koncert obu artystów okazał się znaczącym muzycznym wydarzeniem.

Wkrótce filmografia Lecha Dyblika powiększy się o kolejny, z pewnością bardzo interesujący obraz. W styczniu 2009 aktor bowiem rozpoczyna zdjęcia na planie nowego filmu Wojciecha Smarzowskiego „Dom zły". Dla Lecha Dyblika natomiast, oprócz radości niesionej przez współpracę z ulubionym reżyserem, bardzo dobrego scenariusza i świetnie skonstruowanej sensacyjnej intrygi fabularnej, dodatkowym atutem tej produkcji jest sceneria, w której toczy się akcja: – *To Beskid Niski, mój ukochany od lat region Polski* – powiedział. – *Lubię panującą tam atmosferę i ten specyficzny klimat, umożliwiający całkowite oderwanie się od rzeczywistości. W Beskidzie Niskim jakby zatrzymał się czas. Tu najlepiej odpoczywam…*

„Rosyjski szanson", recital Lecha Dyblika, Teatr Propozycji „Dialog", 17 stycznia 2008

Małgorzata Kołowska

Podróż de-liryczna

Jest taki dowcip, który najlepiej brzmi w języku rosyjskim, my dokonajmy jednak swobodnej transkrypcji z translacją do pary: oto przed sklepem monopolowym na krawężniku siedzi młody człowiek i gorzko szlocha. Ulitowała się nad nim przechodząca obok babuszka, pochyliła z troską i pyta:

– Nu, maładiec, a paczemu tak płaczesz?

Nie doczekawszy odpowiedzi sama snuje domysły: – Monopolowy zakryt?

– Nie, otwarty – młodzieniec odpowiada przez łzy.

– Wodki niet? – dopytuje babuszka.

– Niet niet, wodka jest – młodzieniec zanosi się płaczem.

– Dienieg u tiebia niet?

– Mam pieniądze…

– No to szto z taboju?

– Pić się nie chce!

W amerykańskich kręgach uniwersyteckich krąży powiedzenie, że nie można zdać egzaminu z literatury rosyjskiej, nie znając trzech dzieł: „Wojny i pokoju", „Zbrodni i kary" oraz „Moskwy – Pietuszek". Swą pseudoautobiograficzną powieść Wieniedikt Jerofiejew napisał w końcu lat 60., musiała jednak nadejść pierestrojka, aby dzieło doczekało się druku w Rosji. Wcześniej ukazało się z Izraelu, potem we Francji. Na początku lat 80. powieść krążyła w drugoobiegowych wydaniach po Polsce, szybko zyskując miano „kultowej". Często nadużywane to określenie w przypadku „Moskwy – Pietuszek" jest w pełni uprawnione. Czy to powinowactwo losów rosyjsko-polskich (wszak z Rosjanami, czy chcemy tego czy nie, myśmy bracia-Słowianie) czy raczej wspólnota alkoholowej tradycji, równie mocno obecnej w polskiej literaturze („Chopin gdyby żył, też by pił" – mówi Nos w „Weselu" Wyspiańskiego, współcześnie zaś przez deliryczne krajobrazy wiedzie nas proza Jerzego Pilcha, by przywołać jedno z czołowych nazwisk, boć przecież nie on jedyny, co wiedzie przez stacje alkoholowej męki.)

Powieść „Moskwa – Pietuszki" szybko doczekała się realizacji scenicznych, w Rosji i poza granicami, także w Polsce. Jedną z ważniejszych była inscenizacja Tomasza Zygadły z roku 1992 dla Teatru Telewizji, w doborowej obsadzie z Marianem Opanią w roli Wieniuszki, Marcinem Kociniakiem, Anną Seniuk i całą plejadą znakomitości. Doskonały monodram powstał też w szczecińskim teatrze „Kana", gdzie spektakl wyreżyserował Zygmunt Duczyński, wstrząsającą zaś rolę stworzył Jacek Zawadzki.

W roku 2008 „Moskwa – Pietuszki" doczekały się kolejnej realizacji w formie monodramu, tym razem zaś na warsztat dzieło Wieniedikta Jerofiejewa wzięli reżyser ze Słupska Stanisław Miedziewski i aktor Teatru Propozycji „Dialog" Jerzy Bokiej. Było to już kolejne twórcze spotkanie obu. (Refleksjami o pracy nad monodramem opartym na „Weselu" Wyspiańskiego" podzielił się S. Miedziewski w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007).

Premiera spektaklu „Moskwa – Pietuszki" odbyła się w Teatrze Propozycji „Dialog" 25 września. Dwa dni później przedstawienie zostało pokazane na prywatnej scenie stworzonej przez Barbarę i Jerzego Bokiejów w Cichym Dworze w podkoszalińskim Policku. Był to zarazem benefis świętującego trzydziestolecie prac artystycznych Jerzego Bokieja. Zarówno z „Dialogu" jak i w Policku niezwykle adekwatną puentę opowieści o delirycznej podróży z Moskwy do

Pietuszek dał śpiewający błatnyje pieśni Lech Dyblik, specjalnie zaproszony na oba wieczory.

Stanisław Miedziewski ma ogromne doświadczenie w przekładaniu dzieł literackich na język teatru, zwłaszcza teatru jednego autora. Znakiem rozpoznawczym jego reżyserskiej roboty jest precyzja i umiar, klarowność myśli, prostota przyjętych rozwiązań, budowanie sytuacji scenicznych w oparciu o minimalny niekiedy, ale zawsze wyrazisty i czytelny znak sceniczny, ledwie zauważalny niekiedy gest aktora często usytuowanego na zupełnie pustej scenie, a jednak nasyconych emocjami i gęstych od znaczeń. Tak było we wcześniejszym monodramie „Nos", opartym na opowiadaniu Mikołaja Gogola (w wykonaniu Mieczysława Giedrojcia), czy w najnowszym spektaklu „Traumnovelle", zrealizowanym z Albertem Osikiem wg Artura Schnitzlera w słupskim Teatrze Nowym. Nie inaczej było w spektaklu „Moskwa – Pietuszki", gdzie tylko zegar dworcowy wyznaczał kierunek podróży, a prosta konstrukcja tworzyła jedynie zarys kolejowego przedziału.

Monolog Wieniuszki z „Moskwy – Pietuszek", tak jak biografia samego autora, pełna jest metafor, a rozpięta pomiędzy śmiechem a rozpaczą. Bo jakże przynajmniej nie uśmiechnąć się słuchając przepisów na „Balsam kanaański" (denaturat 100 g, ciemne piwo 200 g, oczyszczona politura 100 g). Charakterystyka: lisi kolor, umiarkowana moc i trwały, niezwykły zapach. Wyzwala w pijącym wulgarność i ciemne siły", „Łzę komsomołki" (lawenda 15 g, werbena 15 g, woda kolońska „Las" 30 g, lakier do paznokci 2 g, płyn do płukania ust 150 g, lemoniada 150 g) koktajl „Psiakrew" (piwo żygulow-

Jerzy Bokiej w monodramie „Moskwa-Pietuszki". fot. Ilona Łukjaniuk

skie 100 g, szampon „Bogacz Sadko" 30 g, rezol, płyn do zwalczania łupieżu, klej BF 15 g, płyn hamulcowy 30 g, desynsektal, środek owadobójczy 30 g. Całość powinna w ciągu tygodnia naciągać na tytoniu z cygar. Pita dużymi łykami „Psiakrew" szybko uduchowia człowieka lepiej niż tygodniowy post połączony z intensywnymi przemyśleniami), czy „Sputnik" (wódka i sprite. Wlewasz do szklanki pół na pół wódkę ze spritem. Następnie: wypijasz połowę… i dolewasz do pełna wódki, wypijasz połowę… dolewasz do pełna wódki, wypijasz połowę… dolewasz do pełna wódki… należy powtarzać do czasu pojawienia się wyraźnych sygnałów z kosmosu).

Śmieszne? Tak, byłoby prawdziwie śmieszne, gdyby nie było tak tragiczne, gdyby za tą autoironią połączoną ze swoistym liryzmem (de-liryzmem?) nie krył się prawdziwy dramat bezgranicznej niemożności, bezdennej samotności i niemożliwej do ukojenia tęsknoty za wartościami wyższymi, bardziej ludzką egzystencją i czułością kojącą ból duszy.

Grany przez Jerzego Bokieja Wieniczka budzi litość podszytą odrazą z jednej strony (bo to jednak menel, w znoszonym prochowcu przepasanym sznurem), z drugiej - rozczulenie, nawet sympatię dla tej duszy zbłąkanej i potępionej, a przy tym dziwnie szlachetnej, pełnej dobrych intencji, tylko, że… dla tego wrażliwego poety, jakim bohater spektaklu jest, choć pewnie hm… nieświeżo pachnie. Jakim był sam Jerofiejew, co wyczytujemy nie tylko z jego prozy, ale i biografii, ot z takiej choćby sytuacji, kiedy naprzeciw siebie stanęło dwóch pisarzy W. Jerofiejewów, a nie było to żadne deliryczne rozdwojenie osobowości! Bo oto pewnego razu, w windzie, spotkali się autor „Moskwy – Pietuszek" i autor „Rosyjskiej apokalipsy" Wiktor Jerofiejew, którego sława ostatnio zaczyna przyćmiewać rozgłos nieżyjącego już (zmarł 11 maja 1990 roku w Moskwie i jest to ponoć jedyny pewny fakt z jego życiorysu) Wieniedikta – wówczas już walczącego z rakiem i po operacji krtani. *Rozwinąłem szalik i – zobaczyłem; miał tam wszystko wycięte. Wszystko!!! Nie wiadomo na czym trzyma się głowa. Same kawałki poszarpanego mięsa* – wspominał Wiktor Jerofiejew. *Jechali sobie we dwóch Jerofiejewów. Wiktor przerażony, z oczami wbitymi w podłogę, Wieniczka wyniosły, patrzący przed siebie, jechali windą w dzielnicy chruszczowowskich slumsów, kiedy Wieniedikt odezwał się do Wiktora tymi słowy: – No co, nazwisko powinieneś chyba zmienić?!*

Sam o sobie pisał: *Mój pradziad zwariował. Dziadek przeżegnał drżącymi palcami wycelowane w niego lufy sowieckich karabinów. Ojciec zachłysnął się 96-procentowym denaturatem. A ja po dawnemu – Wieniedikt. I na wieczność takim pozostanę (…).*

Najmilsi moi! Przecież jestem dokładnie taki jak wy! Pamiętacie?

Gdy jestem pijany,
a trzeźwy nie bywam,
na chorą duszę
wódkę zażywam
(Wieniedikt Jerofiejew, „Zapiski psychopaty")

Wieniedikt Jerofiejew, „Moskwa – Pietuszki", adaptacja i reżyseria Stanisław Miedziewski, scenografia: Zbigniew i Maciej Cygler, wykonanie: Jerzy Bokiej, premiera: 25 września, Teatr Propozycji „Dialog", benefis Jerzego Bokieja 27 września, Cichy Dwór w Policku.

Jupi Podlaszewski

Z Melpomeną na lekcjach

Szkolny teatr w kulturze anglosaskiej to chleb powszedni. Drama jest przedmiotem traktowanym tu z całą powagą. Bo, jak pisze w swoim podręczniku „Drama Courseboook" świetny Andy Kempe, drama wiąże się ze współpracą w sytuacjach grupowych, gdzie nieodzowne są indywidualne zaangażowanie, doświadczenie i wyobraźnia ucznia. Drama związana jest z osobistym i społecznym rozwojem.

Marzena Wysmyk fot. Ilona Łukjaniuk

Poprzez dramę uczniowie badają i wyciągają wnioski. Poprzez role spoza ich życia rośnie rozumienie motywacji działania innych ludzi. Drama wiąże się także z badaniem i rozumieniem zagadnień moralnych i społecznych. Uczniowie zaczynają dostrzegać i doceniać, że drama jest szczególną formą komunikacji i że działa poprzez konwencje znaków i symboli.

Drama wymaga praktycznej znajomości pewnych teatralnych umiejętności.

Pożytki płynące z lekcji dramy dla rozwoju młodego człowieka są, jak widzimy, bardzo wyraziste i specjalnie udowadniać ich nie trzeba. Nowy przedmiot powoli toruje sobie drogę i zdobywa miejsce w rozepchanych szkolnych programach. Gorzej jest z infrastrukturą: o świetnie zaprojektowanych i wyposażonych scenach w każdej omal szkole oraz o rzeszy nauczycieli dramy marzyć będziemy jeszcze długie lata.

*

Rozmowa z **Marzeną Wysmyk**, autorką programu klasy teatralnej i twórczynią szkolnego „Teatru na Bosaka" w V Liceum Ogólnokształcącym w Koszalinie:

Jupi Podlaszewski: Twój romans z teatrem w szkole trwa już dobrych parę lat, nieprawdaż?

Marzena Wysmyk: Właśnie mija dziewięć lat od tego, co mogę nazwać pierwszą szkolną premierą, nie teatrem ani nawet działaniami parateatralnymi – jako polonistka musiałam aranżować inscenizacje na lekcji.

Z kolei moja praca z osobami niepełnosprawnymi skłoniła mnie do poszukiwania różnych metod terapeutycznych i jedną z takich metod okazały się działania teatralne, gdyż ciężko to nazwać teatrem; były to bardziej działania „dramowe", z których narodził się pierwszy spektakl, właśnie z niepełnosprawnymi nie mówiącymi. A dokładniej: część aktorów była mówiąca, a część nie. Wówczas nawet mi do głowy nie przyszło, by z tym „spektaklem" jechać na jakiś festiwal; była to praca na potrzeby szkolne.

Jednak starosta białogardzki, gdyż tam wtedy pracowałam, otrzymał od kogoś kartę zgłoszenia na ogólnopolski festiwal dla osób niepełnosprawnych w Brodnicy, gdzie prezentowali swoje umiejętności artyści sceny i estrady. Dzięki mecenatowi starosty pojechaliśmy do Brodnicy, skąd przywieźliśmy Grand Prix. Potem narodził się kolejny spektakl, oparty na tej samej zasadzie, bo nie miałam innych możliwości; opierałam się wyłącznie na tym, co mam, a miałam tylko aktorów. Napisałam scenariusz, całkowicie autorski, stworzony „pod" wykonawców i ich predyspozycje. Ten spektakl wysłaliśmy na inny ogólnopolski festiwal teatrów dziecięcych i młodzieżowych – na prestiżową „Dziatwę", gdzie przyznano nam trzecią nagrodę, a mnie samej nagrodę instruktorską. Tak to się zaczęło; przepracowałam w tamtej szkole pięć lat.

J.P.: Jaka to była szkoła?

M.W.: To była szkoła specjalna, w której uczyły się dzieci i młodzież z wszystkimi dysfunkcjami, od lekkich upośledzeń po osoby głęboko upośledzone, leżące. Po czterech latach zaproponowałam Gimnazjum nr 1 w Białogardzie poprowadzenie edukacyjnej pracowni teatralnej, w której przez dwa lata prowadziłam integracyjną grupę teatralną z udziałem uczniów z Gimnazjum oraz Szkoły Specjalnej. Potem był już Koszalin, V Liceum przy ul. Jedności oraz gimnazjum integracyjne, tak więc moja przygoda z osobami niepełnosprawnymi trwa do dzisiaj. Uczę w dwóch klasach integracyjnych, w których mam osoby dysfunkcyjne z upośledzeniem umysłowym, a także z niepełnosprawnością ruchową, m.in. chłopiec na wózku, który występuje w teatrze w moich małych etiudach teatralnych; z uwagi na określone ograniczenia mogę z nimi realizować jedynie małe formy.

No, i wreszcie liceum: na początku była to klasa biologiczno-chemiczna, która o teatrze miała mgliste pojęcie, ale miała wielką chęć na jego robienie. Młodzież potrafiła przyjść na próbę na wpół do ósmej, co w tym wieku jest wyczynem nie lada. Bardzo zapalili się do mojego pomysłu - inscenizacji wiersza „Szachy" Borgesa. Powstał spektakl statyczny, bez nadmiaru akcji, bo umiejętności wykonawcze były wówczas znikome. Zagraliśmy go jednak w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Następnie młodzież sama napisała sztukę „Sprzedam duszę na e-bazarze", o aukcjach internetowych. Spektakl pokazaliśmy w szkole. Niestety, młodzi byli już w maturalnej klasie i nie mogłam ich dłużej absorbować teatrem.

I wtedy moja dyrekcja wysunęła pomysł, żebym stworzyła klasę teatralną. Napisałam autorski program, ale nie czułam się w pełni kompetentna. Wstąpiłam więc na podyplomowe dwuletnie studium reżyserii teatru dzieci i młodzieży przy Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie - Wydział Zamiejscowy we Wrocławiu. Było trochę zajęć z historii teatru, ale przede wszystkim scena, reżyseria teatru dramatycznego, lalki, groteski, praca z maską. Naukę kończył dyplom artystyczny i pedagogiczny. Myślę, że po ukończeniu tego studium zaczęłam robić teatr z prawdziwego zdarzenia, z klasą utworzoną bez castingu i selekcji, z młodzieży, która trafiła do liceum dzięki dostatecznej liczbie punktów…

J.P.: Ale to znaczy, że był to rocznik, który trafił do ciebie z pełną świadomością, że idzie do klasy teatralnej…

M.W.: Tak, chociaż nie miał pojęcia, co to naprawdę oznacza. Właściwie, jak każdy z nas, bawimy się przecież w teatr w przedszkolu, w szkole podstawowej…

Przez pierwszy rok ścieraliśmy się trochę, aż powoli zaczęło do nich docierać, o co mi chodzi… w gruncie rzeczy cieszę się, że nie było żadnego castingu, bo zapewne nie trafiliby do klasy ci, którzy się podczas pracy w niej rozwinęli, którzy mieli tę naturalną, spontaniczną radość tworzenia na scenie, podczas, gdy ci, co przyszli do tej klasy w pełni świadomie, z wyboru, większych postępów nie poczynili. Cieszą mnie osiągnięcia tych nieoczekiwanie odkrytych, nieoszlifowanych diamentów…

J.P.: Jak liczna jest ta klasa, czy to zwykła klasa jak inne?

M.W.: To normalna klasa licząca 30 osób. Jest

to naprawdę ogromny wysiłek zrobić spektakl na 30 osób.

J.P.: Tak, można to było dostrzec w BTD, podczas premiery. Jak wspomniałaś, twój autorski program jest rozpisany na trzy lata, ile macie zajęć tygodniowo…

M.W.: Oni są straszliwie obciążeni, mają normalną siatkę godzin, jak przystało na klasę humanistyczną, a więc sześć „polskich", cztery „historie", bardzo dużo przedmiotów humanistycznych. Ja w tym programie autorskim mam jedną godzinę tygodniowo warsztatów teatralnych, które są w siatce godzin i z których młodzież dostaje ocenę. Mam jednak również dwie godziny z tzw. kół zainteresowań, razem zatem są to trzy godziny warsztatowe tygodniowo zagwarantowane w programie. Do tego dochodzi godzina wiedzy o kulturze, gdzie więcej jest teorii, a tę mają także przez trzy lata.

J.P.: Oprócz tych rutynowych zajęć przygotowujesz także spektakle.

M.W.: Tak, żeby jednak przygotować spektakl taki jak ten, który widziałeś w grudniu („Kitab alfu laila laila tu" wg „Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy" – przyp. red.) trzy godziny pracy tygodniowo nie wystarczą; jest to spektakl półtoragodzinny, w którym jest bardzo dużo pracy z rekwizytem, o czym młodzi nie mieli kompletnie pojęcia! Więc wiadomo, że ćwiczę z nimi znacznie więcej. Są więc dodatkowo obciążeni, raz, że pierwsza klasa, czyli tzw. „szok po-gimnazjalny", do tego teatr i dodatkowo języki obce, do tego ekstra lekcje śpiewu, recytacje i konkursy recytatorskie, kilka osób marzy o szkole teatralnej; pracy jest rzeczywiście dużo i młodzi ludzie są przepracowani. Wiadomo, że niektórzy się pomylili, że mieli zupełnie inne wyobrażenie o teatrze, jest jednak w klasie grupa osób bar-

Warsztaty teatralne. fot. Ilona Łukjaniuk

dzo aktywnych, dla których priorytetem jest własny rozwój...

J.P.: Uważasz, że Ci się powiodło osiągnąć harmonię pomiędzy nieokiełznanym żywiołem młodości i teatrem, który wymaga przecież żelaznej dyscypliny?

M.W.: Nie mówię, że jest to droga usłana różami… Dałam kiedyś zadanie, by każdy z nich wymyślił dwuminutową etiudę. Byłam załamana ich propozycjami. To były samobójstwa, aborcje, chłopak zabił dziewczynę, tata pobił mamę. To mnie przeraziło; gdzie wy mieszkacie, powiedzcie, gdzie jest królewna Śnieżka, smerfy, gdzie jest radość i gdzie kabaret?! Sam mrok, sama czerń, coś potwornego! Ale to są ich problemy: z narkotykami, papierosami, alkoholem, domem rodzinnym. Na próbach dowiaduję się o sprawach, o których rodzice nie wiedzą. Ja wiem – oni nie! Próba, czy spotkania po lekcjach dają szansę poznania ich. Oni się otwierają, bo to nie mama, która krzyczy, ma pretensje i jest przeciw. Tak jak mówisz, jest to żywioł bardzo trudny do okiełznania. Na próbach zdarzają się scysje, trzaskanie drzwiami, tupania, płacz. Ale chcą to robić. Dlatego sama też to robię, chociaż bywam podłamana i myślę w duchu: dosyć, koniec, nigdy więcej…

J.P.: Czy masz świadomość konieczności kompromisu?

M.W.: I to nie tylko kompromisu z aktorem, ale z całą historią szkolną, bo ja jestem w szkole, gdzie jest pani od matematyki, od fizyki… jest próba, ale jest klasówka… jest spektakl na scenie BTD, do którego przygotowujemy się przez dwa miesiące, a ja nie mogę zrobić próby, bo coś tam… Do tego się tułam, bo nie mam gdzie ćwiczyć. Proza życia.

Gramy w BTD - wielkie dzięki, bo za darmo. Gramy na cele charytatywne, bo teatr to także działanie pedagogiczne i wychowawcze. Raz do roku gramy wielki spektakl dobroczynny rozpisany na 30 aktorów. To robię od pierwszej klasy. W pierwszej klasie robiliśmy „Jasełka" na 30 osób, w drugiej klasie był mój dyplom, do którego musiałam całą klasę zaangażować, w trzeciej klasie graliśmy w „Kryterium" „Apokalipsę" – duży spektakl na 30 osób, a w 2008 roku „Baśń z Tysiąca i Jednej Nocy". Aktualnie pracuję z pierwszą klasą, więc mam jeszcze niecałe dwa lata do grudnia na trzecim roku, bo potem są matury i kolejny nabór do pierwszej klasy we wrześniu...

LITERATURA

Ryszard Hetnarowicz

Poezja tła

Ile trzeba czasu, by dojrzała w nas poezja? A może muszą minąć dni, lata, by to nam dane było do poezji dojrzeć? Jedno zdaje się być pewne – ona istnieje w każdym z nas, tylko nie każdy tak uprawia glebę swojego wnętrza, by pozwolić ziarnu zakiełkować. Być może jest i tak, że biegli w tym dziele i do krzewienia jego powołani, zaniechali swej pracy i niektóre poletka pozostawili ugorowaniu? I co z tego, że wszyscy – jak chce Gaston Bachelard - jesteśmy poetyccy? Również w swej codzienności, nawet w najbardziej przyziemnych czynnościach. Cóż z tego, że tkwi to w naszej naturze, jeżeli robimy wszystko, by stłumić nawet pojękiwania podświadomości?

Na szczęście istnieją tacy ludzie, którzy to dostrzegają, a przede wszystkim nie są na nie głusi. Również na podświadome potrzeby nas, przeciętnych zjadaczy chleba. To poeci. Co pewien czas dają o sobie znać i nie pozwalają gnuśnieć naszym umysłom, wyobraźni, wrażliwości... Z całą pewnością należy do nich Halszka Olsińska, a jej „Wiersze zebrane i trochę nowych" zasługują na szczególną uwagę. I nie tylko dlatego, że ukazują się dziesięć lat po jej pierwszej książce poetyckiej; że są – niesygnalizowanym wprawdzie, ale zawsze – podsumowaniem dekady aktywności twórczej, znaczonej pojedynczymi zbiorkami. Przede wszystkim dlatego, że postrzegane i czytane w całości, otwierają nowe obszary znaczeń.

Na początku przyoblekania swej poezji w szaty edytorskie Olsińska położyła kamyk i zadała swojemu rozmówcy przewrotne pytanie. Przewrotne, ponieważ doskonale wiedziała, że wyłuskała go z spośród innych, poddała subtelnej obróbce i zleciła zadanie... wywołania lawiny. I stało się zgodnie z zamysłem autorki. Pojawiły się skojarzenia, odwołania, potrzeba zaczerpnięcia ze źródeł, znalezienia odpowiedzi na postawione pytanie lub – co zdecydowanie częstsze - konieczność zadania pytań o odbicie poetyckich słów we własnej, czytelniczej rzeczywistości. Tak rozpoczęła się ta intelektualna i emocjonalna gra z czytelnikiem, któremu nie zawsze dane jest przewidzieć, ile „kaczek" spowoduje ten kamyk, jak głęboka jest toń stawu, w którym przyjdzie mu utonąć i jak rozległe horyzonty spenetrować w poszukiwaniu wzajemnych relacji pomiędzy pojedynczymi znaczeniami. Tym bardziej, że podstawowa tematyka tej poezji wydaje się być bardzo prosta, bo dająca się zamknąć jednym czasownikiem – jestem. Prosta? To kolejny zwodniczy pozór; pułapka utkana z pozoru jednoznaczności, w którą tym bardziej się wplątujemy, im bardziej usiłujemy z niej się wydostać. Jeżeli partner tej poetyckiej rozmowy prowadzonej przez Olsińską spodziewa się pomocy z jej strony, to trafia na przeszkodę w postaci kolejnych wątpliwości, znaków zapytania, kulturowych odwołań i lokowania siebie w kosmicznych przestrzeniach człowieczeństwa i natury. Zostaje wciągnięty w magię swoistego tła, z którego wyłaniają się autorskie powidoki, cienie, mgnienia i albo porażają jaskrawością światła, albo kuszą tajemnicą mroku. Tworzą kokieteryjny rodzaj dystansu, którym nie zniechęcają czytelnika, lecz przeciwnie – wręcz zachęcają do przełamania, skrócenia, zniwelowania. Jeżeli doda się jeszcze do tego całą gamę nieoczekiwanych skojarzeń, przenośni i przerzutni, to otrzymamy świat zaklęty w słowo o niezwykłej różnorodności znaczeń. Poezję wymagającą skupienia, ale i pozwalającą na intelektualną zabawę, emocjonalną grę w nastroje, serwującą na deser tro-

Halszka Olsińska. fot. Ilona Łukjaniuk

chę uszczypliwości, ironii, humoru, ale i smutku, melancholii... I jeżeli w jakikolwiek sposób powracać będzie w tych słowach walor kobiecości, to właśnie w tym wymiarze przejawia się on najpełniej.

W tej poezji nie ma przypadkowości. Olsińska przywiązuje dużą wagę do kompozycji poszczególnych zbiorów poetyckich, a w przypadku omawianego tomu – do chronologii pojawiania się poszczególnych części i wierszy. To, co było na początku – tak przynajmniej można to było odczytywać – (jedynie) tytułem tomiku poetyckiego i (aż) metatekstem dla jego zawartości, daje się teraz odczytać jako logicznie przemyślany stopień wtajemniczania w autorski świat; wprowadzania w świat poetycki, w którym na równych prawach egzystują tak nasze przyziemne troski czy przedmioty codziennego użytku jak i wybujałe marzenia czy wysublimowane lektury. Jest to świat pełni, w której nie brakuje niczego, co nie krzyczałoby: jestem częścią ciebie, więc pochyl się nade mną, chociaż najchętniej byś mnie nie dostrzegał! Tak więc obok „Nostalgii" pojawia się „Erka", obok „Wzlotu" – „Trywializmy", a „Eschatologię" poprzedza „Wypadek". W tym świecie jest miejsce na każdy czas – i ten odmierzany astronomicznym chronometrem („Przed świtem"), i ten dyktowany zegarem biologicznym („Starość"), i regulowany nastrojami roku obrzędowego („Wigilia 68"). Są przestrzenie nieogarnięte wzrokiem i niezmierzalne, ale i znane, tkwiące w naszej pamięci, bezbłędnie rozpoznawalne. Ale nie one – mam na myśli każdy element tej pełni – są obiektem zainteresowania poetki. Stanowią jedynie tło, w którym odnajduje „kamyki" pozwalające sięgnąć wzrokiem znacznie głębiej; we wnętrze siebie samej. Pełnia poezji Olsińskiej to przede wszystkim konstruowanie misternych pryzmatów, które blikują rozszczepionym światłem wiedzy i uczuć, emocji i myśli, świadomości i niepewności, działania i bezruchu... Nie można ich jednak odbierać pojedynczo, ponieważ stanowią część całości, która tkwi nie tylko w poetyckiej jaźni, ale i w jej relacjach z odbiorcą. Obcując z tymi wierszami odnosi się nieodparte wrażenie, że jest się ich częścią, Podświadomie wyczekuje się wersu, w którym odnajdziemy imienny zwrot do nas. Ten fenomenologiczny zabieg jest tak umiejętnie i subtelnie wkomponowany w tę poezję, że stanowi pokusę ciągłego zgłębiania pojedynczych „kamyków" i odnajdywania ich miejsca w całości.

Poświęciłem tak dużo uwagi pierwszej części „Wierszy zebranych" Halszki Olsińskiej, ponieważ w niej właśnie znalazło się wszystko to, co dojrzało w zamykających ten zbiór „Małostkach". Zanim jednak do tego doszło, po drodze trzeba było rozprawić się z tym, co „Jednorodne", zmierzyć z „Jego omnipotencją", zatrzymać chociaż na chwilę przy „Mniejszej całości" oraz zdobyć się na duchową eskapadę „W stronę Monsalwatu". Można by zapytać: cóż takiego szczególnego stało się podczas tej poety-

ckiej wędrówki, jeżeli wszystko, co najważniejsze, daje się wyczytać ze śladów pierwszego etapu? Dlaczego nie przejść od razu do mocnych akordów finału? Nie da się tego zrobić, bo finał będzie trudny do pojęcia. Piękny w swej jednostkowości i osobliwości, znaczony swoimi odrębnymi treściami ale zubożony o dziedzictwo przekazane mu przez poprzedników. Jeszcze raz trzeba w tym miejscu podkreślić, że konstrukcja tomu wierszy Olsińskiej (by nie powiedzieć: drogi poetyckiej autorki, bo klucz stanowi chronologia) jest precyzyjnie pomyślana. Nic dziwnego, że „lawina" wywołana przez „kamyki" musiała pochłaniać kolejne przestrzenie i gromadzić zdobycze. Wszystko, co pojawiło się na jej drodze okazało się pochodzić z jednej rodni – miana i ku jednemu zmierzać – ku koronie również ze słowa wywiedzionej. To, co istnieje mimo naszej woli, stanowi byt odrębny i posiadający własne życie, jest tak długo nam obojętne, jak długo nie uświadomimy sobie jego istoty. Dopóki nie umiejscowimy w nas i nie wzbogacimy o nadane temu miano. Wtedy zaczyna kwitnąć, rozrastać się i stawać niezbywalną cząstką nas samych. Niestety, podlegającą tym samym prawom, co i my – przemijaniu. Nadzieja tkwi jedynie w słowie, które – zgodnie z odwiecznym biegiem natury – może zawsze się odrodzić. W kim innym. A życie jest obdarzone niezwykłą potencją – omnipotencją. To zarówno czynienie dobra jak i zła, to siła nagradzania i karania, miłości i nienawiści, narodzin i śmierci... To zjawisko o niezliczonych obliczach. To odkrycia i zapomnienia. To w końcu sztandar, pod którym zdobywamy się na heroiczne krucjaty, maszerujemy z dumnie podniesioną głową lub jesteśmy do marszu zmuszani. Nawet, wydawałoby się, u kresu tej wędrówki, życie nie pozostawia nam nicości. Czeka nas zmartwychwstanie, które mamy wpisane w... nieskończoność nadziei. Są wszakże „mniejsze całości", które nie pozwalają nam na dokonania przekraczające właściwości naszej natury. Te ograniczenia także zasługują na uwagę i domagają się naszej akceptacji. Buntujemy się przeciwko nim, wzdragamy na myśl o konieczności pogodzenia się z naszym losem, ale im wcześniej – o paradoksie – zdobędziemy się na konsolację, tym więcej czasu będziemy mieli na spenetrowanie tych pęknięć w idealnej – zdawałoby się – strukturze stworzenia. Potrzebna jest jednak idea, która nas ku temu będzie popychała. Wiara w jej istnienie będzie motorem naszych działań. Stajemy więc przed koniecznością bycia Parsifalami – to nic, że skażonymi syndromem naszych czasów – dążącymi do odkrycia tajemnicy. I chociaż wiemy, że nie odnajdziemy świętego Graala, nie odegramy roli Galahada, nie zaprzestaniemy poszukiwań. Chociażby dlatego, że właśnie one są sensem naszego istnienia, a kto wie, może i istotą tajemnicy...

Przychodzi czas, że wiara w słowo, w potęgę jego znaczeń, przybiera u Halszki Olsińskiej formę sentencji, myślowego skrótu. Przecież tyle już sobie powiedzieliśmy, że teraz wystarczy spojrzenie, gest, grymas by doskonale się rozumieć. W poezji jest to niemożliwe, a więc pozostaje słowo. Znowu słowo! Tylko jakie? Brzemienne znaczeniami. Każde znaczenie zamknięte w opozycjach, kontrastach i – niekiedy bardzo odległych – skojarzeniach, wywołuje ciągi obrazów, odwołań i kieruje ku rejonom właściwym naszej wyobraźni, wiedzy i doświadczeniu. W „Małostkach" zawarta została esencja autorskiego poczucia humoru, rozumienia człowieka i świata, praw natury, zmiennych nastrojów i postaw. Poetka ożywia tradycję literackiego epigramu i nadaje mu charakter refleksyjny. Doskonale pointuje, intryguje i skłania do przemyśleń. Jednocześnie niczego nie definiuje, nie ma w „Małostkach" żadnych recept ani diagnoz, ani przestróg, ani napomnień. Jeżeli pojawiają się jakiekolwiek sformułowania o charakterze rad, to najczęściej wygląda zza nich albo ironia, albo „przymrużone oko". Nie ma w tych wierszach stwierdzeń kategorycznych, a jeżeli pojawia się teza, to z domyślnym znakiem zapytania. Cóż więc w nich jest? Są „kamyki" najcenniejsze z cennych, które zostały zgromadzone przez „lawinę" i – tocząc się z nią – podda-

ne uszlachetnieniu. Jest w końcu – a może na początku – poezja i jej zaproszenie do bliższego poznania.

Właściwie wypadałoby jeszcze raz spojrzeć wstecz i poszukać pierworodnego kamienia, który wykonał całą tę tytaniczną pracę. Przyjrzeć się wielu efektom „ubocznym". Bo przecież w tej poezji istnieją zaklęte dźwięki i rytmy, jest paleta barw i malarskich efektów, miejsce dla „niego" i relacji łączących z „nią"... Jest również ona sama i bogactwo jej wnętrza. Jakże kobiecego (w sensie wspomnianym wyżej), ale pozbawionego histerycznych frustracji, płaczliwych lamentów i wiecznych utyskiwań. Jeżeli pojawiają się nastroje smutku i melancholii, to zawsze zostają wzbogacone o element wieszczący ich chwilowość. Warto byłoby wreszcie przyjrzeć się bliżej temu zabiegowi, który przemienia wiersze Olsińskiej w wiwisekcję na żywym organizmie odbiorcy. Jej skutek jest jeden – odczuwamy, pobudzamy wyobraźnię i analizujemy własne wnętrza z pomocą narzędzi dostarczonych przez poetkę. A może nie ma tutaj żadnego ukrytego zabiegu? Może istnieje tylko dobra poezja i to jej znak? Niestety, na tak postawione pytanie nie uzyskamy jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba pozwolić wierszom Halszki Olsińskiej na spenetrowanie naszej osobowości. Może wtedy poznamy tajemnicę tła, z którego wyłuskiwane są poetyckie perełki i rozpoznamy w nich siebie. Może wtedy...

Halszka Olsińska, Wiersze zebrane i trochę nowych, Wydawnictwo MILLENNIUM Bogdan Gutkowski, Koszalin 2008.

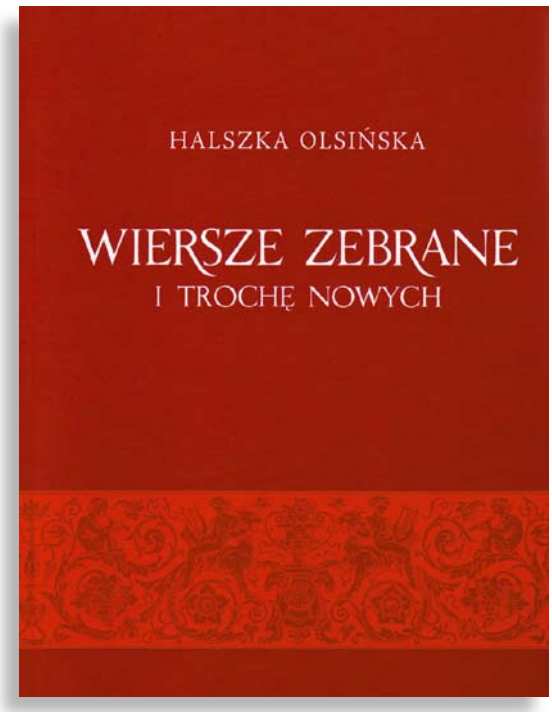

Opracowanie: Małgorzata Kołowska

Gra szklanych kostek

(O książce Andrzeja Turczyńskiego „Ten szalony pan Puszkin. Słowo o udręce")

Andrzej Turczyński jest wybitnym poetą, prozaikiem, dramatopisarzem, eseistą i tłumaczem. Jego dorobek literacki obejmuje dramaty, zbiory poetyckie, ponad czterdzieści wydanych utworów prozatorskich, eseistycznych i translatorskich. Jest laureatem licznych nagród, m.in. Fundacji Kultury (1994), Księcia Konstantego Ostrogskiego (1997), Świętego Brata Alberta (1999), Nagrody Specjalnej Ministra Kultury (2005). W roku 2001 za powieść „Znużenie" nominowany był do nagrody NIKE. W tym samym roku koszalińska oficyna Millennium Bogdana Gutkowskiego wydała książkę „Ząb mądrości" – zbiór esejów poświęconych twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, które publikowane były w „Twórczości" w latach 1992-2001. W roku 2005, nakładem tego samego wydawnictwa, ukazały się kolejne trzy książki A. Turczyńskiego: zbiór opowiadań „Dietdomszczyzna", „Pan Bóg, pisarz i diabeł" – druga i ostatnia część esejów na temat twórczości J. Iwaszkiewicza oraz „ Znaki napowietrzne" – opowiadania z lat 1979-2003".

Urodzony 22 lutego 1938 roku w Lublinie Andrzej Turczyński debiutował jako poeta i prozaik na łamach lubelskiej „Kameny" w 1955 roku. Przez dwadzieścia lat mieszkał w Słupsku. Obecnie (po raz drugi) mieszka w Koszalinie. Podczas jubileuszowego (z okazji 50-lecia pracy twórczej) spotkania w koszalińskim „Dialogu" jesienią 2005 roku tak mówił o sobie: *Przyjechałem tu w 1970 roku i żyłem osiem lat. Koszalin to dla mnie doświadczenie przyjaźni, serdeczności i dobra. Nie od rzeczy byłoby dziś, na początku listopada, wspomnieć żyjących niegdyś w Koszalinie naszych drogich zmarłych znajomych – Henrykę Rodkiewicz - wielką animatorkę kultury, twórczynię „Dialogu", Jadwigę Ślipińską – przyjaciółkę malarzy, pisarzy i teatru, oddaną bez reszty ich potrzebom, pisarza Gracjana Fijałkowskiego, dziennikarza Zbyszka Michtę, znanego Ryszarda Siennickiego, Ryszarda Lecha – osobliwego malarza malującego wiecznie ten sam zdehumanizowany pejzaż bez ludzi, aktorów Jerzego Fitio, Tadeusza Mroczka. Ja sam bardzo wiele zawdzięczam Koszalinowi – poprzez ludzi i urodę samego miasta. Wymieniałem bliskich mi zmarłych, ale wspomnę też żyjących, choćby pisarzy Czesława Kuriatę i Henryka Livora-Piotrowskiego* (zmarłego w 2006 r. – dop. red.).

Jeśli idzie o twórczość - najpierw był we mnie pewien szczególny wstyd, pewna kurtyna, której nie chciałem odsłonić, by ujawnić swoje pisanie. Myślę sobie, że każdy twórca mierzy się z czymś tak istotnym jak samowładztwo ducha. Ta specyficzna k'sobność – jest jednak służebna wobec ludzi. Być artystą – to być kimś, kto posiada energię, władztwo, moc nad słowem, muzyką, pędzlem, która jest jednak służbą wobec innych. Tylko wtedy jest to wartość, która nadaje sens każdemu aktowi twórczemu, każdej twórczości. I jeszcze coś - genius loci jakby nam pomaga, dodaje energii, możliwości dotarcia do czegoś najważniejszego - do chwili pojednania się z drugim człowiekiem poprzez sztukę. Twórczość jest nie tyle znakiem wolności, co uległości wobec czegoś wyższego, większego. Jest to sytuacja, w której autor – i teraz to, co powiem, zabrzmi pewnie paradoksalnie – jest zobowiązany do pomyślenia i stworzenia czegoś większego, niż jest zdolny pomyśleć.

Większość jego książek to proza, ale są i wier-

sze. Turczyński poczyna sobie ze słowem naprawdę bardzo swobodnie, kocha zresztą jego piękności i fioriture. Nie stroni od patosu, od paradoksu, od barwnego obrazu. Inwokacje, retoryczne pytania, nagłe przeskoki poetyckiego wątku w wierszach, skądinąd starannie zakomponowanych.

Tomów prozy jest znacznie więcej. Przy czym jeden niepodobny do drugiego, ponieważ autor zmienia nieustannie konwencje, nawet w obrębie jednej książki. Trzeba przyznać, że jest jednym z najbieglejszych narratorów w Polsce, wręcz wirtuozem. Bogactwo form i tytułów aż migocze. Ten rzeczywiście ciekawy autor ma chyba jednak za wiele impetu i pewności siebie. W rezultacie w gąszczu słów trochę się gubią pomysły oryginalne i ciekawe, a kontur spraw ostatecznie się zaciera.

O najnowszej książce Andrzeja Turczyńskiego czytamy: *Potoczna świadomość powiela pewien mit: wieszcz Adam Mickiewicz przyjaźnił się z rosyjskim poetą narodowym Aleksandrem Puszkinem. „...Słowo o udręce" Andrzeja Turczyńskiego w mimowolnej konfrontacji z tym mitem odsłania wielość psychologicznych, politycznych i społecznych uwikłań tej relacji. Mówią o nich świadkowie zdarzeń, mówią tłumaczone i komentowane teksty literackie i inne dokumenty, wydobyte przez autora monografii z rosyjskich archiwów i układane w wieloznaczne mozaiki.*

Turczyński jako biograf wyróżnia się tym, że skrupulatnie ogląda i oświetla każde istotne przekłamane lub zinstrumentalizowane słowo. Niepostrzeżenie – z korzyścią dla czytelnika – najważniejsza staje się zagadka samego Puszkina, miotanego na przemian entuzjazmem i zwątpieniem, pragnącego naraz wolności i stabilizacji, zakochanego nieprzytomnie w Natalii-Madonnie i jednocześnie świadomego konieczności walki o honor.

Historia jego pojedynku i śmierci pośród przyjaciół, cynicznych dworskich graczy i intryg totumfackich samego cara jest w tej opowieści dramatyczną puentą. Wzrusza jak dobrze skonstruowana rzecz o upadku łamanej moralnie wielkości, ale też skłania do zadumy nad historycznymi mechanizmami, które wynosiły na piedestał romantycznych geniuszy. Bo dotyczy jednego z nich.

Z okazji przypadającego w 2005 roku jubileuszu 50-lecia pracy twórczej Andrzeja Turczyńskiego, w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2005" zamieszczony został esej krytycznoliteracki Tadeusza Żukowskiego zatytułowany „Poeta, pisarz i chłopiec z błękitnym piórkiem", w którym czytaliśmy m.in.: *Andrzej Turczyński, z ducha mistyk, ze skłonności umysłu filozof czasu, z pasji erudyta a z wyboru wartości Europejczyk pamiętający o napiętnowaniu Wschodem – ogłosił się, przewrotnie, „prowincjonalnym metafizykiem". W tej nieco gorzkiej autoironicznej przenośni ukryty jest szczególnego rodzaju manifest dobrowolnego wygnania; swoistego życia monastycznego i rezygnacji ze „świata" na rzecz „cywilizacji ducha". (…) Sądząc po głębi i rozległości jego rozważań pisarskich na pewno stał się – mędrcem.*

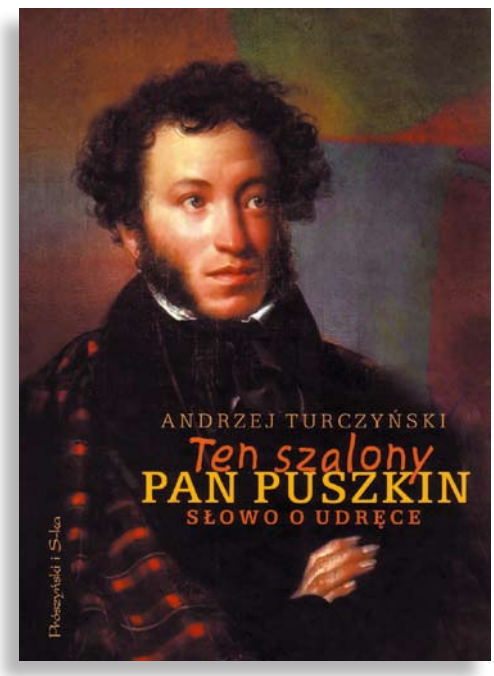

Andrzej Turczyński, Ten szalony pan Puszkin. Słowo o udręce. Wydawnictwo: Prószyński i S-ka 2008.

Małgorzata Kołowska

Powabność bytu na pustyni miast…

Pod koniec roku 2008, ukazały się dwie znaczące pozycje literackie: jako pierwszy do rąk czytelników trafił tomik wierszy Jana Wyrwasa „Na pustyni miast", jako drugi, dosłownie w ostatnich dniach roku, zbiór najnowszych opowiadań Anatola Ulmana „Drzazgi. Powabność bytu". Termin ukazania się obu książek nie pozwolił na pełną ich percepcję w podsumowywanym roku, a jednak fakt ich edycji należy uznać za literackie wydarzenie w skali na pewno większej, aniżeli tylko lokalna. Wypada mieć nadzieję, że rok 2009 pozwoli obu tytułom pełniej zaistnieć w świadomości czytelniczej. Poprzestając na razie na rekomendacji zapewnić mogę, że w podsumowaniu wydarzeń 2009 roku nie zabraknie ich solennych recenzji.

Obie książki ukazały się nakładem koszalińskiego wydawnictwa „Alta Press", tego samego, które w ubiegłym roku wydało nominowaną do Literackiej Nagrody Gdynia powieść Anatola Ulmana „Dzyndzylyndzy, czyli postmortuizm". Przy okazji przypomnijmy, że prozie tej poświęcona była obszerna i wnikliwa analiza „Anatol Ulman – strażnik śmietnika", zamieszczona w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007". Krzysztof Uniłowski pisał wówczas: *„Atrakcyjność powieści wynika (…) nie tyle nawet ze zręczności, z jaką autor żongluje różnymi kodami, co z odsłonięcia etycznego potencjału fikcji literackiej, która może stać się świadectwem istnienia wówczas, gdy nie stało już żadnego świadectwa. Nie dlatego bynajmniej, iżby owo istnienie fikcja przedstawiała, reprezentowała, symbolizowała czy bodaj kryptonimowała, lecz dzięki temu, że nie potrafi ani nie chce tego uczynić. Pozostając fikcją. Jeśli jednak taki sposób myślenia o literaturze, nakazujący upatrywać jej szans w tym, co z tradycyjnego punktu widzenia było raczej kwestionowane i odrzucane (fikcyjność, konwencjonalność, nieautentyczność itd.), miał swój potencjał, to – jak się z czasem pokazało – Anatol Ulman zrezygnował z jego wykorzystania. Dlaczego? Wszystko wskazuje na to, że czuł się zbyt silnie związany z tym sposobem pojmowania kultury, na którym nasza współczesność wyrosła i który następnie zdegradowała, umieszczając go pośród własnych odpadów".* Na tym samym (mniej więcej) polega atrakcyjność i zbioru nowych opowiadań Ulmana, pisarza, który pozostaje wierny wcześniejszym tropom i stylistyce prześmiewczo-groteskowej.

Z racji choćby starszeństwa – przed rokiem Anatol Ulman święcił półwiecze pracy twórczej – przypomnijmy najpierw jego sylwetkę: urodził się w 1931 roku w Nancy we Francji. W 1955 roku ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Był nauczycielem języka polskiego w szkołach średnich a także nauczycielem akademickim, był również dziennikarzem i krytykiem literackim. W jego dorobku pisarskim są utwory poetyckie i prozatorskie, a także sztuki teatralne. Do najwyżej ocenionych tytułów należy niewątpliwie debiutancka powieść „Cigi de Montbazon" z roku 1979 i wspomniana już powieść ostatnia - „Dzyndzylyndzy…", która Nagrody Literackiej Gdynia co prawda nie otrzymała, ale już sama nominacja ulokowała ją pośród pięciu najlepszych dzieł prozatorskich roku 2007. Było to także znaczącą nobilitacją dla młodej koszalińskiej oficyny. Wydając kolejną książkę Anatola Ulma-

na, a także tomik wierszy debiutanta Jana Wyrwasa właściciele „Alta Press" Katarzyna i Jarosław Dąbrowscy wykazali nie tylko dobry „słuch literacki", lecz także ambicje, by być znakiem firmowym dobrej literatury, co, oczywiście, nie gwarantuje komercyjnego sukcesu, ale daje godne miejsce pośród wydawców.

Tom „Na pustyni miast" jest późnym (o ile jest to właściwe określenie w odniesieniu do autora, który dopiero co przekroczył Rubikon półwiecza życia) debiutem poetyckim, owocem kilku lat pracy i przemyśleń mocno zakorzenionych w doświadczeniu intelektualnym i duchowym czy wręcz religijnym autora, związanym m.in. z jego podróżą do Ziemi Świętej. To doświadczenie bycia TAM najwyraźniej odzwierciedla się w cyklu wierszy „Z przewodnika do Ziemi Świętej", o którym Jan Wyrwas napisał w przypisach komentujących i dopełniających zamieszczone wiersze: *„Te siedem fragmentów rozproszonych w całości, a objętych tym samym tytułem, wymaga wprowadzenia. Inspiracją do ich napisania były różne źródła, wszystkie rzeczywiste. Można powiedzieć, iż potrzeba Przewodnika towarzyszyła mi od początku do końca tej poetyckiej podróży (...)*

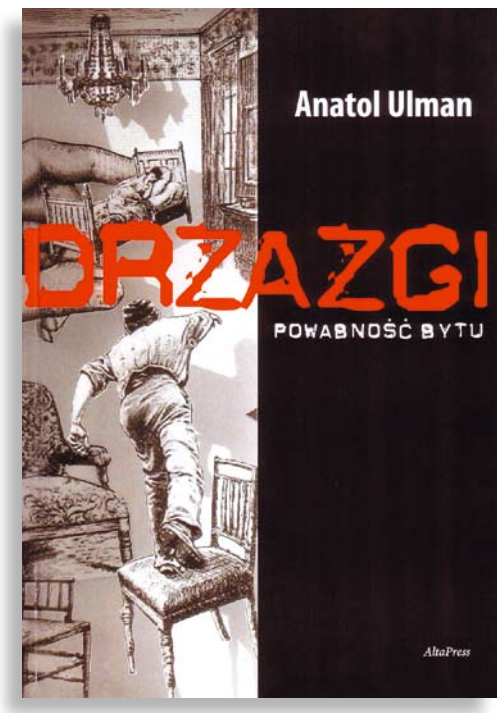

Anatol Ulman, Drzazgi. Powabność bytu.
Wydawnictwo: Alta Press, Koszalin 2008.

Jan Wyrwas od wielu lat jest w owej swoistej podróży po świecie Sztuki, Wartości i Idei, odrzucając kolejne, podejmowane przez siebie zadania twórcze: nie jestem już reżyserem – odcina się od swych doświadczeń teatralnych; te najwcześniejsze związane były ze studenckim teatrem JER, który stworzył i z sukcesami prowadził w Wyższej Szkole Inżynierskiej (dzisiejszej Politechnice Koszalińskiej), gdzie zresztą ukończył studia, co, znając późniejsze losy Jana, wydawać się może co najmniej dziwne. Jako „mgr inż." podjął studia filozoficzne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W roku 1984 r. objął kierownictwo artystyczne w Teatrze Propozycji „Dialog", gdzie m.in. stworzył wartościowe inscenizacje tak znaczących dzieł literackich, jak Michaiła Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata" oraz Ursuli le Guin „Czarnoksiężnik z Archipelagu".

Dziś Jan Wyrwas ma za sobą poetycki debiut, wzbrania się jednak mówić o sobie, że jest poetą. A przecież ów debiutancki tomik stanowi doskonałą przepustkę na poetycki Parnas. Podobnie jednak Jan Wyrwas nie lubi, by nazywać go filozofem, godząc się raczej na miano teoretyka idei.

Na pewno nie leżałoby w twoich intencjach dodawać swój głos do chóru pień, niby to wielbiących Matkę Boską, a naprawdę używanych do niecnego, politycznego celu. (...) każdy nasz wiersz wpada w dany układ odniesień i ma takie czy inne następstwa. Nie przypuszczam, żeby w perspektywie wieczności stało się to zupełnie obojętne. Możesz więc pojąć moje wahania. Wobec języka Ewangelii, służącego do maskowania narodowościowych fobii, wobec krzyża zmienionego w znak nienawiści chwilami wydaje mi się, że wydawanie poezji katolickiej w Polsce jest zajęciem nie tylko zbędnym, ale i szkodliwym. Zaraz jednak so-

bie mówię, że ty, uprawiając swoją teologię na domowy użytek, byłaś samotną duszą przemawiającą do dusz samotnych. Te może gdzieś są i do nich twoje słowa trafią – pisał Czesław Miłosz do Denise Levertov, której wiersze z języka angielskiego tłumaczył na język polski (Czesław Miłosz, Przekłady poetyckie, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005). Nie bez powodu przytaczam słowa Noblisty i przywołuję mało w Polsce znaną twórczość Denise Levertov, Jan Wyrwas bowiem rozmawiając o swojej poezji chętnie powołuje się na powinowactwo duchowe, które przejawia się m.in. w pozostawianiu pewnych myśli czy idei w stanie „przed słowami" – stanie potencji, domysłu... Czy jest to przemawianie jednej samotnej duszy do innych samotnych dusz – niech rozstrzygną czytelnicy.

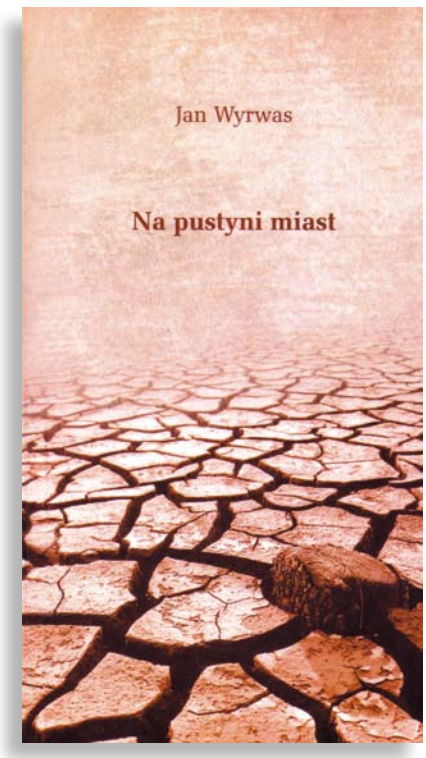

Jan Wyrwas, Na pustyni miast,
Wydawnictwo: Alta Press, Koszalin 2008.

Jan Wyrwas

Postscriptum

Na pustyni jak na pustyni miast
spotkasz pokuszenie i spór
(hebrajskie: massa *i* meriba*)*
poznali to dobrze Izraelici

to się powtarza
zawsze nieskończenie

Może mieć kształt młodej kobiety
gibki giętki jak łuk i strzała Erosa
która trafia prosto – w serce albo oczy

(dowiesz się, że tyrania Erosa jest najgorsza
[z możliwych)

Lepsza już walka w otwartym polu
w towarzystwie heksametru homeryckiej pieśni
nawet jeśli zmaganie będzie trwać do świtu

to się powtarza
zawsze nieskończenie

Stamtąd jest tylko jedna droga ślad
jak skamieniały ślad człowieka którego
[widziałem w Jeruzalem Museum

sprzed wielu tysięcy lat

skulony do serca przytulony
chłopiec mężczyzna starzec
nie rozróżnisz – na zawsze ten sam

Psalm Jubileuszowy ze św. Pawłem Apostołem

Papież Benedykt XVI 28 czerwca 2007 roku, w przeddzień uroczystości świętych apostołów Piotra i Pawła, ogłosił w Bazylice św. Pawła za Murami Rok Św. Pawła, który będzie obchodzony w Kościele od 29 czerwca 2008 roku do 28 czerwca 2009 roku". Bezpośrednim powodem ogłoszenia tego jubileuszu jest dwutysięczna rocznica urodzin Apostoła Narodów – pisze Marcin Konik-Korn we wprowadzeniu do przepięknie wydanego przez krakowski Dom Wydawniczy „Rafael" albumu „Rok świętego Pawła". – *„Nie tylko przykład życia św. Pawła jest istotny w przeżywaniu tego jubileuszu. Benedykt XVI zwrócił uwagę na jego ekumeniczny charakter. Polega on na tym, że św. Paweł głosił Ewangelię wielu narodom (…) Apostoł szczególnie zabiegał o zgodę wszystkich chrześcijan i jednał różne stronnictwa w Kościele. (…) Wyrósłszy z kultury helleńskiej, ten żydowski fanatyk został porażony przez Jezusa światłością Ewangelii. Połączywszy w swoim umyśle znajomość grecko-rzymskiej kultury i wiarę w jedynego Boga, stał się nadzwyczaj skutecznym narzędziem chrystianizacji.*

Wśród pomieszczonych w albumie tekstów jest modlitwa „Paweł Apostoł Chrystusa", „Psalm jubileuszowy ze św. Pawłem Apostołem Chrystusa" oraz „Tryptyk śródziemnomorski ze św. Pawłem" autorstwa ks. Henryka Romanika, księdza-poety mieszkającego w Koszalinie i tu sprawującego duchową i religijną opiekę nad środowiskiem artystycznym. Dodajmy, że kolejny już raz ks. Henryk uczestniczy w przedsięwzięciu wydawniczym ważnym nie tylko z punktu widzenia życia Kościoła.

Album „Rok świętego Pawła" został wydany nie tylko z dbałością o SŁOWO, ale także o szatę edytorską. Pomieszczone tu teksty zostały bogato zilustrowane fotografiami z Bazyliki św. Pawła za Murami w Rzymie oraz licznymi reprodukcjami dzieł malarskich poświęconych św. Pawłowi. Książkę uzupełnia płyta CD, na której listy: do Galatów, Efezjan, Filipian i Kolosan czytają aktorzy Starego Teatru w Krakowie. Jest też edytorski „rarytasik" – książeczka „Módlmy się ze św. Pawłem".

Nie tylko nobilitującą obecnością w albumie

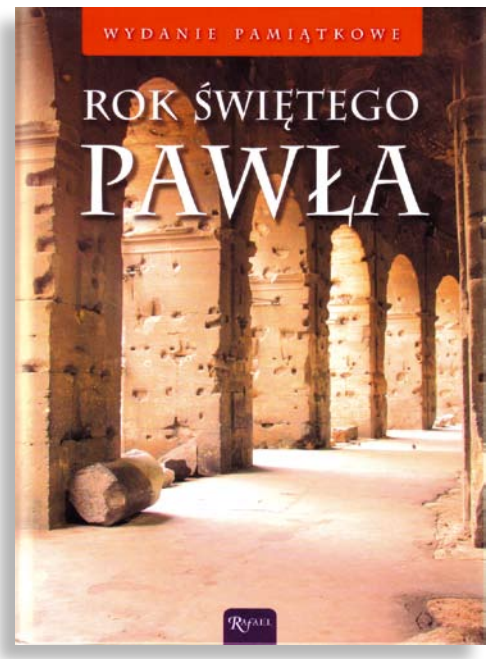

Rok świętego Pawła, redakcja Anna Kendziak, Dom Wydawniczy „Rafael", Kraków 2008.

„Rok św. Pawła" ks. Henryk Romanik w roku 2008 zaistniał w życiu religijnym i – bardzo mocno - na rynku wydawniczym. Nakładem tego samego wydawnictwa „Rafael" ukazał się bowiem – stając się natychmiast bestsellerem – „Modlitewnik za wstawiennictwem Jana Pawła II": *Pierwszy modlitewnik z obszernym zbiorem modlitw za wstawiennictwem Sługi Bożego Jana Pawła II. Opracowany przez ks. prof. Henryka Romanika, ze wstępem ks. arcybiskupa Kazimierza Nycza, metropolity warszawskiego i przewodniczącego Komisji Episkopatu Polski do Spraw Wychowania. Wśród tekstów proponowanych w modlitewniku znajdą Państwo m.in. modlitwę Anioł Pański, koronkę do Miłosierdzia Bożego, rozważania różańcowe, przygotowanie do spowiedzi świętej, refleksje o stacjach drogi krzyżowej, modlitwę za ojczyznę, modlitwy rocznicowe - osobiste dziękczynienia za sakramenty i związane z życiem Jana Pawła II, litanię do świętych szczególnie bliskich papieżowi, litanię rodzinną do Bożej Opatrzności czy nowennę o Kościele u progu trzeciego tysiąclecia. Książkę rozpoczyna modlitwa o beatyfikację Sługi Bożego Jana Pawła II* – czytamy w rekomendacji Księgarni Mateusza, która prowadzi internetową sprzedaż książek.

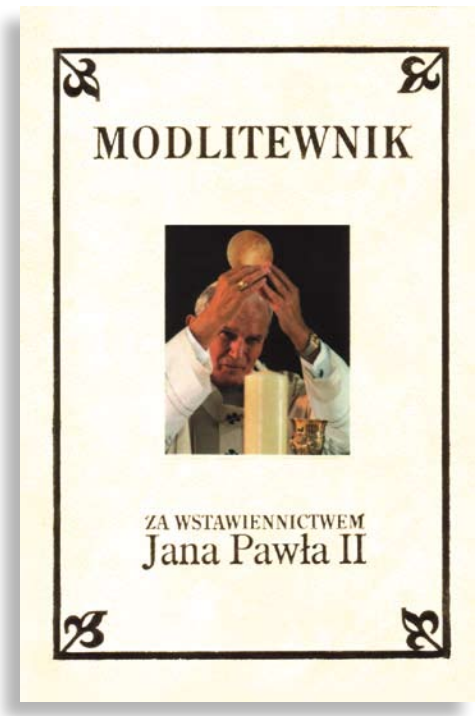

Modlitewnik za wstawiennictwem Jana Pawła II, opr. ks. Henryk Romanik, Dom Wydawniczy „Rafael", Kraków 2008.

„Cisza wie”
Liliany Abraham Zubińskiej

Liliana Abraham Zubińska (urodzona w 1964 roku w Szczecinku), poetka i prozaiczka, krytyk literacki. Publikowała między innymi w czasopismach: „Akant”, „Akcent”, „Arkusz”, „Dedal”, „Dziś”, „Fraza”, „Ikar”, „Metafora”, „Mimoza”, „Sycyna”, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”, „Twórczość” i litewski „Nasz Czas”. Jej wiersze i teksty krytyczno-literackie publikowane były także w licznych almanachach. W latach 1998-1999 była członkiem zespołu redakcyjnego ogólnopolskiego miesięcznika literackiego „Akant”, wydawanego w Bydgoszczy. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.

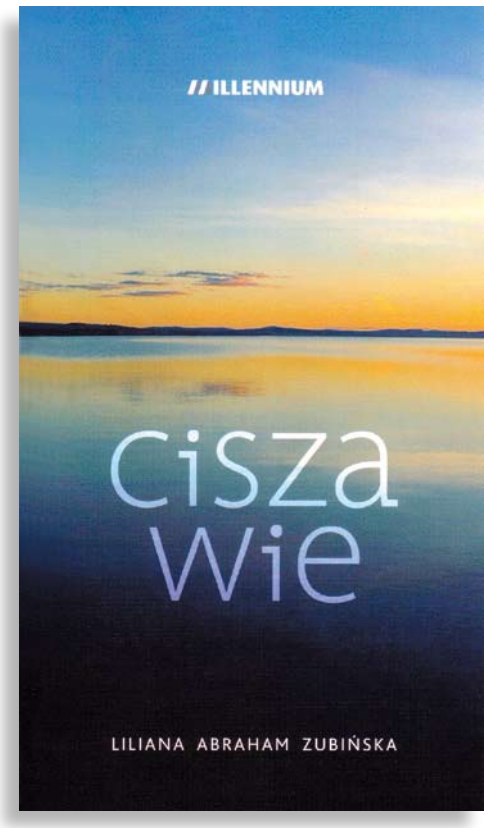

Dotychczasowe publikacje książkowe:
„Z klamką w dłoni” (zeszyt poetycki) – Złotów 1985,
„Mech jest zielony” – Piła 1997,
„Głogi i wrzosy” – Bydgoszcz 1998,
„Wtajemniczenie” – Kielce 2007.

O wierszach zebranych w najnowszym tomiku „Cisza wie” wydawca napisał: *Delikatną a jednocześnie wyrazistą kreską poetka maluje wewnętrzny pejzaż zakochanej kobiety, mieniący się wszelkimi odcieniami miłości, tęsknoty i subtelnej zmysłowości. Łagodna nostalgia nasycająca poetyckie strofy, oryginalność metaforyki oraz klarowność i przejrzystość literackiego przekazu składają się na refleksyjną podróż po świecie pełnym ciepłych emocji.*

Niecierpliwość

Kiedy na mnie patrzysz
Nie wiem jak chwalić ciemność
Bo ustępuje miejsca światłu,
Ciszę, bo poprzedza dźwięk twojego głosu

Gdy nadchodzisz
Wszystko wokół jest niecierpliwością.
Najpiękniejsze chwile
- nasłuchiwanie Twoich kroków.

Tak, pewna jestem, że to Ty.
Nikt inny nie roznieca tyle ciepła
W środku zimy.

Liliana Abraham Zubińska, „Cisza wie”, Wydawnictwo Millennium Bogdan Gutkowski, Koszalin 2008.

„AFA”
Ryszarda Ulickiego

Ryszard Ulicki znany jest jako autor kilkuset tekstów piosenek ze słynnymi „Kolorowymi jarmarkami” na czele, tomików poetyckich i prozy.

Jego ostatnią powieścią jest „ AFA” (Aurum - Ferrum - Argentum), w podtytule określona jako fikcja polityczna. „AFA” to utwór sensacyjny, którego akcja *rozgrywa się w polskich realiach końca XX wieku. Książka wpisuje się w powszechny dziś na całym świecie renesans zainteresowania kryminałami z pogranicza fantazji i rzeczywistości, których nakłady w ostatnich miesiącach przekroczyły poziom z okresu tłustych lat klasyki tego gatunku w XX wieku* – czytamy w rekomendacji wydawcy, zamieszczonej na okładce książki.

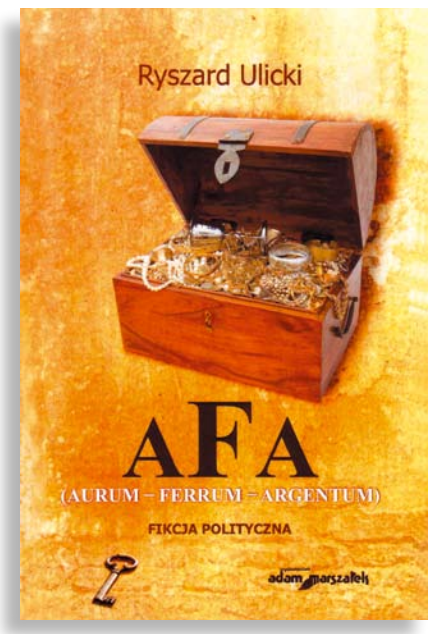

Ryszard Ulicki, „AFA (Aurum - Ferrum - Argentum). Fikcja polityczna”, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008.

„19 bułeczek”
Jerzego Żelaznego

Jerzy Żelazny jest prozaikiem, autorem powieści i zbiorów opowiadań. Mieszka w Polanowie, jest członkiem koszalińskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

„19 bułeczek” to dziewiętnaście opowiadań osadzonych w realiach prowincjonalnego miasteczka, zamieszkanego przez prowincjonalnych ludzi: magistrów, burmistrzów, referentów, panie „w wieku różańcowym” i kuszące emanującym erotyzmem sekretarki.

O książce czytamy na okładce, że „przyjemna w czytaniu” i „przeznaczona dla czytelników dorosłych”.

Jerzy Żelazny, „19 bułeczek”, Wydawnictwo „Feniks”, Koszalin 2008.

Anna Marcinek -Drozdalska

Dobra Nowina bez sutanny

Spotkanie z Szymonem Hołownią

Szymon Hołownia był gościem Koszalińskiej Biblioteki Publicznej 4 grudnia. Okazją do spotkania z nim była wydana ostatnio trzecia już jego książka „Ludzie na walizkach". Inicjatorem zaproszenia do Koszalina redaktora programowego TVP Religia był ksiądz Roda, katecheta Zespołu Szkół przy ul. Jedności, pomysłodawca akcji „Sposób na życie". O Szymonie Hołowni było cicho, dopóki nie zaczął prowadzić w TVN – wraz z Marcinem Prokopem - programu „Mam talent". Właśnie przypomnienie tego faktu rozpoczęło dość burzliwą rozmowę księdza Krzysztofa Jaślarza z młodym (32 lata) redaktorem, współpracującym z Neewsweekiem.

Jego zdaniem nie ma żadnej sprzeczności w tym, że praktykujący katolik, dwukrotny seminarzysta, pracownik programowy telewizyjnego kanału poświęconego religii bierze udział w komercyjnym, i co tu ukrywać, dość niskich lotów, programie rozrywkowym. Skoro miliony Polaków uczestniczą w życiu religijnym i miliony oglądają telewizyjne produkcje, jest rzeczą oczywistą, że grupy tych osób wzajemnie się zazębiają i nie ma w tym nic nagannego. Tym samym „poważny" redaktor może też udzielać się w „niepoważnym" programie.

Szymon Hołownia jest laureatem wielu nagród dziennikarskich, w tym za oryginalną literaturę religijną, pisaną z zaangażowaniem, lecz jednocześnie językiem lekkim i dowcipnym oraz za nowatorski i atrakcyjny, a przy tym głęboki i otwarty na nowe prądy umysłowe sposób prezentowania i komentowania spraw religii i kościoła, uwzględniający wrażliwość młodego pokolenia Z takiego podejścia wynika krytyczny często, lecz wyważony, powściągliwy i bardzo kulturalny osąd zjawisk we współczesnym życiu religijnym. Szymon Hołownia patrzy nie tylko krytycznie, ale także życzliwie, współczesnym językiem odpowiada na często skostniałe i bombastyczne sformułowania kleru. Poetyka kazań, które przytaczał często na spotkaniu, doprowadziła do wspaniałej wymiany zdań z księdzem Jaślarzem, który „kupił" ten pomysł i słowna „bitwa" przerodziła się we wspaniałą żonglerkę słowną ku uciesze licznie zgromadzonej publiczności. Szczególnie żywo reagowała młodzież, dla której taki sposób opowiadania o kościele oraz jawna deklaracja własnej religijności jest czymś nowym. Szymon Hołownia o wierze i przywiązaniu do kościoła mówi naturalnie, nie wpada ani w patos, ani w zażenowanie. Środowisko jego znajomych traktuje to jako rzecz oczywistą.

Dla Hołowni oczywiste jest także przekonanie, że każdy wierny winien troszczyć się o Kościół, a to znaczy – reagować na te zjawiska, które niepokoją, budzą sprzeciw, poruszają. Najłatwiej jest potakiwać i milczeć, lecz taka droga jest dla niego nie do przyjęcia. Życzliwa krytyka, będąca wynikiem zaangażowania w sprawy współczesnego Kościoła, jest niezbędna do tego, aby każdy z wiernych czuł się współodpowiedzialny za jego kształt. Obce Hołowni jest przy tym zacietrzewienie, zamknięcie na dialog,

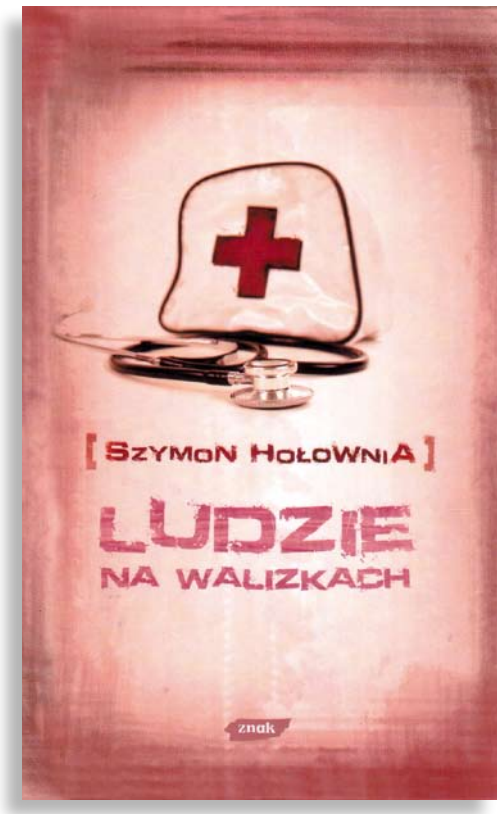

Szymon Hołownia, Ludzie na walizkach
Wydawnictwo „Znak".

przekonanie o jedynej prawdzie, na którą tylko MY mamy patent.

Z pogłębionych studiów nad sprawami współczesnego kościoła powstała książka „Kościół dla średnio zaawansowanych", swoisty hasłowy przewodnik w sposób przystępny przedstawiający wiele problemów związanych z życiem kościoła jako instytucji – oraz z życiem wiernych, będących przecież członkami tego kościoła. Nie jest to katechizm, lecz swobodna wędrówka wokół problemów, które bliskie są każdemu katolikowi.

Druga książka Hołowni – „Tabletki z krzyżykiem" - porusza się swobodnie po tematach doczesnych i ostatecznych, sięga do dziejów biblijnych, odnosi się do dogmatów katolickich. Jest obrazowa, przystępna i uspokajająca – jak tytułowe „tabletki z krzyżykiem", które uśmierzają ból - rozwiewa liczne, a dolegliwe, wątpliwości, lęki i obawy, odpowiada na pytania, które wielu katolików chciałoby postawić, ale się wstydzi. To książka zarówno dla tych, którzy wiedzą dużo, a chcieliby dowiedzieć się więcej, jak i dla tych, którzy dopiero zaczynają poszukiwanie odpowiedzi na nurtujące wątpliwości. „Tabletki z krzyżykiem. Pierwsza pomoc w lękach związanych z Bogiem, końcem świata, czyśćcem i duchami" to niezwykła na polskim rynku literatura religijna - współczesna, świeża, zaskakująca, która o trudnych tematach mówi nowocześnie, zrozumiale, obrazowo - i często dowcipnie.

Pretekstem do spotkanie w bibliotece była ostatnia książka Szymona Hołowni „Ludzie na walizkach". To rozmowy z współczesnymi Hiobami, ludźmi bardzo ciężko dotkniętymi przez los cierpieniem własnym lub najbliższych. To także rozmowy o niezwykle trudnych wyborach moralnych. Rozmówcami dziennikarza byli lekarze, rodzice po stracie dzieci, ofiary wypadków. Każdy z nich opowiadał własną historię cierpienia, a Hołownia z wyczuciem kierował rozmowami, zadawał trudne pytania i przede wszystkim słuchał. To książka dla tych, którzy potrzebują wsparcia, pytają o sens cierpienia, buntują się, złorzeczą… Rozmówcy Hołowni dają wspaniałą lekcję, jak żyć, jak oswajać cierpienie, choć doskonale wiedzą, że nie ma jednej, sprawdzonej recepty.

Spotkanie z Szymonem Hołownią, gawędziarzem i showmanem nawet na scenie biblioteki udowodniło twierdzenie, do którego on sam doszedł po rezygnacji z nowicjatu – że nie trzeba nosić sutanny, by głosić Dobrą Nowinę.

Marek Wawrzkiewicz w Koszalinie

24 i 25 stycznia na zaproszenie Bałtyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej, redakcji „Miesięcznika" oraz Koszalińskiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie gościł Marek Wawrzkiewicz, poeta, dziennikarz, animator kultury, tłumacz, prezes Związku literatów Polskich.

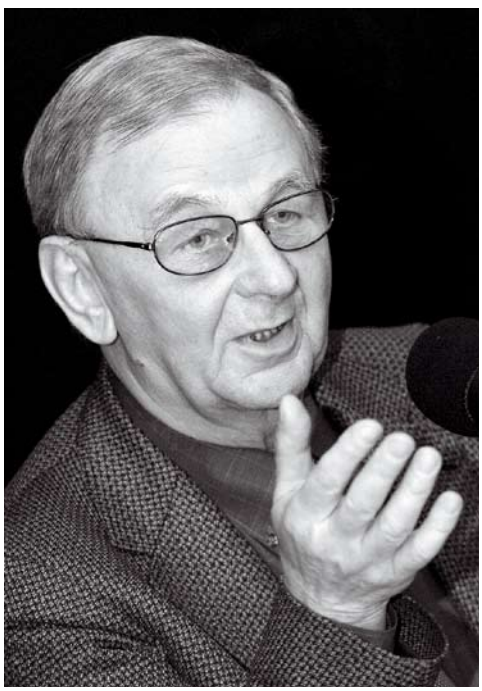

Marek Wawrzkiewicz przejawia umiarkowany optymizm, rozważając kwestię miejsca literatury we współczesnym świecie.

fot. Ilona Łukjaniuk

Koszalinianie mieli możliwość uczestniczyć w dwóch spotkaniach z Markiem Wawrzkiewiczem: to w Koszalińskie Bibliotece Publicznej, ozdobione prezentacją fragmentów jubileuszowego tomiku „Światełko" w znakomitej interpretacji aktora Teatru Propozycji „Dialog" Jerzego Bokieja – było typowym spotkaniem autorskim, nic przeto dziwnego, że uczestniczyło w nim wielu przedstawicieli lokalnego środowiska literackiego.

Drugie spotkanie – w murach BWSH – inaugurowało kolejną edycję Bałtyckiej Wszechnicy Humanistycznej i poświęcone było próbie zweryfikowania hipotezy zawartej w pytaniu: czy następuje koniec książki? Marek Wawrzkiewicz, charakteryzując aktualny stan czytelnictwa w naszym kraju, podjął także wiele kwestii dotyczących sytuacji pisarza we współczesnym świecie, a przede wszystkim w Polsce.

Zdaniem prezesa ZLP z dokonanej diagnozy nie wynikają zbyt pesymistyczne wnioski. Pomimo bardzo niskich nakładów polska poezja ma się dobrze i obok amerykańskiej zajmuje czołową pozycję w światowym rankingu. To przecież w Polsce do niedawna żyło dwoje noblistów. Nie tylko oni jednak wyznaczają najwyższy poziom artystycznych aspiracji, którym przyszło się skutecznie zmierzyć ze społecznymi i kulturowymi przemianami przełomu wieków. (...)

Opracowanie: Małgorzata Kołowska

Koszalinianie w almanachu „Wokół Słowa”

W 2008 roku, w Kołobrzegu ukazał się almanach „Wokół Słowa”, w dużej części poświęcony mieszkającym w Koszalinie pisarzom: Czesławowi Kuriacie, Anatolowi Ulmanowi i Elżbiecie Juszczak – by zacząć od twórców w takiej właśnie kolejności rekomendowanych już na okładce wydawnictwa, a także poetkom Ludmile Janusewicz i Krystynie Pileckiej oraz prozaikom Jerzemu Żelaznemu i Józefowi Narkowiczowi.

„Wokół Słowa” – trzeci almanach Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów i środowiska „Herbertiady” w tym roku otworzył swoje łamy dla twórców zrzeszonych w koszalińskim oddziale Związku Literatów Polskich. Wspólne wydawnictwo jest czymś naturalnym, bowiem pięcioro kołobrzeżan to wieloletni członkowie ZLP. Inni autorzy, których Państwu przedstawiamy, stoją na początku literackiej drogi i z wielkim niepokojem oczekują spotkania z czytelnikami. (…)

Spośród poetów, których teksty drukujemy, pozwalam sobie zarekomendować Państwu koszalińską poetkę Elżbietę Juszczak i jej znakomite wiersze z tomu „Pasterze dolin”, który wkrótce się ukaże, oraz nowe, refleksyjne, mądre utwory Czesława Kuriaty, nestora koszalińskich twórców. Prozaicy to kołobrzeżanin Piotr Bednarski, wracający do swoich dawnych, najlepszych realizacji (opowiadanie „Grudka bursztynu”) i Anatol Ulman, nominowany w 2008 roku do nagrody literackiej Gdynia w kategorii prozy, w almanachu prezentujący swoją finezyjną, pełną intelektualnej ironii prozę. (…)

Ostatnie jej strony zajmuje szkic Józefa Narkowicza, przypominający historię koszalińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Jest ona częścią historii Ziemi Koszalińskiej, świadectwem przemian kulturowych, wrastania i rozwoju społeczeństwa Pomorza środkowego. W zestawieniu z prawie półwieczem oddziału ZLP, dziesięcioletnia historia Stowarzyszenia Poetów Kołobrzeskich wydaje się niezbyt imponująca. Ale jeśli porównać ją z trwałością i dorobkiem słupskiej „Meduzy” czy kołobrzeskiej „Redy”, to kto wie… Ale o Stowarzyszeniu Kołobrzeskich poetów więcej w przyszłym roku jubileuszowym. – gościnność kołobrzeskich łamów literackich wobec kolegów z Koszalina tłumaczy we wstępie do publikacji Eugeniusz Koźmiński, stojący na czele Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów.

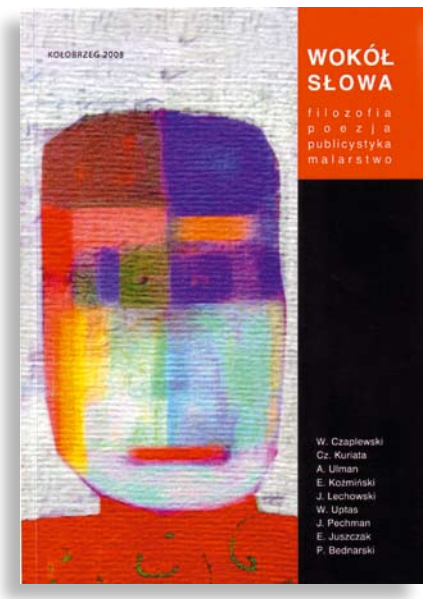

„Wokół Słowa”, Biblioteka „Herbertiady” i Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów. Wydanie 4/2008 r.

SZTUKA I ARCHITEKTURA

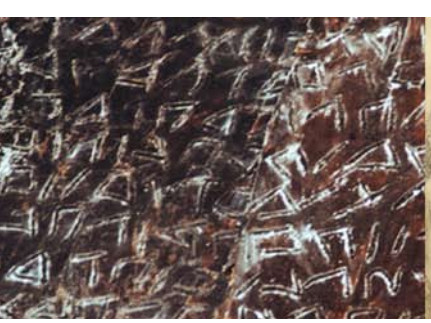

Janusz Zagrodzki

Odnajdywanie i nadawanie znaczeń

Zdolność poznawcza umysłu w pracy artystycznej współdziała z intuicją, a jednym z czynników decydujących o wpływie, jaki wywierają na odbiorców poszczególne realizacje, jest umiejętność wskazywania istniejących między nimi zależności. Zawarte w procesie twórczym wahania i wątpliwości, potrzeba formułowania pytań i w konsekwencji szukanie na nie odpowiedzi, wskazują na motywy dociekań artysty. Znaczenia mogą ujawniać się jedynie w kontekście sztuki pojmowanej jako całość, podczas gdy poszczególne dzieła same w sobie są tylko narzędziami, bardziej lub mniej precyzyjnymi instrumentami badawczymi, umożliwiającymi przybliżenie artystycznych wartości.

Łączenie oddziaływania znaków, wyodrębnianie ich zbliżonych właściwości, z powodzeniem można nazwać poszukiwaniem uniwersalnego języka. Przedstawiane kolejne dzieła mogą być traktowane w sposób zbliżony do mowy, a ich odrębną właściwością jest to, że wyrażają ideę poprzez wywoływanie określonych skojarzeń. Konkluzją tego stwierdzenia, często przytaczanego przez strukturalistów, Claude`a Levi-Straussa ale również przez Rolanda Barthesa, jest uznanie sztuki za system znaczący lub też zbiór znaków możliwych do interpretacji. Twórczość traktowana jako język porozumienia z odbiorcą może przerodzić się w wieloletni dialog prowadzony ze współczesnością. Dyskurs artystyczny Elżbiety Kalinowskiej kontynuowany już od niemal trzydziestu lat jest dialogiem pełnym nieoczekiwanych rozwiązań, któremu nie zbywa ani na spontaniczności, ani na rygorze.

Autorka dokonuje odprzedmiotowienia własnej twórczości. Jej prace są żywiołowe, nerwowe, a spontaniczne gesty obdarzone siłą wyrazu, pełnią ekspresji. Przykłada ona szczególną wagę do emocjonalnego, zmysłowego sposobu działania. Wykreowane przez nią kształty i znaki tworzą odrębny język, bez próby wiązania go ze światem pozorów istniejącej rzeczywistości. Wyrafinowane kolory, żywą zieleń, czerwień i żółć zmienia w odmiany czerni, bieli i szarości. Redukując barwę w swoim malarstwie, przekształca je w uporządkowane zapisy, kreślone na jednorodnym polu barwnym. Powstanie obrazu poprzedzają liczne szkice, decydujące o precyzji ustawienia znaków wynikających z pierwszej inspiracji. Ale w miarę konkretyzowania istniejącego koncepcyjnie obrazu, wizja ulega przeformowaniu, wyznaczając inne ważne cele w zamierzonej serii działań. Pierwotny zamysł, transponowany w inny wymiar, poza obraz, doprowadza do przemiany kształtowanych wnętrz czy płaszczyzn o różnorodnej materii.

Artystka przeobrażając przestrzeń układami znaków, wpisuje w nią swobodę wyrażania zmiennych stanów emocjonalnych, odczucie radości, wzburzenia, melancholii lub wewnętrznego spokoju. Subtelna organiczność kształtów, prostota formy, wzajemny związek wszystkich elementów umożliwiają intymny odbiór i indywidualne odczytywanie tego osobistego języka. Tajemnicze inskrypcje, kreślone lub wydrapane w pośpiechu, ujawniają predyspozycje duchowe nadawcy, przywołują myśli ujęte w formę znaku. Kolejne gesty, linie, a czasem figury geometryczne, trójkąty, piramidy, nakła-

dają się na szeregi ekspresyjnych zapisów. Różnicują treść wizualną, powodując konieczność ponownego rozpoznawania znaków układających się w coraz to nowe teksty dalej rozwijającego się języka. Nawiązują kontakt z widzem odnajdującym w zmysłowych strukturach własne, intymne odczucia.

Zespoły znaków, które nazywam zapisami, powstają w określonym czasie i przestrzeni – pisze artystka – *są wyzwoleniem myśli i wyobraźni… »Znak-rysunek«, odbijany, malowany, wydrapywany, w swoich nagromadzeniach stanowi milczącą partyturę do odczytania… istotą jest akcja, ruch ręki.* Autorka prowadzi pełen ekspresji dialog z wrażliwością odbiorcy, w którym rolę wizualnych argumentów spełniają jej kolejne dokonania. Proces malowania cechuje swoboda układu znaków, wyzwalanych rytmów, ich szczerą emocję można odczuć niemal w każdym dziele. W pracach zawartych między „Znakiem a przestrzenią", dokonała syntezy własnych zapisów, uczyniła z nich coś na kształt mowy, wypowiadanej z pasją i uczuciem, o rzadkiej sile wyrazu.

Twórczość Kalinowskiej można porównać do starożytnych dzieł rękopiśmiennych, inkunabułów ujawniających teksty nieznanej cywilizacji. Poszczególne karty, malowane na płótnie lub wykonane z wosku, pokryte pismem o rysunku porównywalnym do znaków runicznych, składają się na księgi ciągle rozszerzające swą zawartość. Pierwsza – „Księga przeszłości", o ciemnych stronach z naturalnego wosku, spojonych zatopioną wewnątrz tkaniną (juta), przekazuje odciski tablic, wyobrażenia spisanych niegdyś najważniejszych wydarzeń. Artystka nazywa je *zanurzeniem w wieki ludzkości, archeologiczną wyprawą do dawnej sztuki, do pierwszych kreacji i ich świadectw*. Następna – „Księga pamięci", której przezroczyste karty (z wosku, parafiny

Modlitwa, Cerkiew w Dubiecku, 2007. fot. Ryszard Motkowicz

i pigmentu) w kolorze zbliżonym do pergaminu, na powierzchni pokrytej znakami nanoszonymi bezpośrednio metalowym rylcem, zawierają wewnątrz zatopione teksty, fotografie, rysunki wykonane tuszem na kalce. Tak przygotowany zapis stał się odbiciem świata dziecięcych wyobrażeń. *Odkrywam miejsca, które posiadają naturalne skupienia energii* – mówi autorka. *– Często sięgam do tego laboratorium dzieciństwa, w którym jak na czarodziejskiej mapie zaznaczone są miejsca ukrytych skarbów.* Ostatnia – „Księga obecności", również z przezroczystego wosku, *jest dokumentacją moich kreacji* – jak pisze Kalinowska – *zaświadcza o mojej obecności w wielu miejscach poprzez znak, ujawnia przeżycia i wydarzenia, jest niezbywalną częścią mojej prywatności.* Wśród ułożonych strefowo inskrypcji odnajdujemy ideogramy – rysunki rozpoznawalnych przedmiotów (stół, trumna, futerał) czy też wizerunki ludzi, ptaków (trudnych do jednoznacznej identyfikacji): *tworzą one konstrukcje rysunkowe, energetyczne, subtelne skojarzenia, odbierane na drodze wrażeń zmysłowych.*

W swojej twórczości artystka stara się określić miarę człowieczego istnienia poprzez przekaz umożliwiający stopniowe poznawanie zarówno tego, co uniwersalne, jak i cech indywidualnych. Prostota użytego języka potęguje poetykę i znaczenie przekazu. W ułamkach potrzaskanych tablic zawarte są być może najważniejsze przesłania, zapiski głęboko skrywanych pragnień, intymnych doznań. Pytania i odpowiedzi, których głęboki sens dopiero rozpoznajemy. Zaczytane karty inkunabułów ulegają rozpadowi, łamią się na drobne kawałki. Lecz przekaz nie staje się przez to mniej czytelny. Autorka jak wytrawny archeolog przechowuje dla potomnych zachowane fragmenty znaków, zabezpieczając te urywki, jako świadectwa istnienia, swoiste relikwie niepoznanej jeszcze do końca egzystencji. Ich wymowę dookreślają tylko czas i przestrzeń, miejsca, w których zostają ujawnione. Układ i budowę znaków można odczytywać na różne sposoby, odnajdywać w nich przekaz myśli i zapis percepcji wzrokowej, składających się na epistemologiczną przestrzeń, wykładnię człowieczych sposobów poznawania kultury. Wypełnione szeregami następujących po sobie inskrypcji otwarte księgi, rozrzucone na stołach karty, zawieszone w przestrzeni nieregularne cząstki tablic, określają kategorię myślenia i sposób odbierania rzeczywistości. Nie jest ważne, czy według niego da się obiektywnie zrekonstruować obraz świadomości. Artystki nie interesuje takie wykorzystywanie zapisów. Traktuje je jak ponadczasowe ślady, także i swojej tożsamości. Ale właśnie te coraz bardziej pokruszone, zniszczone ułamki intymnych doznań i osobistych manifestacji, podkreślają istotę komunikatu, która ujawnia się w indywidualności przekazu.

Większość realizacji Kalinowskiej powstałych w ostatnich latach ma charakter efemeryczny. Główną formą wypowiedzi stają się instalacje, a także performance, gdzie teksty i znaki, na równi z innymi symbolicznymi przedmiotami są podstawowymi środkami oddziaływania. Sztuka pojmowana jako forma medytacji wymaga intymnego, osobistego kontaktu. Stąd zwrot w kierunku instalacji, gdzie oznaczony obiekt pełni rolę środka porozumienia, umożliwiającego również wyzwalanie aktywności widzów, a przemyślane zapisy-gesty dopełniają istotę przekazu. Wskazując na zawarty w nich sens artystka wywiera wpływ na uczestników zdarzenia, przekształca obszar coraz dalej rozwijającego się dyskursu.

Ważną instalacją, odwołującą się bezpośrednio do procesu kształtowania myśli, był „Testament Rolanda Barthesa" (2006), przedstawiony w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu, wyrażony poprzez „Tablicę", podkreśloną świetlistą bielą, wyróżniającą się spośród zbioru innych ikonicznych zapisów. Właśnie dzieło tego myśliciela uznała artystka za swoją „Ikonę podróżną". Interpretując jego przesłanie odwołuje się do momentu przekraczania trudno uchwytnej granicy między życiem a sztuką, gdzie wytworzony przez człowieka „kod kulturowy" po-

szczególnych znaków przestaje już obowiązywać, ustępując miejsca niczym nie ograniczonej przestrzeni sztuki.

W kolejnych pracach autorka rozszerza swoje zainteresowania o zapisy video, wykorzystując je do śmiałych, niemal symbolicznych przekształceń instalowanej na nowo przestrzeni. „Modlitwa" (2007), połączona z projekcją multimedialną w cerkwi w Dubiecku, otwiera nowy sposób przekazywania odbiorcom ważnych zapisów graficznych. Pochłaniany przez architekturę świątyni, płynący ku prezbiterium strumień znaków, można odebrać jako skierowaną ku Najwyższemu niekończącą się litanię, złożoną z pochwalnych inwokacji, z którą identyfikują się umysły widzów. Przekaz kumuluje energię światła, a zarazem staje się wizualnym objawieniem stanów duchowych.

Kalinowska precyzyjnie wybiera przestrzeń stanowiącą oprawę jej przyszłych zapisów czy też instalacji. Wyborom miejsca zawsze towarzyszą silne doznania natury emocjonalnej, układające się w rozwijany w przestrzeni układ znaków. Energia, przełożona na linie, punkty i gesty, określa kreację graficznego porządku, pełnego dynamicznych form. Artystka odkrywa dalsze specyficzne cechy powołanych do istnienia struktur, modelując jedyny w swoim rodzaju, osobisty język. Instalacje stają się podróżami w nieskończoność, podczas których tylko ramowo określa czas i przestrzeń, nadaje tworzonym *kaligramom* wzajemne sprzężenia. Mimo, że liczba możliwych stanów ekspresji wytworzonych kształtów wydaje się być nieograniczona, to jednak w każdym z poszczególnych „tekstów" zawarte są właściwości stylu autorki. Jej osobowość naznacza przekazy, które stają się czymś rozpoznawalnym, jak charakter pisma.

Zapisy Elżbiety Kalinowskiej, pokrywające wybrane płaszczyzny, tworzą zawsze krystaliczną strukturę, mimo odmienności określanych przestrzeni. W przeciwieństwie do znanych już metod interpretowania, ograniczających się do powierzchownego ujawniania wielokrotnie już powielanych cech, sposób penetrowania materii, odkrywany w dziełach artystki, prowadzi daleko głębiej, nadaje im wymiar duchowy. I chociaż autorka podejmuje badanie obszarów w dużej mierze już przez siebie poznanych, to siła oddziaływania i sens przekazu ujawniają się każdorazowo w sposobie oznaczania, przenikają do architektury otoczenia. Tworzone przez nią instalacje, przy całej ulotności i zmienności przemieszczających się w przestrzeni dynamicznych kształtów, można uznać za nowe akty kreacji, ciągle jeszcze nie zakończonego procesu formowania uniwersalnego języka. W swoich mistycznych strukturach przybliża nadzieję spełnienia tego, co pozornie nieosiągalne.

Elżbieta Kalinowska, „Po drugiej stronie – wyzwalanie znaku", Galeria „Na Piętrze", Koszalin, Wernisaż 26 stycznia 2008 r.

Kamila Wielebska

Sztuka na wolności

Wydana w 45. rocznicę I Pleneru Koszalińskiego w Osiekach (1963 r.) monografia tej, organizowanej nieprzerwanie aż do roku 1981, imprezy wpisuje się w ostatnio dość popularny nurt wystaw i publikacji, które za główny cel swego zainteresowania obierają zjawiska dziejące się w obejmującym kilka powojennych dekad okresie tak zwanego PRL-u. Jest to bez wątpienia niezwykle ważna idea – próba nowego spojrzenia na sztukę polską czasu, kiedy nie tylko działały państwowe instytucje cenzury, takie, jak powołany w 1945 roku Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (zwany z początku Centralne Biuro KPPiW), funkcjonujący do 1990 roku.

Równie niebezpieczna, może nawet bardziej od tej oficjalnej, była cenzura nieoficjalna, niedekretowana – właściwie autocenzura stosowana przez przedstawicieli środowisk twórczych w stosunku do zarówno swej własnej działalności, jak i pracy kolegów i koleżanek. Tego, w jaki sposób się to odbywało lub mogło odbywać, łatwo domyślić się czytając chociażby taki cytowany w omawianej książce fragment „życielskich" wspomnień Jerzego Fedorowicza, który wraz z Marianem Boguszem był pomysłodawcą i organizatorem Międzynarodowych Spotkań Artystów i Teoretyków Sztuki (bo tak właśnie brzmiała pełna nazwa Plenerów), także autorem ich logo. Wspomina on: *Wilski potraktował mnie jak młodszego kolegę zarządzającego kulturą na niższym szczeblu, udzielając rad i przestrzegając przed tymi osobami wśród artystów, które zachowują wrogi stosunek wobec ustroju i nie wypełniają założeń polityki kulturalnej Komitetu Centralnego i MKiS. Obiecałem, że będziemy „czujni" i polecimy ZPAP opracowanie poprawniejszej listy uczestników. Po tym zapewnieniu połączył się z wydziałem kultury KC i po krótkiej rozmowie (prawdopodobnie z prof. Łyżwiańskim) oświadczył, że <<puszczą tę imprezę>>*[1].

Możemy przypuszczać, że tego typu sytuacji było w Polsce owego czasu bez liku. Wszystko, oczywiście, zależało od poszczególnych, osobistych decyzji osób, które, pouczane w taki sposób, organizowały związane ze sztuką wydarzenia. Akt cenzury, a raczej autocenzury dokonywał się też nierzadko jeszcze w fazie samego powstawania dzieła, zainicjowany przez biorącego pod uwagę panujący ustrój i jego zasady twórcę. Bardzo ironicznie nawiązując do Jana Świdzińskiego można by powiedzieć, iż w okresie PRL-u powstało w istocie wiele przykładów sztuki kontekstualnej… Być może dzisiaj trudno jest nam nawet zrozumieć tego typu postawy, które zarazem jakże łatwo jest oceniać z perspektywy osób, które swoje paszporty trzymają bezpieczne w szufladzie własnego biurka i którym publiczne zaprezentowanie „nieprawomyślnych" treści nie grozi wykluczeniem. Taką „klaustrofobiczną" sytuację dzisiaj naprawdę trudno sobie nawet wyobrazić, szczególnie jeśli nie było nam dane doświadczenie świadome-

[1] Cyt. za: R. Ziarkiewicz, *Kolekcja Osiecka i Dział Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie*, [w:] *Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie*, Koszalin 2008, s. 29.

go, dorosłego życia w PRL-u. Wystarczy jednak porozmawiać z aktywnymi wówczas artystami, żeby choć w pewnym stopniu uświadomić sobie, o jakiej rzeczywistości w ogóle jest mowa. Wydaje się więc, że minęło już dość czasu, abyśmy nabrali do tego okresu „bezpiecznego" dystansu. Jednocześnie sami jesteśmy jeszcze nierzadko jego „żywymi reliktami". Mamy jednak nieocenioną możliwość obcowania z tymi, którzy starali się wtedy funkcjonować: jako artyści, uczestnicy, obserwatorzy i organizatorzy ówczesnych wydarzeń. Jak pisze we wstępie do omawianej książki obecny dyrektor Muzeum w Koszalinie Jerzy Kalicki: *Zjawisko szczególne, jakim były te plenery, jest już historią na tyle odległą, żeby można było poddać ją analizie i ocenom, na tyle jednak bliską, by skorzystać z ocen dokonanych z perspektywy czasu przez założycieli, organizatorów i uczestników.* [2] Podkreśla on też niezwykłą wartość dokumentalną wypowiedzi wspomnianych „świadków" wydarzeń. Kiedy czytam słowa Jerzego Fedorowicza: *Sama podstawa tej idei wzięła się z naszej niezgody na monocentryczny model polskiej kultury i stagnację ruchu artystycznego. […] Była to także świadoma próba integracji środowisk artystyczno-intelektualnych. Była to chęć tworzenia nowej formuły wspólnoty twórczej w otwartym nadmorskim pejzażu* [3], nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jednak coś pozostaje tu w niedopowiedzeniu; stworzony przez niego obraz nie pokrywa się do końca z tym, co wiem o możliwościach i zasadach funkcjonowania w PRL-u. Trochę więcej dopowiada Fedorowicz w innym fragmencie: *Osieki były miejscem na tyle izolowanym, a przez to bezpiecznym z punktu widzenia władzy, że możliwe okazało się zaistnienie marginesu wolności intelektualnej, o którą nam chodziło.* [4]

Mam jednak wrażenie, że przedstawienie faktycznego stanu rzeczy odnajduję dopiero w przygotowanym przez Ewę Kowalską „Kalendarium Plenerów Osieckich 1963-1981", w którym przy dacie pierwszego z owych spotkań pisze (powołując się na nieznany mi tekst Fedorowicza): *Organizatorom zależało na stworzeniu warunków do pracy twórczej i nieskrępowanej wymiany idei, władzom na stworzeniu idei artystycznej, która pozwoliłaby na kontrolowanie środowiska artystycznego z zachowaniem pozoru popierania <<sztuki wysokiej>> (państwowa polityka kulturalna w I połowie lat 60. XX wieku dość konsekwentnie zmierzała do przeniesienia manifestacji awangardy na prowincję).* [5]

Pamięć ludzka bywa zwodnicza, a o przykrych rzeczach zapominamy z reguły najszybciej... Tym bardziej cenne wydaje się dzisiaj gromadzenie wszelkich śladów materialnych, towarzyszących powstawaniu sztuki polskiej owych kilku dekad, archiwaliów mogących dostarczyć niezbędnej nam wiedzy… W zbiorach powstałego w 1976 roku Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie trzonem jest Kolekcja Osiecka, która stanowi pokłosie tamtejszych plenerów z lat 1963-1981. Oprócz dzieł sztuki składa się na nią bogata dokumentacja: różnego rodzaju druki i wydawnictwa, kilka tysięcy fotografii, negatywy i filmy. Próbkę obcowania z owym archiwum odnajdujemy w części piątej książki – wyjątkowo cennej, bo tu właśnie możemy się „zbliżyć" do plenerów bardziej bez-

---

[2] J. Kalicki, Słowo wstępu, [w:] *Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie*, Koszalin 2008, s. 6.

[3] Cyt. za: W. Orłowska, *Słowo o plenerach i kolekcji*, [w:] *Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie*, Koszalin 2008, s. 14-15.

[4] Cyt. za: W. Orłowska, op. cit., s. 16-18.

[5] E. Kowalska, *Kalendarium Plenerów Osieckich 1963-1981*, [w:] *Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie*, Koszalin 2008, s. 158-9.

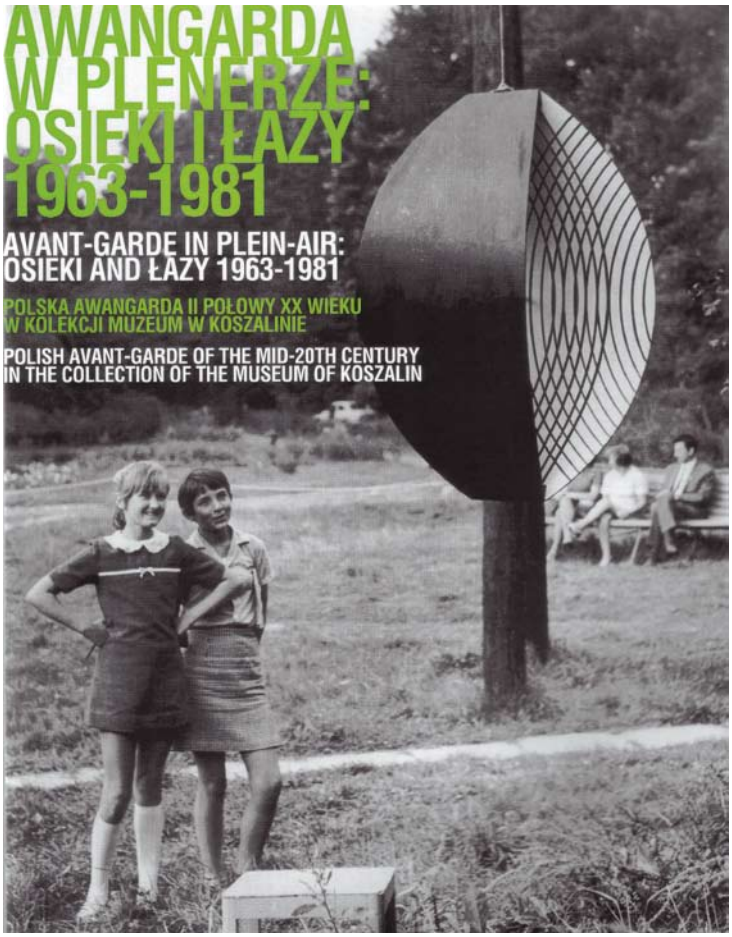

Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie.

pośrednio. Tę ostatnią część publikacji stanowią archiwalia utrwalone na płycie dvd. Są to zapisy audio, jak na przykład nagrania wykładów z 1970 roku z VIII Pleneru w Osiekach, wśród nich dwa wystąpienia Jerzego Ludwińskiego: „Epoka postartystyczna" oraz „Proces twórczy i dzieło sztuki". To także filmy archiwalne; obok relacji dokumentujących „Osieki 64'" i „Osieki 65'", nakręcony dekadę później film Pawła Kwieka „Osieki 74'", który składa się z ciągu jednominutowych filmów zrealizowanych przez zaproszonych przez autora artystów. Wśród owych materiałów znalazł się również „Koncert fortepianowy op. 2" zagrany przez Andrzeja Partuma podczas pleneru w 1981 roku.

„Awangarda w plenerze…" to dość pokaźny tom, podzielony na pięć części, obejmujących teksty dotyczące zarówno samych plenerów, jak i powstałej głównie w ich wyniku kolekcji Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Jest tu rozmowa przeprowadzona przez Walentynę Orłowską, kierowniczkę i opiekunkę działu w latach 1976-2006, z niektórymi uczestnikami, a także szczegółowo opracowane kalendarium, bibliografia i noty o artystach.

Kalendarium stanowi połowę objętości całej

książki i pokazuje nie tylko historię 19 lat plenerów. Daje nam również pewien obraz tego, jak zmieniały się tendencje i obszary poszukiwań sztuki polskiej. W szerszy kontekst, poza nadmorską enklawę, wyprowadza nas podsumowanie Ryszarda Ziarkiewicza, który wymienia „Najważniejsze plenery, które wpłynęły na bieg wydarzeń w sztuce i kulturze polskiej II połowy XX wieku", oraz tekst Luizy Nader, we wstępie którego autorka zestawia ze sobą dwa, jej zdaniem, istotne dla polskiej neoawangardy wydarzenia roku 1970: Sympozjum Wrocław 70' i VIII Plener w Osiekach. Podkreśla ona następnie zaistnienie wśród zaproszonych na ów Plener artystów postaw krytycznych zarówno wobec słownika pojęć artystycznych, jak i samych plenerów, ujawniających w takim ujęciu smutny obraz dominującej polityki kulturalnej państwa: *Plener w Osiekach kontynuował i radykalizował projekty przedstawione podczas Sympozjum Wrocław 70'. Dzięki starannie wyselekcjonowanym przez krytyków uczestnikom, pełnej napięcia atmosferze konfrontacji spotkanie zamieniło się w dyskusję na temat potrzeby nowej definicji sztuki, funkcji przedmiotu i idei w procesie twórczym, podejmując szczególnie wątek twórczości artystycznej w konkretnej plenerowej przestrzeni <<niemożliwości>>: zakazów i autocenzury.* [6]

Międzynarodowe Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach odbyły się 19 razy. Ostatnie z nich, zorganizowane w burzliwym roku 1981, zakończyło się dość gwałtownie zniszczeniem rzeźby „Pegaza", znajdującej się na terenie ośrodka, w którym odbywała się impreza. Drastyczny gest nieznanych sprawców został odczytany jako sprzeciw wobec skostniałej formy plenerów. Jak się potem okazało, było to ostatnie spotkanie w Osiekach. Późniejsze próby powrotu do ich idei zakończyły się niepowodzeniem. W tymże 1981 roku ogłoszono stan wojenny, potem zaś nastąpiły w Polsce kolejne zmiany, wprowadzające zupełnie nowe nastroje, konteksty i problemy.

Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981. Polska awangarda II połowy XX wieku w kolekcji Muzeum w Koszalinie. Praca zbiorowa pod red. Ryszarda Ziarkiewicza. Wydawca: Muzeum w Koszalinie 2008

14 i 15 października 2008 r. odbyła się promocja monografii połączona z otwarciem okolicznościowej wystawy i wystąpieniem Andrzeja Ciesielskiego oraz seminarium pod tytułem „Awangarda w plenerze" z udziałem autorów monografii oraz uczestników plenerów m.in.: Jerzego Beresia, Agnieszki Okrzei, Walentyny Orłowskiej, Zdzisława Pacholskiego, Marcina Szeląga.

[6] L. Nader, *W stronę krytyki wizualności. VIII Spotkanie Artystów i Teoretyków Sztuki w Osiekach*, s. 91.

Anna Mosiewicz

Sztuka dawna w nowych salach

Dawny zespół młyński – eklektyczna kamienica przy ulicy Młyńskiej w Koszalinie, której dekoracyjną rozbudowę właściciel młyna, Carl Gellert, ukończył w 1890 roku, oraz przylegający do niej od wschodu młyn, to jedyny tego typu obiekt przemysłowy, zachowany na całym Pomorzu Zachodnim. Cały ten zespół, malowniczo usytuowany – od średniowiecza - za murami dawnego miasta, prawie od ćwierćwiecza jest w gestii Muzeum w Koszalinie - instytucji kultury, która, wraz ze zniesieniem dawnego województwa koszalińskiego utraciła (przynajmniej de nomine) rangę muzeum okręgowego.

Z chwilą przekazania na rzecz muzeum tego zespołu – czyli w 1982 roku - kamienicę przeznaczono na biura i pracownie muzealne, a trzykondygnacyjny młyn na sale wystawowe. Obok obiektów stanęła – przeniesiona z Dąbek – zagroda rybacka z początku XIX wieku, w której przez wiele lat organizowano wystawy czasowe i konkursy sztuki ludowej. Z upływem lat w muzeum przybywało nie tylko zabytków, ale także i problemów lokalowych. Gdy nowy dyrektor Jerzy Kalicki (w roku 1997 wygrał konkurs na to stanowisko) zapoznał się ze zbiorami i warunkami lokalowymi, przyjął wieloletnią koncepcję, związaną z rozbudową obiektów przy ulicy Młyńskiej i urządzeniem wystaw stałych, pokazujących zabytki ze wszystkich działów merytorycznych. Pierwszym etapem było wybudowanie nowego obiektu dla administracji, która zajmowała dotychczas reprezentacyjne piętro kamienicy, drugim – adaptacja jej strychu i parteru na biura i pracownie, trzecim – rekonstrukcja i adaptacja XIX wiecznej stodoły na cele biurowe i wystawiennicze dla działu etnografii. Istniejący w kompleksie muzealnym dawny budynek garażowo – magazynowy przeznaczono na „Gospodę Jamneńską". Dziedziniec muzealny – miejsce organizowanych kilka razy w roku Jarmarków Jamneńskich - został wyłożony granitową kostką. Dokonano także gruntownej przebudowy poddasza młyna na pracownie i magazyn, połączone wewnętrznymi schodami z salą wystawową Działu Sztuki Współczesnej.

Stała wystawa archeologiczna, na której – z racji niewielkich pomieszczeń w budynku dawnego muzeum miejskiego przy ulicy Piłsudskiego – pokazano część tylko bogatych, pochodzących jeszcze z początku XX wieku zbiorów – musiała zostać zamknięta, gdyż obiekt władze miasta przekazały na rzecz Politechniki Koszalińskiej. Ta decyzja była podstawą do kolejnego etapu rozbudowy – stworzenia obiektu dla działu archeologii. Jednocześnie trwały prace nad adaptacją piętra kamienicy (przez koszalinian zwanej często „Pałacem Gellerta" – dop. red.) dla potrzeb zorganizowania stałej ekspozycji, której celem było pokazanie rozwoju i przemian wnętrz mieszczańskich od XVII do początków XX wieku. Przebudowa tego budynku wiązała się nie tylko z wyburzaniem niektórych ścian, wzmacnianiem stropów, usztywnieniem całej konstrukcji „wieńcem", ale także z wymianą wszystkich instalacji, stolarki okiennej, opierzeń, układaniem parkietów i posadzek i odnowieniem elewacji wraz z konserwacją dekoracji wewnątrz i na zewnątrz obiektu. Po wielu zabiegach konserwatorskich przy obiektach i odpowiednim przygotowaniu pomieszczeń, w połowie sierpnia 2008 roku Muzeum w Koszalinie udostępniło zwiedzającym stałą wystawę, zatytułowaną „Sztuka dawna i rzemiosło

od baroku do secesji". Autorami jej scenariusza i aranżacji są Krystyna Rypniewska, kustosz Działu Sztuki Dawnej i dyrektor Jerzy Kalicki.

Zbiory sztuki dawnej i etnografii w Muzeum w Koszalinie, gromadzone od początku XX wieku, udostępnione na stałej wystawie w 1927 roku, a po wojnie - w roku 1947, zostały w końcu lat sześćdziesiątych przekazane (w ramach tego samego województwa) do Słupska, gdzie znalazły swe miejsce w odbudowanym Zamku Książąt Pomorskich i zamkowym młynie. Wszystkie zatem zabytki sztuki dawnej, historii i etnografii oraz numizmaty i medale zaczęto w Koszalinie na nowo gromadzić od 1972 roku, kiedy to decyzją wojewody koszalińskiego powołano (mając na uwadze bogate zbiory archeologiczne) nową instytucję kultury, nazwaną wówczas Muzeum Archeologiczno – Historycznym.

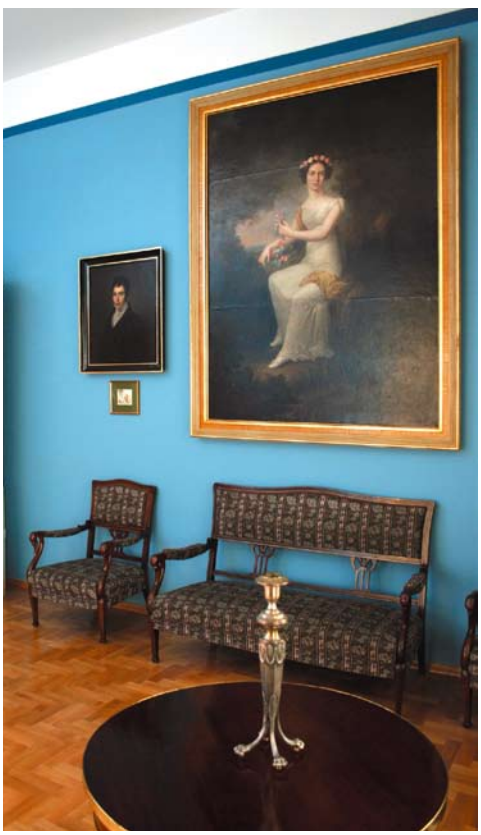

Fragment ekspozycji. fot. Ilona Łukjaniuk

Obecna stała ekspozycja sztuki dawnej i rzemiosła artystycznego została przez muzealników koszalińskich starannie przemyślana – jej edukacyjna koncepcja to pokazanie wnętrz mieszczańskich na przestrzeni kilku wieków i zgodnie z obowiązującymi wówczas stylami meblarskimi, wraz z kolorystyką ścian, obrazami na ścianach, autentycznymi piecami, lampami, zasłonami okiennymi, kandelabrami, świecznikami, ceramiką, paterami i innymi użytkowymi obiektami rzemiosła artystycznego. Przez lata Muzeum w Koszalinie gromadziło – oprócz dzieł sztuki, mebli i rzemiosła, także charakterystyczne dla każdego stylu piece; teraz cieszą one oczy swymi kształtami, kolorem kafli, ozdobnymi gzymsami i dekoracjami, nadając każdemu z wnętrz charakter autentyczności. Bardzo dobrym i odważnym rozwiązaniem jest kolorystyka ścian, zgodna z historycznymi przekazami, dzięki której muzealne wnętrza, są autentyczne i dobrze wprowadzają w nastrój każdej z epok.

Kolejnym śmiałym krokiem w aranżacji tych wnętrz są dekoracyjne zasłony okienne, nawiązujące do każdego stylu nie tylko swą formą, ale także i doborem odpowiedniej tkaniny.

Tak więc ciężkie, barokowe meble, czarne i brązowe, kontrastują z wyraźną czerwienią ścian, a współgrają z ciężkimi, brokatowymi zasłonami. Empirowe, finezyjnie intarsjowane i inkrustowane metalem meble, z typowymi dla tego stylu zaczerpniętymi z antyku motywami i złoceniami, kontrastują z niebieskimi ścianami i cylindrycznym w swej formie, białym piecem, którego górna część ma dyskretnie zdobione kafle. Biedermeierowskim meblom towarzyszy też cylindryczny w formie piec, lecz wsparty na ozdobnych nóżkach i ozdobiony dekoracyjnymi girlandami.

Wyjątkowy pod względem formy piec, pochodzący z jednej z koszalińskich kamienic, zdobi tę część ekspozycji, która poświęcona

jest neostylom, czyli eklektyzmowi. Z żółtymi ścianami i utrzymanymi w złotej tonacji zasłonami harmonizują białe kafle i złocone gzymsy.

Warto zwrócić uwagę na zielone ściany dwóch sal, w których króluje secesja, piękny, dekoracyjny styl, tak bardzo kiedyś niedoceniany, wręcz pogardzany. Narożny, ukośnie ustawiony piec, z biało – zielonymi kaflami i typową dla tego okresu roślinną dekoracją, współgra kolorystycznie z zielonymi ścianami i finezyjnymi zasłonami, zaprojektowanymi specjalnie dla tych wnętrz.

Ściany wszystkich sal zdobią obrazy z bogatej kolekcji malarstwa portretowego i marynistycznego, jaką zebrało koszalińskie muzeum. W salach barokowych warto poświęcić chwilę uwagi jednemu z najstarszych - bo z II połowy XVII wieku - i najciekawszych portretów, jakim jest konterfekt Katarzyny Kalkstein, żony sędziego z Malborka, oraz portretom małżeństwa - Kacpra Nitarda, zegarmistrza dworskiego ze Szczecina i jego żony Doroty, malowanym w 1706 roku. Wśród wizerunków pomorskiej szlachty warto zobaczyć portret dziecka, jednego z potomków rodziny von der Goltz, malowany przez artystę z Królewca, Theodora Friedricha Tietza w końcu XVIII wieku, oraz Esterę Agnieszkę von Puttkamer Zitzewitz z 1760 roku. Jest też polskie malarstwo – meblom w stylu „biedermeier" towarzyszą dwa portrety pędzla Aleksandra Raczyńskiego, malowane w 1852 roku, w sali neostylów na uwagę zasługują dwa obrazy Wincentego Śledzińskiego, natomiast secesję zdobią płótna takich sław jak Olga Boznańska, Wlastimil Hofmann i Marian Wygrzywalski.

Na ekspozycji jest także spora część z kolekcji malarstwa marynistycznego, głównie pochodzącego z XIX i XX wieku, w którym od lat specjalizuje się koszalińskie muzeum.

Uzupełnieniem wszystkich wnętrz są dekoracyjne przedmioty codziennego użytku, będące przykładami rzemiosła artystycznego – barokowe, empirowe, eklektyczne i secesyjne cynowe puchary, świeczniki, talerze i dzbany, srebrne lichtarze i cukiernice, porcelanowe wazy z Delft, marmurowe popiersia, zegary, lustra, lampy naftowe oraz drobne sprzęty – witryny, szafki, sekretarzyki, biureczka, stolik do robótek i żardiniera.

Stała wystawa sztuki dawnej i rzemiosła będzie w przyszłości miejscem, w którym eksponowane będą inne, czasowe wystawy, związane z wyposażeniem wnętrz na przestrzeni wieków. Jej walory poznawcze i edukacyjne pozwoli zrozumieć wydany przez muzeum informator, ilustrowany barwnymi zdjęciami, wprowadzający zwiedzających w zawiłe arkana historii meblarstwa i rzemiosła artystycznego.

Stefan Kurzawiński

Godziny wśród kształtów i barw...

W 110. rocznicę urodzin Bolesława Kurzawińskiego

Bolesław Kurzawiński urodził się 13 marca 1898 roku w Warszawie. Jego ojciec, Romuald, był wziętym geodetą, matka – Gabriela z domu Karwacka, zajmowała się domem.

W roku 1905 rozpoczął naukę w szkole powszechnej, a następnie w średniej – Miejskiej Szkole Rysunku, którą ukończył w 1917 roku. W tymże roku podjął studia w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych – istniejącej do dziś pod nazwą Akademii Sztuk Pięknych.

W 1919 roku, na drugim roku studiów został powołany do wojska. Po ukończeniu podoficerskiej szkoły telegrafistów służył w II baonie telegraficznym stacjonującym w warszawskiej Cytadeli. Pod koniec sierpnia 1919 roku został przeniesiony do Puław. Prawdopodobnie wówczas zetknął się po raz pierwszy z Kazimierzem Dolnym. W latach 1919 – 1920 walczył na froncie północno – wschodnim w grupie ochronnej gen. Józefa Hallera i na terenach Litwy Środkowej. W czasie wojny dosłużył się stopnia sierżanta i został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po zakończeniu działań wojennych w 1920 roku wraz ze swą jednostką trafił do Krakowa. Wymykał się wtedy często z koszar ze sztalugami, by malować architekturę Krakowa. Kopiował również obrazy w katedrze na Wawelu.

Na uczelnię wrócił w 1921 roku w glorii obrońcy Ojczyzny.

W tymże roku wystawił trzy swoje obrazy w Zachęcie. Zostały one sprzedane już pierwszego dnia wystawy. W 1924 roku, po ukończeniu studiów, mający wówczas 26 lat Bolesław Kurzawiński, został jednym z pierwszych członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych „Zachęta", otrzymując legitymację nr 19. Mianowany został także członkiem Komisji Kwalifikacji Dzieła, na wiosenne i jesienne wystawy w Zachęcie. Był już wówczas wziętym malarzem. Jego rodzice przeprowadzili się w tym czasie do Ostrołęki. On sam zameldował się w Ostrołęce dopiero w 1928 roku. Te cztery warszawskie lata były bardzo owocne. Jeździł także malować do Kazimierza nad Wisłą i Krakowa, ale większość prac z tego okresu zniszczyła wojna. Pa-

Bolesław Kurzawiński, Nagonka, olej. fot. Ilona Łukjaniuk

sjonował się wówczas akwarelą oraz szkicami piórkiem i ołówkiem. Nie interesowały go nowinki formalne. Był i pozostał zawsze realistą, zaś ponad wszystko przedkładał pejzaż i starą architekturę.

Pod koniec lat dwudziestych, w czasie wędrówki po Kresach Wschodnich, poznał księcia Czetwertyńskiego, który zaprosił go do swego majątku w Orli w powiecie lidzkim. Na prawach nieco gościa, nieco nadwornego malarza przebywał tam do września 1931 roku. Malował portrety książęcej rodziny, okoliczne pejzaże, scenki ze stadnin i dworów. Niestety, wojenna zawierucha rozproszyła jego obrazy również z tamtego okresu. W późniejszych powojennych już czasach swoiste echo tamtych lat wracało niekiedy w jego twórczości. Przykładem może być obraz olejny „Tokujący głuszec".

Po powrocie do Ostrołęki nawiązał kontakt z warszawskim marszandem Mietke, który sprzedawał jego prace w Polsce, Belgii i Niemczech. Prowadził aktywne życie towarzyskie, był członkiem Towarzystwa Wioślarskiego w Ostrołęce.

W 1935 roku Bolesław Kurzawiński ożenił się ze Stanisławą Postelaniec, córką ostrołęckiego piekarza. W rok później z małżeństwa tego urodziła się córka Barbara. We wrześniu 1939 roku, mimo posiadania kategorii C, Bolesław Kurzawiński ochotniczo zgłosił się do wojska. Został skierowany, jako szef kompanii na odcinek frontu północno-wschodniego. Pod koniec września jednostka w której walczył przekroczyła granicę polsko-litewską, a jej żołnierze zostali internowani. Przeniesiono ich do Połęgi, małego miasta nad Bałtykiem. Bolesław Kurzawiński trafił do pensjonatu stanowiącego własność rodziny Wojtkiewiczów – ziemian z pobliskiego majątku Miłoszajtie.

W 1940 roku, gdy Litwa stała się republiką radziecką a obozy internowanych rozwiązano, Bolesław Kurzawiński, został zaproszony do Wojtkiewiczów jako artysta – rezydent i spędził tam ponad 4 lata. Malował litewskie pejzaże, dworki i charakterystyczne budowle wiejskie. Z tego okresu zachowały się takie jego obrazy jak; – „Świronek", „Nagonka przed polowaniem", „Litewski dworek", „Stary młynek". Łącznie powstało wtedy około 50 prac, głównie akwarel i rysunków piórkiem.

Długo nie wiedział, jakie są losy pozostałych w kraju żony i córeczki. Tymczasem w 1940 roku Stanisława Kurzawińska wiedząc, że szuka jej gestapo, z niespełna czteroletnią Basią uciekła z Ostrołęki do Warszawy. Tam również ukrywała się przed Niemcami, zmieniając często miejsce zamieszkania. Prawdopodobnie działała w ruchu oporu, ale brak jest dokładnych danych. Została aresztowana pod koniec 1941 roku. Do 17 maja 1942 roku była więziona na Pawiaku. Przez następne pół roku przebywała w więzieniu w Płońsku, skąd wywieziono ją na roboty do Szczytna. Pracowała tam podobno w magazynie obuwniczym. Wkrótce jednak ponownie aresztowało ją gestapo. Po krótkim śledztwie zalazła się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, gdzie zginęła 4 lutego 1943, o czym z niemiecką akuratnością powiadomiono rodzinę. Małoletnia córka przetrwała okres okupacji u rodziny i znajomych.

Zbliżający się front wypędził gościnnych pp. Wojtkiewiczów i Bolesława Kurzawińskiego do Wilna, gdzie znaleźli czasowy przytułek u pani Borhard – matki Karola Olgierda Borharda, autora znanej książki „Znaczy kapitan". W kwietniu 1945 roku dostali się do pierwszego transportu repatriantów i razem dotarli do Sianowa, w którym wisiały jeszcze tablice „Zanov von Pommern". Bolesław Kurzawiński stał się 17. polskim mieszkańcem tego małego miasteczka. Odnalazł córkę. Po raz pierwszy w życiu podjął pracę zarobkową na państwowej posadzie. Został najpierw zastępcą urzędnika, a wkrótce potem urzędnikiem stanu cywilnego w Sianowie. Łącznie Bolesław Kurzawiński przepracował w USC w Sianowie 24 lata. Zapamiętano go jako urzędnika doskonałego.

Przez kilka co najmniej lat rzadko wracał do sztalug. Nie sprzyjały temu zarówno czasy, jak też zapewne wojenne i rodzinne przeżycia. Jed-

nakże nie zerwał zupełnie z pracą twórczą. Widywano go z piórkiem bądź pędzlem w pobliżu zrujnowanych domów Sianowa, na rozległych łąkach wokół miasteczka, czasami na starych uliczkach Koszalina i nad brzegiem morza w Łazach lub Mielnie. Powstały wówczas: „Rudery w Sianowie", „Rozbiórka domów przy ulicy 1 Maja w Koszalinie", „Buki jesienią", „Sosny o zachodzie" i wiele innych obrazów. Bywał też od początku uczestnikiem kolejnych plenerów malarskich w Osiekach. Zwykle krytycznie wypowiadał się tam o nowinkach w malarstwie i rzeźbie, ostro ganił różne pseudoteorie, bronił tradycyjnego malarstwa, zjadliwie wyrażał się o Pablu Picassie.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to swoisty renesans w twórczości Bolesława Kurzawińskiego. Powstało wówczas wiele obrazów olejnych, portretów i pejzaży, obrazów drzew i kwiatów. Z tego okresu pochodzą między innymi: „Kwitnące jabłonie", „Wariackie niebo", „Brzozy", „Portret Pani O". Obszerny cykl „Kwiaty" obejmował kilkadziesiąt prac. Trafiały one do rąk prywatnych, galerii, muzeów. Duży zbiór obrazów Bolesława Kurzawińskiego znalazł się m.in. w posiadaniu Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

U schyłku życia sam o sobie powiedział: ...*godziny, które mi życzliwie pogodne niebo pozwala spędzić wśród kształtów i barw, dając niewysłowiony spokój, zaliczam do najpiękniejszych dni jesieni mojego życia*...

Bolesław Kurzawiński, nestor koszalińskich malarzy, kawaler Krzyża Walecznych, Krzyża Oficerskiego i Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, emerytowany urzędnik państwowy w styczniu 1987 roku przebywał u córki Barbary Zdrojewskiej w Słupsku i tam zmarł w wieku 89 lat 27 stycznia, rano. Pochowany został 30 stycznia 1987 roku w Alei Zasłużonych koszalińskiego cmentarza.

W 110. rocznicę urodzin Bolesława Kurzawińskiego Muzeum w Koszalinie przygotowało obszerną wystawę jego malarstwa. Ekspozycję można było oglądać w sierpniu i wrześnie 2008 r. Sylwetkę artysty przywołujemy piórem jego mieszkającego w Kazimierzu Dolnym bratanka, znakomitego fotografika, dziękując jednocześnie za wyrażenie zgody na przedruk tekstu publikowanego w „Brulionie Kazimierskim" nr 5/2004.

Portret matki,
kredka.

fot. Ilona Łukjaniuk

Anna Małgorzata Rawska

Debata o architekturze

Zacznijmy od dworca…

Kolegium redakcyjne almanachu „Kultura Koszalińska" już po raz trzeci zorganizowało publiczną debatę, dotyczącą kolejnego obszaru twórczej aktywności – architektury, która, jak powiedziała witając gości Małgorzata Kołowska: *stanowi istotną część kultury, a proponowane przez architektów i urbanistów rozwiązania na całe stulecia determinują poziom życia społeczeństw, może przede wszystkim w jego duchowym wymiarze, kształtują poziom wrażliwości, także tej estetycznej, co okazuje się nie mniej ważne, niż nowe technologie czy formalne eksperymenty.*

Debatę poprowadzili **Gall Podlaszewski** - absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz **Hubert Trammer** – architekt, publicysta, wykładowca Politechniki Lubelskiej. Wg nich szeroka debata pozwala zhierarchizować problemy i poszerzyć pole widzenia jej uczestników, a także daje nadzieję na rozwiązanie spornych kwestii w sposób najpełniej zaspokajający potrzeby użytkowników. Charakter debaty na temat koszalińskich terenów przydworcowych został określony jako diagnostyczny.

Jako pierwszy głos zabrał Prezydent Koszalina **Mirosław Mikietyński**, który przedstawił Plan Rozwoju Lokalnego na lata 2009-2011 - *Jesteśmy drugim co do wielkości ośrodkiem zrównoważonego rozwoju w województwie zachodniopomorskim. Dynamikę rozwoju mamy jednak większą niż Szczecin* – twierdził prezydent Koszalina. Aby ta dynamika była jeszcze większa potrzebne są drogi wewnętrzne, ale także drogi zewnętrzne, czyli droga S 6 Szczecin - Koszalin - Gdańsk - Kaliningrad, S 11 Kołobrzeg - Koszalin - Poznań - Śląsk. Trzeci element komunikacyjny ważny dla Koszalina to lotnisko w Zegrzu; obecnie powstaje studium wykonalności i niebawem się okaże, czy istnieje szansa na reaktywację lotniska. „Przystanek Koszalin" też mieści się w tych planach, bowiem, jak przyznał M. Mikietyński, a wszyscy w tej kwestii są zgodni, z okolicą dworców PKP i PKS należy coś zrobić jak najszybciej. To wstyd dla miasta, że oczom tysięcy przyjeżdżających tu, szczególnie w lecie, gości ukazuje się taki koszmarny widok, a przecież na podstawie tego pierwszego wrażenia budują sobie oni obraz całego miasta. Szansa, jaką daje możliwość pozyskania środków unijnych, pozwala na snucie marzeń czy planów bardziej ambitnych i dlatego projekt „Przystanek Koszalin – I etap" wpisany został do strategii rozwoju Koszalina. Obecnie przygotowywany jest konkurs na koncepcję zabudowy architektonicznej. W ramach projektu przewidziana jest przebudowa dworca PKS, budowa lub przebudowa dworca PKP, poczty i stworzenie publicznego kompleksu usługowego, przebudowa układu komunikacyjnego w powiązaniu z ciągiem ul. Dworcowej obejmującym ruch kołowy, dojazdowy oraz pieszy, a także modernizacja infrastruktury technicznej. Zdaniem prezydenta Koszalina ruch samochodowy w mieście jeszcze długo nie będzie maleć.

Uczestnicy debaty mieli okazję obejrzeć przygotowaną przez Galla Podlaszewskiego prezentację. Architekt udowodnił m.in. niską jakość przestrzeni miejskiej, *gdzie głównym materiałem posadzki jest asfalt, a wyposażenie ulic to barierki i łańcuchy. Brak przejść dla pieszych, krawężniki i barierki uniemożliwiające poruszanie się po tym rejonie osobom starszym, niepełnospraw-*

nym – zwłaszcza na wózkach inwalidzkich – to segregacja przestrzeni miejskiej, która wynika m.in. z myślenia „w jednym poziomie", gdzie spodziewany przyrost liczby samochodów został wprost przełożony na większą liczbę pasów ruchu. (cytat z tekstu „Architekt, a samochód" przygotowanego przez G. Podlaszewskiego po koszalińskiej debacie dla miesięcznika „Archiwolta").

Hubert Trammer zaprezentował przykłady różnych rozwiązań okolic dworca w miastach europejskich. Np. w Bazylei dworzec leży w centrum starej struktury miejskiej. Stanowił on pewną barierę, a dostępny był tylko od strony miasta. Pierwszym etapem zmian było zbudowanie kładki oraz parkingu wielopoziomowego, zawieszonego nad torami, które umożliwiały dojście i dojazd do dworca skróconą drogą. W 2003 r. zrezygnowano z przejścia podziemnego doprowadzającego ludzi z hali dworca do peronów. Obecnie jest to droga dla rowerów, natomiast ruch pieszy i kołowy: tramwajów, autobusów i taksówek odbywa się w jednym poziomie na placu przed dworcem. Przy okazji chodziło też o to, aby przez dworzec można było swobodnie dojść do dzielnicy położonej za nim, dotychczas traktowanej jako jedna z gorszych dzielnic Bazylei. Te zabiegi pozwoliły odejść od założeń doktryny lat 60., zakładającej segregację różnych funkcji miasta, na korzyść założenia, że funkcje należy integrować.

Kolejny przykład dworca pochodził z Berlina. Była to inwestycja powszechnie przez berlińczyków krytykowana jako przejaw megalomanii. Przed dworcem berlińskim (podobnie jak przed koszalińskim – z zachowaniem proporcji), istnieją rozległe, wolne przestrzenie. Mimo to ruch samochodowy został tam podporządkowany ruchowi pieszych.

Zastępca prezydenta **Krzysztof Hołub** przedstawił aspekt finansowo-organizacyjny: dworzec koszaliński jest dworcem kategorii D, co oznacza, że przewija się tu rocznie do 300 tysięcy osób i PKP traktuje nasz dworzec jako niestrategiczny, niekomercyjny, gdzie możliwość przeprowadzenia jakichkolwiek prac rewitalizacyjnych, remontowych jest uzależniona od współpracy z samorządem. Każda inwestycja, jaką obecnie prowadzi PKP S.A. Dworce Kolejowe musi się samofinansować. PKP musi na nią uzyskać bądź dotacje unijne, bądź środki własne. W związku z tym, że środki własne PKP są w wysokości śladowej, spółka musi uzyskiwać dochody np. z dzierżawy. Oczywiście wspólnie z miastem, co jest już postanowione, PKP będzie strać się o środki unijne.

Na pytanie o to, czy przestrzeń po drugiej stronie Alei Armii Krajowej będzie przedmiotem konkursu, odpowiedział prezes koszalińskiego oddziału SARP **Marek Perepeczo**: – *Hasło konkursu „Jeden budynek dla dworca" jest oczywiście tylko hasłem. Konkurs ma mieć nieco szerszy zakres, a mianowicie ma objąć tereny komunikacyjne przed dworcem PKP, PKS, wlot na ulicę Dworcową, obszar przy bankach, wlot na ulicę Zwycięstwa. Rozwiązań, oczywiście jeszcze nie znamy, ale najważniejsze, aby konkurs wskazał ideę, w jakim kierunku ma pójść zintegrowane działanie PKP, PKS i innych podmiotów. W tej chwili nie ma żadnego pomysłu, a przecież istotą konkursu nie jest konkurs na jeden budynek. Pewne wskazówki, uwagi, które padły w czasie tej debaty z pewnością zostaną uwzględnione w jego warunkach.*

M. Perepeczo wyraził nadzieję, że główna nagroda w wysokości 100 tys. zł. okaże się warta zainteresowania najlepszych zespołów architektonicznych z całej Unii Europejskiej, podobnie jak osoba przewodniczącego jury, architekta z Berlina Stephana Scholza. Jest to konkurs ideowy, a nie realizacyjny, a zatem mogą zostać zaproponowane najbardziej zwariowane rozwiązania. Z nich właśnie może się jednak urodzić znakomita koncepcja, a przede wszystkim mogą być one punktem wyjścia do interesującej debaty publicznej.

Inżynier drogownictwa **Jan Sontowski** stwierdził, że dworzec musi być skojarzeniem komunikacji kolejowej i autobusowej. Musi też być bezwzględnie powiązany z miastem komunikacją autobusową. – *Nie może być tak, że jeden*

przystanek jest tuż przy dworcu, do drugiego zaś trzeba przechodzić przez takie bariery jak przejście podziemne. Przypomniał, że kilka lat temu przyjechała do Koszalina grupa studentów ze Szwajcarii, która opracowała projekt zintegrowanej komunikacji autobusowej miejskiej. Projekt ten zakładał węzeł autobusowy skupiający wszystkie miejskie linie autobusowe w miejscu obecnego parkingu między pasami Alei Armii Krajowej. Może warto wrócić do tego projektu?

Z nieco szerszej, aniżeli „dworcowa" perspektywy i okiem mieszkańca miasta spojrzał na problem koszalińskiej architektury **Bogdan Plomin**, który zwrócił uwagę na postępującą, jego zdaniem, dewastację Koszalina. Przejawia się ona m.in. w sidingu na elewacji dworca PKS, obwieszaniu do granic możliwości fasad budynków reklamami, także w powstającym przy skrzyżowaniu ulicy Zwycięstwa i Alei Armii Krajowej „bunkrze" (przyszłe Centrum Handlowe „Kosmos" – dop. red.) – *Jego bryła każe się spodziewać wszystkiego najgorszego. Dalej jest obrzydliwy budynek popularnie zwany „Grynią", a za nim budyneczek o dziwnej stylistyce „dolepiony" do przedwojennej kamienicy. Przy ul. Krakusa i Wandy zbudowano Carrefour i stację benzynową, wskutek czego na zawsze zaprzepaszczono szansę zabudowania pierzei ul. Krakusa i Wandy. (...) Skąd mam czerpać optymizm, że planowany projekt zagospodarowania okolic dworca będzie miał jakikolwiek sens?* – dramatycznie pytał B. Plomin. Prezydent Mikietyński zapewnił: – *Projekt musi się udać, bo jest robiony w sposób bardzo profesjonalny z udziałem najmądrzejszych ludzi, jakich w tym zakresie mamy w mieście i poza nim. Z nadesłanych na konkurs prac zostanie wybranych kilka najlepszych i na przełomie października i listopada zaproponujemy otwarte spotkanie, na którym projekty zostaną omówione przez mieszkańców.* Prezydent zapewnił, że

Zaproszenie do poprowadzenia debaty przyjęli dwaj młodzi architekci: **Gall Podlaszewski (z prawej) i Hubert Trammer.**

fot. Ilona Łukjaniuk

prawdopodobieństwo wybrania dobrego projektu wynosi 99,9%. Natomiast odpowiedź na pytanie, czy zostanie on zrealizowany, nie jest wcale pewna. – *Musi to być projekt możliwy do realizacji etapami przez kilka lat, z różnych źródeł finansowania. Jest to obok lotniska najtrudniejszy projekt do realizacji w najbliższym czasie.*

Architekt **Marek Jankowski** i dziennikarka **Joanna Boruc** zwrócili uwagę na fakt oderwania koszalińskiego dworca kolejowego od centrum miasta i to, że owo centrum przestało pełnić swoją funkcję; skomasowanie banków spowodowało zamieranie tu życia kulturalnego i społecznego, które coraz bardziej przenosi się do galerii handlowych ulokowanych na obrzeżach. J. Boruc zastanawiała się, czy nie byłoby sensowniej zrealizować projekt, który pozwoli uporządkować i podnieść funkcjonalność rejonu dworca z myślą nie tylko o turystach, ale także, a może przede wszystkim, o ludziach przyjeżdżających codziennie do pracy w Koszalinie i spędzających na dworcu dużo czasu.

* * *

Pierwszy etap debaty o architekturze za nami. To pierwsza tak szeroka rozmowa o zagospodarowaniu miejskiej przestrzeni publicznej. I ponownie cytat z tekstu Galla Podlaszewskiego „Architekt a samochód": *Doświadczenie krajów zachodnich pozwala stwierdzić, że długofalowe przygotowanie mieszkańców do odbioru inwestycji w oparciu o rzetelną informację i komunikację społeczną przynosi pozytywne efekty w postaci świadomej waloryzacji rozwiązań projektowych z perspektywy bezpośrednich użytkowników przestrzeni. Takie podejście istnieje już od kilku lat w procesach realizacji szczególnie trudnych inwestycji takich jak spalarnie śmieci i oczyszczalnie ścieków. Być może już czas, aby pomogły budować dyskusję o jakości przestrzeni miejskiej, która wydaje się być wciąż nieobecna w ogólnym dyskursie społecznym.*

O potrzebie owego dyskursu świadczyła obecność w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej blisko 150 osób - architektów i urbanistów, i tych „zwykłych" mieszkańców Koszalina, którzy nie chcą pogodzić się z tym, że to w ich mieście powstają obiekty zyskujące niechlubne miano „makabryły – jak dopiero co wzniesiony w samym centrum miasta obiekt zwany galerią „Hosso".

Niech puentą powyższych rozważań i swoistym memento będzie tzw. „Deklaracja Poznańska", którą drukujemy poniżej.

DEKLARACJA POZNAŃSKA

Kongresu Architektury Polskiej, odbywającego się w dniach 23-25 maja 2008 roku pod hasłem „Przekaz architektury, architektura przekazu", zorganizowanego przed Kongresem Międzynarodowej Unii Architektów UIA.

1. Rozumiejąc pracę architekta jako zobowiązanie wobec dziedzictwa kulturowego, współczesnych potrzeb człowieka i przyszłości następujących po nas pokoleń uczestnicy Kongresu Architektury Polskiej w Poznaniu zwracają się do wszystkich podobnie pojmujących misję architekta w życiu publicznym do współpracy na rzecz rozwoju architektury i tworzenia ładu przestrzennego, które decydują o jakości życia wszystkich obywateli. Architektura jest dla wszystkich!

• Architektura jest sztuką kreującą trzy podstawowe wartości: piękno, użyteczność, trwałość. Powinny być one celem projektowania budowli, przestrzeni publicznych, krajobrazu.

• Ład przestrzenny jest niezbędnym warunkiem zrównoważonego rozwoju, który został zapisany w Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej.

• Krajobraz Polski jest dobrem wspólnym, łączącym w sobie wartości i zasoby trudnoodnawialne lub nieodnawialne.

Jakość otoczenia zależy od procedur formalno – prawnych, ale także od systemu edukacji, poziomu kultury obywateli i instytucji. Doskonaleniu prawa musi towarzyszyć budowanie warunków twórczości, zwiększanie udziału społeczeństwa we współkształtowaniu własne-

go otoczenia, promowanie postaw etycznych wobec człowieka i środowiska.

2. Uczestnicy Kongresu wyrażają następujące postulaty:

TALENT, TWÓRCA, KULTURA

Wyrazem kultury jest wykorzystanie talentu twórcy i odzwierciedlenie go w jakości projektów, ale i stopień edukacji społeczeństwa, umiejętność ochrony wartości dziedzictwa kulturowego. W planowaniu i projektowaniu ważna jest dalekowzroczność i podejście innowacyjne.

W poszukiwaniu nowych rozwiązań twórca powinien słuchać człowieka i ducha miejsca, szukać tożsamości kulturowej, podchodzić z szacunkiem do dóbr już istniejących.

DEMOKRACJA, TOLERANCJA,
PLANOWANIE PRZESTRZENNE

Powinny być promowane działania ku podniesieniu znaczenia pracy profesjonalistów, których rola w realizacji potrzeb społecznych związanych z kształtowaniem wysokiej jakości przestrzeni jest kluczowa. Narzędzia partycypacji społecznej, informacji i mediacji w planowaniu przestrzennym muszą być doskonalone. Powinna zostać wypracowana nowa formuła miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego będących podstawowym narzędziem kształtowania ładu przestrzennego na poziomie lokalnym.

NOWE TECHNOLOGIE –
NADZIEJE, SZANSE, ZAGROŻENIA

Wartościowe wizje architektoniczne powinny być inspiracją dla nowych technologii. Człowiek powinien być uznawany jako podmiot działań projektowych i realizacyjnych. Technika nie powinna dominować. Podnoszenie jakości życia jest najważniejszym celem działalności architekta, przy czym osiągany standard winien uwzględniać ważny aspekt etyczny – szacunek dla środowiska naturalnego oraz dziedzictwa kulturowego.

3. Osiągnięciu formułowanych celów służyć może polityka jakości krajobrazu, przestrzeni publicznej, architektury.

Uczestnicy Kongresu Architektury Polskiej przyjmują i popierają przedstawione założenia Polskiej Polityki Architektonicznej.

Poznań, 24 maja 2008 roku

FILM

Magda Sendecka

Świetny festiwal, takie sobie filmy…

Młode lwy prężą mięśnie przed skokiem

Czy to możliwe? Czy może zaistnieć taki fenomen: ciekawa impreza filmowa, jeśli zawiodą pokazywane na niej obrazy? A jednak wydaje się, że z takim właśnie paradoksem mieliśmy do czynienia w 2008 roku w Koszalinie. Ze wszech miar słuszna decyzja Jerzego Kapuścińskiego, dyrektora Festiwalu „Młodzi i Film", aby uczynić go na powrót konkursem polskich debiutów, skazuje jednak imprezę na nieuchronną zależność od aktualnego stanu tego akurat działu polskiej kinematografii. A z debiutami – jak wiadomo – raz bywa lepiej, raz gorzej.

Wprawdzie zasilane z funduszy operacyjnych Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej polskie kino ma się całkiem dobrze, ale tak się akurat złożyło, że rok 2008 dla debiutów nie był szczególnie łaskawy. Widać to było i w Koszalinie i, nieco późniejszej przecież, bo już wrześniowej Gdyni, gdzie jury Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych mogło wybierać z czterech (sic!) nieledwie tytułów. To na następny sezon szykuje się około 20 debiutów, w tym tak oczekiwane, jak powstałe według scenariuszy nagrodzonych w konkursie Hartley-Merrill „Moja krew" Marcina Wrony i „Zdjęcie" Macieja Adamka.

Tymczasem 2008 rok najwyraźniej należał do lat chudych. Jury pod przewodnictwem Wojciecha Marczewskiego oceniało zaledwie osiem filmów. Wśród nich znalazły się tytuły tak różne, że dziwić wręcz może zgromadzenie ich w jednym konkursie. Z jednej strony mamy bowiem średniometrażową właściwie „Balladę o Piotrowskim" Rafała Kapelińskiego, obiecującego autora krótkiej fabuły „Emilka płacze", rozgrywającej się w stanie wojennym historii pierwszej miłości, która zdobywa laury na światowych festiwalach. Tym razem Kapeliński przedstawił płynącą powoli jak Wisła, nad którą toczy się akcja, opowieść o dobrych ludziach i niezrealizowanych ambicjach, ciepłą i kameralną, bliską kinu offowemu. Blisko offu – z racji niedostatków warsztatu, zwłaszcza scenariusza, choć zrealizowany siłami profesjonalistów - lokuje się też debiut Marcina Korneluka „Taxi A". A zaraz obok w pełni profesjonalne i - rzec można - konwencjonalne debiuty Tomasza Drozdowicza („Futro"), Izabeli Szylko („Niezawodny system"), Stanisława Muchy („Nadzieja") i Dariusza Jabłońskiego („Wino truskawkowe"). Po czym – brawurowo offowy „Nie panikuj!" Bodo Koxa, jednego z najciekawszych twórców kina niezależnego.

Trudno znaleźć dla tych filmów wspólny mianownik. Oto groteskowa mniej („Futro") lub bardziej („Taxi A") krytyka rzeczywistości naszego raczkującego (a może rozbuchanego) konsumpcjonizmu. Oto rozważania moralne i opowieść psychologiczno-metafizyczna - spuścizna po Kieślowskim („Nadzieja" wg scenariusza Krzysztofa Piesiewicza). Oto adaptacja kultowej literatury Andrzeja Stasiuka, zapatrzona w kino czeskie, ale i próbująca własnego głosu („Wino truskawkowe"). I wreszcie pogodne kino środka dla starszych i młodszych widzów („Niezawodny system").

To, czego zabrakło większości z nich, to nuta szaleństwa, odwaga i bezkompromisowość, której można oczekiwać od debiutu właśnie.

Nic więc dziwnego, że jury nagrodziło „Środę, czwartek rano" Grzegorza Packa. Doświadczony dokumentalista (podobnie zresztą jak dwaj inni debiutanci, Stanisław Mucha i Dariusz Jabłoński) zrobił film nie do końca może udany, ale „jakiś". Szukający własnego charakteru pisma, nerwowo rozedrgany, próbujący mówić o rzeczach poważnych, dotykający problemów egzystencjalnych, szukający związków i odniesień do historii. Może największa jego wartość leży w fakturze obrazu, bliskiej chaotycznej rzeczywistości współczesnego wielkiego miasta. Nagrodzono także debiutujących na dużym ekranie aktorów Joannę Kulig i Pawła Tomaszewskiego.

Laureat zapewne najbardziej się ucieszył z Nagrody Prezesa TVP – 900 tysięcy złotych, które zasilą budżet jego następnego filmu fabularnego. Ta precedensowa nagroda po raz pierwszy została wręczona w ubiegłym roku Xaweremu Żuławskiemu („Chaos"), który w tej chwili już kończy swoją drugą fabułę – „Wojnę polsko-ruską" wg głośnej książki Doroty Masłowskiej.

Nagrodę Specjalną Jury za „poczucie humoru, ironię i desperację twórczą" dostał natomiast Bodo Kox, za najżywszy, moim zdaniem, film festiwalu, w poetyce offu mierzący się z tematyką śmierci i sensu życia. Brawurowa zmiana tonacji pod koniec filmu i duża doza absurdalnego humoru zapewne spowodowały, że Koxa nagrodziła również festiwalowa publiczność.

Ale to, co najważniejsze podczas 27. Festiwalu „Młodzi i Film", działo się na projekcjach krótkich metraży. W tej kategorii poziom konkursu był naprawdę wyrównany. Tu nie mamy się czego wstydzić. Młode lwy polskiego kina prężą mięśnie przed skokiem w długi metraż, próbując swoich sił w krótkich fabułach i dokumentach. Tu też widać, jak owocne okazały się programy „30 minut" czy „Pierwszy dokument", pozwalające młodym reżyserom robić filmy za niewielkie wprawdzie pieniądze, ale w profesjonalnych warunkach i pod opieką artystyczną doświadczonych twórców. Tu też widać, że polskie szkolnictwo filmowe bynajmniej nie zostało dotknięte kryzysem. Jury pod przewodnictwem

Autor plakatu **Stanisław Młodożeniec.**

Dariusza Gajewskiego stanęło przed trudnym wyborem. Może o tym świadczyć choćby liczba wyróżnień, przyznanych oprócz regulaminowych nagród. Te ostatnie za najlepszy dokument przyznano Jacobowi Dammasowi („Kredens"), a za fabułę - Jarkowi Sztanderze za doskonałą, mroczną etiudę „Luksus", która w Koszalinie rozpoczęła tournée po licznych festiwalach, skąd nieodmiennie przywozi nagrody.

Osobnym doznaniem okazało się w tym roku śledzenie konkursu animacji. Jurorzy za najlepszy obraz animowany uznali „American Dream" Jakuba Wrońskiego, wyróżniając Wiolę Sowę („Refreny") i Pawła Prewenckiego („Bird's Song"). Ale najlepszym podsumowaniem sytuacji wydaje się szczególny werdykt dziennikarzy, którzy po raz pierwszy w historii festiwalu przyznali nagrodę zbiorową autorom wszystkich zaprezentowanych w konkursie filmów animowanych *za wyjątkowo wysoki poziom ar-*

tystyczny, nawiązujący do najświetniejszych tradycji polskiej animacji.

W 2008 roku wręczono jeszcze dwie, szczególne nagrody. Publiczność głosowała na najlepszy debiut aktorski 10-lecia. Zaszczytnego Super Jantara zdobyła Małgorzata Kożuchowska za debiut w „Kilerze" Juliusza Machulskiego, a za rolę męską – Tomasz Kot za „Skazanego na bluesa" Jana Kidawy-Błońskiego.

Koszalin powszechnie kojarzy się z rozmowami o filmie. „Szczerości za szczerość" nie zabrakło również tym razem, choć może nie były aż tak gorące, jak bywało tutaj w najlepszych latach. Za to niezwykle atrakcyjnie prezentował się program muzyczny. Koncerty stanowiły właściwie osobny festiwal na festiwalu, nie w tym sensie, że gromadziły inną publiczność; owszem, zmęczeni nieco przesiadywaniem w kinie widzowie ochoczo przestrajali się na inne fale odbioru. A słuchać było czego. Zamykał festiwal koncert formacji Waglewski – Voo Voo – Fisz – Emade – w rewelacyjnej formie. A wcześniej w festiwalowym namiocie bądź klubie grali Tomek Lipiński & Tilt, Jimi Tenor z Finlandii, niemiecki duet Stereo Total i grupa Donna Regina, i nasze siły: Łona, Eryk Kulm Quintessence z Robertem Majewskim, Trio Piotra Kałużnego, Katorna z Włodkiem Pawlikiem, RGG. A to wcale nie wszystko! Była rewelacyjna multimedialna „Wilkanoc", czyli animacje Mariusza Wilczyńskiego z muzyką na żywo. Były spotkania i dyskusje TVP Kultura. Tradycyjnie już – warsztaty, czyli Laboratorium Scenariuszowe Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Pokazy debiutów zagranicznych. Seanse w ramach świętowanego w świeżo otwartym klubie „Rezerwat" (nazwanym tak, rzecz jasna, na cześć filmu Łukasza Palkowskiego, który święcił triumfy rok wcześniej) jubileuszu obu – łódzkiej i katowickiej – „Filmówek".

Festiwal „Młodzi i Film" staje się coraz bardziej atrakcyjną, bogatą programowo imprezą, która zaleca się przy tym kameralną, bezpretensjonalną atmosferą i przyciąga nie tylko festiwalowych „najeźdźców" – gości z zewnątrz, ale widzów z miasta. Jak udało się pogodzić tę sprzeczność – rozmach i brak zadęcia – pozostanie tajemnicą organizatorów.

A że fabularne pełnometrażowe debiuty w tym roku nie dopisały? No cóż, rolą festiwalu „Młodzi i Film" ma być między innymi diagnozowanie aktualnego stanu kina. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oczekuje, że ta diagnoza zawsze będzie optymistyczna. Ale po koszalińskim festiwalu widać, że nawet jeśli pacjent w tej chwili nie czuje się najlepiej, to rokowania są bardzo pomyślne. A dyskusje o metodach terapii mogą być szalenie inspirujące. W Koszalinie można się było o tym przekonać.

fot. Ilona Łukjaniuk

Izabela Nowak

V Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja”

Sztuka z misją społeczną

Chociaż pierwsza edycja Festiwalu odbyła się w 2003 roku w Kołobrzegu, historia tej unikatowej nie tylko w skali Europy, ale i świata imprezy, sięga roku 1999. Właśnie wówczas Barbara i Piotr JAROSZYKOWIE poszukiwali formuły imprezy popularyzującej ambitny film, a jednocześnie pozwalającej spojrzeć przez pryzmat sztuki na problemy osób dotkniętych różnym stopniem niepełnosprawności – zarówno intelektualnej, jak i fizycznej. Oboje zdawali sobie sprawę, że przyszła impreza nie będzie mieć nic wspólnego z komercją, że prezentowanym w konkursowych pokazach, mówiących często o trudnych i bolesnych sprawach filmom, trudno zaistnieć w świecie wszechobecnego banału. Szlachetne przesłanie niwelowania głęboko zakorzenionych w społecznej świadomości barier, które dzielą świat ludzi zdrowych i niepełnosprawnych, oraz bogaty w artystyczne propozycje kształt programowy festiwalu sprawiły, że już pierwsza jego edycja stała się niezwykle znaczącym wydarzeniem, ciepło przyjętym przez publiczność. W ten oto sposób narodził się festiwal w sposób doskonały łączący walory artystyczne z misją społeczną.

Od 2005 roku Festiwal Integracja „Ty i Ja” na dobre zadomowił się w Koszalinie. Minione lata przyniosły imponujący artystyczny bilans; tysiące widzów obejrzało ponad 160 filmów, uczestniczyło w kilkudziesięciu wystawach, koncertach, spotkaniach z wybitnymi osobowościami świata sztuki oraz w tradycyjnych dyskusjach panelowych realizowanych pod hasłem „Bez barier”. Wciąż poszerza się grono zaprzyjaźnionych z koszalińską imprezą i oddanych idei integracji wybitnych osobowości ze świata kultury i sztuki. Swoistym „znakiem firmowym” tej wyjątkowej imprezy jest atmosfera, pełna ciepła i wzajemnej życzliwości, sprzyjająca nawiązywaniu przyjaźni, a także sprawiająca, że słowo „integracja” nabiera coraz to nowych i głębszych znaczeń. Ten wyjątkowy klimat tworzą przede wszystkim współtworzący festiwal ludzie, z jego dyrektorem Barbarą Jaroszyk na czele, która z wielkim zaangażowaniem kontynuuje dzieło zmarłego męża

Królestwo X Muzy

Piąta, jubileuszowa edycja Europejskiego Festiwalu Filmowego „INTEGRACJA TY I JA”, organizowana ponownie przez Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne i Koszalińską Bibliotekę Publiczną, rozpoczęła się nietypowo – w Szczecinie, gdzie w Zamku Książąt Pomorskich wyeksponowano prace plastyczne niepełnosprawnych artystów – Jacka Markunasa, Agnieszki Kołodziejczak, Ireneusza Betlewicza i Jordana Perfonowa.

Koszalińska „kulminacja”, która trwała od 10 do 13 września 2008 r., cieszyła się wyjątkowym zainteresowaniem i trudno się dziwić, gdyż jubileuszowa edycja była szczególnie bogata w artystyczne wydarzenia. Królowała oczywiście X Muza. W trzech konkursach – filmów fabularnych, dokumentalnych i amatorskich, realizowanych przez osoby niepełnosprawne - zaprezentowano aż czterdzieści obrazów nie tyl-

ko z krajów europejskich, ale także z Izraela i USA. Pokazom filmowym towarzyszyły wystawy plastyczne, koncerty muzyczne, prezentacje i warsztaty teatralne.

Rozmaitość gatunków, różnorodne formy artystycznej wypowiedzi i szeroki wachlarz podejmowanych w konkursowych filmach problemów umożliwił prezentację wielu aspektów życia osób dotkniętych niepełnosprawnością – zarówno fizyczną, jak i intelektualną. Czterdzieści konkursowych obrazów z Polski, Białorusi, Estonii, Francji, Węgier, Izraela, Rosji, Norwegii i USA, rywalizujących o Grand Prix i „Motyle 2008", obejmowało szeroką panoramę światowego kina – od amatorskich dokonań niepełnosprawnych twórców, poprzez bardzo interesujące filmy dokumentalne, aż do cieszących się światową sławą arcydzieł typu „Motyl i skafander". Jednak wszystkie konkursowe obrazy połączył wspólny mianownik – bohaterowie. Czasem zmagający się z trudną rzeczywistością, częściej jednak odnajdujący smak życia poprzez realizację artystycznych, sportowych, czy turystycznych pasji.

W królestwie X Muzy znalazło się również miejsce na kolorowy i przyjazny świat baśni. Podczas koszalińskiej imprezy świętowano bowiem jubileusz sześćdziesięciolecia polskiej animacji, a także znaczący jubileusz półwiecza działalności Studia Miniatur Filmowych. Oczywiście, jubileusz wzbogacony został o prezentacje filmowe, a także o pokaz filmów zrealizowanych przez uczestników Integracyjnych Warsztatów Filmowych „Ty i Ja z kamerą" w Podgórkach.

Całość prezentacji filmowych oceniało międzynarodowe festiwalowe jury, któremu przewodniczył Francuz Philippe Lornac, dyrektor programowy Canal + i juror festiwali w St. Tropez oraz Cannes, Jerzy Kalina – performer, twórca scenografii i rzeźbiarz, Bassam Aouil – syryjskiego pochodzenia psycholog i psychoterapeuta z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy; Rasim Iliasowicz Dargiach-Zade – prezydent Gildii Organizacji Producentów Filmowych, Wynajmu Filmów i Pokazu Filmów z Rosji, koszalińska dziennikarka Agata Augusiak, Radosław Bałaj – psychiatra z Koszalina oraz Marta Sikorska z Warszawy, pedagog i mistrzyni świata (2002) oraz wicemistrzyni Europy (2007) w Tańcu na Wózkach w kategorii par „combi".

„Integracyjne Oscary"

W rywalizacji o Grand Prix Festiwalu zwyciężył „Obraz uczuć" w reżyserii Sławomira Grünberga (USA). Nagrody Główne – „Motyle 2008" – zdobyły: w kategorii filmów fabularnych „Motyl i skafander" w reżyserii Juliana Schnabela, w kategorii filmów dokumentalnych – „Kaleka_38" w reżyserii Adama Leńca *za portret wewnętrzny człowieka, który świadomie decyduje się na samotność w poszukiwaniu prawdziwej miłości,* a w kategorii filmów amatorskich – „Wywiad z osobowością lokalną" w reżyserii Magdaleny Popławskiej *za ukazanie w formie szkicu do portretu człowieka, który mimo świadomości swoich ograniczeń odnalazł sens w życiu.*

Z założenia – tematyką prezentowanych na festiwalu filmów są problemy w jakiś sposób związane z niepełnosprawnością – powiedziała Marta Sikorska. – *Ale dla mnie niezwykłą wartością tego festiwalu jest fakt, że wszystkie prezentowane w trzech konkursach filmy w sposób niezwykle szeroki i otwarty mówią o różnych problemach i potrzebach ludzi niepełnosprawnych, które przecież – w dużej mierze – są takie same dla większości z nas. Można więc powiedzieć, że filmy te sprowadzają się po prostu do mówienia o człowieku…*

A co porwało nas w uhonorowanym Grand Prix „Obrazie uczuć"? Otóż reżyser w doskonały sposób wchodzi w świat bohatera – autystycznego chłopaka. Pokazuje jego potrzeby, emocje, lęki, a nawet język, którym się posługuje. Powstał film głęboki i przejmujący, przy tym szczery i doskonale skonstruowany. Natomiast film „Motyl i skafander" jest przepięknie fotografowaną i bardzo przejmującą opowieścią. To film mocny, zachwycający niezwykłym montażem i metaforyką, sięgającą tak naprawdę głębi istnienia. Wraz z zamykającym się okiem bohatera, który widzi coraz

Fragment wystawy „Isadora - opowieść o kobiecie" zrealizowanej przez Lubelskie Warsztaty Terapii Zajęciowej „Teatroterapia". fot. archiwum festiwalu

mniej – widz widzi i czuje coraz więcej…

Co łączy nagrodzone filmy? Wyjątkowość. To, że są bardzo dobre, a także fakt, że nie przedstawiają powierzchownie problemów bohaterów i rzeczywistości, w jakiej oni żyją. Raczej sięgają głębiej pod powierzchnię… Dzięki nim możemy ujrzeć świat oczami ludzi niepełnosprawnych.

Jacek Bławut: „Wstań i walcz, Wojowniku!"

Znaczącym filmowym wydarzeniem było spotkanie z Jackiem Bławutem, reżyserem od lat zaprzyjaźnionym z Festiwalem „INTEGRACJA TY I JA". W 1990 roku zrealizowany przez niego film „Nienormalni" spowodował przełom w postrzeganiu ludzi dotkniętych niepełnosprawnością. Od tego czasu Jacek Bławut z talentem, wrażliwością i rzadko spotykaną empatią portretuje w swoich dokumentach ludzi doświadczonych przez los, zmagających się z cierpieniem, depresją, żyjących na krawędzi. Zawsze jednak towarzyszy im nadzieja na szczęśliwą odmianę, a reżyser potrafi przekonać i swoich bohaterów i publiczność, że pokonywanie kolejnych przeszkód stanowi prawdziwy sens życia.

Podczas jubileuszowej edycji festiwalu Jacek Bławut zaprezentował publiczności film „Wojownik" – dramatyczną historię Marka Piotrowskiego, dziewięciokrotnego zawodowego mistrza świata w kick-boxingu, który po latach triumfu stracił właściwie wszystko… oprócz nadziei. Teraz próbuje na nowo odnaleźć sens życia, a także – samego siebie – poprzez prowadzenie szkółki sportowej dla młodzieży i działalność w Fundacji o jakże wymownej nazwie – „Wstań i walcz!".

– Zastanawiałem się, czy ten film może być ważny dla społeczności ludzi niepełnosprawnych i doszedłem do wniosku, że tak właśnie jest – powiedział Jacek Bławut podczas spotkania z publicznością. *– Chciałbym, aby z ekranu popłynął do odbiorców strumień pozytywnej energii. Przecież mój bohater, Marek Piotrowski, odnalazł w sobie siłę, by wprowadzić w życie wspaniałe hasło „wstań i walcz", Ta dewiza powinna dotyczyć wszystkich, a w szczególności tych, którzy uważają, że nie mają już o co walczyć.*

„Chcą być potrzebni – daj im szansę"

Nieodłącznym elementem programu każdego festiwalu „Integracja - Ty i Ja" są, rzeczywiście integrujące wszystkich uczestników, dyskusje panelowe. Jedna z nich odbyła się pod hasłem „Chcą być potrzebni – daj im szansę", a koncentrowała się wokół możliwości przełamywania stereotypów i niwelowania barier społecznych poprzez wykorzystanie nowoczesnych przekazów reklamowych: spotów, bilbordów, audycji radiowych. Można było przekonać się, że kampanie społeczne nie tylko informują i edukują, ale także są w stanie przywrócić niepełno-

sprawnym wiarę w ich możliwości i sens życia.

W dyskusji swoje dokonania zaprezentowali przedstawiciele stowarzyszeń i fundacji działających na rzecz osób niepełnosprawnych oraz reprezentanci agencji reklamowych, które – w ramach prospołecznej charytatywnej działalności nonprofitowej – kreują telewizyjne i bilbordowe kampanie społeczne promujące ciekawe inicjatywy. Dyskusja uzupełniona była filmowymi projekcjami i prezentacjami multimedialnymi.

Do niedawna wokół problemów godności i jakości życia niepełnosprawnych panowała swoista zmowa milczenia. Dziś – na szczęście – idea integracji przestaje być pustym hasłem. Coraz więcej wiemy, coraz więcej rozumiemy. Z roku na rok zmienia się również sposób postrzegania problemów tej grupy. W tym kontekście misja spełniana przez nowatorskie prospołeczne kampanie reklamowe, podejmowane między innymi przez Agencję TBWA, jest po prostu bezcenna. Te działania wspierają niezwykle interesujące inicjatywy realizowane przez Fundację SYNAPSIS, Fundację „Akogo?", Fundację Aktywnej Rehabilitacji oraz Polskie Stowarzyszenie na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym. Każda z tych organizacji zapisała już na swoim koncie wiele sukcesów.

Uczestnikom panelowej dyskusji przybliżono rozpoczętą 17 września 2008 roku nową telewizyjną kampanię społeczną, zmierzającą do zmiany wizerunku osoby niepełnosprawnej umysłowo oraz zniwelowania barier psychologicznych, skutkujących odrzuceniem upośledzonych umysłowo przez zdrową część społeczeństwa. Wiele stacji telewizyjnych rozpoczęło emisję krótkich spotów z udziałem niepełnosprawnych aktorów. Przekaz jest jasny, czytelny i bar-

W świat teatru wprowadzili
aktorzy z gdyńskiego „Biura Rzeczy Osobistych".

fot. archiwum festiwalu

dzo trafnie sformułowany – „niepełnosprawni mogą cię zarazić… uśmiechem, radością, pasją i wiarą w przyjaźń. Chcą być potrzebni. Daj im szansę". Inicjatorem akcji jest Polskie Stowarzyszenie na Rzecz Osób Upośledzonych Umysłowo. Genezę projektu przybliżył podczas dyskusji Karol Pawlak, przedstawiciel Stowarzyszenia na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym:

- Boimy się bliskości osób niepełnosprawnych Te emocje potwierdzają badania. Ich wyniki zaktywizowały nas do sformułowania celów marketingowych, które chcieliśmy osiągnąć poprzez telewizyjną kampanię. Pragniemy uwrażliwić odbiorców na problemy osób z niepełnosprawnością intelektualną, pokonać bariery związane z obcowaniem z tymi ludźmi oraz przygotować grunt na rzecz zatrudnienia upośledzonych umysłowo. Jednak najważniejsza jest zmiana sposobu myślenia i postrzegania osób upośledzonych umysłowo jako ludzi, którzy chcą i mogą spełniać ważną rolę w społeczeństwie. Wykluczenie społeczne powinno być niwelowane. W tę stronę idzie Europa i świat.

Sport w ogrodzie sztuk wszelakich

Koszalińskie święto sztuki spod znaku integracji obejmowało wiele imprez towarzyszących. W galerii „Region" Koszalińskiej Biblioteki Publicznej została zaprezentowana wystawa wymienionych na wstępie niepełnosprawnych artystów plastyków – Jordana Perfonowa, Jacka Markunasa, Agnieszki Kołodziejczak i, obecnego podczas festiwalu, Ireneusza Betlewicza, którego interesujące, niepokojące w klimacie kompozycje plastyczne cieszyły się dużym zainteresowaniem. Obrazy te zostały przedstawione przez „Naszą Galerię" z Łodzi, jedyną

Festiwal „Ty i Ja" przekuwa ideę integracji w czyn. fot. archiwum festiwalu

w Polsce galerię wystawienniczą promującą twórczość artystów niepełnosprawnych.

W programie festiwalu znalazły się również akcenty muzyczne. Wokalny kunszt laureatów Festiwalu Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty w Krakowie podziwialiśmy podczas prezentacji w festiwalowym namiocie ustawionym na placu Polonii, natomiast w Domku Kata amatorzy bardziej dynamicznych brzmień mogli uczestniczyć w koncercie rockowym „BARZYCKI.PL i przyjaciele".

W świat teatru wprowadzili uczestników Festiwalu niepełnosprawni aktorzy z gdyńskiego zespołu „Biuro Rzeczy Osobistych", laureata wielu nagród zdobytych na festiwalach i przeglądach teatralnych. To wyjątkowa, istniejąca już od dziesięciu lat grupa, z powodzeniem łącząca funkcje terapeutyczne z pracą artystyczną. Prezentowane przez gości z Gdyni spektakle – „Obcy" i „Moje miasto" wzbogaciły uroczystą inaugurację oraz zakończenie festiwalu. Aktorzy z Gdyni wraz z koszalińską młodzieżą z „Teatru na Bosaka" uczestniczyli również w warsztatach teatralnych pod nazwą „Dwa teatry".

Tegoroczna edycja „INTEGRACJA TY I JA" zbiegła się w czasie z paraolimpiadą w Pekinie. Nic więc dziwnego, że jednym z wiodących, wyraźnie zaznaczonych w festiwalowym programie tematów był sport, obecny zarówno w filmowych pokazach poświęconych niepełnosprawnym zawodnikom różnych dyscyplin, jak w czasie spotkań z najbardziej utytułowanymi sportowcami i paraolimpijczykami. Niezwykle interesujące okazały się również zajęcia prowadzone przez działaczy Stowarzyszenia „Aktywna Rehabilitacja" ze Szczecina.

Szczęśliwy finał

– Jesteśmy ogromnie zadowoleni, że program udało się w pełni zrealizować, a także z powodu wielkiego zainteresowania towarzyszącego naszym propozycjom – podsumowała jubileuszową edycję Barbara Jaroszyk. *– Źródłem satysfakcji jest również fakt, iż impreza zyskuje wymiar międzynarodowy, co potwierdza udział wielu znakomitych gości. Nasza idea tolerancji idzie w świat! I bardzo się z tego cieszę. Z powodzeniem modyfikujemy i wzbogacamy formułę naszego Festiwalu. W 2008 roku konkurs filmowy po raz pierwszy został poszerzony o filmy amatorskie, zrealizowane przez niepełnosprawnych. To wielka sprawa, że ludzie niepełnosprawni chwytają za kamerę, aby przekazać swoje przeżycia, myśli, emocje i w ten sposób komentować rzeczywistość.*

Dzięki koszalińskiemu festiwalowi idea integracji staje się faktem. Podziwiając dokonania znakomitych niepełnosprawnych artystów – plastyków, literatów, filmowców, wokalistów czy aktorów oraz sukcesy uczestniczących w paraolimpiadach sportowców, słuchając koncertów młodych laureatów Festiwalu Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty w Krakowie, trudno oprzeć się wrażeniu, że określenie „niepełnosprawni" pozostaje w absolutnej sprzeczności z pełnymi pasji i entuzjazmu ludźmi, tak bardzo kochającymi życie. Nawet wtedy, kiedy nie jest ono najłatwiejsze...

HISTORIA

Jacek Borkowski

Badania wykopaliskowe na Rynku Staromiejskim

Po raz pierwszy w źródłach historycznych Koszalin został wymieniony w 1214 roku jako osada o nazwie Cossalitz, „blisko góry Chełm położona" (*iuxta Cholin*), którą książę Bogusław II nadał klasztorowi norbertanów w Białobokach koło Trzebiatowa. 23 maja 1266 roku, w czasie pobytu w opactwie klasztoru cystersów w Bukowie Morskim, biskup kamieński Herman von Gleichen uwierzytelnił swoją pieczęcią bardzo ważny dla Koszalina dokument nadania praw miejskich (Muszyński, 1974, 19).

Średniowieczny Koszalin reprezentował typowe dla 2 połowy XIII wieku założenie o zarysie nieregularnego koła zajmującego powierzchnię prawie 15 ha. Miasto posiadało centralnie usytuowany czworokątny rynek, szachownicowy układ kwartałów tworzony przez ulice przecinające się pod kątem prostym, z gotyckim kościołem NMP usytuowanym w przylegającym do rynku kwartale. Początkowo miasto otoczone było drewnianą palisadą, na miejscu której od 1291 roku zaczęto stawiać ceglane mury obronne na kamiennych fundamentach. Ich budowa została zakończona w 1310 roku, oprócz odcinka przy klasztorze cysterek, który dokończono około 1320 roku. Mury miały 1560 m długości, a ich wysokość sięgała 6 metrów. Umocnione zostały wbudowanymi w nie 46 basztami-czatowniami (Marciniak, 1967, 68). Koszalin posiadał 3 bramy: Młyńską od północy, Nową od zachodu i Wysoką od strony południowej. Najważniejszymi budowlami średniowiecznymi w mieście był ratusz zbudowany na środku rynku około 1308 roku oraz kościół Mariacki wzniesiony na początku XIV wieku

Pierwsze informacje o odkryciach archeologicznych w ramach śródmieścia Koszalina pochodzą z końca lat 20. XX wieku (Skrzypek 2004, s.181).

Archeologiczne rozpoznanie historycznej przestrzeń miejskiej Koszalina w skali ostatnich lat przedstawia się zadowalająco, zwłaszcza w części południowej i północno-wschodniej miasta lokacyjnego. Wszystkie prowadzone do tej pory prace badawcze skupiały się wokół najważniejszego punktu miasta, jakim jest Rynek Staromiejski. Dopiero w roku 2008 archeolodzy z Działu Archeologii Muzeum w Koszalinie, przy udziale studentów z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytetu Gdańskiego, mogli przystąpić do prac badawczych w ramach koszalińskiego placu rynkowego. Podjęte prace wykopaliskowe miały na celu przede wszystkim rozpoznanie struktury nawarstwień układu stratygraficznego rynku oraz procesów związanych z przemianą miasta od chwili powstania do czasów nam współczesnych. Jednym z założeń prac badawczych była korelacja zapisów historycznych (m in. z kroniki Johanna Davida Wendlanda), dotyczących obecności w przestrzeni miejskiego placu ratuszy oraz zabudowań związanych z infrastrukturą miasta średniowiecznego i nowożytnego. Badania miały udokumentować układ nawarstwień powstałych w czasie kolejnych okresów rozwoju miasta, dając asumpt do prześledzenia dynamiki zmian poprzez analizę substancji architektonicznej oraz przyrostu warstw i materiału ruchomego w układzie stratygraficznym badanego miejsca.

Poczyniona przed przystąpieniem do badań wykopaliskowych kwerenda naukowa pozwoliła w dość precyzyjny sposób wyznaczyć wykop badawczy w miejscu, gdzie do 1945 r. znajdował się pomnik cesarza Fryderyka Wilhelma I. W ramach wymienionego wykopu w centralnym punkcie placu, tuż obok południowowschodniego narożnika fontanny, zarejestrowano ceglany fundament pomnika. Posadowiony był on na kilkunastu głazach narzutowych, powiązanych ze sobą twardą zaprawą wapienno piaskową. Całość wykonana była z cegły rozbiórkowej pochodzącej z rozbiórki budynków zniszczonych podczas wielkiego pożaru w roku 1718. Podczas budowy podwalin pomnika w roku 1723 w części południowej wykorzystano pozostałości drugiego ratusza miejskiego, którego ślady w postaci kamiennego fundamentu i ceglanych murów zarejestrowano w wykopie.

Fundament pod pomnik był ośmiokątnym ceglanym murkiem, na którym do czasów wojny spoczywała metalowa balustrada, oddzielająca dostęp do pomnika. Niestety, podczas prac wykopaliskowych nie zarejestrowano śladów wymienionych balustrad ani pozostałości figury cesarza, która została usunięta z placu i wywieziona w nieznane dotąd miejsce pomiędzy lutym a marcem 1945 r. Przeprowadzone w okresie od marca do września 2008 r. badania objęły powierzchnię 4 spośród 52 arów, które zajmuje obecnie plac przed ratuszem. Mimo pewnych ograniczeń przestrzennych i logistycznych pozwoliły one na płynne prześledzenie dynamiki zmian zachodzących na przestrzeni wieków w ramach placu miejskiego, zarejestrowanie pozostałości architektury murowanej i drewnianej oraz podziemnej infrastruktury miejskiej XVIII - wiecznego Koszalina. Ciekawym aspektem badań było odsłonięcie fragmentu drewnianego systemu wodociągowego, doprowadzającego z Góry Chełmskiej wodę na potrzeby mieszkańców miasta oraz do zasilenia dwóch basenów zlokalizowanych od zachod-

Rynek Staromiejski odsłonił swoje tajemnice. fot. Jacek Borkowski

niej i wschodniej strony placu rynkowego. Jak podaje J.D. Wendland z obu stron posągu (pomnik cesarza Fryderyka Wilhelma - przyp. autora) znajdowały się okazałe baseny, do których za pomocą rur ułożonych pod ziemią dostarczano wodę z odległej o ¼ mili Góry Chełmskiej. W trakcie prac nie zarejestrowano śladów po wymienionych basenach; prawdopodobnie były one zlokalizowane poza obszarem wykopu badawczego w kierunku zachodnim i wschodnim. Odkopany system drewnianych rur dębowych i świerkowych zachował się w bardzo dobrym stanie. Poszczególne elementy wodociągu wykonane były z okrągłych okorowanych pni łączonych ze sobą za pomocą metalowych kołnierzy. Omawiany system zarejestrowano w północnej i południowo-zachodniej części badanego miejsca. Podczas wcześniejszych badań archeologicznych w ramach poszczególnych ulic śródmieścia odnotowywano dłuższe lub krótsze odcinki drewnianych rur dających obraz rozmiaru przedsięwzięcia „inżynieryjnego", jakim była budowa w XVIII stuleciu systemu wodociągowego dla Koszalina. W części północno-zachodniej odkopano solidnie wykonaną ceglaną studnię, która została wybudowana w miejscu starszej (zasypanej wg J.D. Wendlanda 20 czerwca 1724 r.), na co wskazywał kontekst nawarstwień.

Najważniejszym jednak odkryciem było odsłonięcie pozostałości fundamentów dwóch ratuszy miejskich, obecnych w przestrzeni placu rynkowego do wieku XVIII. Ich pozostałości w postaci kamiennych ław fundamentowych z zachowanymi resztkami strzępi murów ceglanych zarejestrowano w skali całego wykopu badawczego. Analiza poszczególnych fragmentów większych i mniejszych murów wykazała obecność dwóch różnoczasowych budynków z kilkoma przybudówkami od strony północnej i południowej.

Najstarsza część ratusza zachowała się w północnej części wykopu, w postaci wewnętrznej ściany ceglanej z płytką blendą; nieco lepiej zachowaną zewnętrzną ścianę, posadowioną na kamiennym fundamencie z dwoma blendami,

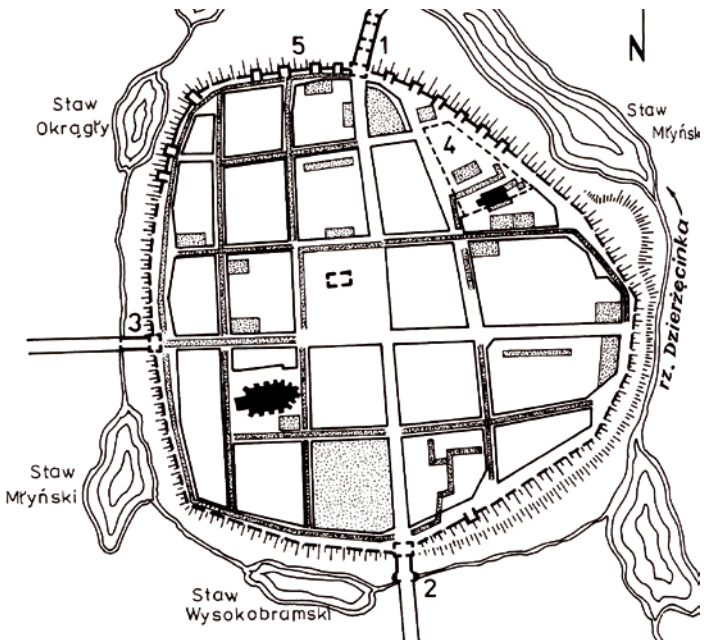

Rynek koszaliński około roku 1840.

fot. archiwum

zarejestrowano w południowej części wykopu. Oba mury łączyć należy ze średniowiecznym ratuszem, który uległ spaleniu w roku 1504. Jak wynika z zapisów m.in. Wendlanda pierwszy ratusz koszaliński powstał po roku 1308, za zgodą ówczesnego biskupa. Podczas badań wykopaliskowych nie zdołano określić wymiarów ani pierwszego, ani drugiego ratusza. Z wykonanej analizy architektonicznej i pomiarów geodezyjnych wynika, że pierwszy budynek o zarysie prostokąta i przybliżonych wymiarach 22x12 m zlokalizowany był w centralnej części pierwotnego placu rynkowego. Podobnie w przypadku drugiego ratusza ilość zarejestrowanych murów nie pozwala na odtworzenie jego pełnego zarysu; przypuszczać należy, iż był on większy od poprzedniej konstrukcji i zorientowany dłuższym bokiem na osi wschód – zachód.

Przeprowadzone badania wykazały, że oba obiekty zostały zniszczone w wyniku pożaru, co potwierdzają również źródła pisane. Podczas prac zarejestrowano kilka warstw świadczących o większych i mniejszych pożarach, które na przestrzeni stuleci pustoszyły rynek staromiejski i przyległe do niego kwartały. Dużym zaskoczeniem podczas prowadzonych prac było zlokalizowanie miejskiej mennicy, którą odsłonięto w północnej części placu, w ramach pierwszego koszalińskiego ratusza. Uległa ona spaleniu prawdopodobnie podczas pożaru z roku 1504, na co wskazywała intensywna warstwa spalenizny zalegającej na ceglanej posadzce jednego z niedużych pomieszczeń ratusza. W sumie pozyskano ponad 300 monet i blankietów do bicia monet, w tym większość to koszalińskie denary. Ważnym, a zarazem bardzo rzadkim znaleziskiem w ramach pomieszczenia, gdzie mieściła się mennica, były resztki rtęci, której używano zapewne do srebrzenia monet.

Prace wykopaliskowe dostarczyły pokaźny zespół różnoczasowych fragmentów naczyń ceramicznych, na podstawie których będzie można prześledzić dynamikę i rozwój miejscowego garncarstwa oraz napływ naczyń importowanych do miasta i na Pomorze w okresie średniowiecza i czasów nowożytnych. Pozyskano również sporą ilość drewnianych naczyń, w tym także beczek klepkowych, które były wykorzystane jako naczynia zbiorczo-drenujące, zabezpieczające budynki ratusza przed nadmierną wilgocią i napływem wód gruntowych.

Przeprowadzone w roku 2008 badania wykopaliskowe były pierwszymi pracami badawczymi prowadzonymi w przestrzeni rynku staromiejskiego. Dały one asumpt do dalszych rozważań nad historią naszego miasta, do potwierdzenia znanych zapisów historycznych. Otwierały możliwość bezpośredniego prześledzenia zmian zachodzących zarówno w czasach prosperity miasta, jak i w czasach mniej dostatnich. Pozyskane materiały dają możliwość prześledzenia pewnych procesów w skali czasu oraz możliwość zestawienia ich z materiałami z badań prowadzonych w innych kwartałach lokacyjnego Koszalina. Badania gabinetowe pozwolą nakreślić na nowo pewne aspekty wiedzy historycznej, pozwolą też na ujednolicenie i usystematyzowanie ciągów przestrzenno-chronologicznych rozwoju Koszalina od lokacji po czasy nowożytne.

Podkreślić trzeba, że mimo ograniczonej przestrzeni badawczej były to jedne z ważniejszych badań przeprowadzonych w ramach historycznej przestrzeni miasta Koszalina. Żałować można jedynie braku możliwości przekopania całego placu rynkowego.

Bibliografia

Siuts H.: 1928 Von vorgeschichtlichen Funde in Köslin,„Unsere Heimat", Köslin, nr 12, s.2

Skrzypek I.: 2004 Archeologiczne badania ratownicze na terenie Starego Miasta w Koszalinie, „Archaeologia et historia urbana, Elbląg , s. 181-191

Wendland J.D.: 2006 Kronika Wendlanda, pod. red. J. Chojeckiej.

Anna Mosiewicz

Umieć czytać historię

(Geschichte lesen können) Historyczna trasa edukacyjna w Archiwum Państwowym w Koszalinie

Archiwum Państwowe w Koszalinie, instytucja wielce zasłużona w gromadzeniu zasobów archiwalnych, będących niejednokrotnie jedynymi świadkami bogatej historii Pomorza, od kilku lat popularyzuje swe zbiory, stając się nie tylko dla naukowców, jak dotychczas, ale także i dla wszystkich chętnych, interesującym ośrodkiem wiedzy o naszej przeszłości.

Dzięki bliskiej współpracy z niemieckim Archiwum Krajowym w Greifswaldzie, w którego zbiorach znajdują się najstarsze dokumenty dotyczące naszego miasta, archiwum wydało – w polskim przekładzie – kolejną już edycję zeszytów „Źródeł do historii Koszalina". Kolejnym, równie ważnym i ciekawym pomysłem na popularyzację zasobów archiwalnych i dziejów naszego miasta i regionu jest wystawa, którą można obejrzeć w hallu głównym i w jednej z sal czytelni, udostępnionej wszystkim zainteresowanym. Składają się na nią dawne projekty budynków użyteczności publicznej, które zrealizowano na terenie naszego miasta. Uwagę zwraca architektoniczny projekt elewacji siedziby loży masońskiej, którą zbudowano w 1911 roku przy dzisiejszej ulicy Mickiewicza. Był to neoklasycystyczny budynek, z centralnym ryzalitem wspartym na wysokich kolumnach, zwieńczony trójkątnym tympanonem. Budynek ten, przypominający trochę budynek Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, nie przetrwał wojennej zawieruchy, a zachowany projekt jest jednym z niewielu świadków, mówiących o architekturze dawnego Koszalina. Z bogatych zbiorów archiwum dokonano wyboru najciekawszych ksiąg, dotyczących historii codziennej miasta; można je oglądać w kilku gablotach, tworzących w czytelni kolejną część historycznej wystawy. Oryginał słynnej kroniki Johanna Davida Wendlanda z lat 1737 – 1756, zatytułowany „Eine Sammlung unterschiedlicher die Historie der Stadt Cöslin betreffende Sachen" budzi zadumę dzięki ozdobnemu, ręcznemu pismu, w przeciwieństwie do nieco zabawnej księgi przysiąg urzędników miejskich, kluczników, młynarzy, starszych cechów i aptekarzy, także stworzonej w połowie XVIII wieku. Jest też najstarsza księga hipoteczna, z lat 1727 – 1745, księga inwentarzowa nieruchomości oraz katastralna budynków miasta i podatków, prowadzona nieustannie do 1910 roku. Dla badaczy mniejszości narodowych i religijnych rarytasem być może XIX - wieczna księga małżeństw żydowskich, plan miasta z najstarszym cmentarzem żydowskim przy ulicy Rzecznej, akt urodzenia Artura Barucha, jednego z przodków Leslie Brenta, słynnego naukowca, urodzonego w Koszalinie, oraz wiele innych dokumentów, związanych z etnicznym i religijnym podziałem ludności miejskiej. Są też dokumenty związane z okresem powojennym - wprowadzaniem polskiej administracji i napływem ludności, odbudową miasta z gruzów, jego rozwojem urbanistycznym, a także – jakże pamiętnym – wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 roku.

Trzecim, najważniejszym elementem popularyzacyjnej działalności Archiwum Państwowe-

go w Koszalinie jest wystawa – trasa edukacyjna „Köslin – Koszalin – miasto pomorskie", zrealizowana w ramach dofinansowanego przez Unię Europejską projektu o nazwie zawartej w tytule – „Umieć czytać historię". Wyjście z ofertą na zewnątrz w postaci kilkunastu plansz, obrazujących najciekawsze i najważniejsze akta, mapy, plany i dokumenty związane z najdawniejszą i powojenną historią miasta to świetny pomysł, propozycja nie tylko dla uczniów i studentów, ale także dla wszystkich, którzy interesują się dziejami Koszalina. Na planszach – obok głównej ilustracji, a więc mapy, planu, dokumentu, zdjęć, będących w zasobach archiwum – zamieszczono objaśnienia dotyczące przedstawionej tematyki, dzięki czemu wystawa staje się zrozumiała i przejrzysta, a dodatkowe informacje można zawsze uzyskać od przewodnika, który jest do dyspozycji w umówionym czasie.

Pierwsza plansza ukazuje reprodukcję słynnej Wielkiej Mapy Pomorza, autorstwa Eilharda Lubinusa, wykonanej w roku 1618, którą „sztychował", czyli rytował w stali Nicolaus Geelkercken. To piękne, stalorytnicze dzieło ukazuje całe Pomorze Zachodnie wraz z jego wielkim herbem i portretami książąt, a otaczające mapę bordiury zawierają herby wszystkich pomorskich rodów oraz widoki miast, zawarte w ozdobnych winietach. Jednym z nich jest Koszalin, ukazany od strony północno – wschodniej, wraz z sylwetą renesansowego zamku, wieżą ratusza i wielką bryłą katedry. Na winiecie widać także trzy bramy – Młyńską, Nową i Wysoką, kamieniczki mieszczańskie i mury obronne. Jest to najstarszy, chociaż niezupełnie wierny przykład ikonografii naszego miasta.

Na kolejnej planszy zamieszczono plan miasta średniowiecznego w obrębie miejskich murów, z zaznaczonym miejscem klasztoru cysterek i kaplicami, usytuowanymi za murami. Było ich niegdyś kilka – pod wezwaniem św. Mikołaja, patrona żeglarzy na przedmieściu poza Bramą Młyńską, św. Jerzego za Bramą Nową, od zachodu, oraz Marii Panny, zbudowana na Chełmskiej Górze. Tylko jedna z nich – kaplica św. Gertrudy, patronki zmarłych, przetrwała ponad siedemset lat i stoi do dzisiaj w bezpośrednim sąsiedztwie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Obok planu są także reprodukcje najstarszych, dotyczących lokacji miasta i jego rozwoju dokumentów, oraz lakowe wtórniki pieczęci, jakimi te dokumenty ozdabiano. Jak zawsze, wielkie zainteresowanie budzi akt lokacji miasta z 1266 roku, wydany i podpisany przez biskupa

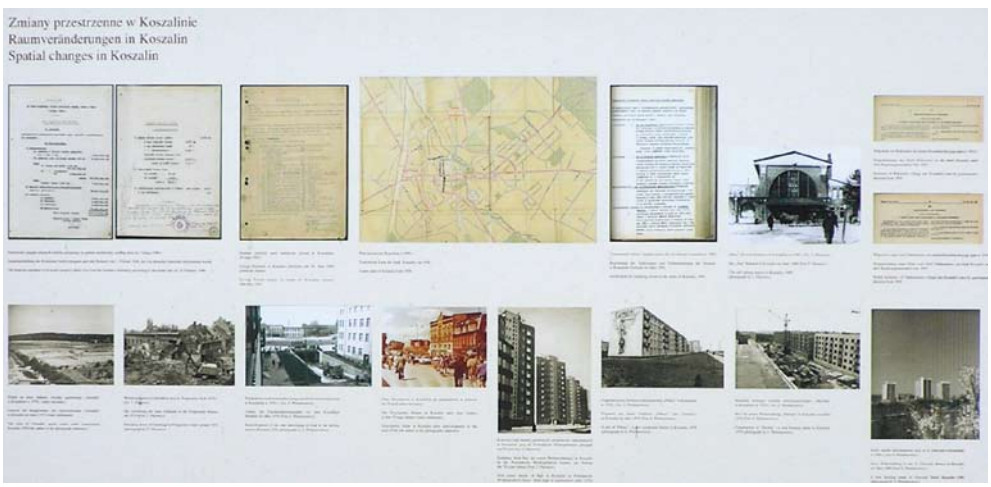

Plansze trasy edukacyjnej. fot. archiwum

Hermana von Gleichen, którego sylwetka znalazła się na najstarszej miejskiej pieczęci.

Jedną z plansz poświecono wyjątkowo atrakcyjnemu tematowi – średniowiecznej instytucji kata miejskiego „stojącego na straży porządku publicznego" – są zatem informacje, kto mógł wówczas pełnić tę niezbyt szanowaną przez ludność funkcję, ile kasa miejska płaciła katowi za ścięcie, powieszenie czy też zadawanie tortur, ukazano na planie miasta miejsca, w których wykonywano publiczne egzekucje, jest też zdjęcie domniemanego „Domku Kata", jednej z zachowanych kamieniczek, usytuowanych w pobliżu murów miejskich.

Kolejne tematy, które organizatorzy tej edukacyjnej trasy uznali za ważne, to historia miasta w źródłach pisanych, koszaliński przemysł na przestrzeni wieków, szkolnictwo i szczególnie interesujący rozwój przestrzenny miasta, wsparty projektami nieistniejących od dawna kamienic i dawnymi widokami rynku, odbudowanego po zniszczeniach w efekcie wielkiego pożaru miasta w 1718 roku, głównie z cegieł pochodzących z częściowo rozebranych i jednocześnie obniżonych murów miejskich. Następnym, logicznie związanym z poprzednim tematem jest rozbudowa miasta w XIX i w pierwszej połowie XX wieku, ilustrowana nie tylko ciekawymi archiwalnymi zdjęciami, ale także projektami kamienic i planami urbanistycznymi.

Plansze trasy edukacyjnej. fot. archiwum

Graniczny dla miasta rok 1945 i konsekwencje działań wojennych to kolejny temat, jaki znalazł się na tej edukacyjnej trasie. Historia miasta, które znalazło się w państwie polskim, napływanie ludności, odbudowa ze zniszczeń, szkolnictwo, przemysł, handel i usługi, działalność instytucji kultury i partii politycznych – zagadnienia te ilustrują liczne zdjęcia, dokumenty, druki ulotne, afisze i plakaty. Z niejakim wzruszeniem ogląda się ślady „pierwszych kroków" polskiej administracji, a wśród nich, ze zdziwieniem, zamieszczony na jednej z plansz „Projekt budowy kiosku zatwierdzony przez Zarząd Miejski w Koszalinie w dniu 4.IX.1945 r". Ten niewielki kiosk miał stanąć przy ulicy Dworcowej, a na pokazanym na planszy projekcie są widoczne ślady ingerencji miejskiego urzędnika...

Ten, tak niecodzienny przegląd zasobów archiwalnych, kończy plansza z rysunkiem drzewa genealogicznego i fachową instrukcją „jak odszukać przodków", stanowiąc niejako klamrę, zamykającą najdawniejsze dzieje i obecną historię miasta. Archiwum Państwowe w Koszalinie przestało być zamkniętą w sobie, nieco skostniałą instytucją, zbierającą akta i udostępniającą swe zasoby tylko wybranym. Stało się poprzez swe popularyzatorskie – wydawnicze i wystawiennicze działania nowoczesną placówką kultury, przybliżającą społeczeństwu dawne dzieje jego miasta i regionu, współpracującą z Muzeum w Koszalinie, Koszalińską Biblioteką Publiczną i wieloma innymi instytucjami nauki i kultury.

Anna Mosiewicz

Źródła do historii Koszalina

Zeszyt III

W Archiwum Państwowym w Koszalinie, które od jakiegoś czasu stało się instytucją otwartą, prowadzącą w sposób profesjonalny edukację historyczną a także zajmującą się działalnością wystawienniczą, przygotowywany jest od dwóch lat cykl wydawniczy zeszytów, zatytułowanych „Źródła do historii Koszalina". Zawiera on wybrane i przetłumaczone najstarsze dokumenty, związane z założeniem, budową, tworzeniem i przemianami społeczności naszego miasta, począwszy od roku 1214, w którym po raz pierwszy w jednym z dokumentów wzmiankowana jest nazwa wsi Koszalin.

Aby podjąć się tego zadania, zainicjowanego przez Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina, nasze Archiwum nawiązało bliższą współpracę z niemieckim Archiwum Krajowym w Greifswaldzie, w którym zachowały się oryginalne dokumenty, pochodzące z miejskich i kościelnych zasobów. Cyfrowe kopie tych cennych akt stały się materiałem wyjściowym do podjęcia się tego trudnego pod względem semantyki, paleografii i lingwistyki zadania, które wziął na swoje barki doświadczony archiwista i historyk, Adam Muszyński, znawca „dziejów dawnych" Pomorza Zachodniego. W tłumaczeniach autor przekładów zyskał – począwszy od II zeszytu - pomoc Anety Melonek, dyrektor Joanna Chojecka podjęła się redakcji poszczególnych zeszytów, całość sfinansował Prezydent Miasta Koszalina, a Wydawcą została Koszalińska Biblioteka Publiczna. Bardzo interesujące pod względem edytorskim zeszyty składa i drukuje ZP „Polimer", za co należą się tej drukarni słowa uznania.

W roku 2007 ukazał się pierwszy zeszyt, potem drugi – oba zawierające dokumenty z XIII wieku – a w końcu 2008 roku ukazała się III część tego cennego cyklu, zawierająca dziesięć dokumentów pochodzących z pierwszej ćwierci XIV wieku. Wszystkie dokumenty dotyczą ważnych wówczas dla miasta i usytuowanych w nim, głównie kościelnych instytucji. Trzy dokumenty należały ongiś do archiwum miejskiego, pozostałe były w zasobach klasztoru koszalińskiego.

...„ponieważ różne zdarzenia zwykły niespodziewanie popadać w zapomnienie w rozległym nurcie dziejów, zatroszczono się, aby było trwale utwierdzono to, co należy ku pamięci potomnym zachować... świadkami przeto czynności tej są: Sigwin, biskup kamieński, Konrad, prepozyt kamieński i kapituła kamieńska, Mikołaj, prepozyt kołobrzeski. Spośród osób świeckich: Jan Nackowic, Rozwar, Sobiemysł".

Tak oto napisał w jednym z najstarszych dokumentów, sporządzonych w dniu 23 października 1214 roku książę zachodniopomorski, Bogusław II, nadając klasztorowi Norbertanów w Białobokach koło Trzebiatowa wieś Koszalin opodal Góry Chełmskiej w ziemi kołobrzeskiej. Jest to zatem nie tylko pierwsze źródło pisane o Koszalinie, ale także spora ilość informacji o tym, jak sporządzano taki akt nadania oraz o tym, w jaki sposób go uwierzytelniano, biorąc na świadków hierarchów kościelnych oraz osoby świeckie.

W trzecim zeszycie „Źródeł do historii Koszalina", zawierającym dokumenty sporządzone na początku XIV wieku, w przeciwieństwie do dwóch poprzednich, widoczna jest zasadnicza zmiana w sposobie ich datowania – poza jed-

nym wyjątkiem nie stosuje się – jak wcześniej – słowa „kalendy", a zaczyna się dość poetyckie określenie... *„w sobotę, kiedy opiewa się Miłosierdzie Pana"*, lub też *„w niedzielę, kiedy śpiewa się Oczy moje spoglądają"*...

Ten najnowszy, III zeszyt jest zbiorem dokumentów „niezwykłych dla współczesnych mieszkańców Koszalina", jak napisała we wstępie dyrektor Archiwum Państwowego, Joanna Chojecka. Pierwszy z nich w układzie chronologicznym pochodzi z dnia 6 maja 1300 roku, a ostatni z 30 września 1320 roku. W owym dwudziestoleciu Koszalin otrzymał trzy znaczące przywileje – w jednym wojewoda wschodnio pomorski Święca sprzedaje miastu wieś Gorzebądz za 100 grzywien srebra, w drugim władze miasta przekazują tę wieś Grubonowi i Henrykowi Rzeźnikowi W dokumencie tym po-

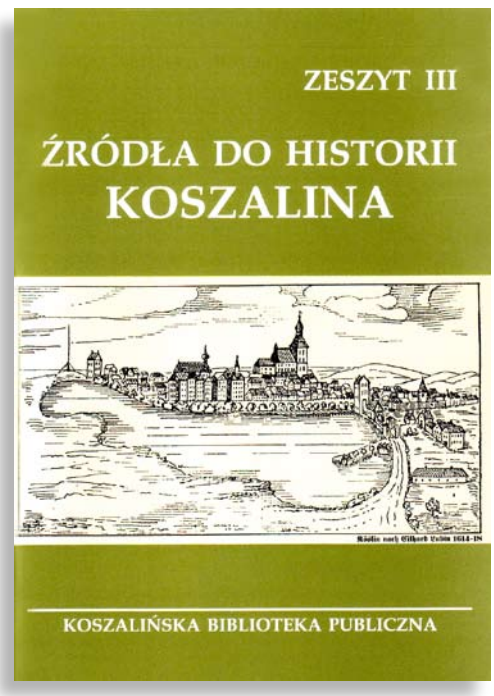

Źródła do historii Koszalina,
zeszyt 3, wyd. Koszalińska Biblioteka Publiczna, Koszalin 2008.

leca się przenieść wieś z prawa niemieckiego na lubeckie i po raz pierwszy wzmiankowana jest nazwa Sianów. Ostatnim, ważnym dla Koszalina przywilejem jest potwierdzenie przez biskupa kamieńskiego Henryka kupna wsi Gorzebądz, dodanie 8 łanów pola grodowego i odstąpienie za 270 grzywien słowiańskich od nadmiaru, ujawnionego podczas dokładniejszego pomiaru miejskich gruntów.

W Koszalinie, mającym prawa miejskie od nieomal półwiecza, zbudowanym na naturalnym wzniesieniu, dotychczas palisadami i wałami otoczonym, zaczęto w końcu XIII wieku budować mury obronne. Pierwsza wzmianka o drewnianej palisadzie obronnej pochodzi z 1286 roku, a w dokumencie tylko dwa lata starszym pisze się o istnieniu w mieście (drewnianej zapewne) bramy prowadzącej na północ, czyli o późniejszej Bramie Młyńskiej. W jednym z zamieszczonych w omawianym zbiorze dokumentów z roku 1310 rada miejska i klasztor sióstr norbertanek dokonują za pośrednictwem opata z Bukowa Morskiego, wójta biskupiego i burmistrzów Koszalina ugody dotyczącej rozmaitych dóbr, opłat i przywilejów: ...„gdy miasto nasze z Bożą pomocą murem umacniać rozpoczęliśmy i mur aż do posiadłości klasztoru doprowadziliśmy... (...) to one same bez względu na to w żaden sposób budowania muru miejskiego z własnych środków odmawiać nie będą". Dowodem na to, jak ważny był to dla władz miasta dokument świadczy jeden z zapisów: „aby zaś ta nasza ugoda przez mężów wiarygodnych rozumnie wypracowana przez drugą stronę po wieczne czasy nienaruszona dokładnie się zachowała, niniejszy dokument w tej sprawie spisany, umocnieniem pieczęci naszego miasta uwierzytelniony, wzmiankowanym zakonnicom przekazaliśmy"...

Powstałe w tym czasie mury obronne miały trzy bramy, czterdzieści sześć baszt i wysokość sięgającą siedmiu metrów. Zarówno mury, jak i kościół budowano z cegły, wyrabianej w licznych cegielniach, powstałych wokół miasta, o których pisał w swej słynnej kronice, zatytu-

łowanej „Zbiór rzeczy rozmaitych historii Miasta Koszalina dotyczących", Johann David Wendland w latach 1737 – 1749.

[Ta pierwsza kronika naszego miasta, zachowana dotychczas tylko w rękopisie, została także przez nasze Archiwum Państwowe opracowana, przetłumaczona przez zespół pod kierownictwem Adama Muszyńskiego i pod redakcją dyrektor Joanny Chojeckiej pięknie wydana z okazji 740-lecia nadania Koszalinowi praw miejskich.]

Klasztor koszaliński cieszył się wielką estymą, zwłaszcza wśród mieszczan i rycerstwa, które chętnie przekazywało swe dobra na rzecz konwentu, w zamian spodziewając się nie tyle materialnych, co duchowych głównie korzyści, do zbawienia wiecznego prowadzących. W datowanym na 11 listopada 1319 roku (czyli „w dniu świętego Marcina, przesławnej pamięci biskupa") dokumencie opatka zakonnic, o imieniu Ermegardis potwierdza, że fundacja powstała z dóbr Jana z Friedlandu, Dietmara Thode, Konrada Wilde i starszego Spruka przeznaczona będzie na utrzymanie wikarego w kaplicy świętego Ducha: ...„beneficjum albo utrzymanie kapłana sprawującego liturgię we wspomnianej kaplicy wymienieni uprzednio mieszczanie ze swoich denarów ustanawiać będą".

Kaplica ta, do której przylegał przytułek dla ubogich, usytuowana była w obrębie ulic Wysokobramskiej (ob. 1 Maja) i świętego Ducha (ob. W. Andersa), znalazła się jeszcze kilka wieków później na miedziorytniczym planie miasta z 1740 roku, zamieszczonym w monografii miasta Christiana Wilhelma Hakena.

Urzędujący we wspomnianej kaplicy św. Ducha proboszcz, kleryk o imieniu Henryk sprawował swą funkcję bez (wówczas nie wymaganych?) święceń, wobec czego Konrad IV, biskup kamieński w dokumencie z dnia 24 maja 1320 roku wydaje swe zezwolenie na to, „abyś mógł od któregokolwiek biskupa lub arcybiskupa, zgodnie z prawem kanonicznym zatwierdzonego, święcenia kapłańskie w sposób dozwolony przyjąć". Niedużo czasu minęło i posłuszny owemu zezwoleniu proboszcz Henryk przyjął owe, wymagane święcenia w dalekim Królewcu, z rąk brata zakonnego Jana, „z łaski Bożej biskupa katedry zambijskiej", o czym zaświadcza tenże z piśmie z dnia 20 września tego samego roku.

Zamieszczone w III zeszycie „Źródeł do historii miasta Koszalina" są – jak wspomniała we wstępie do nich dyrektor Joanna Chojecka – niezwykłe, są bowiem kopalnią wiedzy o życiu codziennym często nazywanych imionami mieszkańców miasta i wsi okolicznych, rajcach miejskich, właścicieli wsi, księży i zakonnic. Dowiadujemy się z tych cennych źródeł o nadaniach własności, wytyczaniu granic, wypasaniu bydła, budowie murów miejskich, święceniach kapłańskich, lennach, czynszach i karczmach, a także o nominałach używanych wówczas środkach płatniczych – grzywnach słowiańskich, grzywnach srebra, denarach i szelągach. Dzieląca nas od tych wydarzeń granica ośmiu wieków ulega w ten sposób zatarciu, tak jak granica językowa, przeszkadzająca dotychczas na szersze poznanie średniowiecznych dziejów naszego miasta.

Zawdzięczamy to wielkiej wiedzy historycznej i talentom językowym Adama Muszyńskiego, wspieranego przez Anetę Melonek, staraniom organizacyjnym Archiwum Państwowego w Koszalinie, pomocy Archiwum Krajowego w Greifswaldzie i dotacji Prezydenta Miasta. Zapowiedź przygotowywania dalszych zeszytów i potem wydania wszystkich w zwartym wydawnictwie na jubileusz 745-lecia Koszalina jest ważną informacją dla wszystkich miłośników historii.

Historia na nowo odkryta

Jest to pierwsza z trzech części wystawy, prezentującej historię Koszalina w okresie PRL. Ekspozycję zorganizowało Muzeum w Koszalinie, Oddział IPN w Szczecinie i Archiwum Państwowe w Koszalinie. Pokazane na niej dokumenty, fotografie, plakaty, ulotki, przedmioty osobiste osiedleńców, a także inne eksponaty (broń z okresu II wojny - z Muzeum Okręgowego w Pile i Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu), pochodzą ze zbiorów organizatorów wystawy oraz Archiwum Państwowego w Szczecinie, Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Archiwum Diecezjalnego WSD w Koszalinie, Klasztoru Franciszkanów przy parafii pw. Św. Krzyża w Koszalinie, Koszalińskiej Biblioteki Publicznej (regały) oraz darów koszalinian.

Ponadto na wystawie można posłuchać wspomnień pierwszych osadników, działaczy organizacji podziemnych oraz pierwszego starosty koszalińskiego, które żywo obrazują atmosferę tamtych lat i problemy życia codziennego (udostępnione przez „Radio Koszalin" i Muzeum w Koszalinie). Nagrania są odtwarzane na MP3- znajdującym się w trzeciej części wystawy. Natomiast na monitorach są emitowane filmy dokumentalne, takie jak: film propagandy sowieckiej „W Pomeranii" o zajęciu Koszalina przez Armię Czerwoną w marcu 1945 r. (z Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie) oraz fragment filmu „Epitafium 169. Rzecz o Adamie Dedio „Adrianie" wg scenariusza Janusza Marszalca i Waldemara Kowalskiego, produkcji IPN/O Gdańsk; na przykładzie A. Dedio, pokazano metody przesłuchań stosowane przez urząd bezpieczeństwa (policję polityczną) wobec działaczy niepodległościowych w okresie stalinowskim. Każdy zwiedzający może również zajrzeć do teczek osobowych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Koszalinie.

Po raz pierwszy przedstawiamy w pełnym świetle źródeł historycznych pierwszych pięć lat polskiego, powojennego Koszalina. Prawda historyczna o tamtym okresie, trudna i złożona, została ukazana bez przemilczeń i przekłamań. Jednocześnie zwrócono uwagę na wyjątkowość zjawisk społecznych, a także różne postawy mieszkańców Koszalina i byłego województwa koszalińskiego wobec toczącej się wówczas walki politycznej między władzą komunistyczną a opozycją niepodległościową przeciw narzuconej narodowi i państwu polskiemu dyktaturze, rodem z Kremla. Na wystawie pokazane zostały najważniejsze problemy z lat 1945-1950 dotyczące Koszalina, m.in.: 1. ukształtowanie się polskiej społeczności Koszalina w drodze całkowitej wymiany ludności, 2. powstanie polskiej administracji (miejskiej i powiatowej), 3. zorganizowanie w mieście życia od podstaw przez pierwszych osadników z Gniezna, 4. walka polityczna w okresie referendum i wyborów do Sejmu, 5. legalna i podziemna opozycja wobec władz komunistycznych oraz likwidacja opozycji przez aparat terroru i sądownictwo wojskowe w okresie stalinowskim.

Każda część wystawa zawiera jasny komentarz umieszczony na tablicach.

Wystawa „Koszalin 1945-1950. Historia na nowo odkryta"; eksponowana w Delegaturze IPN w Koszalinie, ul. Andersa 34; otwarta 11 listopada 2008 r. będzie udostępniana do 2010 r.

Wystawa „Koszalin 1945-1950. Historia na nowo odkryta" eksponowana w Delegaturze IPN w Koszalinie, ul. Andersa 34.

fot. Ilona Łukjaniuk

Autorzy wystawy:
scenariusz – Danuta Szewczyk
(Muzeum w Koszalinie).
Opracowanie merytoryczne:
- Danuta Szewczyk (MwK) oraz Katarzyna Rembacka i Edyta Wnuk - IPN/O. Szczecin.
Projekt graficzny i oprawa plastyczna – Piotr Sawicki z Wilhelm Studio w Szczecinie.

Współpraca:
- Ilona Łukjaniuk, Jacek Szumowski (Muzeum w Koszalinie), Waldemar Chlistowski, Barbara Przydalska, Grzegorz Andryszak (Archiwum Państwowe w Koszalinie) oraz Marcin Ozga, Paweł Szulc, Radosław Ptaszyński (IPN/O. Szczecin).

Historia garnizonu w Koszalinie

Mjr dr Wojciech Grobelski urodził się w 1960 r. w Koszalinie, Ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Obrony Przeciwlotniczej oraz studia magisterskie na Uniwersytecie Wrocławskim na kierunku nauki polityczne. Jest autorem wielu publikacji poświęconych falerystyce (dyscyplinie pomocniczej historii, zajmującej się odznakami i znakami honorowymi – dop. red.) i historii wojskowości. W 2004 r. obronił doktorat na Wydziale Filologiczno-Historycznym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Obecnie jest wykładowcą historii w Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie.

Nad książką „Historia garnizonu w Koszalinie" Wojciech Grobelski rozpoczął pracę w 2003 r. Korzystał ze źródeł polskich, niemieckich i rosyjskich, zbiorów archiwalnych, a także prywatnych kolekcji, relacji, wywiadów, rozmów, źródeł publikowanych w prasie, radiu i telewizji oraz dotąd nie opublikowanych.

Pierwsza część publikacji zawiera następujące rozdziały:
Od średniowiecza do epoki napoleońskiej
Lata 1816 – 1919
Między wojnami 1919 – 39
Marcowe dni 1945 roku.

Wojciech Grobelski *książkę, a właściwie pierwszą jej część, kończy wkroczeniem do Koszalina oddziałów 1 Warszawskiej Dywizji Kawalerii – jest to jednocześnie zapowiedź drugiej, można powiedzieć polskiej części historii garnizonu w Koszalinie. Z informacji uzyskanych bezpośrednio od autora wynika, że kolejna, druga jej część ukaże się drukiem najprawdopodobniej w 2009 roku.* – pisze Dariusz Krupa w biuletynie Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej. Jego zdaniem szczególnie wartościowa jest bogata bibliografia, która będzie miała nieocenioną wartość dla przyszłych badaczy tematu.

Sam Wojciech Grobelski tak pisze o swojej książce: *Praca nie ma charakteru publikacji naukowej w pełnym tego słowa znaczeniu. Służyć ma raczej spopularyzowaniu przedstawionej problematyki i powstała raczej z myślą o mieszkańcach Koszalina, zainteresowanych dziejami rodzinnego miasta.*

Spotkanie promujące „Historię garnizonu w Koszalinie" odbyło się 4 marca w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, która była wydawcą książki.

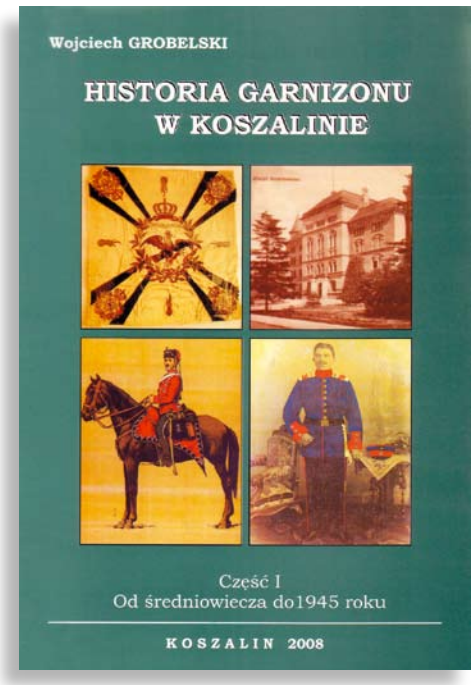

Wojciech Grobelski, Historia garnizonu w Koszalinie. Cześć I. Od średniowiecza do 1945 roku.
Koszalińska Biblioteka Publiczna, Koszalin 2008.

JUBILEUSZE

Anna Małgorzata Rawska

55-lecie Radia Koszalin

Byłoby co świętować, lecz…

W listopadzie 2008 roku minęło 55 lat istnienia Rozgłośni Polskiego Radia w Koszalinie. Rocznica minęła niezauważona, choć nie można powiedzieć, aby o Radiu Koszalin nie było przez ostatnie dwa lata głośno. Wręcz przeciwnie: lokalne i ogólnopolskie mass-media dosłownie co parę dni pisały o panującej tu fatalnej atmosferze, niekompetentnym kierownictwie, upolitycznionej Radzie Nadzorczej, skandalach obyczajowych, procesach sądowych wytaczanych Zarządowi przez pracowników. Kolejna okrągła rocznica działalności Radia Koszalin nie stała się jego świętem. A przecież byłoby co świętować i z czego się cieszyć.

Wszystko zaczęło się w listopadzie 1953 r., trzy lata po powołaniu województwa koszalińskiego, od utworzenia Ekspozytury Polskiego Radia w Koszalinie z kilkunastominutowym programem dziennym. Po październiku 1956 r. ekspozytura uzyskała status rozgłośni i stałe miejsce w eterze. Jej kierownikiem został Józef Łuka - z zawodu górnik dojeżdżający do pracy w Koszalinie ze Słupska. - *Zręby naszej rozgłośni tworzyli Jan Barfuss, Piotr Ślewa i Zbigniew Rogowski. O stronę techniczną od początku dbał sprowadzony ze Szczecina Zbigniew Czubaj. Początkowo program polegał na odczytywaniu wiadomości ze studia, potem był tzw. „reportaż mówiony". W 1959 r. z Warszawy przysłano do Koszalina dwa magnetofony Emi ważące 8 kg każdy. Pierwszy reportaż dźwiękowy zrealizował Zbigniew Rogowski korzystając z magnetofonu Presto produkcji angielskiej, a pochodzącego z demobilu. Pewnego dnia namówił Jana Szulca, dozorcę i palacza, by przewiózł magnetofon na wózku służącym do przewozu węgla do Ogniska Muzycznego mieszczącego się przy zbiegu ulic Tadeusza Kościuszki i Gwardii Ludowej. Magnetofon wielkości 26 calowego telewizora z dodatkowymi zasilaczami wielkości sporych walizek obsługiwał Zbigniew Czubaj - inicjator powstania nadajnika telewizyjnego na Górze Chełmskiej. Co to była za frajda, gdy po powrocie z Ogniska Muzycznego w gronie wszystkich pracowników przesłuchaliśmy nagraną taśmę. Były żywe rozmowy, efekty i muzyka. Opanował nas entuzjazm. Zdaliśmy sobie sprawę, że reportaż staje się, oprócz mówionej gazety, atrakcyjną formą przekazu dziennikarskiego* - wspomina red. Tadeusz Grzechowiak, jeden z pierwszych koszalińskich dziennikarzy radiowych. W jego pamięci zachował się też m.in. radiowy kierowca o nazwisku Chudziak, który znany był z tego, że jeździł lewą stroną szosy i uwielbiał trąbić.

Do rozgłośni zaczęli przychodzić nowi dziennikarze: Bogumił Horowski, popularnie zwany „Bogutkiem" - anglista, germanista, erudyta, zwolennik chodzenia po redakcji boso niezależnie od pory roku, Janusz Weroniczak, Barbara Obremska, Wanda Welenc, w 1956 r. pracę rozpoczęli: Henryk Bieniek - specjalista od spraw morskich, Janusz Sternowski - sprawozdawca sportowy i autor audycji o wojsku, właściciel jednego z najbardziej znanych głosów radiowych w Polsce i Władysław Król - rodem z Miechowa pod Krakowem, inżynier rolnik, wieloletni zastępca redaktora naczelnego, uwielbiany przez zespoły ludowe za cykl audycji „Po wiejskich drogach". W tym czasie swój doro-

bek dziennikarski powiększała już od dwóch lat Irena Kwaśniewska, później znana i nagradzana reportażystka, miłośniczka Ziemi Złotowskiej. Gdy w 1979 r. Program II Polskiego Radia zorganizował przegląd twórczości najwybitniejszych polskich reporterów radiowych, przez tydzień emitowano w jego ramach audycje Ireny Kwaśniewskiej. Reportaż, ale i audycje literackie, słuchowiska stały się od pewnego momentu mocną stroną Radia Koszalin, a to za sprawą Czesława Kuriaty - poety, prozaika, autora wielu słuchowisk w znakomitej reżyserii i obsadzie aktorskiej, emitowanych zarówno lokalnie, jak i w programie ogólnopolskim. W słuchowiskach Kuriaty występowali m.in. Bronisław Pawlik, Marian Kociniak, Zbigniew Zapasiewicz i Tadeusz Borowski. Czesław Kuriata stworzył Redakcję Literacką, która odnotowywała także ważne wydarzenia z życia kulturalnego naszego regionu, współpracowała z Bałtyckim Teatrem Dramatycznym. W poczynaniach literacko-satyrycznych niezrównany był Henryk Livor-Piotrowski, niezwykle barwna i lubiana postać, autor wielu żywych do dzisiaj radiowych powiedzonek, np. o epoce kamienia łupanego na głowie bliźniego. To właśnie Kuriata i Livor-Piotrowski potrafili doprowadzić do ścisłej współpracy koszalińskiego środowiska literackiego z rozgłośnią; można wręcz powiedzieć, że często bywali akuszerami poetyckich debiutów.

Nie ma radia bez muzyki. O tę poważną dbały w naszym programie przez całe lata Barbara Gołembiewska, która stworzyła Redakcję Muzyczną i Maria Słowik-Tworke, relacjonujące Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku, koszalińskie Festiwale Organowe, Kołobrzeskie Wieczory Kameralne i wiele innych wydarzeń. Dzięki obu paniom w programie Radia Koszalin nadawane były rozmowy z tak wybitnymi postaciami jak Piotr Paleczny, Krystian Zimmermann, Witold Lutosławski, Halina Czerny-Stefańska, a nawet Artur Rubinstein. O muzykę nieco lżejszą troszczył się Wincenty Stachowski - muzyk i plastyk, w Radiu Koszalin od 1973 r. Był już absolutnie dojrzałym człowiekiem, dziennikarzem ze sporym dorobkiem, mężem i ojcem, gdy dziwił się: - *Dlaczego, do cholery, gdy w Radiu stłucze się jakaś szyba, to zawsze jest na Stachowskiego!?* Wesoły, z dużym dystansem do siebie, uwielbiany przez słuchaczy, z charakterystycznym „rrr", dzięki któremu zawsze był rozpoznawalny na antenie, określony przez członka srogiej Komisji Mikrofonowej mianem „ostatniego gawędziarza w Polskim Radiu". Wiecznie młody Witek na antenie jest ciągle obecny - choć od kilku lat jest już na emeryturze, w co trudno uwierzyć.

Interwencjami, pomaganiem słuchaczom w przeróżnych życiowych sprawach przez wiele lat niestrudzenie zajmował się przywoływany już wcześniej Tadeusz Grzechowiak - właściciel przedwojennego citroëna, kolekcji starych telefonów i uroczego domku na Mierzei Bukowskiej. Tzw. natura chomika: gdy padało pytanie: - *Tadziu, czy masz...* od razu odpowiadał - *Mam*. I rzeczywiście miał. Bo Tadek miał wszystko. Do dziś, a może zwłaszcza dziś, powtarzamy sobie jego powiedzenie: *Ty się nie dziw, ty się ucz.*

Sprawy rolne były w gestii Jana Żesławskiego, o którym koledzy mówili, że jego hobby to opiewanie walorów *solanum tuberosum* czyli ziemniaka pospolitego. Królową reportażu o ludziach wsi była natomiast Teresa Tałanda - Tecia - w Radiu Koszalin od 1969 r. Autorka cyklu audycji „Niedziela na wsi", osoba niezmiernie popularna i lubiana zarówno przez bohaterów swoich audycji, jak i koleżanki i kolegów. Jedno zastrzeżenie mieli do niej tylko kierowcy: Tecia uwielbiała w czasie jazdy jeść słonecznik, ale do sprzątania, jak prawdziwa dama, raczej się nie brała. Długie w redakcji rozmowy z Tecią - po prostu o życiu - zapamiętamy na zawsze.

Pierwsza połowa lat 70. to okres, w którym do pracy w Radiu Koszalin przyszło kilkoro młodych dziennikarzy. Najpierw Włodzimierz Konarski - reporter, prezenter, żeglarz, wielbiciel kobiet, a także obiekt uwielbienia wielu z nich. Potem pojawił się Zenon Suszycki - polonista po lubelskim Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, z doświadczeniem w teatrze studen-

ckim - właściciel pięknego, ciepłego radiowego głosu, najmłodszy w Polsce kierownik Redakcji Dzienników, wspólnie z red. Sternowskim specjalista od relacji z Plenów KW i pochodów 1-majowych, w latach 2002-2006 Prezes Zarządu Radia Koszalin. W 1973 r. pracę w rozgłośni rozpoczęła Grażyna Preder - absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, od początku zajmująca się na antenie sprawami młodzieży, znakomita reportażystka wielokrotnie nagradzana w ogólnopolskich konkursach. Rok później został zatrudniony Jerzy Blicharski - leśnik, jeden z twórców Akademickiego Radia Winogrady w Poznaniu, autor m.in. słynnego reportażu pt. „Rozkaz", do którego materiały nagrywał w stanie wojennym wnosząc nielegalnie magnetofon na teren jednostki wojskowej. To dzięki Jurkowi Koszalin zaistniał w Polsce jako silny ośrodek reportażu.

A nasi koszalińscy spikerzy! To przecież cała historia radia. Pani Jadwiga Ptaszyńska - platynowa blondynka - wzór dyscypliny i solidności. Stanisław Wołłejko - z wykształcenia prawnik, a z powołania, jak sam o sobie mówił *spiker I kategorii*, prowadzący nieustanne spory ze swoimi przełożonymi - szefowymi Działu Emisji i Przygotowania Programu - Bogumiłą Czucharską - Szydełko, a później Anielą Kowalik. To właśnie Staszkowi zdarzały się lapsusy, które też na długo przeszły do historii naszej rozgłośni, jak np. ulica Deomyty (chodziło o pisarkę Deotymę) czy instrumenty znanej firmy Yahama. Ale za wyjątkowy głos trzeba mu było wybaczyć wszystko.

Dział techniczny Radia Koszalin to też wiele barwnych, nietuzinkowych postaci, oddanych swojej pracy, a nawet, można powiedzieć, misji ciągłego doskonalenia strony technicznej naszego programu. Waldemar Maister, Ryszard Zalewski, Olek Hryszkiewicz, Bolek Skarżyński, Roman Nowakowski - zwany Komandosem, Wacław Tołścik, Henryk Czyżyk, a z obecnie pracujących: informatycy Gerard Hafke i Sławek Jakubowski, realizatorzy czyli najściślej współpracujący z prezenterami, siedzący po drugiej stronie szyby: Piotruś Koralewicz, Mariusz Kozłowski, Paweł Kużel, Mirek Niedek, Marek Plewa i jedyna w tym gronie kobieta Basia Skórowska, transmisja i konserwacja: Czarek Lejtan, Marek Szajder, Waldek Skórowski, Andrzej Walasek, ich kierownik Bogdan Rosa i dyrektor techniczny - Władek Brateus. Ale cofnijmy się w czasie. W tamtym gronie jedną z najbarwniejszych postaci był Takis Grancaris - czasem Grek, czasem Macedończyk - w zależności od jego nastroju. Mistrz radiowej realizacji, super - ucho, perfekcjonista, uroczy megaloman, autor strony technicznej wielu nagradzanych później reportaży. Bez Takisa nie ma historii Radia Koszalin. Po jego przejściu na emeryturę reżyserka, w której spędził wiele lat, została oficjalnie nazwana „Takisówką".

Po przekształceniu w 1993 r. regionalnych rozgłośni publicznych w spółki Skarbu Państwa inż. Ryszard Zalewski - wieloletni naczelny inżynier rozgłośni był przez dwie kadencje jej prezesem. To właśnie Ryszardowi Zalewskiemu zawdzięczamy wybudowanie nowej siedziby Radia Koszalin - wykopy pod fundamenty rozpoczęły się w listopadzie 1997 r., a kamień węgielny został wmurowany 24 stycznia 1998 r.

Ale wróćmy jeszcze do kilku postaci, które zostały w naszej wdzięcznej pamięci. Alicja Rychterowa - przez całe lata główna księgowa, znakomity fachowiec, od kilku lat na emeryturze, ale ciągle na bieżąco z przepisami finansowymi i chętnie służąca radą swoim dawnym koleżankom. Księgowość to bowiem trudna sztuka, a dobry główny księgowy to prawdziwy skarb. Wieloletnia kadrowa Jadwiga Kawęcka zwana przez wszystkich Sylwią, panie sprzątaczki - Maria Szulcowa - mieszkająca naprzeciwko rozgłośni, pani Doboszowa - dzielnie opiekująca się chorym synem, pani Kalembowa - dbająca o radiowe koty i swatająca ze swoim synem co młodsze redaktorki.

W trudnych niewątpliwie latach 70. i 80. Rozgłośnią kierowali m.in. Tadeusz Gawroński, Zdzisław Wieliczko i Ryszard Ulicki. Pod koniec lat 80., gdy redaktorem naczelnym był Wiesław Romanowski, późniejszy korespon-

dent TVP w Kijowie, specjalista od spraw rosyjskich i ukraińskich, autor książki „Ukraina. Przystanek wolność", rozgłośnia zaczęła nadawać 24-godzinny program. Zwiększyły się obowiązki pracowników w Koszalinie, ale także w redakcjach w Słupsku i w Pile. Mieliśmy i mamy w dalszym ciągu do obsługi teren o niebagatelnej powierzchni. Działamy na terenie trzech byłych województw: koszalińskiego, słupskiego i pilskiego. Redakcja w Słupsku, od 1992 roku pod wodzą Andrzeja Watemborskiego, nadaje program miejski dla Słupska, a przygotowuje go ekipa składająca się z sześciu dziennikarzy, dwóch realizatorów i sekretarki.

Dobrym czasem dla programu Radia Koszalin był okres, w którym szefem programowym był Wojciech Konieczny. Przyjechał on z Gdańska i zaszczepił w nas przekonanie, że rozgłośnia regionalna nie musi i nie powinna być rozgłośnią prowincjonalną. To za jego kadencji powstało kilka udanych słuchowisk, a powieści w odcinkach nagrywali u nas tak znani aktorzy jak Adam Ferency, Krzysztof Wakuliński, Emilian Kamiński. Wtedy też, po dłuższej przerwie, powróciliśmy do przygotowywania programów we współpracy z innymi rozgłośniami regionalnymi i z tzw. „dużym Radiem", czyli Warszawą. Było to dokładnie na przełomie wieków. Pracowaliśmy już wtedy w nowej siedzibie.

Przeprowadzka do budynku, budzącego wśród koszalinian mieszane uczucia ze względu na bryłę typu „szkło i aluminium", nastąpiła w maju 2000 r. Nasza rozgłośnia była wtedy najnowocześniejszą rozgłośnią radiową w Polsce i jedną z najnowocześniejszych w Europie. Technologię zakupiliśmy w niemieckiej firmie Thum + Mahr. Jako jedni z pierwszych w Polsce przeszliśmy na montaż cyfrowy. Skończyło się chodzenie z kawałkami taśmy na szyi i skrawkami lepiku do taśmy przyczepionymi do rękawów. Zabrakło też worków z pociętą taśmą, o których wieloletnia szefowa naszej taśmoteki Marysia Tołścikowa mówiła: *w tych workach jest cała prawda, która nie znalazła się na antenie.* Dzięki nowoczesnej siedzibie mamy studio nagraniowe z prawdziwego zdarzenia. Odbywają się tu regularnie koncerty z cyklu „Muzyczna Scena Radia Koszalin". Koncerty, których publicznością są nasi słuchacze, przygotowują niestrudzona (choć już na emeryturze) Maria Słowik - Tworke i Beata Górecka - Młyńczak, absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, która od kilku lat zajmuje się na antenie muzyką poważną, ale także jazzem. Jeśli koncertuje jakiś zespół młodzieżowy, to na pewno jest to zasługa kolegów z Redakcji Muzycznej interesujących się muzyką inną, niż tzw. poważna. Są to Adrian Adamowicz, Janusz Lendzion, Przemysław Mroczek, Sylwester Podgórski i Ireneusz Suboto. Przemek to karpiowy mistrz Polski, któremu ryby dawno zdradziły swoje wszelkie tajemnice, natomiast Ireneusz jest niezastąpiony, gdy trzeba poprowadzić jakąś kwestę na cel charytatywny, a takie Radio Koszalin także (przy okazji np. koncertów) przeprowadza. Ostatnia odbyła się w październiku 2008 r. na rzecz koszalińskiego hospicjum, a przygotowała ją Młodzieżowa Szkoła Dziennikarska, działająca przy rozgłośni z inicjatywy byłego prezesa Zenona Suszyckiego. Sercem i mózgiem tej szkoły są red. Ewa Dąbrowska z Redakcji Informacji i Adam Iwaszkiewicz - realizator dźwięku. Przez kilka lat, w salach na parterze, gdzie teraz mieści się bar, działała Galeria Radia Koszalin. Odbyło się tam kilkanaście wystaw, m.in. koszalińskich twórców, wystawy poplenerowe Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, architekta i twórcy kolaży Jana Mariańskiego z Gdyni czy wybitnej graficzki Małgorzaty Dmitruk. Rozgłośnia tętniła życiem pozaantenowym, była prawdziwym centrum kultury. Odbywały się tu także spotkania z pisarzami: m.in Tomaszem Jastrunem, Miriam Akavią, Jerzym Sosnowskim oraz znanymi postaciami lokalnego środowiska: Marleną Zimną czy Marią Hudymową.

Lata 90. XX i pierwsza dekada XXI wieku to okres dużej aktywności dziennikarzy Radia Koszalin we współpracy z mieszkańcami regionu. To wiele akcji charytatywnych, m.in. „Po-

móż dzieciom przetrwać zimę", organizowanie paczek świątecznych dla dzieci ze szczególnie ubogich terenów. W rolę św. Mikołajów z poświęceniem wcielali się Kuba Grabski i Asia Lejtan, a Jacek Kiepel z naszej pilskiej redakcji przez wiele lat zasiadał do kolacji wigilijnej późno wieczorem, rano bowiem przyjeżdżał do Koszalina, by zabrać cały bagażnik paczek, które potem długo rozwoził po wsiach byłego województwa pilskiego. Do domu wracał dopiero po przekazaniu ostatniej paczki.

Te lata to również pasmo sukcesów koszalińskich reportażystów w ogólnopolskich konkursach. Bezkonkurencyjna jest tu Jolanta Rudnik. Trudno wymienić wszystkie nagrody, które zdobyła. Wśród jej licznych laurów jest pierwszy Koszaliński Orzeł, przyznany jej za szczególne zasługi w promowaniu Koszalina. (Jolancie Rudnik poświęcamy odrębny artykuł w dziale „Nasi w świecie" – dop. red.) Wyżej podpisana jest laureatką nagrody w konkursie „Polska i Świat" (dawny „Melchior"), otrzymała też nominację w konkursie Polsko-Niemiecka Nagroda Dziennikarzy oraz nagrodę główną w konkursie na reportaż organizowanym przez Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". Pierwszym laureatem tej nagrody był Jacek Kiepel. Danuta Czerniawska zdobyła nagrodę w konkursie na reportaż „Bałtyk 2002", Joanna Lejtan z Redakcji Publicystyki i Iwona Kilczewska z Redakcji Informacji otrzymały nagrody Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska za konsekwentne promowanie w audycjach radiowych problematyki ekologicznej, Renata Pacholczyk od lat jest doceniana i nagradzana przez warszawską Redakcję Rolną za przedstawianie w swoich programach tematyki wiejskiej, a Marek Plewa - na co dzień realizator dźwięku, z zamiłowania myśliwy - zdobył już kilka nagród w ogólnopolskich konkursach na reportaż o tematyce myśliwskiej, podobnie jak i Jacek Kiepel.

Wspomnę jeszcze, że od wielu lat nasza Rozgłośnia nadaje audycje w języku ukraińskim i kaszubskim, a także Magazyn Ekumeniczny dla wyznawców kościołów skupionych w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Mamy stałe grono osób chętnych do współdziałania przy tworzeniu programów: psychologów, pedagogów, lekarzy, prawników, duchownych i wielu innych specjalistów. Wszystkim przy tej okazji serdecznie dziękujemy za współpracę.

Nie konkursy i nie nagrody są najważniejsze, choć z pewnością dodają nam skrzydeł i mobilizują do jeszcze lepszej pracy. Jesteśmy świadomi, że naszą siłą jest stały kontakt z Państwem - naszymi słuchaczami, że rzetelna szybka informacja, dobra odprężająca muzyka, ciekawy reportaż czy słuchowisko, a także próby rozwiązywania Waszych problemów, pomoc w różnych życiowych sprawach to nasze najważniejsze zadania. Będziemy się starać wypełniać je w następnych 55 latach.

Maria Słowik-Tworke

Jubileuszowe triduum koncertowe

50 lat Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych

Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie w ostatniej dekadzie listopada 2008 roku świętował jubileusz 50-lecia swej działalności. Ta muzyczna placówka, mieszcząca się przy ul. Fałata 32, to wielki „kombinat" edukacyjny – jedna z największych w Polsce szkół artystycznych.

W trzech budynkach połączonych korytarzami – łącznikami znajduje się 65 sal lekcyjnych, w tym 47 do nauki indywidualnej gry na instrumentach, biblioteka z czytelnią, sala gimnastyczna oraz amfiteatralna sala koncertowa na 160 osób z organami czeskiej firmy Rieger-Kloss. Jest także internat ze stołówką. W skład zespołu wchodzą 4 szkoły I i II stopnia, w których uczy się 600 uczniów, zatrudnionych jest 146 pracowników, w tym 110 nauczycieli. Prowadzone są tu dwa typy kształcenia: muzyczne w połączeniu z ogólnokształcącym oraz muzyczne bez przedmiotów ogólnokształcących.

W ciągu minionych pięćdziesięciu lat uczyło się tu ponad 6.500 uczniów. Miarą znaczenia szkoły są oczywiście ludzie i efekty ich pracy. Swe losy związało z nią wiele znakomitych postaci nie tylko z życia muzycznego. Wielu absolwentów stało się cenionymi artystami w kraju, Europie, Ameryce i Australii. Do grona najwybitniejszych należą: Agata Szymczewska - triumfatorka ostatniego 13 Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, Marcin Wasilewski – pianista i Sławomir Kurkiewicz – kontrabasista, twórcy „Simple Acustic Trio" – zespołu jazzowego o światowej sławie (więcej o „Simple Acoustic Trio" piszemy w rozdziale „Nasi w świecie" – przyp. red.), Cezary Gadzina – saksofonista, pierwszy Polak, który w historii projektów kulturalnych otrzymał tytuł Ambasadora Unii Europejskiej, Adam Sztaba – znakomity kompozytor, aranżer i dyrygent, gwiazdy estrady roz-

Ewa Osada jest pianistką i wokalistką z prawdziwym jazzowym feelingiem. fot. archiwum

rywkowej Reni Jusis, Kasia Cerekwicka, a wcześniej Ryszard Poznakowski z „Trubadurów. Są też i politycy – kierujący do 2004 r. Instytutem Pamięci Narodowej, po raz drugi będący senatorem RP Leon Kieres oraz wieloletni ambasador w Indiach Krzysztof Majka.

A wszystko zaczęło się pięćdziesiąt lat temu, kiedy to Państwowe Ognisko Muzyczne zostało przekształcone w Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia z siedzibą w budynku przy ul. Alfreda Lampego 37 (obecnie Władysława Andersa). Pierwszym dyrektorem i organizatorem nowej placówki był nauczyciel śpiewu Jan Antoniewicz. Później funkcję tę piastowali kolejno: Adam Chmielewski, Roman Wasilewski, Kazimierz Fedyk, Winifred Wojtan i Michał Kozyra. Niezmiennie od 16 lat naczelnym dyrektorem Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz jest dr Małgorzata Wozaczyńska.

Początkowo szkoła prowadziła naukę śpiewu oraz gry na 6 instrumentach.

W następnych latach powstawały kolejne szkoły i kolejne klasy różnych instrumentów. Dziś istnieją dwa wydziały: instrumentalny (17 instrumentów) oraz rytmiki. Działa orkiestra szkolna, chór oraz wiele zespołów kameralnych, które odnosiły i odnoszą sukcesy w kraju i zagranicą. Uczniowie poszczególnych klas instrumentalnych biorą udział w konkursach: regionalnych, krajowych i międzynarodowych, zdobywając najwyższe laury. Za swoje osiągnięcia i pracę otrzymują także stypendia, m.in. Prezesa Rady Ministrów, Ministra Kultury, Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci, Prezydenta Miasta Koszalina. W roku szkolnym 2004/5 placówka zaczęła realizować program Socrates – Comenius „Muzyka porusza serca i łączy dusze" (ze środków Unii Europejskiej).

Niezwykle cenna jest, zapoczątkowana przez Andrzeja Cwojdzińskiego a trwająca do dziś, stała współpraca szkoły z Filharmonią Koszalińską. Równie ważna jest współpraca z innymi placówkami kulturalnymi i szkołami, wymiana doświadczeń z profesorami Akademii Muzycznych, organizacja koncertów, konkursów, przesłuchań, warsztatów artystycznych, występy uczniów w kraju i Europie.

Na jubileusz dziesięciolecia, które przypadał w roku szkolnym 1968/69, szkole nadano imię Grażyny Bacewicz i ufundowano sztandar, a tuż przed uroczystymi obchodami 25-lecia jej powstania placówka otrzymała obecne budynki przy ul. Fałata. W roku 1989 w sali koncertowej zakończono budowę organów czeskiej firmy Rieger-Kloss.

Niezwykle ważnym i poruszającym wszystkich wydarzeniem w życiu szkoły i miasta była w 1993 roku premiera rock opery „Fatamorgana?", stworzonej przez ówczesnych uczniów szkoły - Adama Sztabę, który skomponował muzykę i Marcina Perzynę – autora libretta. Scenografię zaprojektował ówczesny uczeń Liceum Plastycznego Jerzy Nogal. Aktorami w zrealizowanym na scenie BTD przedstawieniu byli uczniowie obu koszalińskich szkół artystycznych. Dla tworców „Fatamorgany" i niektórych wykonawców był to pierwszy krok ku profesjonalnej estradowej karierze, najbardziej spektakularnej dla Adama Sztaby, Reni Jusis. „Fatamorgana?" przetarła szlak dla kolejnych szkolnych musicalowych realizacji – „Hair" i „Jesus Christ Superstar". Obecność muzyki rozrywkowej w murach szkoły, która realizuje program edukacyjny oparty na muzycznej klasyce, dowodzi dużej otwartości jej kierownictwa i pedagogów na różne doświadczenia artystyczne. Potwierdziły ją także jubileuszowe uroczystości, które były wspaniałym triduum koncertowym na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

W pierwszym dniu (27 listopada) wystąpili uczniowie szkoły – laureaci konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych. Następnego dnia estradą koncertową zawładnęli absolwenci, a w trzecim dniu – galowym – wystąpiła Perła Szkoły – Agata Szymczewska i pianistka Luiza Maria Sobkowiak oraz orkiestra szkolna prowadzona świetnie przez Małgorzatę Kobierską, która jest także kierownikiem sekcji instrumentów smyczkowych. Zapytana o to, czy ucznio-

wie chętnie grają w zespole orkiestrowym, odpowiedziała: – *Chętnych jest bardzo wielu. To jest fantastyczna szkoła wspólnego muzykowania i nauka odpowiedzialności za zespołową pracę. Z orkiestrą objechaliśmy Europę. Wszędzie byliśmy przyjmowani bardzo gorąco i wszędzie podkreślano bardzo wysoki poziom orkiestry. Nasza wspólna praca i jej efekty dają nam wszystkim wiele satysfakcji…"*

Z kolei Jolanta Reszelska – kierownik sekcji instrumentów klawiszowych, w klasie której jest wiele dyplomów z różnych konkursów, podkreśliła: – *Za każdym takim dyplomem kryją się miesiące bardzo ciężkiej pracy. Tę szkołę muzyczną czasami nazywam „fabryką gwiazd," bo tu są setki uczniów, setki absolwentów. Rolą nauczyciela jest wyzwalanie indywidualności ucznia i tych cech najbardziej charakterystycznych, które pozwalają uczniowi w przyszłości znaleźć swoje miejsce na polu muzycznym. Pedagog musi mieć intuicję, by nie zniszczyć indywidualności. Takiej więzi, jaka jest w szkole muzycznej między nauczycielem muzyki a uczniem, chyba nie ma w żadnej szkole i żadnym innym zawodzie.*

Wiele koncertów, w tym także jubileuszowy, ubarwia swoimi występami zespół rytmiczek, który prowadzi Iwona Wyszyńska. Powiedziała ona: – *Praca z młodzieżą mnie uskrzydla. Na koncert jubileuszowy przygotowaliśmy opracowanie choreograficzne do „Deszczowej piosenki", która wykonana była przez chór i orkiestrę szkolną. Staramy się iść z duchem czasu i wyjść naprzeciw oczekiwaniom publiczności, która ma bardzo wysokie wymagania. Dlatego staramy się łączyć ruch z obrazem i z muzyką wykonywaną na żywo na scenie.*

Szkolny chór założyła Ewa Szereda. Jej marzeniem było tak rozśpiewać młodzież, aby z powodzeniem mogła brać udział w konkursach i w dużych przedsięwzięciach artystycznych nie tylko szkoły, ale i Koszalińskiej Filharmonii oraz Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. – *To wszystko się udało* – przyznała.

Jubileusz szkoły zgromadził bardzo liczne grono absolwentów z różnych zakątków kraju i Europy. Szkolne lata wspominali z wielką wdzięcznością oraz uznaniem dla swoich nauczycieli, z sentymentem mówili o wyjątkowej atmosferze, o przeżyciach i zabawnych historyjkach, podkreślali ze wzruszeniem, że tu zostawili swoje serca, że tu jest ich dom muzyczny, a wszystko, co robią i co osiągnęli, korzenie ma tutaj, w tej niezwykłej szkole. Niektórzy pozostali w niej, zasilając grono pedagogiczne.

Podczas jubileuszowych koncertów szkoła zaprezentowała się znakomicie. To było imponujące podsumowanie półwiecza jej działalności. Nic dziwnego, że dr Małgorzata Wozaczyńska w wielu momentach nie ukrywała emocji i wzruszenia: – *Wszyscy pracownicy, uczniowie i absolwenci zmobilizowali się, aby uroczystość wypadła dobrze. Przepięknie udekorowali szkołę. Jest cudowna wystawa obrazująca jej historię, wszystkie osiągnięcia, jest mnóstwo bardzo interesujących zdjęć, opisów zabawnych i poważnych, no i do tego obrazy o tematyce muzycznej uczniów z koszalińskiego Liceum Plastycznego. Bardzo się cieszę, że tak wspaniale dopisali absolwenci. Żadne pieniądze, żadne dyplomy, podziękowania nie dają tak ogromnej satysfakcji, jak to, gdy podchodzi absolwent i dziękuje, jest zadowolony, opowiada o swoich losach, o tym co się dzieje w jego życiu, i podkreśla jak mu było dobrze w tej szkole.*

Z okazji jubileuszu wielu pedagogów otrzymało nagrody, wyróżnienia i dyplomy, podczas trzech (znakomitych!) jubileuszowych wieczorów były serdeczne gratulacje, dużo miłych słów oraz kwiaty. Z tej też okazji ukazał się specjalny biuletyn o szkole, a także płyta CD z muzyką w wykonaniu uczniów, nagrana w Radiu Koszalin.

Osiągnięcia tej placówki budzą uznanie i szacunek, które świadczą o ciepłej i twórczej atmosferze, są wynikiem systematycznej, sumiennej pracy, ogromnego zaangażowania oraz talentów tak pedagogów jak i uczniów.

Kacper Pencarski

Życie dobrze skomponowane

80-lecie urodzin Gabrieli i Andrzeja Cwojdzińskich

Podczas trwania 42 Festiwalu Pianistyki Polskiej, 11 września 2008 roku, w Czytelni Naukowej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku odbył się niecodzienny benefis, bowiem mury te gościły nietuzinkowych jubilatów. Było to spotkanie wspomnieniowe, ilustrowane bogatym programem muzycznym, poświęcone Gabrieli i Andrzejowi Cwojdzińskim z okazji obchodzonego przez oboje jubileuszu osiemdziesiątych urodzin.

Profesor Andrzej Cwojdziński, dyrygent, kompozytor, pianista, pedagog, a przede wszystkim niezwykle serdeczny człowiek, ceniony jest przez mieszkańców tej części Pomorza za wkład i determinację w organizację znanego i cenionego dziś w kraju Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku i wielu innych, ważnych dla życia kulturalnego, inicjatyw. Gabriela Cwojdzińska ma zasługi zarówno w dziele propagowania muzyki, a także jako działaczka opozycyjna i senator I kadencji Senatu RP w dziele tworzenia młodej, polskiej demokracji.. Piszący te słowa miał ogromny zaszczyt prowadzić to niezwykłe spotkanie. Słupski benefis, podobnie jak jubileuszowa uroczystość państwa Cwojdzińskich w koszalińskim „Domku Kata", oraz specjalny koncert w Filharmonii Koszalińskiej były okazją do prezentacji wpływu obojga Jubilatów na wiele dziedzin naszego życia.

Profesor Andrzej Cwojdziński urodził się 25 stycznia 1925 r. w Jaworznie. Studia muzyczne rozpoczął w 1947 r. w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie pod kierunkiem Artura Malawskiego. Uczelnię tę, w klasie dyrygentury, ukończył w 1953 r. zaś dwa lata później uzyskał dyplom w dziedzinie kompozycji. Już w rok po rozpoczęciu studiów podjął pracę jako chórzysta, potem jako asystent dyrygenta, a następnie jako dyrygent chóru Filharmonii Krakowskiej. W latach 1955-1957 był asystentem dyrygenta w Filharmonii Łódzkiej, a następnie został dyrektorem, dyrygentem i kierownikiem artystycznym Filharmonii Lubelskiej. W 1964 roku Andrzej Cwojdziński objął kierownictwo Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej – od 1971 r. Filharmonii Koszalińskiej - które sprawował przez 15 kolejnych lat.

Podczas jednej z wizyt w Słupsku Andrzejowi Cwojdzińskiemu pokazano stylową salę Rycerską w tamtejszym Zamku Książąt Pomorskich. Zaowocowało to pomysłem zorganizowania w Słupsku Festiwalu Pianistyki Polskiej. Pierwszy odbył się w roku 1967 r. i od razu przyjęty został przez słupską publiczność oraz środowisko muzyczne w Polsce nadzwyczaj życzliwie. Impreza trwała osiem dni (od 8 do 15 września), stając się tym samym najdłuższym festiwalem muzycznym w Polsce. Składał się z dziewięciu recitali w Zamku Książąt Pomorskich oraz dwóch recitali wraz z dwoma półkoncertami symfonicznymi w nowej sali Teatru Dramatycznego. Andrzej Cwojdziński pozostawał kierownikiem artystycznym FPP do 1999 roku, a do chwili obecnej pozostaje jego honorowym gościem.

Jednocześnie zainicjował on i stał się kierownikiem artystycznym Kołobrzeskich Wieczorów Wiolonczelowych (przekształconych później w Kołobrzeskie Wieczory Kameralne), odbywających się w latach 1972-1998. Wielokrotnie był

także kierownikiem artystycznym i organizacyjnym koszalińskich dużych imprez muzycznych: Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej oraz Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych.

Systematyczna, wytrwała praca Andrzeja Cwojdzińskiego z bardzo młodym zespołem Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej zaowocowała wieloma sukcesami. W roku 1971 przemianowano tę instytucję na Państwową Orkiestrę Filharmonii Koszalińskiej im. Stanisława Moniuszki. Repertuar orkiestry był imponujący, zawierał wiele wielkich dzieł symfonicznych i oratoryjnych. Do Koszalina zapraszani byli najwybitniejsi polscy soliści i dyrygenci, a także wielu zagranicznych artystów. Orkiestra filharmoniczna z powodzeniem brała udział w licznych festiwalach. Wprowadzony też został niezwykle cenny cykl audycji szkolnych – umuzykalniających.

Andrzej Cwojdziński jako dyrygent występował z gościnnymi koncertami w Związku Radzieckim, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, Rumunii i Jugosławii. W kraju zajmował się także działalnością pedagogiczną. Już w czasie studiów, w latach 1951-1953 prowadził zajęcia w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, w latach 1960-1962 na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, zaś w latach 1991-1999 był profesorem w Akademii Muzycznej w Gdańsku i w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku (obecnej Akademii Pomorskiej).

Andrzej Cwojdziński jest członkiem zwyczajnym Związku Kompozytorów Polskich. Jego twórczość kompozytorska jest nadzwyczaj obfita i różnorodna, obejmuje 89 opusów, m.in. symfonie, koncerty: wiolonczelowe, na kontrabas, na skrzypce, na klawesyn, na dwa for-

Gabriela i Andrzej Cwojdzińscy podczas jubileuszowego spotkania w Teatrze Propozycji „Dialog". fot. Ilona Łukjaniuk

tepiany, *Toccatę lubelską*, *Toccatę koszalińską*, *Uwerturę radosną*, kantatę *Hymn o miłości*, poemat symfoniczny p.t. *Menora kołobrzeska*, *Anioł Pański*, 24 *Preludia na fortepian*, utwory kameralne, pieśni, wiele miniatur na różne instrumenty oraz utworów dla dzieci. Profesor Cwojdziński jest laureatem licznych nagród, otrzymał też ważne odznaczenia regionalne i krajowe, między innymi: „Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia" w 1977 r. za całokształt działalności oraz „Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski" w 1983 r. W 1988 r. otrzymał medal „Pro ecclesia et pontifice" oraz nagrodę im. Księdza Bolesława Domańskiego za wybitne osiągnięcia twórcze.

Nieco inną, jednakże nie mniej ważną i równie interesującą działalnością zajmuje się Gabriela Cwojdzińska. Po ukończeniu studiów na Wydziale Teorii w Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie w klasie profesora Stanisława Wiechowicza, zajęła się pracą pedagogiczną oraz kameralnym muzykowaniem. Była wieloletnim pedagogiem Liceum Muzycznego w Koszalinie, m.in. kierownikiem tamtejszej sekcji instrumentów klawiszowych. W koszalińskim środowisku kulturalnym i społecznym jest znana głównie jako wieloletni prezes koszalińskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" i członek Rady Krajowej „Wspólnoty Polskiej", a także jako organizator i gospodarz Światowych Festiwali Chórów Polonijnych w Koszalinie.

Gabriela Cwojdzińska była mocno zaangażowana w działalność opozycyjną, mając istotny wpływ na kształtowanie postaw wśród koszalińskiej inteligencji. Po wprowadzeniu stanu wojennego znalazła się w grupie internowanych działaczy opozycyjnych. W latach 1983-1984 redagowała podziemne pisma „CDN" i „Gazetę Wojenną" (zajmując się drukiem i kolportażem). W lutym 1993 r. Gabriela Cwojdziń-

Gabriela i Andrzej Cwojdzińscy podczas jubileuszowego spotkania w Teatrze Propozycji „Dialog". fot. Ilona Łukjaniuk

ska stanęła na czele Koszalińsko - Kołobrzeskiego Biskupiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom, w którym działali wolontariusze niosący pomoc represjonowanym. Do 1989 r. Gabriela i Andrzej Cwojdzińscy prowadzili salon dla działaczy niezależnych, organizując spotkania, prelekcje, wieczory literackie i projekcje filmowe. Po zwycięskich wyborach 4 czerwca 1989 r. Gabriela Cwojdzińska została senatorem, członkiem Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej oraz Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Jako prezes koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", organizacji mającej na celu niesienie pomocy rodakom za granicą w rozwoju oświaty i kultury polskiej, doprowadziła do reaktywacji Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych, do tej pory organizowanego przez Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia". Pierwszym sukcesem koszalińskiego Oddziału było zorganizowanie w 1992 roku Warsztatów Artystycznych Chórów Polonijnych, do udziału w których zaproszono przede wszystkim polskie chóry zza wschodniej granicy. Dwa lata później odbył się VIII Światowy Festiwal Chórów Polonijnych, podczas którego po raz pierwszy mogli spotkać się Polacy ze Wschodu i Zachodu. Gospodarzem tego muzycznego przeglądu została Gabriela Cwojdzińska. Obowiązki dyrektora festiwalu powierzono Zbigniewowi Ciechanowskiemu, wówczas sekretarzowi koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia, obecnie prezesowi. Nad stroną artystyczną czuwał prof. Andrzej Cwojdziński. (W 1994 r. do Koszalina przyjechało 635 rodaków z zagranicy – dop. red.) W 1992 r. udało się koszalińskiemu oddziałowi „Wspólnoty Polskiej" zorganizować Studium dla Dyrygentów Chórów Polonijnych. Formułę corocznych spotkań Polaków z całego świata wzbogaciły także Polonijne Warsztaty Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży ze Wschodu i Zachodu. Na kanwie tych corocznych działań artystyczno-edukacyjnych z powodzeniem organizowane są kolejne Światowe Festiwale Chórów Polonijnych, które odbywają się co trzy lata. (W 2009 roku odbędzie się XIII ŚFChP – dop. red.)

Dzięki operatywności i determinacji Gabrieli Cwojdzińskiej kursy dyrygenckie zostały zorganizowane nie tylko w Koszalinie, ale także poza granicami Polski, w środowiskach polskich na Ukrainie, Litwie i Białorusi. Udało się także nie tylko utrzymać festiwalową formułę, ale wzbogacać ją podczas kolejnych Światowych Spotkań Chórów Polonijnych, które dziś sławią, bez jakiegokolwiek podtekstu politycznego i propagandowego, dobre imię Koszalina oraz pamięć jego mieszkańców o rodakach rozsianych po całym świecie. Dzięki Gabrieli Cwojdzińskiej udało się nawiązać współpracę pomiędzy szesnastoma krajami świata w zakresie organizacji polonijnego życia muzycznego, a także zorganizować nowe, cenne dla działalności muzycznej inicjatywy. Za działalność na płaszczyźnie pojednania z sąsiadami otrzymała Ona w 2002 roku Nagrodę im. ks. dr. Bolesława Domańskiego.

Gabriela i Andrzej Cwojdzińscy mimo różnych przeciwności, wśród których najbardziej dolegliwe są niewątpliwie choroby, nadal są bardzo aktywni, pełni pasji, ciekawi życia i wszystkiego, co się wokół dzieje. W gościnnym domu Jubilatów, tak jak przed laty, schodzą się przyjaciele i znajomi, by pobyć ze sobą, porozmawiać i pośpiewać. Profesor Andrzej zasiada wówczas przy fortepianie, córka Katarzyna bierze w ręce skrzypce i przy ich akompaniamencie wszyscy śpiewają jak z nut.

Zbigniew Pawlicki

Nie czekając na setne jubileusze

Rozbicki Kazimierz

„...ur. 12.VII.1932 Stara Wieś koło Węgrowa; polski kompozytor, dyrygent, pedagog i publicysta. Laureat I nagrody w 1959 roku na konkursie z okazji 150-lecia uczelni muzycznych w Warszawie (za utwór *Concerto da camera*)...

W 1965 roku ukończył studia kompozytorskie pod kierunkiem W. Rudzińskiego, oraz w 1966 dyrygentury pod kierunkiem B. Wodiczki w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej (późniejszej Akademii Muzycznej, a obecnie Uniwersytetu Muzycznego im. Fr. Chopina w Warszawie – przyp. Z.P.). 1971 kontynuował studia kompozytorskie w Akademii Muzycznej w Belgradzie [...] 1967–1973 pracował jako dyrygent Filharmonii Koszalińskiej. 1969–1980 pełnił funkcję kierownika muzycznego Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie. Od 1977 pedagog Akademii Muzycznej w Gdańsku i kierownik punktu konsultacyjnego w Koszalinie. 1991–2002 pedagog Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie Pomorskiej Akademii Pedagogicznej) w Słupsku. Od 1999 do 2002 r. wykładał na Politechnice Koszalińskiej. Od 1970 recenzent, krytyk, publicysta i prelegent muzyczny. Autor kilkudziesięciu audycji muzycznych w Radiu Koszalin".

Oto wypis z Encyklopedii Muzycznej Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, Kraków 2004 (t. VIII, s. 489)

JUBILEUSZ – PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE

JUBILEUSZ nie życia (bo tego „nieco" więcej), lecz pracy twórczej

1959–2009

JUBILEUSZ KOSZALIŃSKI

JUBILEUSZ – jak sam bohater określa – „50 lat w służbie sztuki"

A sądzę, że także w tym półwieczu aż 43 lata służby dla społeczności koszalińskiej.

Jaki to był „KOSZALIŃSKI JUBILEUSZ"? Wiemy, jakie były „Krakowskie Jubileusze" w roku 1913 według nieśmiertelnego Boya („Słówka"):

Bierze się do tego celu
Tęgiego, starego pryka,
Sadza się go na fotelu
I siarczyście się go „tyka".

Nie wszystko się zgadza!

Bo Jubilat w Koszalinie ani jest „tęgi" (wszak figurę ma godną zazdrości), ani „pryk" (postacią bowiem jest wielce aktywną).

Prawda, że się go „tyka", bo „tykamy się" od chwili, gdy Kaziu znalazł się w Koszalinie i niejako przejął tę „służbę" recenzenta i popularyzatora, którą pełnił od 1956 roku w Koszalinie (przyjeżdżając ze Szczecina) wyżej podpisany.

Największy kłopot z... fotelem „boyowskim".

Gdzie postawić ten mebel?

- w sali Filharmonii? (ale czy na estradzie, czy na widowni – miejscu krytyka i recenzenta?)
- w Teatrze, jako współtwórcy przedstawienia?
- w Szkołach Muzycznych w Koszalinie?
- w Akademii Pedagogicznej w Słupsku?
- W Politechnice Koszalińskiej?
- w redakcjach prasy koszalińskiej?
- czy wreszcie w domowym pokoju i przy biurku-warsztacie kompozytorskim w urokliwym domku, miejscu świadectwa silnego związku tego Obywatela Mazowsza z Ziemią Pomorza?

*

Zajrzyjmy raz jeszcze do Encyklopedii!

Rozbicki należy do tego pokolenia, które wzrastało w latach wojny. Z jednej strony uroki mazowieckiego pejzażu i duch księstwa Mazowieckiego w pobliskim Zamku w Liwie. A także niewielkie, niepozbawione zabytków miasto Węgrów, ale... ale... Niedalekie miejsce tragiczne, traumatyczne. I straszne słowo: Treblinka. Te niezpomniane, okrutne wrażenia dwunastoletniego chłopca „uwierzytelnione ogromnymi słupami dymu" i „nieznośny odór palonych ciał". Niezapomniane wspomnienia wyrażone tymi słowami. Ale nie tylko słowami... Także dziełem, które powstawało lata całe. Podkreślił w jednym z koncertowych programów: „potrzebowało [ono] wiele prób, przemyśleń, doświadczeń, zanim mogłem ośmielić się na tę pracę".

To jedno zdanie stanowi *credo* dojrzałego kompozytora. Autora, który nie tylko stawia znaki na papierze, lecz „ośmiela się" z rozwagą sięgać w przeszłość.

Wracam jeszcze do kilku słów hasła „Rozbicki" w cytowanej Encyklopedii. Czytamy:

„Lacrimonium pamięci ofiar Treblinki z 1993 wykonane w 1994 r. podczas Festiwalu „Warszawska Jesień".

Realizowane na festiwalu *Lacrimonium* było nobilitacją dzieła i autora zarazem.

(Rozbicki) „Muzykę postrzega jako projekcję prawdy i piękna, jako jedyną możliwość wyrażania najsubtelniejszych stanów ducha" (Encyklopedia Muzyczna PWM)

Rozbicki: – *Nie akceptuję sytuacji w muzyce współczesnej, nastawionej na poszukiwania, jaka to postawa zmusza do akceptowania wszystkiego, co wymyślą kompozytorzy, a co powoduje, że wszelka aksjologia jest tu nie na miejscu. Wyznaję naczelną zasadę twórcy: WIERNOŚĆ SOBIE.*

*

Powróćmy do wczesnych lat 40., 50. Pamiętam. Tak jak Rozbicki rozpocząłem poważną naukę muzyki dopiero po wojnie. Późno, bardzo późno!

Rozbicki jeszcze później. Nic dziwnego. Węgrów z pewnością nie był silnym ośrodkiem muzycznym. Sam określa (pięknie!), że do 23 roku

Kwiaty dla Jubilata. Na zdjęciu: Kazimierz Rozbicki.

fot. Kamil Jurkowski

życia był... autodydaktą. Mówiąc inaczej, zwyczajnie i „po polsku" był... samoukiem. A jednak zdołał w ciągu trzech lat „przebiec" całą średnią szkołę muzyczną. I rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. W tym okresie były jeszcze „przygody" (?). Niemiłe spotkania ze służbą bezpieczeństwa i także więzienna – prawdopodobnie – gruźlica.

Miał szczęście znaleźć się w kręgu znakomitego grona pedagogów w PWSM: wspomnianych już prof. Witolda Rudzińskiego i prof. Bohdana Wodiczki, a także cenionego kompozytora, pianisty, intelektualisty (wśród muzyków!?) prof. Bolesława Woytowicza.

*

Dyplomy dwa: 1965 – kompozytorski
1966 – dyrygencki

ROK 1997 – KOSZALIN

I powstaje „FIRMA ROZBICKI..."

(Proszę abyś – Drogi Kaziu – to określenie wybaczył i przepraszam czytelników).

Różnorodność zajęć Rozbickiego sprawia, że „cichy autorytet" jest niezbędny w środowisku. Wymieniliśmy już szeroki wachlarz jego zainteresowań, możliwości.

Wprawdzie wycofał się (On, od Wodiczki!!) z dyrygowania, ale przecież ma związki z Filharmonią Koszalińską. Jako kompozytor.

Wspomniane *Lacrimonium* oraz *Missa festiva*, *Symfonia koncertująca* – orkiestracja *Sonaty g-moll* Fryderyka Chopina, a także nowe redakcje koncertów fortepianowych polskich, niemal zapomnianych, kompozytorów Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego i Stanisława Nawrockiego. Dzięki jego pracy mogły powrócić na estrady koncertowe.

To jest ROZBICKI – kompozytor. Czy tylko?

*

Teraz – Pedagog

Może się pochwalić 185 absolwentami – magistrami Akademii Muzycznej. A co ważne, to grono dobrze wykształconych muzyków wzbogaciło środowisko kulturalne Pomorza.

Działacz – Organizator

Jest popularyzatorem zjawisk artystycznych jako prelegent, a także poprzez budowanie imprez, takich jak Triduum Muzyki Mozarta, czy współtworzenie niektórych lat koszalińskiego Festiwalu Organowego.

Aktywność – Publicysta

Nie nazbyt często jestem teraz w Koszalinie. Nie mogę śledzić codziennej pracy Rozbickiego - recenzenta. Publicystyka jego o życiu muzycznym Koszalina czy na przykład o Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku cieszy merytoryczną wartością, formą i wspaniałym piórem. Nie śledzi on, jak Wagnerowski Bockmesser, drobnych potknięć artystów, by ze złośliwą satysfakcją je rozgłaszać. Publicystyka Rozbickiego przyczynia się – jak sądzę – do budowania kultury Koszalina i Pomorza.

*

Jeszcze raz sięgamy do jego teczki kompozytorskiej. Nie tyle, by kłaść od razu nuty na pulpity orkiestry filharmonicznej, ale by też poznać muzykę użytkową, która wzbogacała spektakle teatralne.

A kameralistyka?!

Przecież kompozytorzy nie mogą milczeć. Milczenie zaś trwa, gdy autor nie ma okazji spotkać się z odbiorcą, aktywnym słuchaczem.

Nie mogą chować utworów do szuflady. I wiadomo, że nie piszą dla potomności.

*

JUBILEUSZ 80-lecia życia minął przed rokiem Andrzeja Cwojdzińskiego

JUBILEUSZ 50-lecia pracy KAZIMIERZA ROZBICKIEGO

Chciałbym mieć nadzieję, że nie tylko Ich postacie będą prezentowane w koszalińskich mediach, ale że również Ich TWÓRCZOŚĆ będzie częściej realizowana na koszalińskich estradach.

I nie tylko w Koszalinie!

NIE CZEKAJĄC NA SETNE JUBILEUSZE.

Małgorzata Kołowska

„Wielki szacun"

25 lat teatru STOP

W przededniu obchodów 47 Międzynarodowego Dnia Teatru na stronie internetowej koszalińskiego teatru STOP pojawił się taki oto wpis: (…) ***Co roku wybrany artysta jest autorem przesłania kierowanego do ludzi teatru i nie tylko. Tegoroczne orędzie napisał kanadyjski reżyser teatralny i filmowy, aktor, scenograf i dramatopisarz Robert Lepage. Tytuł orędzia: „Teatr - jak ogień: olśniewa i oświeca." (…) Wszystkim osobom, które na swój sposób czują twórczy związek z teatrem - składamy życzenia scenicznej witalności, pokory i wytrwałości w poszukiwaniach swoich własnych ról. Teatr zawsze towarzyszył człowiekowi, jest niezbędny w jego życiu „jak ogień". Ten zaś jest wszędzie – nie tylko w wielkich pałacach, urzędach, teatrach, ale również w naszych domach. Tam gdzie żyjemy, tam starajmy się go rozpalać, bądź też utrzymywać przyciągający blask i ciepło jego płomienia.***"

W teatrze STOP ogień huczy i buzuje już od ćwierć wieku, co wydaje się wręcz nieprawdopodobne. Bo jak jest możliwa – zwłaszcza w tak zdominowanych przez MAMONĘ czasach - twórcza i aktywna egzystencja, bez instytucjonalnego zaczepienia, bez dotacji i protektorów. Jak można realizować idee wyższe, harmonijnie godzić cele artystyczne i edukacyjne, nie dając się zwieść pokusie sztuki komercyjnej? Niewątpliwie teatr STOP jest więc zjawiskiem nietypowym, niecodziennym, a już przez to godnym zainteresowania. Jego twórcom udała się jeszcze jedna rzecz niezwykła: stworzyli oni mianowicie teatr edukacyjny, który nie obawia się tak właśnie siebie określać, jednocześnie całkowicie wypreparowując z owej misji kształcenia czy nauczania tak częsty, a zawsze nieznośny „smrodek dydaktyczny".

Zacznijmy jednak od początku, czyli bardziej jeszcze odległej historii, niż owe 25 lat, sygnalizowane w podtytule. Teatr STOP powstał bowiem kilka lat wcześniej w słupskiej WSP (dzisiejszej Akademii Pomorskiej), jako Studencki Teatr Okolicznościowej Potrzeby, na niezwykle burzliwej na początku lat 80. fali teatrów studenckich. Już w 1980 roku, po zrealizowaniu debiutanckiego spektaklu „Próba" opartego na twórczości Tadeusza Różewicza (w reż. Mirosława Kupca), grupa pojawiła się na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Studenckich START w Kielcach, potem były kolejne spotkania teatralne w kraju i poza granicami. Pierwszym spektaklem wyreżyserowanym przez Mirosława Glinieckiego, który do dziś kieruje teatrem, była „Mrożkojada". Potem były kolejne przedstawienia, w których sięgano do różnych konwencji scenicznych: teatru ruchu, kabaretu, teatru poetyckiego, teatru ulicznego. W tych poszukiwaniach formy było także miejsce na doświadczenia ze staropolszczyzną. („Dialogus pastoralis" z 1984 r. Mirosława Glinieckiego i Stanisława Miedziewskiego oraz rok później powstały edukacyjny spektakl „Teatr staropolski" w tej samej reżyserii).

Nazwę STOP teatr przyjął w roku 1983, a była ona sygnałem, by zatrzymać się i posłuchać, co młodzi aktorzy mają do powiedzenia (i pokazania) – często występując na ulicach i zmuszając (nigdy nie nachalnie!) przechodniów, by przystanęli w biegu. Od początku, poprzez osoby swych twórców – u zarania byli to Mirosław Glinecki i Mirosław Kupiec – łączył dwa miasta: Koszalin i Słupsk. Przez pierwsze lata swego istnienia sytuował się w nurcie teatrów alternatyw-

nych czy – jak dziś byśmy nazwali – offowych. O szybko zajętej pozycji niech świadczą zaproszenia na tak prestiżowe wydarzenia na skalę europejską, jak festiwal w Piacenzie (1991), EXPO w Sewilli (1992), Festiwal Narodów w Avignon (1993), czy ten bodaj najsłynniejszy – w Edynburgu. Ze swymi spektaklami teatr STOP docierał także na bardzo daleki i zimny Wschód, bo do Archangielska i na Wyspy Słowicze. W Polsce inaugurował Miesiąc Kultury Europejskiej w Krakowie (1992 r.), dwukrotnie był gościem słynnego Festiwalu Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze (w 1990 i 92 r.)

Teatrowi STOP – wespół z koszalińskim Studenckim Teatrem Ruchu BLIK i słupskim teatrem RONDO – udało się stworzyć nie tylko rodzaj „międzymiastówki teatralnej", ale wręcz międzynarodówki teatrów alternatywnych, co przejawiło się w czterech edycjach Festiwalu Teatru Niesfornego „Totuus Mundus" w Koszalinie i Słupsku (w latach 1986, 88), w 1990 w Archangielsku i na Wyspach Słowiczych oraz w 1991 w Słupsku i Chojnicach, oraz teatralnych warsztatach w Słupsku i na Bornholmie, jakie odbyły się w roku 1999, 2001 i 2004.

Czy to formuła teatru się wyczerpała czy raczej pojawiła się świadomość innych, nowych wyzwań, stojących przed teatrem? Od kilkunastu lat bowiem teatr STOP prowadzi szeroko zakrojoną działalność edukacyjną, adresowaną do szczególnie wymagającego widza: dzieci i młodzieży, wśród których ważne miejsce zajmują osoby niepełnoprawne. Edukacyjna rola teatru realizowana jest pod szyldem STOP-u w różny sposób; są to spektakle prowokujące do dyskusji z młodymi i bardzo młodymi ludźmi (nawet przedszkolakami!) o takich zjawiskach, jak uzależnienia od alkoholu, papierosów czy narkotyków. To także warsztaty teatralne i dramowe, które nie tyle uczą teatru, co ot-

Daniel Kalinowski i Mirek Gliniecki w spektaklu „Dealer". fot. archiwum

wierają młode głowy i serca, to poważne konferencje naukowe i będące ich pokłosiem publikacje książkowe.

Wymieńmy, bo warto, publikacje zwarte: Mirosława Glinieckiego i Lucyny Maksymowicz „Spotkanie z dramą. przykłady zabaw, ćwiczeń i gier dla każdego", pod tą samą redakcją „Teatr a dziecko specjalnej troski", „Teatr edukacyjny – komunikacja bez granic" „Teatr – Edukacja – Asertywność – Twórczość – Rozwój". Już same tytuły dokładnie określają obszar penetracji twórców teatru STOP. To dobry moment, by ich przedstawić.

Szefem teatru pozostaje od lat mieszkający w Koszalinie Mirosław Gliniecki, charyzmatyczny aktor i instruktor, komisarz Edukacyjnych Projektów Teatralnych Unii Europejskiej PHARE. Zaplecze naukowe tworzy dr Lucyna Maksymowicz, konsultant tychże projektów, pracownik naukowy AP. Główni aktorzy teatru STOP, to, poza jego szefem, także Mieczysław Giedrojć – aktor łączący Koszalin, Słupsk i Bydgoszcz, Daniel Kalinowski – aktor, utalentowany monodramista, a zarazem pracownik naukowy AP; to oni właśnie, wspierani przez muzyka Andrzeja Andermana, od dziesięciu lat w całej Polsce prezentują spektakl „Dealer" i prowadzą parateatralne zajęcia propagujące teatr i… idee abstynencji alkoholowej i narkotykowej.

Z jakim skutkiem? Najlepiej mówią o tym wpisy w księdze gości na stronie internetowej teatru STOP, a wśród nich i takie, mimo naiwności czy swoistej stylistyki, bardzo cenne: *„Witam! Właśnie wróciłam z przedstawienia, które bardzo mi się podobało. Z naszej szkoły poszły tylko wybrane klasy, ale uważam, iż Wasze spektakle powinny być wystawiane w szkołach, aby każdy mógł zapoznać się z rzeczywistością. Wielu nastolatków ma obecnie problemy poruszane w Waszych spektaklach, a nie każdy ma okazję je zobaczyć. Gdyby był to program „Mam Talent", a ja byłabym jurorką, to teatr STOP miałby u mnie największe poparcie. Tak trzymać. Pozdrawiam. Hania". „Teatr świetny. Szczerze; z początku myślałem, że niepotrzebnie idę na to do szkoły, ale bardzo się myliłem. Spektakl „Dealer" hmmm... jakby go nazwać… Majstersztyk. Z całego serca życzę całemu teatrowi samych sukcesów. Tak trzymać. Pozdrowienia z Włocławka." „Wielki szacun za dealera!!! Każdy powinien zobaczyć jaka jest rzeczywistość. Pozdro".*

Aktorzy teatru STOP od 1980 r.:

Penelopa Atkinson, Hubert Bilewicz, Jola Bosiacka, Piotr Ceranowski, Krzysztof Hrabia Cieślewicz, Jacek Dąbrowski, Jacek Dziembaj, Wiesław Gasek, Mieczysław Giedrojć, Marta Gliniecka, Teresa Gliniecka, Mirosław Gliniecki, Jacek Górawski (†), Leszek Gwardzik, Jacek Igła, Daniel Kalinowski, Dorota Kodź, Zbigniew Konieczka, Dorota Kowalska-Sip, Danuta Kozłowska, Grażyna Krzaczkowska, Mirosław Kupiec, Marek Lityński, Roman Łangowski, Rafał Makarewicz, Zofia Makowska, Lucyna Maksymowicz, Tadeusz Matwijewicz, Anna Mercik, Isadora Miedziewska, Maurycy Miedziewski, Stanisław Miedziewski, Jacek Miś, Marzena Możdżer-Fabich, Małgorzata Nieścior-Trenczak, Grzegorz Opolski, Zdzisława Orłowska, Tomasz Piekarski, Bogusław Pobiedziński, Bohdan Statkiewicz, Małgorzata Szota, Jaromir Szroeder, Wojciech Szroeder, Rudolf Trenczak, Michał Tuszyński, Małgorzata Warchoł, Ewa Wołczyk, Alicja Zapart.

Gościnnie występowali: Irina Afanasjewa (Teatr Biały Clown), Miła Bogen-Iwona Stolarska (Teatr BLIK), Wojciech Klepuszewski (Teatr BLIK), Andrzej Talkowski (Kabaret Kuzyni), Nikołaj Weprew (Teatr Biały Clown).

Muzycy: Andrzej Anderman - trąbka i syntezator, Alicja Błaszczyk - flet, Waldemar Bochniarz - saksofon, Andrzej Cholewa - syntezator, Artur Szeryf Orłowski - saksofon, Teresa Śliwowska - skrzypce, Waldemar Tomaszewski - trąbka.

Małgorzata Kołowska

Jubileusze w kręgu sztuk pięknych

JERZY FEDOROWICZ (ur. 1928)
80. urodziny

Studia odbył w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku w latach 1949-1951 i w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1951-1954. W roku uzyskania dyplomu ASP zamieszkał w Koszalinie. Był inicjatorem, organizatorem i uczestnikiem Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach w latach 1963-1981. Okres jego największej aktywności twórczej przypada na lata 1958-1985.

Jest wybitnym przedstawicielem polskiego konceptualizmu. Brał udział w ponad 80 imprezach artystycznych, sympozjach, wystawach, spotkaniach polskiego ruchu awangardowego. Wiele prac wykonał wspólnie ze swoją życiową towarzyszką Ludmiłą Popiel. Jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Koszalinie, Słupsku, Szczecinie, Chełmie.

Oto jak Jerzy Fedorowicz wspominał tworzone przez siebie i bliskich sobie ludzi (m.in. Mariana Bogusza i żonę Ludmiłę Popiel) „Osieki" w opublikowanej w Almanachu 2005" rozmowie:

Tu, w Koszalinie spotkaliśmy się w kilka osób, które miały od lat bliskie kontakty z polską awangardą. Ludmiła Popiel, Irena Kozera, także ja i inni artyści odczuwaliśmy różnice, jakie dzieliły nas od Włoch czy Francji. Ja sam wielokrotnie spędzałem po pół roku we Włoszech. Po powrocie do Koszalina widzieliśmy całą miałkość prowincji. W ówczesnej, skutej lodem ideologicznym rzeczywistości trudno było sobie wyobrazić normalne funkcjonowanie artystów czy filozofów. Osieki były miejscem na tyle izolowanym – a przez to bezpiecznym z punktu widzenia władzy - że możliwe się okazało zaistnienie marginesu wolności intelektualnej, o którą nam chodziło. Nigdy jednak nie obywało się bez trudności ze strony sterujących państwem. Z końcem Osiek w roku 1981 roku skończyła się polska awangarda w sztuce. Powstała między 1963 i 1981 rokiem kolekcja dzieł sztuki współczesnej, będąca w zbiorach Muzeum w Koszalinie, jest ostatnim przejawem działania awangardy polskiej.

(…)

Oba te zjawiska: Międzynarodowe Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki, jako wyraz intelektualnej aktywności skoncentrowanej co

fot. Ilona Łukjaniuk

Jerzy Fedorowicz i Walentyna Orłowska, która, jako kustosz Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie, do przejścia na emeryturę w roku 2006 opiekowała się osiecką kolekcją.

roku jesienią w Osiekach (letnia stolica sztuki polskiej – jak o Osiekach mówił Julian Przyboś), oraz kolekcja, jako ślad uczestniczenia w awangardzie światowej końca XX wieku i dokument problematyki, którą artyści zgłębiali – to fenomen czasu w obrębie kultury polskiej. Sprawą ważną jest obecnie umiejętne wykorzystanie tych wartości, również w procesach edukacyjnych.
Osobną zupełnie sprawą jest kategoryzacja etyczna, dowiązywania się do „Osiek" obecnie istniejących poczynań organizacyjnych. Oceny w tej kwestii zależne są od naszej wrażliwości i zakresu rozumienia własności praw autorskich. W moim przekonaniu „Osieki" jako zespół artefaktów mają swój początek i koniec, wyznaczone datami 1963-1981.

Zygmunt Wujek. fot. Ilona Łukjaniuk

ZYGMUNT WUJEK (ur. 1938)
70. urodziny

W latach 1959-65 studiował w PWSSP w Poznaniu (obecnie ASP) na Wydziale Rzeźby u prof. B. Wojtowicza. Od 1965 roku związany z Koszalinem. Rzeźbiarz, autor medali, pomników (wykonał ich ponad 200 na Pomorzu) i nagrobków, akcjonista, pedagog. Uczestnik sympozjów i plenerów. Wykładowca Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, działacz ZPAP, autor i uczestnik licznych wystaw, kronikarz wydarzeń, legenda koszalińskiej bohemy.
Jest autorem kilku koszalińskich pomników (m.in. popiersi Adama Mickiewicza, gen Władysława Andersa i gen. Władysława Sikorskiego). W Kołobrzegu przy tamtejszej bazylice znajduje się pomnik arcybiskupa Marcina Dunina. W Modrolesie pomnik jego autorstwa upamiętnia jeńców tamtejszego obozu jenieckiego z czasów II wojny światowej.
W Szczecinie powstał pomnik gen. Józefa Hallera, w którego armii walczył ojciec rzeźbiarza.
Zasługą Zygmunta Wujka jest utrwalanie pamiątek koszalińskiej przeszłości – choćby i tej kontrowersyjnej. Z jego inicjatywy na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym powstało Lapidarium, upamiętniające przedwojennych mieszkańców Koszalina. Jego zasługą jest tez konserwacja „Ptaków" Hasiora oraz pomnika żołnierza radzieckiego, który z placu przed dawnym. Urzędem Wojewódzkim został przeniesiony na cmentarz wojskowy i tam poddany przez Z. Wujka renowacji.
Był wieloletnim radnym. Kolejny rok zasiada w Radzie Kultury przy Prezydencie Koszalina.
Ocalając pamiątki przeszłości Zygmunt Wujek nie zapomina o młodym pokoleniu. W jego niezwykłym domu i pracowni, która dzięki temu zyskała charakter renesansowej bodegi, nigdy nie brakuje młodych, utalentowanych, wrażliwych, niekiedy zbuntowanych ludzi, którzy w Zygmuncie Wujku zyskują mistrza nie tylko w kwestiach sztuki, ale i życia.

WŁODZIMIERA KOLK
40-lecie pracy twórczej

Należy do najciekawszych i najbardziej znanych twórców koszalińskich, nie tylko z powodu bogatego i cenionego dorobku artystycznego, ale również dlatego, że jest osobowością przyciągającą wielu ciekawych ludzi z diametralnie różnych środowisk. Jej malarstwo jest ucztą dla oczu i dla intelektu. Obrazy są zawsze swoistą pointą sytuacji zobaczonych, lub doświadczonych z pozycji oso-

Włodzimiera Kolk. fot. Ilona Łukjaniuk

by, która dotknęła zarówno antycznej Grecji jak i udręczonej Bośni-Hercegowiny. Malarstwo stanowiło i stanowi Jej pasję, wypełniając życie – pisała o niej Walentyna Orłowska, historyk sztuki. Sama o sobie artystka mówi: – *Fascynuje mnie wszystko, co nieodgadnione i czego nie da się dotknąć, a co niewątpliwie jest. Zatem jest to wewnętrzna strona człowieka. Nieudolnie trzepoczący skrzydłami ptak uwięziony w zaryglowanej klatce (…) Wiatr dmie w moje życie jak w żagiel, budząc silne poczucie istnienia. Powietrze pachnie nęcącą wilgocią, od której wszystko się zaczyna: lśniące spojrzenie – bo w nim wilgoć trwa, lśniąca skóra – bo w niej wilgoć trwa. Młodość, cudowność, miłość, nienasycenie – bo tam wilgoć trwa. I ciągle ten wiatr, ciągle wiatr, wiatr – poczucie przemijania. Powietrze bywa suche, a pocierana skóra dłoni o dłoń szeleści jak miętoszona strona starej i nieaktualnej gazety. Tak! Życie jest fascynujące i warto utrwalić choć okruszynę swych emocji na płótnie, jeśli jest to możliwe. W moim przypadku – to trudne! Bo jak namalować zapach wilgoci? Lub niekończącą się dal, o której nic nie wiem.*

Włodzimiera Kolk przez przyjaciół nazywana Dzidą urodziła się w Dobrem na Kujawach. Do szkoły powszechnej chodziła w Poznaniu, dwa lata spędziła w Polskiej Wsi koło Pobiedzisk w przyklasztornym liceum Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa (Sacré Coeur). Ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, potem – studia na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu i dyplom w Pracowni Grafiki Projektowej profesora Waldemara Świerzego.

Po ukończeniu studiów w 1968 roku Dzida dwa lata mieszkała w Połczynie Zdroju, pełniąc funkcję uzdrowiskowego plastyka. Koledzy artyści mieszkający w Koszalinie namówili ją do przyjazdu do tego miasta. Tutaj realizowała różnorodne, częste wówczas zlecenia, aktywnie działała w Związku Polskich Artystów Plastyków, pokazywała swoje prace na licznych wystawach, uczestniczyła w Międzynarodowych Spotkaniach Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach oraz w innych plenerach w Polsce i za granicą. Na ponad 10 lat wyprowadziła się do Piły, ale na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wróciła do Koszalina, gdzie przez 2 lata pełniła funkcję plastyka województwa koszalińskiego – jako ostatnia.

Wciąż jest w pełni sił twórczych, maluje w Polsce, od 1997 roku często również w Grecji, we Włoszech, a także we Francji. Jeździ na plenery, bierze udział w wystawach, pisze artykuły do „Kuriera Ateńskiego" – niezależnego tygodnika polskiego wydawanego w stolicy Grecji.

Wystawiała swoje prace – oprócz Koszalina – w Neubranderburgu, Kopenhadze, Bydgoszczy, Poznaniu, Paryżu, Brunssum, Połtawie, Elblągu, Alexandroupoli, Atenach, Paleohorze, Szczecinku, Gargaliani, Giove, Paros, Bourges, Mikołowie, Orvietto, Otricoli.

(opr. wg „Miesięcznika")

NASI W ŚWIECIE

Sylwester Podgórski

Poezja jazzu

„Simple Acoustic Trio", „Trio", aż w końcu... „Marcin Wasilewski Trio" – to najkrótsza historia jazzowej formacji, wywodzącej się w 2/3 z Koszalina, w 1/3 z Warszawy. Ta historia trwa już osiemnaście lat, wkroczyła więc w wiek dojrzały, ale z pewnością nie stateczny. W 1991, jeszcze jako uczniowie Liceum Muzycznego w Koszalinie, Marcin Wasilewski (fortepian), Sławek Kurkiewicz (kontrabas) i Sebastian Demydczuk (perkusja) zdobyli III miejsce na „Jazz Juniors" w Krakowie. To, co stało się później, było dowodem zarówno talentu, jak i determinacji oraz stawiania sobie kolejnych wyzwań, a pewnie też, acz w niewielkim stopniu, dziełem łutu szczęścia, które zawsze jest potrzebne. Dwa lata po sukcesie na wspomnianym „Jazz Juniors" „Simply Acoustic Trio" zagrało na „Jazz Jamboree '93", co dla trójki bardzo młodych ludzi było nie lada wyzwaniem, ale i wielkim wyróżnieniem.

Warto dodać, że w 1993 roku Sebastiana Demydczuka (który podjął studia muzyczne w Holandii, tam też jest cenionym muzykiem jazzowym – dop. red.) zastąpił Michał Miśkiewicz, syn legendy polskiego jazzu Henryka Miśkiewicza. I to była jedyna zmiana w tym klasycznym do szpiku kości trio jazzowym – klasycznym, czyli z fortepianem, kontrabasem i perkusją. Rok 1993 dla „Simple Acoustic Trio" z jeszcze jednego powodu okazał się brzemienny w wydarzenia, wtedy bowiem młodzi muzycy podjęli stałą współpracę z Tomaszem Stańką. Po latach okazało się, jak cenna była to współpraca, w kontekście zarówno zdobywania doświadczenia, wiedzy, ograna jak i magii nazwiska lidera. Tomasz Stańko doskonale wiedział, że korzyści będą obopólne – on zyska „świeżą krew", nowe spojrzenie i energię młodych, ale niezwykle utalentowanych muzyków, a „Simple Acoustic Trio" zdobędzie markę jednego z najlepszych akustycznych zespołów jazzowych w Polsce. Lata 90-te były nieprzerwanym pasmem koncertów formacji, zarówno w Polsce jak i Europie. Z każdym mijającym rokiem zespół realizował się zarówno jako samodzielny band, towarzyszący Tomaszowi Stańce lub zapraszany przez inne gwiazdy polskiego i europejskiego jazzu. Ukazywały się kolejne płyty „Simple Acoustic Trio", a w wśród nich takie perełki jak „Komeda" czy „Habanera" (sprzedająca się znakomicie na rynku japońskim!).

O ile z punktu widzenia młodego zespołu rok 1993 był przełomowy, to rok 2002, w którym ukazał się album Tomasza Stańki „Soul Of Things", przyniósł dojrzałemu już zespołowi szansę na światową karierę. Płyta ukazała się bowiem nakładem wytwórni ECM Manfreda Eichera, która w tym roku obchodzi jubileusz 40-lecia istnienia. Dla wielu jazzmanów kontrakt z ECM to muzyczny Olimp i spełnienie marzeń. To też gwarancja stabilności, światowej promocji. Marcin Wasilewski wspomina: – *Bycie w mniejszej lub większej wytwórni jazzowej bardzo dużo ułatwia. Natomiast związanie się kontraktem z tzw. majorsem jest ryzykowne, bo można przepaść w masie innych produkcji. O tyle lepiej pracować z niezależną wytwórnią jak ECM, że nie ma „ciśnienia", pośpiechu, terminów, a następną płytę nagrywa się wtedy, kiedy jest tego naturalna potrzeba.*

To dla tej niemieckiej firmy nagrywały i nagrywają takie legendy jak Keith Jarrett, Jan Garbarek, Jack DeJohnette, Pat Metheny, Chick Corea, Ralph Towner czy Art Ensemble Of Chicago. Manfred Eicher zaproponował nagranie „Simple Acoustic Trio" tuż po sesji „Soul Of Things",

co tak wspomina Sławek Kurkiewicz: – *Pamiętam to jak dziś, wychodziliśmy z hotelu idąc do restauracji. Powiedział, że byłoby miło nagrać Trio. I to właściwie było tyle. Odezwał się później, było kilka e-maili, zgranie terminów – to było naprawdę bardzo proste.*

Płyta sygnowana przez „Trio" w składzie: Marcin Wasilewski / Sławomir Kurkiewicz / Michał Miśkiewicz ukazała się w 2005 roku. Szef ECM-u nie chciał starej nazwy, gdyż z punktu widzenia szanującego się jazzfana, nazwa kojarzyła się ze zbyt prostą muzyką, czymś, co może zostać opacznie odebrane. Z drugiej strony wywołało to trochę zamieszania i nieporozumień, gdyż „Simple Acoustic Trio" miało już ustaloną pozycję, szczególnie w Polsce. Płyta „Trio", dostępna na całym niemal świecie, zebrała świetne recenzje, a w ramach jej promocji odbyło się mnóstwo koncertów zarówno w Europie, jak i w kolebce jazzu, czyli USA.

Wydanie następnej płyty dla ECM było tylko kwestią czasu. Dlaczego trwało to prawie trzy lata, wyjaśnia Sławek Kurkiewicz: – *To trwało tak długo tylko dlatego, że byliśmy bardzo zajęci koncertami z Tomaszem Stańką. Graliśmy rocznie 80–100 koncertów, a to jest naprawdę dużo. Ciężko było znaleźć wolny termin i dogodne okoliczności, a plan był taki, że będziemy nagrywać w Nowym Jorku.* Materiał na drugą płytę nagrano na początku 2007 roku w słynnych studiach nagraniowych Avatar Studios (niegdyś The Power Stadion), gdzie płyty nagrywali m.in. Pat Metheny, Herbie Hancock, Al Jarreau, Cassandra Wilson, „Kronos Quartet" i cała plejada gwiazd popu i rocka z Brucem Springsteenem, „Aerosmith" i Bjørk na czele. Nie bez powodu to studio uważane jest za jedno z najlepszych na świecie, szczególnie jeśli chodzi o nagrywanie instrumentów akustycznych. – *Dla muzyka, szczególnie jazzowego, znaleźć się w Nowym Jor-*

Marcin Wasilewski Trio „January" (ECM 2008).

ku w studiu tak słynnym jak Avatar, czyli w „paszczy lwa" to przeżycie ogromne, trochę metafizyczne – wspomina Marcin Wasilewski. Mało tego; do sesji nagraniowej Marcin mógł wypożyczyć ze Steinway Hall jeden z czterech fortepianów (okazało się, że wybrał ten sam instrument, który wcześniej wybrał Krystian Zimmerman). Sama sesja trwała dwa dni, właściwie bez większej ingerencji Manfreda Eichera, który pozostawił zespołowi ogromną swobodę. Zarejestrowano dziesięć tematów, które światło dzienne ujrzały pod koniec stycznia 2008 roku. I tu ostatnie zaskoczenie związane z nazwą zespołu: album ukazał się firmowany nazwiskiem pianisty i lidera Marcina Wasilewskiego. Dla tego ostatniego przekazanie decyzji Eichera Sławkowi i Michałowi wcale nie było łatwe: – *Strasznie się gryzłem i nie wiedziałem, co z tym zrobić. Dla mnie to pewnie dobre rozwiązanie, ale nie chciałem stracić kolegów. Zareagowali trochę tak, jakby zespół przestał istnieć. Tłumaczyłem, że zespół nie przestaje istnieć, jeśli chcemy ze sobą grać. Przestaje istnieć tylko nazwa. Chłopcy poszli na kompromis - gramy dalej, muzyka ewoluuje i „chemia" między nami jest ta sama.*

Rzeczywiście, zapisana na płycie „January" „chemia" pozostaje na poziomie zarezerwowanym dla najlepszych zespołów jazzowych na świecie. Słusznie Manfred Eicher stwierdził, że „January" to jedno z najbardziej poetyckich nagrań jazzowych ostatnich lat. Jest przy tym znakomicie skonstruowana, ma świetnie rozłożone akcenty, szczególnie te dramaturgiczne. W tym znaczeniu „January" jest z pewnością ciekawsza niż debiut dla EMU-u. Obok tematów autorstwa Marcina Wasilewskiego na płytę trafiły „Diamond & Pearls" Prince'a, „Balladyna" Tomasza Stańki, „King Korn" Carli Bley, „Cinema Paradiso" Ennio Moricone oraz „Vignette" Gary Peacocka. Czemu ma służyć tak różnorodny repertuar? Właśnie dramaturgii. Tylko w ten sposób może nastąpić zderzenie romantycznej duszy lidera z freejazzowym i jakże drapieżnym „King Korn" Carli Bley czy „Balladyną" Stańki. To sprawia, że płyta nie nuży, nie jest monotonna, a Marcin czaruje nas swoją wrażliwością i budową napięcia w poszczególnych utworach. Jak mało który pianista w Europie wydobywa on z fortepianu dźwięk, który jest śpiewny i zarazem delikatny jak jedwab. Pod tym względem można Marcina Wasilewskiego porównać do Keitha Jarretta, choć oczywiście nie idzie tu o jakiekolwiek naśladownictwo, a jedynie podobną wrażliwość.

Kilkanaście lat wspólnego grania sprawiło, że między muzykami powstała niezwykła symbioza. Kontrabas jest czujny, zwarty i sprężysty, cudownie brzmi grany unisono z fortepianem. Pracę perkusji można porównać do pracy szwajcarskiego zegarka; pomimo trudnych podziałów rytmicznych działa perfekcyjnie i spaja w jedno grę całego tria. Wszyscy grają na światowym poziomie, ale bez wątpienia postacią numer jeden jest lider Marcin Wasilewski. W tym kontekście Manfred Eicher wiedział co robi, decydując się na działalność pod szyldem „Marcin Wasilewski Trio".

Mam wrażenie, że to dopiero połowa drogi tria, że jeszcze nie raz będziemy się cieszyć z sukcesów zespołu. Warto też, przy okazji tej jednej z najlepszych płyt jazzowych 2008 roku, przez chwilę zastanowić się, jaką drogę przeszło dwóch koszalinian: Marcin Wasilewski i Sławek Kurkiewicz, którzy awansowali na sam szczyt jazzowej hierarchii. Warto o tym pamiętać wymieniając sukcesy ludzi kultury wywodzących się z Koszalina. Tym bardziej, że oni też o nas nie zapominają. Wystarczy tylko posłuchać utworu „The Young and Cinema", który jest pięknym rozwinięciem sygnału Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film" autorstwa Marcina Wasilewskiego. Jest to wyjątkowy utwór, tak jak wyjątkowa jest cała płyta „January".

Irena Piłatowska-Mądry

Mistrzyni reportażu radiowego

Jolanta Rudnik jest publicystką i reportażystką Radia Koszalin. Jedną z najbardziej interesujących reportażystek polskiej radiofonii. Wielokrotnie nagradzana i wyróżniana za swoją twórczość radiową. Zawsze pozostaje w cieniu swoich bohaterów i omawianych spraw.

Pochodzi z Wągrowca, miasta oddalonego zaledwie 70 kilometrów od Warszawy. W stolicy studiowała w jednej z najlepszych warszawskich uczelni – Szkole Głównej Planowania i Statystyki, zdobywając tytuł magistra ekonomii. Potem kontynuowała naukę na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie ukończyła dwuletnie Podyplomowe Studium Dziennikarskie. Po studiach przyjechała do Koszalina. Wydawało jej się, że to będzie tylko krótki epizod w jej życiu. Okazało się jednak, że ten „epizod" trwa nieprzerwanie do dziś. W grudniu ubiegłego roku minęło właśnie trzydzieści lat jej pracy w Radiu Koszalin. Pomorze Środkowe, ludzie i problemy, z jakimi się tu zetknęła przed laty były dla niej nowością. Zafascynowało ją pogranicze: mieszanka kultur, obyczajów, narodowości. I nic dziwnego, że właśnie problematyka historii tego regionu Polski, stosunków polsko-niemieckich, ale nie w sensie politycznym, lecz raczej relacji międzyludzkich stała się tematem, do którego chętnie wraca i w swoich audycjach publicystycznych, i w reportażach. W kręgu jej zainteresowań są także sprawy związane z Unią Europejską i szeroko rozumiane problemy społeczne, w tym sądownicze. Lubi słuchać i opowiadać historie spotykanych ludzi. Świat reportażu, który jest światem bez granic, światem eterycznym, ulotnym i niewidzialnym, ale jakże głęboko wprzęgniętym w nasze codzienne sprawy, odwdzięczył jej się wiele razy.

Ubiegły rok w twórczości Joli Rudnik to wyjątkowy czas, czas zbierania plonów jej zaangażowania, wytrwałej pracy i talentu. W najbardziej prestiżowym Ogólnopolskim Konkursie Reportażystów „MELCHIORY" otrzymała Nagrodę im. Witolda Zadrowskiego za reportaż artystyczny pt. „ Dziewczynka z bilbordu". Potem główną nagrodę Grand PiK w ogólnopolskim konkursie na reportaż organizowanym przez Radio Pomorza i Kujaw. Było też wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie o Mniejszościach Narodowych, organizowanym przez Radio Rzeszów, za reportaż „Nie przyjeżdżaj", III nagroda w konkursie Archiwów Państwowych „na najlepsze publikacje prasowe, audycje radiowe i programy telewizyjne prezentujące problematykę dotyczącą archiwów państwowych" za reportaż „Podróż w przeszłość". Rok zwieńczył największy sukces – Jola Rudnik została laureatką Prix Italia – jednego z trzech najważniejszych światowych festiwali radiowo-telewizyjnych. Jej reportaż „Dziewczynka z bilbordu" znalazł się na tzw. „short liście", czyli wśród trzech finalistów w kategorii Nagroda Specjalna Prix Italia 2008. To wielki sukces, który otworzył Joli drogę do czołówki światowych reportażystów i jednocześnie potwierdził znakomitą pozycję polskiego reportażu radiowego na świecie. – *W ostatnich latach zajmuję się przede wszystkim reportażami, choć są nisko płatne i wymagają ogromnych nakładów pracy. Robię ich kilkanaście w roku. Zawsze zdarzają się dwa lub trzy, które pasują do tematyki konkretnego konkursu. Żadnego reportażu nie zrobiłam specjalnie na konkurs. Kon-*

kurencja jest ogromna. Tym większa radość i satysfakcja, kiedy się wygra – skromnie komentuje swoje sukcesy.

„Dziewczynka z bilbordu" to reportaż w polskiej radiofonii wybitny. Rozgrywa się w trzech planach: osobistym, historycznym i metafizycznym. Oto w ramach akcji „Kocham Koszalin" na bilbordach ukazało się zdjęcie kilkuletniej dziewczynki, stojącej na koszalińskim rynku podczas manifestacji w 1976 roku. Autorem zdjęcia jest Zdzisław Pacholski, mieszkający w Koszalinie fotografik. Jolanta Rudnik opowiada o losach dziewczynki ze zdjęcia, jej rodziny i o tym, jak zmienił się świat wokół nas. Reportaż jest także próbą odpowiedzi na pytanie: czy przypadek jest tylko przypadkiem, czy dziewczynka, która zmarła w tragicznych okolicznościach kilkadziesiąt lat temu, przypomniała o sobie, czy też przypomnieli o niej ludzie żyjący w XXI wieku. – *„Dziewczynka z bilbordu" to fascynująca historia, nad którą się unosi duch Kieślowskiego. Autorkę fascynuje to samo, co tego znakomitego reżysera: rola przypadku...* – tak o nagrodzonym reportażu mówi Hanna Krall, która zasiada w jury Ogólnopolskiego Konkursu Reportażystów MELCHIORY.

Jolanta Rudnik. fot. Ilona Łukjaniuk

Inny z długiej listy reportaży Joli Rudnik to przepiękna historia o ludziach, których połączyło… drzewo. „W cieniu dobrego drzewa" to reportaż o przyjaźni, jaka zrodziła się przypadkiem (?) pomiędzy polskim artystą fotografikiem a austriacką pisarką, której dziadkowie i rodzice mieszkali niegdyś w Koszalinie. (Przyjaźni wspomnianego wcześniej Z. Pacholskiego i Ute Hoschele, której tekst znajduje się w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007" – dop. red.).

Audycje Joli Rudnik to nie tylko reportaże w klasycznym rozumieniu tej formy wypowiedzi radiowej. To przede wszystkim literatura wysokiego lotu, studia ludzkiego losu. Wymieniane już reportaże prezentują dramaty ludzi wplątanych w potężne wydarzenia, uwikłanych w wielką historię, ale także ich osobiste zmagania z niełatwą codziennością. Słuchając opowieści bohaterów reportaży Joli Rudnik zadajemy sobie pytania: co naprawdę liczy się w życiu, czy to ku czemu zmierzamy, a raczej pędzimy często trochę na oślep, jest rzeczywiście ważne? Pytamy o sens naszej egzystencji, zastanawiamy się nad kruchością i ułomnością życia. Kto raz posłuchał, nie zapomni reportażu pt. „Łaskawa śmierć" o eutanazji dokonywanej przez Niemców w latach 1939-45 na osobach chorych psychicznie i ułomnych w celu oczyszczenia rasy aryjskiej. „Pod jednym Bogiem" – reportaż, który reprezentował Polskę na Festiwalu Radiowo – Telewizyjnym Prix Europa, wyróżniony w konkursie Polska i Świat 1999. List z Niemiec z prośbą o zwrot przedwojennego majątku staje się pretekstem do przypomnienia powojennych losów obecnych mieszkańców nieruchomości na Ziemiach Odzyskanych. Wśród nich są Polacy ze Wschodu, wypędzeni ze swoich domów

po 1945 roku i Niemcy zamieszkujący te tereny od pokoleń. Reportaż stawia pytanie: kto ma dziś prawo własności do tych pozostawionych w Polsce domów, skoro jednych i drugich spotkał podobny los (utrata własności)?

„Trudne miłości" to także reportaż z cyklu opowieści pogranicznych. Polsko-niemieckie historie miłosne od wojny do czasów współczesnych. Polacy i Niemcy przez całe dziesięciolecia byli wrogami, ale zdarzała się też miłość często wbrew wszystkim i wszystkiemu. Miłość ta budziła u innych wrogość, czasami wręcz nienawiść, bywało, że współczucie. I jeszcze jeden reportaż na pewno wart wspomnienia, dotyczący stosunków polsko-niemieckich – „Pojednanie". – *Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić człowiekowi, to zabrać mu jego ojczyznę* – mówią Niemcy przymusowo wysiedleni z terenów dziś należących do Polski. - *A kto wywołał II Wojnę Światową i doprowadził do śmierci dziesiątków milionów ludzi?* – odpowiadają Polacy, którzy w czasie wojny byli ofiarami niemieckiej agresji.

Jola Rudnik – artystka reportażu w swoich audycjach stawia wiele pytań nie dając jednoznacznych odpowiedzi, nikogo nie poucza, nie ocenia, nie osądza, przywraca wagę i znaczenie słowu, stara się opisać i zrozumieć rzeczywistość, uczy nas słuchać, wsłuchiwać się w świat. Twórczość Joli wykracza poza kategorie czysto estetyczne. Pracując nad reportażem, Jola Rudnik często ustępuje niejako miejsca swoim bohaterom, oddaje głos tym, którzy uważają, że ich głos się nie liczy, a to co mówią jest bez znaczenia. ***W sytuacjach, wydarzeniach i opowieściach zwykle kryje się coś więcej. Wszystko polega na tym, żeby nawet w sprawie, która jest błaha znaleźć to coś.*** – mówi Jola i co ważne umie „to coś" odnajdywać. „Dobrze nam bez niego" (opowieść matki, której syn zabił znęcającego się nad rodziną ojca), czy „Więzienie do końca" (o śmierci Polaka bez procesu przetrzymywanym ponad dwa lata w ukraińskim więzieniu, który był podejrzany o udział w przemycie) to tylko dwa z wielu przykładów reportaży prezentujących ludzi zagubionych, dręczonych wątpliwościami, wplątanych w konflikty świata, w którym żyjemy.

Praca przy reportażach radiowych to w dużym stopniu praca samodzielna. Autorzy sami wybierają tematy, dokumentują je i dokonują nagrań. Potem przychodzi czas selekcji materiałów i ostatecznych decyzji odnośnie poprowadzenia dramaturgii. Często pracują po kilkanaście godzin dziennie, sam na sam z nagraniami w nocnym zaciszu, kiedy nikt i nic nie rozprasza myśli. Ten styl pracy charakteryzuje także Jolę i jej reportaże. Zawsze precyzyjnie zakomponowane, z ogromnym wyczuciem świata dźwięków, muzyki i głosu.

Jola doskonale wie jak znakomitym tworzywem artystycznym jest ludzki głos – naturalny wyraziciel myśli i uczuć, utrwalający się silniej niż słowo drukowane, oddziałujący na zmysły, uczucia, wpisuje się w słuchacza, zapada w jego pamięć. Poprzez silne oddziaływanie na wyobraźnię, budzi w nim emocje. I nic dziwnego, że zdarza się, iż świat przedstawiany w reportażach Joli tak wciąga, że nie sposób oderwać się od odbiornika. Bywa, że słuchając reportaży w samochodzie ludzie mylą drogę, lub po prostu – nie chcąc nic uronić – pozostają w samochodzie aż skończy się reportaż. Słuchacze telefonują, piszą listy.

Atutem reportaży Joli Rudnik jest ich metaforyczność, niejako naddany sens. Wychodząc od jakiegoś zdarzenia czy ludzkiego losu dąży do uogólnienia, które niesie ze sobą przesłanie odnoszące się do spraw ponadczasowych. Poprzez swoje reportaże skłania słuchaczy do refleksji, pomaga „widzieć" głębiej, dotknąć istoty rzeczy.

Prezentacje audycji radiowych podobnie jak elegancja antenowego stylu Jolanty Rudnik, jej sposób traktowania rozmówcy i słuchacza służą wypełnianiu misji radia publicznego zgodnie z najwyższymi standardami sztuki dziennikarskiej.

Jola Rudnik jest twórcą dojrzałym, świadomym swoich możliwości, twórcą odpowiedzialnym. Znakomicie realizuje misję reportaży-

sty, poszukując prawdy o człowieku i świecie. Stawia wiele pytań. Daleka od ocen i pouczeń. Zawsze z atencją traktuje swoich bohaterów i słuchaczy.

Nie lubi mówić o tym, o czym chciałaby opowiedzieć w kolejnych reportażach.

Usłyszałam jedynie, że marzy jej się reportaż wesoły, a równocześnie wzruszający. ***Jednak na siłę takiego tematu nie szukam. Jak przyjdzie, to będzie.*** – dopowiada Jola. Myślę, że tak się stanie. Dobrego reportażystę, bowiem poznaje się po tym, czy dostaje od świata cząstki przeznaczone tylko dla niego. Dla Joli świat w tej materii jest hojny.

Wykaz nagród zdobytych przez Jolę Rudnik:

1998 r. - I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Reportażu Radiowego „Polska i Świat" za reportaż „Dobrze nam bez niego";

1999 r. - wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Reportażu Radiowego „Polska i Świat" za reportaż „Pojednanie";

2000 r. - wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Reportażu Radiowego „Polska i Świat" za reportaż, „Pod jednym bogiem";

2000 r. - nominacja polskiej radiofonii do Międzynarodowego Konkursu PRIX EUROPA – reportaż „Pod jednym Bogiem";

2001 r. - Polsko-Niemiecka Nagroda Dziennikarzy za reportaż „Pod jednym bogiem";

2002 r. - I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Bałtyk 2002 za reportaż „Czajka";

2004 r. - Nominacja do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarzy za reportaż „Trudne miłości";

2003 , 2005 i 2006 - główna nagrody w Ogólnopolskim Konkursie „Wspólna Europa" organizowanym przez Radio Zachód Zielona Góra za cykle programów publicystycznych o tematyce unijnej;

2006 r. - II nagroda Międzynarodowego Festiwalu Mediów Katolickich w Niepokalanowie za audycję „Orędzie pojednania";

2007 r. - Główna Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie „Wspólna Europa" za reportaż „W cieniu dobrego drzewa";

2008 r. - Nagroda im. Witolda Zadrowskiego w Ogólnopolskim Konkursie Reportażystów „MELCHIORY" za reportaż „Dziewczynka z bilbordu";

- Główna nagroda w Konkursie organizowanym przez radio Pomorza i Kujaw - GRAND PiK za reportaż „ Dziewczynka z bilbordu";

- wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na reportaż radiowy o mniejszościach narodowych, organizowanym przez Radio Rzeszów, za reportaż „Nie przyjeżdżaj";

- III nagroda w konkursie na najlepsze publikacje prasowe, audycje radiowe i programy telewizyjne prezentujące problematykę dotyczącą archiwów państwowych za reportaż „ Podróż w przeszłość";

- wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu Radiowo-Telewizyjnym Prix Italia za reportaż „ Dziewczynka z bilbordu".

Ewa Pliszka

Nie tylko świątki…

Bułgarskie wystawy zachodniopomorskiej rzeźby ludowej ze zbiorów Muzeum w Koszalinie

Rzeźba zajmuje w dziejach polskiej sztuki ludowej pozycję wyjątkową, zarówno ze względu na wartości artystyczne, jak i zawarte w niej treści obrazujące stosunek do rzeczywistości i świata nadprzyrodzonego. Jest świadectwem biegu myśli i uczuć, wrażliwości estetycznej i gustów swych twórców. Okres jej rozkwitu przypada na przełom XVIII i XIX wieku. Początkowo rzeźba ludowa była prawie wyłącznie sakralna. Swoją formę i symbolikę zawdzięczała wzorom kościelnym, które dostarczały wizerunki czczone w licznych miejscach kultu.

Dawna i współczesna rzeźba ludowa to dwie, znacząco różniące się, kategorie. Ta dawna tworzona była przez świątkarzy wiejskich lub małomiasteczkowych na potrzeby macierzystego środowiska, zgodnie z lokalną tradycją i wzorcami ikonograficznymi. Współczesną natomiast tworzą ludzie tak ze wsi jak i z miast, ale mentalnie bliscy kulturze chłopskiej. Ich dzieła przeznaczone są głównie dla odbiorcy miejskiego i zazwyczaj w dowolny sposób (lub wcale) nawiązują do regionalnych wzorów ikonograficznych. Zmieniła się również funkcja rzeźby – z kultowej na dekoratywną. Ale nadal jest to rzeźba ludowa – o zwartej bryle, uproszczonych kształtach i prostym układzie kompozycyjnym. Często polichromowana, co nie tylko dekoruje, ale przede wszystkim ożywia rzeźbą, nasyca szczególnym nastrojem, pozwala skutecznie osiągnąć zamierzony wyraz artystyczny.

Współczesna rzeźba ludowa ukształtowała swoje oblicze w ostatnim półwieczu. Dzięki licznym wystawom, konkursom i przeglądom stała się dziedziną sztuki bardzo dynamicznie rozwijającą się, zaskakującą bogactwem form i różnorodnością tematów. Obok tematyki sakralnej (tak charakterystycznej dla tradycyjnej rzeźby ludowej) pojawia się świecka. Dla samorodnych artystów ważną inspiracją było ich własne otoczenie, ludzie w nim mieszkający i tradycyjne zajęcia wykonywane w domu, polu i zagrodzie – często przebrzmiałe, lecz zapamiętane z dzieciństwa.

Pomorze Zachodnie ze swoją bogatą i burzliwą historią jest terenem, na którym nastąpiło spotkanie wielu kultur, co znalazło odbicie w twórczości licznej grupy artystów. Rzeźba jest tą dziedziną sztuki, która wykazuje wyjątkową żywotność. Na jej treść i wyraz widoczny wpływ wywarły wzory ludowe przywiezione z miejsc rodzinnych oraz wzory zastane. Nie do przecenienia są też własne poszukiwania i rozwiązania plastyczne twórców. Wśród rzeźbiarzy są przedstawiciele różnych zawodów, o różnym poziomie wykształcenia, stojący niekiedy na krańcowych szczeblach hierarchii społecznej. Łączy ich jednak pragnienie wypowiedzi poprzez rzeźbę.

Ekspozycja „Współczesna rzeźba ludowa Pomorza Zachodniego" prezentuje prace z kolekcji współczesnej sztuki ludowej i rękodzieła Działu Etnografii Muzeum w Koszalinie. Wystawa została zorganizowana na prośbę Instytutu Polskiego w Sofii, gdzie była eksponowana

w 2008 roku. Prace naszych artystów cieszyły się tak wielkim uznaniem i zainteresowaniem, że postanowiono wystawę zaprezentować jeszcze w dwóch bułgarskich miastach – Szumen i Smoljan.

Ekspozycja zawiera rzeźbiarskie prace w drewnie powstałe na naszym terenie w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Tworzą ją dwa główne tematy, czyli rzeźba świecka i sakralna, w obrębie których wyodrębniono najbardziej typowe i interesujące zagadnienia.

Rzeźba o tematyce świeckiej, ze względu na bogactwo tematów, ujęta została w sześciu kategoriach:

• tradycyjne zajęcia domowe, rolnicze oraz rzemiosło – rzeźby dokumentujące tradycyjne metody pracy i narzędzia jej służące.

Te prace ważne są nie tylko dla ich kunsztu i realizmu, ale również ze względu na ich wartość historyczną; niosą one wiedzę o ginących zawodach i zajęciach. Nobilitujący sztukę ludową XX wiek obalił powszechny pogląd, że ciężka i (często) brudna praca na roli czy w obejściu nie jest godna stać się tematem dla sztuki.

„Współczesna rzeźba ludowa Pomorza Zachodniego". fot. Ilona Łukjaniuk

• rybołówstwo – temat niezwykle na naszym terenie popularny, związany z bliskością morza, które swą magią i potęgą zawsze inspirowało artystów.

• człowiek – ważne miejsce w twórczości ludowych rzeźbiarzy zajmują portrety mieszkańców wsi.

To utrwalone w kawałku drewna charakterystyczne sylwetki dziadów, żebraków, wędrowców, pełne swoistej ekspresji, powagi, zadumy... Obok nich postaci w barwnych strojach ludowych, radosne i dynamiczne grupy rodzinne. Kapele – pełne uroku postaci zaklęte w drewnie, dowcipne, barwnie polichromowane.

Te rzeźby wzbogacają naszą wiedzę o istnieniu (często już tylko w zbiorach muzealnych) ciekawych instrumentów muzycznych.

Szczególną grupę prac stanowią zabawki ludowe – różnego rodzaju „pukawki", grzechotki, klaskacze, które jeszcze dziś można kupić na jarmarkach; wykonane są niezwykle starannie, z wielką dbałością o detal.

• zwierzęta – temat ważny dla wiejskich artystów, na co dzień obcujących z przyrodą.

Jest to bogata i zróżnicowana (tak w obrębie gatunków jak i formy) kolekcja. Obok schematycznie potraktowanych sylwetek zwierząt (głównie domowych) niezwykły zbiór ptaków polskich – wierne i staranne odwzorowanie natury.

Tematyka sakralna nadal dominuje nad innymi treściami w rzeźbie ludowej, prezentujemy ją w połączeniu z obrzędową:

• przedstawienia Chrystusa i Matki Boskiej

Przedstawienie Chrystusa Frasobliwego jest jednym z najbardziej popularnych tematów w polskiej rzeźbie ludowej, co sprawiło, że stał się wręcz symbolem polskiej sztuki ludowej; wyobrażenie Boga – Człowieka opuszczonego, samotnego, cierpiącego, stało się w mentalno-

ści ludowej symbolem ponadczasowych i ogólnoludzkich trosk.

W koszalińskiej kolekcji jest równie dużo przedstawień Chrystusa Ukrzyżowanego (jako najważniejszy wizerunek w ikonografii chrześcijańskiej, zajmuje szczególne miejsce w polskiej sztuce ludowej). Krzyże z figurą Chrystusa stawiano na granicach wsi, krzyże wieńczyły kapliczki przydrożne, zawieszano je w domach lub w formie pasyjek stawiano na domowych ołtarzykach.

Kult Maryjny, tak istotny dla polskiego katolicyzmu, jest głęboko zakorzeniony w religijności kultury ludowej. Matka Boża, która utożsamiana jest z orędowniczką wszystkich ludzkich spraw do swego wszechmocnego Syna, zajmuje niezwykle ważną pozycją w ikonografii ludowej. Najczęściej przedstawiana jest z Dzieciątkiem, bądź też jako podtrzymująca zmarłego Syna (Pieta).

• wizerunki świętych – patronów i opiekunów ludzi w codziennym życiu.

Plastyczne ich przedstawienia stanowiły łącznik między światem ludzi a przestrzenią sakralną, między bóstwem a człowiekiem. Ludowa religijność obdarzała wizerunki świętych magiczną mocą – miały zdolność uzdrawiania, chronienia przed ogniem, powodzią, uderzeniem pioruna... Każdy święty spełniał określone funkcje; np. figury świętego Jana Nepomucena chroniły przed powodzią, wizerunek świętego Floriana zapobiegał pożarom, zaś święty Józef czuwał nad życiem rodzinnym. Rzeźba w czytelny sposób wyraża tożsamość wizerunku poprzez atrybuty i barwę szat.

• grupy kolędnicze i szopki – tu szczególnie widoczne jest łączenie elementów sakralnych i świeckich.

Szopka wywodzi się ze scen związanych z ewangeliczną i ludową tradycją Bożego Narodzenia. Tekst szopki z początku opierał się na dialogach misteryjnych, a z czasem zaczął przyjmować elementy świeckie. W XVII w. polskie władze kościelne zabroniły urządzania jasełkowych widowisk, jako naruszających powagę uświęconego miejsca. Wskutek tych zakazów szopka z figurkami przedstawiającymi Świętą Rodzinę, pasterzy, aniołów, Trzech Króli przeniosła się poza kościół. Przystosowanie kościelnych jasełek do przenoszenia wymagało ich ograniczenia do jednego pomieszczenia. Stała się nim właśnie szopka odwzorowująca szopę, w której się narodził Chrystus. Sa to wielofiguralne, mocno rozbudowane kompozycje o ogromnym ładunku emocjonalnym, z szacunkiem i powagą traktujące temat.

Nie mogło być Świąt Bożego Narodzenia także bez kolędników! Po wsiach chodzili: król Herod, śmierć, diabeł, anioł i pasterze, czasem turoń, baran i koza. Wędrowali od domu do domu z życzeniami pomyślności w Nowym Roku.

• obrzędy i zwyczaje wielkanocne – dynamiczne i dowcipne kompozycje związane ze śmigusem dyngusem, beztroskie sceny rodzajowe zachowujące nastrój radosnego święta, afirmacja życia wtopionego w rytm natury.

• diabły i anioły – postaci nie z tego świata.

Są bardzo popularnym i wdzięcznym tematem współczesnej rzeźby ludowej. Symbolizują przeciwstawne – w czystej formie – idee: dobra i zła, piękna i brzydoty, czystości i rozpusty. Diabły wyobrażane są rozmaicie, najczęściej jednak pod postacią człowieka, choć z rogami i ogonem. Anioły to delikatne, uskrzydlone istoty przedstawiane w czystej, ascetycznej formie.

Współczesna rzeźba ludowa prezentuje najcenniejsze wartości tradycyjnej twórczości chłopskiej. Jest zjawiskiem żywym, które podlega przeobrażeniom, przystosowuje się do współczesnych wymogów i funkcjonuje w coraz szerszym kręgu odbiorców.

Wystawa „Współczesna rzeźba ludowa Pomorza Zachodniego"; Instytut Polski w Sofii (Bułgaria); styczeń – wrzesień 2008.
Autor scenariusza, komisarz wystawy –
Ewa Pliszka, kierownik Działu Etnografii Muzeum w Koszalinie.

Prekursorzy awangardy

Koszalińskie zbiory Działu Sztuki Współczesnej w Szczecinie i Toruniu

Od 29 maja do 29 czerwca w Galerii Południowej Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie można było oglądać wystawę „Prekursorzy współczesności – nowoczesna sztuka Koszalina (1945 – 2000)", której organizatorem było Muzeum w Koszalinie. Ekspozycja prezentowała prace dziewięciorga artystów związanych z Koszalinem i regionem Pomorza Środkowego, reprezentantów najważniejszych nurtów sztuki polskiej od 1945 roku do roku 2000. Wszystkie prace, które znalazły się na wystawie, są własnością kolekcji Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Celem wystawy było pokazanie sztuki artystów tworzących z dala od wielkich centrów artystycznych, których znaczenie przekracza jednak ramy regionalne. Celem ekspozycji było wydobycie z cienia ważnych dzieł współczesnej sztuki polskiej, zburzenie mitów o prowincjonalizmie i zbudowanie wizerunku Koszalina, jako istotnego miejsca na mapie kultury polskiej.

Wystawa została opracowana i przygotowana przez Ryszarda Ziarkiewicza i Marię Mikitę z Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Kuratorem wystawy w zamku Książąt Pomorskich była Agnieszka Jankowska.

Autorzy ekspozycji wyodrębnili cztery następujące tematy:

I. Radość i smutek 1945-1960
II. Abstrakcja i konceptualizm 1960-1970
III. Postawangarda 1970-1980
IV. Ekspresja 1980-2000

Artyści z kręgu koszalińskich prekursorów współczesności (w układzie alfabetycznym):

Andrzej Ciesielski (ur. 1946). Przedstawiciel neoawangardy, zajmuje się grafiką, instalacją oraz tworzeniem obiektów. Dyplom na UMK w Toruniu na Wydziale Sztuk Pięknych w 1971. Od tego roku nieprzerwanie mieszka w Koszalinie. Od 1980 r. tworzył niezależny ruch artystyczny, (1986-1990 autorska galeria „Na Plebanii", 1990 - 2002 prywatna galeria „Moje Archiwum"). Od 2002 r. współorganizuje doroczne Multimedialne Spotkanie Artystyczne w Lubieszewie k. Złocieńca.

Jerzy Fedorowicz (ur. 1928). Studia w PWSSP w Gdańsku (1949-1951) i ASP w Krakowie (1951-1954). W Koszalinie od 1954 roku. Inicjator, organizator i uczestnik Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach w latach 1963-1981. Wybitny przedstawiciel polskiego konceptualizmu. Brał udział w ponad 80 imprezach artystycznych, sympozjach, wystawach, spotkaniach polskiego ruchu awangardowego.

Elżbieta Kalinowska (ur. 1945). Studia w krakowskiej ASP (1974 r. dyplom u prof. Jonasza Sterna). W Koszalinie od 1981 roku. Współzałożycielka kierunku wzornictwo na Politechnice Koszalińskiej. Profesor w pracowni rysunku w Instytucie Wzornictwa PK. (O jej twórczości pisze Janusz Zagrodzki w tekście „Odnajdywanie i nadawanie znaczeń", w rozdziale „Sztuka i architektura" niniejszego almanachu - dop. red.).

Irena Kozera (ur. 1927 – zm. 1990, Koszalin). Studia w Katowicach i na krakowskiej ASP na Wydziale Architektury Wnętrz. W 1954 roku zamieszkała w Koszalinie. W latach 1963-71 współorganizowała Międzynarodowe Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

Zdzisław Pacholski (ur. 1947, Osieki k/Koszalina). Fotografik, działacz kultury niezależnej w stanie wojennym. Członek ZPAF (w latach 1991-1994 przewodniczący Rady Artystycznej ZPAF). Uczestnik wielu istotnych wystaw w Polsce i na świecie (m.in. Biennale Sao Paolo w 1989), laureat wielu

nagród i wyróżnień, honorowy członek niemieckiego stowarzyszenia twórczego Walbergener Kreis.

Ludmiła Popiel (ur. 1929 – zm. 1988, Koszalin). (Jej sylwetkę przypominamy w rozdziale „Pożegnania" w związku z 20. rocznicą śmierci artystki - dop. red).

Wojciech Sawilski (1906 – 1996, Białogard) Uczeń Tadeusza Pruszkowskiego i Władysława Skoczylasa w ASP w Warszawie Do roku 1939 należał do zrzeszenia artystów „BLOK". Po 1945 roku osiadł na stałe w Białogardzie. Organizator i kustosz tamtejszego muzeum (1945-1951). Pozostawił po sobie bogaty dorobek twórczy (ponad 1000 prac). Uprawiał przede wszystkim malarstwo i grafikę.

Ryszard Siennicki (1909 – zm. 1980, Koszalin). Studia w Warszawskiej Szkole Rysunkowej ukończył w 1929 roku. W Koszalinie od 1953 r. Współorganizator i uczestnik „Osiek" w latach 1963-1981. Był pierwszym prezesem ZPAP w Koszalinie. W malarstwie reprezentant koloryzmu. Dał się poznać jako wybitny rysownik, grafik i projektant.

Zygmunt Wujek (ur. 1938). W latach 1959-65 studia w PWSSP w Poznaniu (obecnie ASP) na Wydziale Rzeźby u prof. B. Wojtowicza. Od 1965 roku w Koszalinie. Rzeźbiarz, autor medali, pomników (wykonał ich ponad 200 na Pomorzu) i nagrobków, akcjonista, pedagog. Wykładowca Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej.

*

Od 18 listopada do 31 grudnia w toruńskiej galerii „Wozownia" gościła wystawa „Muzeum gry: polska sztuka po 1945 roku ze zbiorów zachodniopomorskich". (O prezentowanej w Koszalinie w 2007 roku tej ekspozycji a także o również koszalińsko-szczecińskiej wystawie „Kontakt" obszernie pisał Stanisław Wolski w tekście „Dwie wystawy" zamieszczonym w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007")

Wystawa w Toruniu była już trzecią edycją wspólnego projektu Muzeum w Koszalinie i Muzeum Narodowego w Szczecinie. Większość prac pokazywanych na ekspozycji pochodzi ze zbiorów Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Pomysłodawcą i kuratorem całego przedsięwzięcia jest Wojciech Ciesielski.

„Prekursorzy współczesności – nowoczesna sztuka Koszalina (1945 – 2000)", galeria Południowa Zamku książąt Pomorskich w Szczecinie, 29 maja – 29 czerwca 2008.
„Muzeum gry: polska sztuka po 1945 roku ze zbiorów zachodniopomorskich". Galeria „Wozownia", Toruń, 18 listopada – 31 grudnia.

Prekursorzy współczesności – nowoczesna sztuka Koszalina (1945 – 2000), galeria Południowa Zamku książąt Pomorskich w Szczecinie.

fot. archiwum

„Obraz przestrzeni publicznej”

Nagroda Prezesa ZG ZPAP dla koszalinianki Weroniki Teplickiej

W rozstrzygniętej jesienią 2008 roku I edycji Międzynarodowego Konkursu Malarskiego „Obraz przestrzeni publicznej – Poznań 2008” Nagrodą Prezesa Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków uhonorowana została koszalinianka Weronika Teplicka, za obraz „Transition / Przejście”.

Weronika Teplicka (z prawej) i Jadwiga Kabacińska podczas wernisażu wystawy zorganizowanej w galerii „Na Piętrze” z cyklu „Promocja Młodych”. fot. Anna Konieczna

W odbywającym się m.in. pod patronatem Rektora Poznańskiej ASP, prezesa ZG ZPAP i Galerii Sztuki Współczesnej „Profil” konkursie wzięło udział 82 artystów z 9 państw, (Polska, Niemcy, Holandia, Ukraina, Białoruś, Łotwa, Kazachstan, Rosja, Nigeria), którzy zgłosili 176 prac. Nagrodzone dzieła prezentowane były w styczniu 2009 roku na wystawie otwartej w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu.

Weronika Teplicka urodziła się w roku 1981 w Koszalinie. Po ukończeniu nauki w tutejszym Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych podjęła studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Studiowała również w Accademia delle Belle Arti w Neapolu. W 2007 roku obroniła dyplom w macierzystej uczelni, w pracowni malarstwa prof. Piotra C. Kowalskiego. Po powrocie do Koszalina podjęła pracę jako asystent w pracowni malarstwa w Instytucie Wzornictwa na Politechnice Koszalińskiej.

...Malarstwo jest dla mnie nieustanną konfrontacją pomiędzy przestrzenią a płaszczyzną, między tym co realne, a tym co nie istnieje – o swojej twórczości mówi artystka. – *Poszukuję prawdy o płaszczyźnie i jej właściwościach, gram ze złudzeniami perspektywicznymi i przyzwyczajeniami widza do oglądania. Obrazami, które stają się dla mnie elementami, buduję przestrzeń, buduję opowieść.*

...Za pomocą płaskich plam barwnych chcę opowiadać o czasie, zatrzymać go i zapisywać jego ślady. Jednocześnie sprawić, aby obrazy oprócz dwóch wymiarów: szerokości i długości uzyskały jeszcze jeden – czas.

Czas potrzebny do obejrzenia obrazu jest konsekwencją ruchu.

Obrazy można oglądać z wielu stron, przesuwać się względem nich, odnaleźć własny sposób ich oglądania.

Rapsa w rozjazdach

W roku 2008 przypadało 20-lecie pracy artystycznej Krzysztofa Rećko-Rapsy, jednego z najbardziej twórczo aktywnych artystów związanych z Koszalinem. Jest on absolwentem koszalińskiego Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, częstym gościem galerii – nie tylko koszalińskich, choć w rodzinnym mieście wystawia swe prace chętnie i często: w Centrali Artystycznej i w galerii „Na Piętrze", gdzie ostatni wernisaż odbył się 16 maja 2008 roku.

W marcu 2008 r. gościł z wystawą swych prac także w galerii „Nobilis" w Elblągu, a w czerwcu - w poznańskiej Poema Café. W udzielonym przy tej okazji wywiadzie artysta mówił:

Egzystencję wiodę w Koszalinie. To miasto jest właśnie źródłem moich inspiracji... Tu doszukuję się pewnych elementów, które mnie ciekawią, przenikają mnie swoim kształtem, barwami, formą... Chodzę po ulicach i szukam... (...) Uciekłem od malarstwa matematycznego, konceptualnego czy intelektualnego. Bardziej mnie interesuje sfera duchowa... Tworzę spontanicznie, w gruncie rzeczy to jest malarstwo gestu... (...) To proces pewnej kontemplacji, przemyśleń, pomimo spontaniczności. Jest jednak ten moment, który odczuwam jako ostateczny... A i bywa tak, że następnego dnia dostrzegam, że duchowo inaczej odbieram wizerunek elementów kompozycji... Wpływ światła decyduje niekiedy najsilniej o moim odmiennym odbiorze... (...) Stosuję techniki mieszane. W tym olej i akryl na płótnie. Także masy i sięgam nieraz po przemysłowe środki, akcesoria, a z materiałów - po gips, kleje budowlane... (...) Nie jestem nastawiony negatywnie do twórców jakiejkolwiek sztuki. Każdego artystę podziwiam, szanuję. Kiedyś sięgałem również po instalacje. Teraz jednak uciekam od tego - stwierdziłem, że jest to bezduszne... bo wyżej stawiam szczerość emocji. Wyrażam siebie najlepiej w malarstwie... I forma, i treść obrazu czerpie ze mnie, z mojej duszy, swoje barwy, kształty... bo nimi mówię od siebie... (...) Nie lubię realizmu.

Choć jego malarstwo dalekie jest od łatwej i zazwyczaj dekoracyjnej figuratywności, zawsze spotykało się z życzliwym zainteresowaniem publiczności podczas nader częstych wernisaży.

- Uprawia malarstwo sztalugowe, maluje na płótnie i kartonie używając farb olejnych i akrylowych. W (jego) pracach wyraźnie namacalna jest spontaniczność i lekkość, światło jest miękkie i ciepłe. Kolory, linie geometryczne i kształty wprowadzają widza w świat indywidualnych skojarzeń i doznań.

- Na płótnach Rapsy dostrzec można grube pociągnięcia szpachlą i pędzlem oraz niespotykaną

Płótno, technika mieszana, 72x50 cm (2007). fot. Zbigniew Janasik

różnorodność barw, które zmieniają się od szarości po nasycone czerwienie.

- To świat bardzo pozytywnych abstrakcji, które przyciągają barwą i nieprzypadkową kompozycją – oto niektóre opinie o tym malarstwie, które doskonale tłumaczą dlaczego prace Rapsy znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą, m.in. w Niemczech, Holandii, Szwecji, Danii, Austrii, Włoszech, Francji i Anglii. Krzysztof Rećko-Rapsa ma tak wiernych miłośników swego talentu, jak choćby kolekcjoner Zbigniew Janasik, który od 20 lat gromadzi jego prace i który, ze zbiorów własnych, na początku roku 2008 zorganizował ulubionemu artyście wystawę w galerii Starostwa Powiatowego w Koszalinie.

Także w roku 2008 praca Krzysztofa Rećko-Rapsy została zakwalifikowana na aukcję charytatywną „W poszukiwaniu nadziei", organizowaną przez Fundację „Efekt Motyla" oraz Ambasadę RP w Londynie. Wystawione 6 czerwca za 700 funtów dzieło zyskało dwukrotne (z okładem) przebicie i zostało sprzedane za półtora tysiąca funtów. Sam były premier Kazimierz Marcinkiewicz był skłonny dać tysiąc funtów za obraz koszalinianina.

Sukces w Ambasadzie RP zaowocował zaproszeniem do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Dyrektorka galerii POSK Janina Baranowska zorganizowała wernisaż wystawy „Invitation" we wrześniu. W ciągu trwającej od 14 do 26 września wystawy publiczność mogła obejrzeć 30 prac artysty, powstałych głównie w latach 2007 – 2008. Wernisaż przy King Road przyciągnął sporą publiczność złożoną tak z polonusów, jak i londyńczyków – co nad Tamizą nie jest regułą. Ciepłe zainteresowanie twórczością Krzysztofa Rećko-Rapsy zaowocowało wstępnymi rozmowami o kontynuacji kontaktów galerii POSK z koszalińskim środowiskiem artystycznym.

Płótno, technika mieszana, 50x70 cm (2008). fot. Zbigniew Janasik

Noc z Wysockim nad Wisłą

Nie tylko corocznym Festiwalem Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim w Polsce i świecie słynie koszalińskie Muzeum Włodzimierza Wysockiego. Przypomnijmy, że dr Marlena Zimna powołała je do życia w 1994 roku, tak więc wielkimi krokami zbliża się jubileusz 15-lecia istnienia placówki, wysoko cenionej przez wysockologów i wielbicieli Wysockiego na całym świecie.

Od początku dr Marlena Zimna starała się znaczącymi wydarzeniami kulturalnymi akcentować daty narodzin i śmierci tego charyzmatycznego aktora, poety i pieśniarza. Przez pierwsze lata były to koncerty wybitnych artystów i konkursy dla amatorów śpiewających Wysockiego. Od 2003 roku, w kolejne styczniowe dni sąsiadujące z datą urodzin Wysockiego (25 stycznia 1938 r.) odbywają się festiwale światowej twórczości filmowej jemu poświeconej. Na internetowym portalu filmowym Stopklatka możemy przeczytać: *Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje według świętego Włodzimierza" trwale wpisał się nie tylko w koszaliński, ale i w międzynarodowy pejzaż kulturalny. O niezwykłej atmosferze tej imprezy mówi się nawet daleko poza granicami Polski. Magia niezwykłej osobowości Wysockiego, zagadkowość miejsca (intrygującym pozostaje dla wielu fakt, dlaczego światowej sławy poeta, pieśniarz, aktor i kompozytor kojarzony jest niezmiennie właśnie z Koszalinem, dlaczego właśnie w naszym mieście działa muzeum poświęcone Wysockiemu), szczególna publiczność, wyjątkowość oferty kulturalnej (w ramach festiwalu prezentowane są nowe odkrycia dokonane przez koszalińskie muzeum Wysockiego w zagranicznych archiwach filmowych, materiałów tych nie sposób obejrzeć nigdzie poza Koszalinem) – wszystko to sprawia, iż koszaliński festiwal stał się dla wielu widzów z Polski i zagranicy imprezą, na której bezwzględnie należy się stawić. Ba, nazwa „Pasje według świętego Włodzimierza" stała się już swego rodzaju marką. Przeglądy filmów dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim, sygnowane tym właśnie znakiem, odbywają się m.in. w Krakowie (każdego roku, w październiku, przy Rynku Głównym, w Klubie pod Jaszczurami), czy we Wrocławiu (w ramach Przeglądu Piosenki Aktorskiej).*

W 2008 roku, w dniach od 17 do 19 stycznia, w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej odbył się szósty Festiwal Wysockiego – jak skrótowo nazywają imprezę koszalinianie. *Koszaliński festiwal to prawdziwy unikat. Jest jedynym na świecie festiwalem filmów o Wysockim, a poza tym zwycięzcę wybiera tylko publiczność. W tym roku do finału zostało zakwalifikowanych 13 filmów m.in. z Rosji, Francji, Czarnogóry, Izraela i Włoch.* – zapowiadała „Gazeta na Pomorzu". Ale festiwal – choć filmowy – to nie tylko projekcje, ale także koncerty; w 2008 roku gościem specjalnym był (znakomity) ormiański piosenkarz Artur Vanyan, który przy okazji recitalu promował też swoją nową płytę „Barwy duszy: piosenki Włodzimierza Wysockiego śpiewa Artur Vanyan". Nie lada atrakcją była także promocja książki Witalija Dobrusina (zdobywcy Grand Prix V Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim) „Skradzione gwiazdy: Rosja, jakiej nie znacie".

Muzeum Włodzimierza Wysockiego obecne jest nie tylko w Koszalinie. Pomiędzy kolejnymi festiwalowymi styczniami jest stałym gościem w Łodzi (np. na Festiwalu Czterech Kultur), w Krakowie czy we Wrocławiu. W roku 2008, podczas odbywającej się 17 maja w całej Polsce Nocy Muzeów, Muzeum Włodzimierza Wysockiego gościło w Warszawie, w Ośrodku Kultury Ochoty, gdzie odbyła się fascynująca Noc z Wy-

Nocne spotkanie z Wysockim. fot. archiwum

sockim. Na tę okoliczność działająca przy OKO Niepubliczna Szkoła Wokalna imienia Jerzego Wasowskiego przygotowała specjalny koncert „Krótka ballada o szczęściu", poświęcony twórczości autora „Polowania na wilki". Koszalińskie muzeum zaś zorganizowało kilkugodzinną prezentację filmów oraz wystawę fotografii Włodzimierza Wysockiego ze zbiorów własnych.

Na nocne projekcje złożyły się tytuły: „Włodzimierz Wysocki: białe płótno życia" (Szwecja, reż. Peter Berggren, 1992) – film biograficzny oraz dokumenty: „Wysocki - Mexico City - Moscow" (Austria, Niemcy, Meksyk, 1975-1977), „Interview de Vladimir Vissotsky" (Francja, 1977, reż. Jean Bertho), „Vladimir Visocki" (Czarnogóra, 1974, reż. Veselin Ljumović), „Wysocki w Tallinie" (Estonia, 1972, reż. Mati Talvik), „Wysocki - Sofia - Moskwa" (Bułgaria, 1975, reż. Toni Kożucharowa, Luben Georgijew).

Nocne spotkanie z Wysockim trwało od godziny 19 do 1 po północy i przyciągnęło licznych wielbicieli sztuki aktorskiej i wokalnej rosyjskiego barda.

Nagrody Prezydenta

w dziedzinie kultury za rok 2008

17 lutego 2009 r. w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym odbyła się I Gala Koszalińskiej Kultury, podczas której zostały wręczone Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury. Kapituła pod przewodnictwem Krystyny Kościńskiej – członka Komisji Kultury Rady Miasta rozpatrzyła 72 wnioski. Pozytywnie zaopiniowano 37 z nich.

Dzieci i młodzież:
nagrody II stopnia

1. Natalia Skoczylas (ZSP) - nagroda za walory artystyczne pracy konkursowej w VI Międzynarodowym Konkursie Plastycznym „Inne Spojrzenie - Wirus Komputerowy" w Sosnowcu.

2. Paweł Laskowski (ZSP) - nagroda w polskiej edycji Międzynarodowego Konkursu Plastycznego „Dlaczego jest mi dobrze na świecie" w Bratysławie.

3. Małgorzata Zelek (ZSP) - nagroda za walory artystyczne pracy konkursowej w VI Międzynarodowym Konkursie Plastycznym „Inne Spojrzenie - Wirus Komputerowy" w Sosnowcu.

4. Bogna Jaśkiewicz (CK105) - II miejsce w VIII Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Białymstoku.

5. Anna Hodowaniec (CK105) - wystąpiła w Złotej Dziesiątce na Mistrzostwach Świata Karaoke w Lahti w Finlandii.

6. Paulina Modła (CK105) - III miejsce w VI Międzynarodowym Dziecięco-Młodzieżowym Festiwalu Piosenki „O Bursztynową Nutkę" w Trzebiatowie.

7. Michał Kosela (CK105) - nagrody w ogólnopolskich konkursach, m.in. II miejsce w finale 53. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w kategorii Turniej Poezji Śpiewanej we Włocławku oraz II miejsce w IV Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Aktorskiej „Reflektor" w Koszalinie.

8. Sylwia Gajdemska (CK105) - I miejsce w VI Międzynarodowym Dziecięco-Młodzieżowym Festiwalu Piosenki „O Bursztynową Nutkę" w Trzebiatowie.

9. Roksana Kwaśnikowska (ZPSM) - II miejsce na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. J. Kociana w Usti nad Orlicą (Czechy).

10. Aleksandra Machaj (ZPSM) - III nagroda oraz Nagroda Specjalna dla Największej Indywidualności Konkursu V Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. G.P. Telemanna w Poznaniu.

11. Aleksandra Sławińska (ZPSM) - II nagroda na Międzynarodowym Konkursie „Steinway Klavierspiel-Wettbewerb" w Hamburgu.

12. Bianka Szalaty (ZPSM) - II miejsce i Nagroda Specjalna dla Największego Odkrycia Festiwalu podczas XI Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gitarowej w Trzęsaczu.

13. Piotr Zarzycki (ZPSM) - II miejsce na gitarze solo i III miejsce w duecie gitara-skrzypce Międzynarodowego Konkursu Gitarowego w Templinie (Niemcy).

duety muzyczne:

1. Aleksandra Bałdys - Katarzyna Gołofit (ZPSM) - I nagroda i Nagroda Specjalna na IX Ogólnopolskim Konkursie Kameralistyki Fortepianowej w Toruniu.

2. Dariusz Lampkowski - Adam Woch (ZPSM) - udział w Ogólnopolskich Przesłuchaniach Zespołów Gitarowych Szkół Muzycznych II stopnia w Inowrocławiu.

3. Włodzimierz Karwowski - Wojciech Korczyński (Pałac Młodzieży) - I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie „Bliżej Gitary" w Chodzieży.

para taneczna

1. Weronika Antczak - Mateusz Ochrymiuk (Szkoła Tańca ASTRA) - nagrody na turniejach ogólnopolskich, awans do klasy C.

Zespoły:

1. Zespół Wokalny Bemolinki (CK105) - II miejsce w IX Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Super Mikrofon Radia Jard" w Białymstoku.

2. Zespół Taneczny EFEKT (CK105) – nagrody XXIV Międzynarodowego Festiwalu Tańca Młodzieżowego w Wasilkowie

3. Koszalińska Orkiestra Akordeonowa AKORD (CK105) - nagroda w III Międzynarodowym Muzycznym Festiwalu „Euroorchestra" w Żukowskij k/Moskwy w Rosji.

4. Zespół Rockowy „Pampeluna" (CK105) - I miejsce w Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Młodzieżowej „Rockowania" w Mławie.

Nagrody I stopnia

1. Paulina Drobińska (ZSP) - I nagroda w I Młodzieżowym Międzynarodowym Triennale Rysunku w Zakopanem w kategorii 19-20 lat.

2. Ewelina Rynkiewicz (ZSP) - I nagroda podczas I młodzieżowego Międzynarodowego Triennale Rysunku w Zakopanem w kategorii 16-18 lat.

3. Daria Zawiałow (CK105) - I miejsce w IX Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Super Mikrofon Radia Jard" w Białymstoku. Zwycięstwo w telewizyjnym programie „Szansa na sukces".

4. Damian Skoczyk (CK105) - II miejsce w Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Star to Born" w Budapeszcie.

5. Młodzieżowe Koło Filatelistów - Klub „W Klocku" - Medal Duży Pozłacany na Światowych Wystawach Filatelistycznych w Izraelu i Rumunii.

6. Młodzieżowe Koło Filatelistyczne - Klub „Przylesie" - Medal Pozłacany podczas Światowej Wystawy Filatelistycznej „Izrael 2008" oraz Medal Duży Pozłacany na Światowej Wystawie Filatelistycznej „Wiedeń 2008".

Nagroda Specjalna
i tytuł Młody Artysta Roku

Anna Szwedowicz (ZSP) - Grand Prix w I Młodzieżowym Międzynarodowym Triennale Rysunku w Zakopanem.

Dorośli:

Roman Filus - trener i choreograf Akademickiego Klubu Tańca; uhonorowany tytułem Choreografa roku 2008 przez Polską Federację Tańca;

Maria i Wacław Dąbrowscy; pracują z chórami i recytatorami, wnioskodawca CK 105

Irena Kuncewicz; wnioskodawca - KBP.

Krystyna Pilecka; wnioskodawca - Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina,

Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych IKAR w Koszalinie; wnioskodawca – Powiatowe Zrzeszenie LZS.

Nagrody jubileuszowe:

1. Ewa Nawrocka - 55-lecie pracy scenicznej. (O jej aktorskim dorobku pisaliśmy w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007" – dop. red.)

2. Renata Semrau - Łaba – 50-lecie pracy twórczej. Jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Uprawia malarstwo w technice akwarelowej, olejnej, pasteli, gwaszu i własnej. Od początku powstania Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w roku 1975 aż do przejścia na emeryturę była nauczycielką tej szkoły, prowadząc klasę aplikacji. W grudniu 2008 roku Bałtycka Galeria Sztuki w Centrum Kultury 105 przygotowała jubileuszową wystawę retrospektywną „Od realizmu do abstrakcji".

3. Zofia Rudecka - 40-lecie działalności artystycznej. Uprawia malarstwo sztalugowe w technice olejnej i akrylowej. Jest założycielką i wieloletnim prezesem Zespołu Pracy Twórczej Plastyki.

Nagroda za szczególne osiągnięcia
w skali światowej

Akademicki Klub Tańca Politechniki Koszalińskiej – mistrzostwo świata i mistrzostwo Europy w kategoriach Małe Grupy Latin Show i Formacje Latin Show.

Wydarzenie Kulturalne 2008 roku

XXVII Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film".

POŻEGNANIA

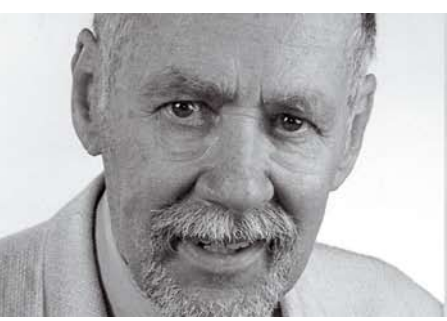

Irena Górska-Damięcka (1910 – 2008)

Irena Górska-Damięcka była aktorką, reżyserem i dyrektorem teatrów. Jej mąż Dobiesław Damięcki również był wysoko cenionym aktorem, a także założycielem Związku Artystów Scen Polskich. Oboje dali początek aktorskiemu klanowi Damięckich: aktorami są ich synowie Damian i Maciej oraz wnuki: Grzegorz, Mateusz i Matylda Damięccy.

Irena Górska-Damięcka urodziła się 20 października w Oszmianie. Do wybuchu II wojny światowej występowała kolejno: w Teatrze Miejskim w Wilnie, w Polskim Teatrze Dramatycznym we Lwowie, w warszawskim Teatrze Buffo i Teatrze Letnim. Podczas wojny Damięccy ukrywali się; Dobiesław ścigany był niemieckimi listami gończymi jako podejrzany o udział w słynnym zamachu na Igo Syma.

Po wojnie oboje wrócili do teatralnych zajęć. Irena Górska-Damięcka podjęła pracę w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. Potem grała w warszawskim Teatrze Rozmaitości, gdańskim Teatrze Wybrzeże, a po powrocie do Warszawy w teatrach: Współczesnym, Komedia i Dramatycznym. W latach 1953-55 pełniła funkcję dyrektora artystycznego Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie, który tworzyła od podstaw. W latach 1955-59 była dyrektorem naczelnym i artystycznym w Teatrze im. Węgierki w Białymstoku. Przez kolejne sezony wiele reżyserowała w różnych teatrach: m.in. Kaliszu, Legnicy, Bydgoszczy, Olsztynie, Łodzi, Częstochowie, Gorzowie. Dwukrotnie jeszcze wracała do Koszalina – w 1974 roku zaproszona na jubileusz 20-lecia BTD i rok później, aby wyreżyserować „Balladę o tamtych dniach" Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota.

Nie mam ani powodu, ani prawa do narzekania, bo bilans wykazuje więcej zysków niż strat. Piękne dzieciństwo. Osiągnięty cel. Nie co innego, tylko Teatr dał mi wspaniałego człowieka na własność. Całe lata zwycięstw, nawet sławy. Czterdzieści sześć lat pracy! Siedemdziesiąt ról! Czterdzieści siedem wyreżyserowanych premier! Czy to mało? Teatrowi oddałam swoich synów. A wierzę, że oddam i wnuków, że i oni przejmą pałeczkę po nas i pobiegną w tej sztafecie. Gdybym im to mogła zapisać w testamencie... Ale zapisuję swój upór, a jestem pewna, że zdobędą wszystko, tak jak ja, która trafiłam w dziesiątkę – napisała Irena Górska-Damięcka w autobiografii „Wygrałam życie". Pracę aktorską i reżyserką zakończyła w 1980 roku. W 1994 roku zamieszkała w Domu Aktora w Skolimowie, gdzie zmarła 1 stycznia 2008 roku. Została pochowana na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, u boku swojego męża Dobiesława.

Małgorzata Kołowska

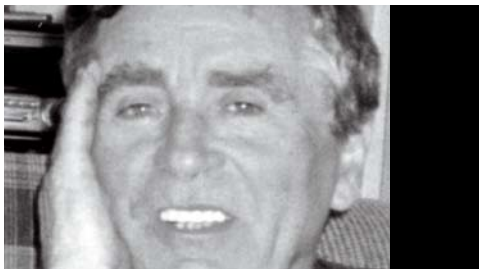

Jerzy Balbuza (1937 – 2008)

Jerzy Balbuza urodził się 4 czerwca 1937 r. w Grudziądzu. W 1961 roku ukończył studia aktorskie w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej. Rok wcześniej, na scenie Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi zadebiutował rolą Nielegalnego w sztuce „Widok z mostu" Artura Millera. W tym też teatrze podjął pracę po uzyskaniu dyplomu. Po dwunastu latach w łódzkim „Jaraczu" ruszył „wóz Tespisa", a jego droga wiodła najpierw do Częstochowy, potem do Bydgoszczy. Po dwóch koszalińskich sezonach w BTD (1975 -76) kolejno wiązał się z teatrami w Gorzowie Wielkopolskim, Radomiu, Kielcach, Wałbrzychu, Zielonej Górze i rodzinnym Grudziądzu. W 1989 roku wrócił do Koszalina, by pozostać już wiernym BTD do końca.

Zgromadził w swoim dorobku artystycznym ponad 150 ról teatralnych i filmowych. Ostatnim spektaklem z Jego udziałem był „Kordian" Juliusza Słowackiego, w 2007 roku wyreżyserowany przez Jana Skotnickiego w BTD. Po ponad 30 latach bliskiej znajomości Jerzego Balbuzę wspomina Zdzisław Derebecki, dyrektor koszalińskiej sceny.

Był ciepły, czerwcowy dzień 1976 roku, kiedy samochód, którym przeprowadzałem się z Warszawy do Częstochowy, podjechał pod Dom Aktora Teatru im. Adama Mickiewicza. Zacząłem rozładunek. Po chwili podszedł do mnie bardzo młodo wyglądający mężczyzna, przedstawił się: - *Jestem Jurek , chyba będziemy w nowym sezonie pracowali w tym samym teatrze. Pomóc ci się rozpakować?*

Prawie 32 lata później, w maju 2008 roku, dzwoniłem do przebywającego w szpitalu ciężko chorego Jurka z pytaniem o samopoczucie. W słuchawce usłyszałem cichy głos człowieka świadomego nadchodzącej śmierci: - *No wiesz... dzisiaj wychodzę ze szpitala, przyjeżdża po mnie brat, jedziemy do mojego rodzinnego Grudziądza, a potem... a potem... koniec...*

Po długiej ciszy zacząłem coś paplać w stylu: - *Jurek! My chłopaki z Grudziądza* (pochodziliśmy z tego samego miasta nad Wisłą) *mamy d… jak z mosiądza i nie tak łatwo się poddajemy. Jak tylko pojadę do rodziny, to się spotkamy, wypijemy po piwku...*"

Dwa miesiące później, 12 lipca dowiedziałem się, że Jurek zmarł.

Pojechałem do Grudziądza na ostatnie spotkanie z Nim. Pochowano Go na starym cmentarzu, na którym są groby wszystkich moich bliskich. Mam tam teraz jeszcze jedną mogiłę, na której zapalam ogień.

Losy Jurka Balbuzy i moje dziwnie się splatały. W Częstochowie, w Domu Aktora, mieszkał ze swoją ukochaną żoną Krystyną Michel w mieszkaniu nade mną. Odwoził moją żonę do szpitala, kiedy rozpoczęła poród. Moja córka urodziła się w Jego imieniny, więc razem świętowaliśmy. Zawsze spokojny, zrównoważony, służył mi radą i pomocą. Mówił : - *Jesteśmy z tego samego fyrtla* (grudziądzkie określenie miejsca, dzielnicy)*, musimy się wspierać.*

Pomimo, iż był starszy, zawsze wyglądał młodziej ode mnie. Długie lata grał młodych chłopców, np. Stasia w „Pustyni i w puszczy". Był kolegą nie narzucającym swej osoby, ale zawsze pojawiał się akurat wtedy, kiedy był potrzebny.

W roku 1979, kiedy odchodziłem z Teatru w Częstochowie skonfliktowany z dyrektorem Tadeuszem Bartosikiem, Jurek, który go bardzo szanował, miał do mnie pretensję. Wtedy, jako młody aktor bezpośrednio po studiach, z idealistycznym wyobrażeniem teatru, nie mogłem mojego starszego kolegi zrozumieć. Dzisiaj po

latach przyznaję Mu rację, że mój pierwszy dyrektor, a zarazem znakomity aktor, Tadeusz Bartosik był wspaniałym, ciepłym i oddanym sztuce teatru człowiekiem.

Z Jurkiem znowu się spotkaliśmy w 1989 roku w Koszalinie, w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Przyjechał tu sam, po rozstaniu z żoną. Był to dla Niego trudny czas. Mnie przywitał bardzo serdecznie, bez żadnej urazy. Lepiej już się rozumieliśmy.

Od 1990 roku, kiedy przestałem pracować w BTD, widywaliśmy się okazjonalnie. Jurek w tym czasie odszedł na emeryturę. Nie zerwał jednak z aktorstwem i stale dogrywał w różnych spektaklach. Dyrektorzy i reżyserzy zawsze bardzo Go cenili za Jego solidność, profesjonalizm i bezkonfliktowość. Był aktorem z pokolenia, które nauczono, iż tylko śmierć zwalnia z obowiązku zagrania przedstawienia. Kiedy na próbie „Pięknej i Bestii" doznał ciężkiego urazu głowy (został niemal oskalpowany), niektórzy myśleli, że trzeba będzie odwołać premierę. A jednak następnego dnia Jerzy Balbuza, 70-letni wówczas aktor, bardzo blady, z zabandażowaną głową stawił się na próbie. Kiedy był już bardzo chory, odwołano z tego powodu tylko jedno przedstawienie.

Po powrocie do teatru moje serdeczne koleżeństwo z Jurkiem „dorosło" do przyjaźni. Wspierał mnie radą i dobrym słowem kiedy zostałem dyrektorem BTD. Gdy zmarła Jego ukochana Krystyna żal było patrzeć, jak gaśnie w nim chęć życia. Jerzy Balbuza nie absorbował innych swoimi sprawami. Myślę, że był człowiekiem bardzo samotnym.

„Pozostanie w naszej pamięci" – tak mówimy na pogrzebach osób nam bliskich. W mojej pamięci zachowały się zaledwie strzępy obrazów i rozmów z Jurkiem, jednak Jego postać pojawia się wyraziście na ekranie mojej wyobraźni.

Czuję cały czas jego obecność.

Zdzisław Derebecki

Zbigniew Rogowski (1922 – 2008)

W wolnej Polsce zapomina się często o ludziach, którzy w najtrudniejszych, powojennych latach z niczego tworzyli to, co trwa i funkcjonuje do dzisiaj. Jedną z zasłużonych, ale niestety zapomnianych osób jest zmarły niedawno Zbigniew Rogowski, dziennikarz, fotografik, były żołnierz Armii Krajowej. Rozgłośnia Polskiego Radia w Koszalinie istnieje pięćdziesiąt pięć lat. Na stronie internetowej koszalińskiej Rozgłośni ani słowem nie wspomina się jednak kto zainicjował jej działalność, tworzył program i pierwsze audycje. A to właśnie Zbigniew Rogowski na początku lat pięćdziesiątych rozpoczynał historię Radia Koszalin.

W tamtych czasach o wszystkim co się działo decydowano w Komitecie PZPR. Tam pracował dobry znajomy Zbigniewa Rogowskiego. Kiedy z Warszawy przyszło polecenie partyjne: utworzyć Ekspozyturę Polskiego Radia w Koszalinie - znajomy doszedł do wniosku, że najlepiej do wykonania tego zadania nadaje się właśnie Rogowski. I tak Zbigniew Rogowski został pierwszym kierownikiem Ekspozytury Polskiego Radia w Koszalinie. Już 15 listopada 1953 roku z dawnego pałacyku myśliwskiego przy dzisiej-

szej ulicy Józefa Piłsudskiego nr 49 popłynęła w eter zapowiedź zwiastująca rozpoczęcie nadawania programu.

Urodził się w Warszawie 6 grudnia 1922 roku. Wybuch wojny zastał rodzinę Rogowskich w Łomży, skąd uciekli przed Niemcami na wschód. W białoruskim miasteczku Zaliw zostali aresztowani przez radzieckich partyzantów. Przez okno w celi Zbigniew Rogowski widział, jak wyprowadzano więźniów na dziedziniec i ich rozstrzeliwano. Rogowscy ocaleli tylko dlatego, że ojciec Zbigniewa był lekarzem, a bolszewiccy okupanci potrzebowali lekarza.

W życiu młodego człowieka nastąpiły zmiany. Rozpoczął działalność konspiracyjną w Armii Krajowej, biorąc udział w wielu niebezpiecznych akcjach aż do 1944 roku. Po wybuchu Powstania Warszawskiego oddział, do którego należał Rogowski, wyruszył do Warszawy. Młodym żołnierzom AK nie udało się jednak dotrzeć do walczącej stolicy. Niemcy wzięli ich do niewoli i popędzili na zachód. Niemieccy żołnierze pewnego dnia postanowili pozbyć się jeńców. Gdy wycelowali w nich swoje karabiny Zbigniew Rogowski przypomniał sobie wiersz, którego w języku niemieckim nauczył się w szkole. Wyrecytował go zdumionym żołnierzom. Gdy zapytali go skąd zna ten wiersz, odpowiedział, że z domu. To była nieprawda, ale uratowała życie całej grupie. Jeńców przetransportowano najpierw do Białegostoku, później do Wismaru, a następnie do Lubeki.

Był rok 1945. Od wschodu nadchodzili Rosjanie. Obóz wyzwolili Anglicy.

Po wojnie Zbigniew Rogowski trafił do Szczecina. Pracował krótko jako fotoreporter w Kurierze Szczecińskim. Wspominał, że posługiwał się aparatem Kodak, robił ciekawe zdjęcia i z fotografiką związał się na długie lata swojego życia.

Jego ojciec, po wojennych przeżyciach, osiadł w Białogardzie, gdzie był szefem służby zdrowia. Zbigniew Rogowski ze Szczecina przeprowadził się do Koszalina, aby być bliżej rodziny. Początkowo był reporterem „Głosu Koszalińskiego"; pisał m.in. reportaże o ludziach, którzy po wojnie osiedlili się tutaj. Później pracował w starostwie powiatowym w Miastku i Białogardzie.

W roku 1953 pojawiło się w jego życiu Radio Koszalin. Na początku, w kierowanej przez Niego ekspozyturze tworzono bardzo skromny program, trwający ledwie 15 minut dziennie. Były to wiadomości, modne wtedy pogadanki i komunikaty. Pierwszy program pojawił się na antenie 15 listopada 1953 roku, ale jeszcze wcześniej rozpoczęto przygotowania do jego nadawania.

To Zbigniew Rogowski postarał się o lokal dla Ekspozytury Polskiego Radia. Był nim pałacyk przy ulicy Armii Czerwonej, obecnej Piłsudskiego. Sprzętu radiowego było niewiele. Pierwsze programy nagrywał technik Henryk Jura, który montował, wycinał co niepotrzebne, skracał. Wtedy dziennikarstwo radiowe różniło się od dzisiejszego. Liczył się przede wszystkim głos, bo lektor czytał to, co napisali dziennikarze. Wiele tekstów czytał sam Zbigniew Rogowski, który miał bardzo dobry – prawdziwie radiowy głos.

Na początku były to przede wszystkim sprawozdania z uroczystości oraz informacje o aktualnych wydarzeniach. Rogowski wspominał, że niektóre tematy „podkradało się" z gazet.

Dziennikarzy radiowych było mało, a koledzy z „Głosu Koszalińskiego" chętnie sprzedawali swoje teksty.

Zbigniew Rogowski zapamiętany został jako osoba o dużym poczuciu humoru i wielkiej życzliwości. Zatrudniał w Radiu Koszalin pierwszych dziennikarzy. Jego „odkrycia" to między innymi Wanda Welenc, kobieta o wspaniałym głosie, oraz Ignacy Kozłowski, który po radiowym epizodzie został prawnikiem. Inni zatrudnieni przez niego dziennikarze to Irena Kwaśniewska – współpracująca z Radiem Koszalin do dzisiaj i Józef Łuka, który wcześniej pracował w prasie emigracyjnej we Francji.

Zbigniew Rogowski przygotowywał wiele materiałów. Nadal dużo pisał o osadnikach, bywało, że spotykał znajomych ze swych rodzinnych stron. W audycji zrealizowanej kilka miesięcy temu z okazji 55-lecia Radia Koszalin

wspominał: – *Opisywałem losy osadników, ich dramaty wojenne i poszukiwania bliskich. Tutaj, na ziemiach północnych zaczynali swoje życie od nowa i tworzyli ten region. Przypominam sobie na przykład Dzień Osadnika. Brakowało tekstu do audycji o osadnictwie. Napisałem szybko wiersz, i zadeklamowałem:*

Nad drzwiami zatknął chorągiewkę biało czerwoną,
w jej barwach tak jak w lustrze przeglądał się z żoną.
Potem konikiem własnym z rana do wieczora,
czerwonym od rdzy pługiem własną ziemię orał.
Konik ciągnął, ciął lemiesz,
a czerń ziemi łanem szerokim się ścieliła za pługiem i panem.
I gdy tak w glebie wdzięcznej pług szlifował dwa dni
słońce ujrzało siebie w zwierciadle odkładni.

I ten wiersz poszedł na antenę. Otrzymywałem potem listy, ludziom się podobał. Pytali: kto go napisał? Oni go sobie przyswoili, bo mówił o nich.

Byłem wtedy zupełnie innym człowiekiem – wspominał Zbigniew Rogowski kilka miesięcy przed śmiercią. - *Mówiłem dobrze, miałem radiowy głos. Byliśmy prawdziwą rozgłośnią radiową, a to był bardzo ciekawy okres. Zostaliśmy polubieni przez społeczeństwo. Słuchano nas z wiszących na ścianach głośników, nazywanych wówczas kukuruźnikami.*

W Radiu Koszalin Zbigniew Rogowski pracował niedługo. Był bezpartyjny i miał życiorys nie pasujący do oczekiwań mocodawców. Po odejściu z rozgłośni zajął się m.in. fotografiką i pisaniem. W wielu miejscach Koszalina eksponowano jego artystyczne zdjęcia – np. cykl „Piękno i zabytki ziemi koszalińskiej".

Kilka miesięcy przed śmiercią Zbigniew Rogowski mówił: – *Wiele tych pięknych zdjęć uczyło kochać tę ziemię. Zdjęcia wisiały w różnych instytucjach, w szkołach. Jeszcze do dzisiaj wiszą, podpisane: Fotografował Zbigniew Rogowski. Przemyciłem zdjęcia do handlu i to się rozchodziło. Ludzie potrzebowali czegoś, co by im przybliżało to wszystko. Byli ludzie zakochani w tej ziemi, mimo, że przyjechali zza Buga albo jeszcze skądś dalej, albo przeżyli Syberię. Ja jestem zauroczony koszalińską ziemią i Pomorzem. Teraz, jak leżę w łóżku, wspominam wiele rzeczy i te wspomnienia dają mi żyć.*

Zbigniew Rogowski zmarł w Koszalinie 1 sierpnia 2008 roku.

Jolanta Rudnik

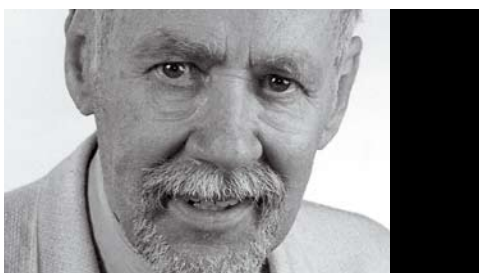

Zbigniew Grabski (1932 – 2008)

Zbigniew Grabski urodził się 25 stycznia 1932 roku w Chorzowie, rodzina jednak wkrótce przeniosła się do Warszawy. Jego ojciec – adwokat – był żołnierzem Armii Krajowej, członkiem Kedywu. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Po wojnie matka w synami wróciła na rodzinny Śląsk. Tam też Zbigniew Grabski rozpoczął swoją życiową przygodę z teatrem. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zdawał egzaminy do szkoły teatralnej. Przeszedł je pomyślnie, ale z uwagi na AK-owską przeszłość ojca nie został przyjęty. Z teatru jednak nigdy nie zrezygnował. Przez kilka sezonów pracował jako in-

spicjent i sufler w Teatrze Nowym w Zabrzu, Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum" w Katowicach i Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie.

W roku 1970 przyjechał z żoną Alicją do Koszalina. I tu podjął pracę w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. W roku 1982 zdał aktorski egzamin eksternistyczny, co pozwoliło mu nie tylko czuwać nad przebiegiem przedstawień jako inspicjent, ale tworzyć kolejne role. W ciągu trwającej przez blisko 40 lat pracy w BTD jedynie na cztery sezony porzucił Koszalin – dla Gniezna i Elbląga, gdzie w Teatrze im. Aleksandra Sewruka w 1997 r. jako Sasza w „Antygonie w Nowym Jorku" Janusza Głowackiego (reż. Zbigniew Lesień) stworzył jedną w najlepszych swych ról.

Najważniejsze kreacje Zbigniewa Grabskiego na koszalińskiej scenie to: Rejent w sztuce Ksawerego Godebskiego „Miłość i próżność" w reżyserii Andrzeja Ziemińskiego (1975 r.), Porucznik w „Balladzie o tamtych dniach" Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota w reżyserii Ireny Górskiej (1976 r.), Rembo w „Damach i huzarach" Aleksandra Fredry w reżyserii Józefa Grudy (premiera w czerwcu 1976 r.), role Szekspirowskie w „Jak wam się podoba" w reżyserii Janusza Tartyłły (1977 r.) i w „Tragedii Romea i Julii" w reżyserii Andrzeja Rozhina (1980), w „Dylu Sowizdrzale" Grigorija Gorina w reżyserii Konrada Szachnowskiego (1981 r.), Fredrowskie role w „Gwałtu, co się dzieje" w reżyserii Mariana Glinki (1982 r.) i Perełka w „Zemście" w reżyserii Ryszarda Majora (1991 r.). Zagrał też w „Czarodzieju ze Szmaragdowego Grodu" w reżyserii Zdzisława Derebeckiego (1983 r.), „Kaliguli" Alberta Camus w reżyserii Jacka Andruckiego (w 1990 r.), „Panu Tadeuszu" w reżyserii Józefa Skwarka (1995 r.),„Betlejem polskim" Lucjana Rydla w reżyserii Krzysztofa Ziembińskiego - premiera tego spektaklu odbyła się w 1998 roku, ale tytuł powracał na scenę przez kilka kolejnych sezonów. W aktorskim dorobku Zbigniewa Grabskiego jest także kilka ról filmowych, z których najważniejsza była rola więźnia obozu koncentracyjnego Auschwitz w filmie „Koniec naszego świata", zrealizowanym w 1964 roku w reżyserii Wandy Jakubowskiej.

Ostatnim przedstawieniem Zbigniewa Grabskiego było „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, zrealizowane przez Bogusława Semotiuka na 50-lecie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

Zapamiętamy Go nie tylko dla Jego teatralnych ról, w których ujawniał sceniczny temperament połączony z ciepłem, zjednującym mu sympatię widzów, choć nie grywał ról pierwszoplanowych. Bliższych i dalszych znajomych bawił jako niestrudzony gawędziarz – znał bez liku teatralnych anegdot i dowcipów, którymi sypał jak z rękawa. Spotykając Go na ulicy można było być pewnym, że do łez rozśmieszy jakąś dowcipną dykteryjką. Imponował też jako znający perfekt wiele języków poliglota. Biegle znał języki angielski, francuski niemiecki i, szczególnie ukochany, włoski, uczył się hiszpańskiego, fińskiego, węgierskiego, a nawet chińskiego. Swoje nieprzeciętne zdolności językowe wykorzystywał jako przewodnik wycieczek do wielu europejskich krajów, w większości których mógł swobodnie porozumiewać się z ich mieszkańcami.

Był człowiekiem serdecznym, otwartym i czującym się wszędzie jak w domu. Prawdziwym obywatelem świata.

Zmarł po długiej chorobie 2 października 2008 r. Żegnając Go na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym, gdzie spoczęła urna z Jego prochami, Jerzy Litwin – przyjaciel i aktor Teatru Propozycji „Dialog" mówił: *„Żegnamy Człowieka starych, dobrych zasad, człowieka z charyzmą, o wielkiej kulturze osobistej, ciepłego, serdecznego, pełnego skromności i prostoty. (…) Teraz Zbyszek dobił do drugiego brzegu Styksu, by tam, w teatrze cieni grać to wszystko, czego nie zdołał zagrać w życiu. Żegnamy Ciebie, Przyjacielu, świadomi, że twórczo wykorzystałeś swoje życie, że pozostawiłeś po sobie dobre wspomnienia w sercach rodziny, przyjaciół i wielu jeszcze ludzi, wielkiej rzeszy Twoich widzów."*

Małgorzata Kołowska

Dariusz Siatkowski (1960 – 2008)

Kiedy 11 października wieczorem dotarła do nas wiadomość o śmierci Darka, była to najbardziej niewiarygodna i absurdalna wieść. No, bo jak można umierać w wieku 48 lat, będąc pełnym sił witalnych i twórczych człowiekiem?

Dariusz Siatkowski urodził się w Koszalinie. Tutaj w 1980 r. ukończył Technikum Budowy Dróg i Mostów. Tutaj zaczął też swoją przygodę z teatrem – najpierw szkolnym, który działał pod nazwą „Pakamera", a założony był przez kolegów ze starszych roczników. Potem występował w Teatrze Propozycji „Dialog", gdzie zadebiutował w inscenizacji „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego, w 1980 roku przygotowanej przez Henrykę Rodkiewicz na otwarcie nowej sceny zwanej „Szopą".

Studia aktorskie ukończył w PWST w Krakowie w 1984 r. Za rolę Gromotrybowa w dyplomowym przedstawieniu „Płaszcza" Mikołaja Gogola w reżyserii Jerzego Treli otrzymał nagrodę na II Ogólnopolskim Przeglądzie Sztuk Dyplomowych Szkół Teatralnych w Łodzi.

W czasie studiów razem z przyjaciółmi (Arturem Majewskim, Jackiem Wojciechowskim i Jarosławem Bielskim) zrealizował spektakl „Ścisły nadzór" według Jean Geneta. W lipcu 1984 r. spektakl został pokazany w koszalińskim „Dialogu". W tej osadzonej (!) w więziennych realiach dramie Darek zagrał Zielonookiego, pełnego mrocznego uroku, romantycznego... mordercę. Ksywka Zielonooki na długo przylgnęła do Niego. W czasach akademickich Darek zyskał też drugi pseudonim, który przetrwał do końca – Wódz! Potwierdza to tylko siłę, z jaką oddziaływał na ludzi, urok, jaki roztaczał, Jego niewątpliwą charyzmę.

Po dyplomie razem z żoną Grażyną Walasek – także absolwentką krakowskiej PWST – rozpoczął pracę w Teatrze im Stefana Jaracza w Łodzi. Z tą sceną związany był do końca życia, wyjąwszy dwa sezony (1992-94) spędzone w Krakowie. Przez jeden sezon Darek pracował też we Wrocławiu (1996/97).

W 1989 r., w Koszalinie dał premierowe przedstawienie monodramu „Czerwona korona" (wg „Zapisków na mankietach" Bułhakowa). Wystąpił wówczas w klubie „W Klocku". W 1991 r. z Grażyną Walasek i Lechem Mackiewiczem zrealizował spektakl „Mój brat, moja miłość" wg sztuki Daniela Keene'a. Także i to przedstawienie obejrzeć mogli koszalińscy teatromani w „Dialogu".

W tym samym 1991 roku ważnym doświadczeniem był udział Darka w zrealizowanej przez Maciej Prusa w warszawskim Teatrze Dramatycznym inscenizacji „Nie-boskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego. Darek z powodzeniem zagrał rolę Pankracego, spektakl został jednak przyjęty chłodno. Bo też w tamtym czasie Warszawa szalała na skąpanych w szampanie przedstawieniach o Tamarze Łempickiej, pozostając raczej głuchą na historiozofię Zygmunta Krasińskiego.

Za rolę tytułową w tragedii Sofoklesa Król Edyp (1999) zdobył łódzką Złotą Maskę, postać Johna Proctora w „Czarownicach z Salem" Arthura Millera (2001) przyniosła mu nagrodę na XLI Kaliskich Spotkaniach Teatralnych, jako Astrow w „Wujaszku Wani" Czechowa odebrał kolejną Złotą Maskę. W 1999 roku zdobył wyróżnienie w I Turnieju Monologów na XXXIX Kaliskich Spotkaniach Teatralnych, w roku 2000 został uhonorowany nagrodą marszałka województwa łódzkiego z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru.

W teatrze także reżyserował, i to z powodzeniem. Dla teatru zaczął też pisać...

Nie teatralne role przyniosły Mu tę największa popularność. W pamięci najliczniejszych widzów pozostanie jako Paweł Zawada z komedii Romana Załuskiego „Kogel Mogel" i „Galimatias". Te filmy jako pierwsze po latach posuchy odniosły sukces kasowy. Później Darek zagrał Juliana S. w bardziej ambitnych „Scenach dziecięcych z życia prowincji" Tomasza Zygadły – swobodnej adaptacji powieści Stendhala „Czerwone i czarne". Ról filmowych stworzył około trzydziestu, grał też w serialach, z których najpopularniejszą produkcją z Jego udziałem było „Życie jak poker" z lat 1998-99.

Na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym Darka żegnało bardzo wielu przyjaciół z lat jeszcze szkolnych, a także duża grupa aktorów z łódzkiego „Jaracza". To w ich imieniu pożegnał Darka jeden z najbliższych Jego przyjaciół – Artur Majewski, grając na saksofonie nostalgiczne *Les feuilles mortes*... „Martwe liście".

Po pogrzebie Darka w „Polsce. Dzienniku Łódzkim" ukazało się wspomnienie o Nim napisane przez Michała Lenarcińskiego: *Pozornie mroczny, skrywał w sobie wiele ciepła i wrażliwości. Pamiętam, kiedy otrzymał pierwszą Złotą Maskę za „Edypa", rozmawialiśmy w teatralnym bufecie, a ja pytałem Go, co zdecydowało, że powrócił do Łodzi po sezonie spędzonym we Wrocławiu. Podeszła wtedy do nas Barbara Wałkówna, nasza wspaniała aktorka, pogłaskała Siatkowskiego po głowie, pocałowała i powiedziała „Dzień dobry, Dareńku". I Siatkowski powiedział, że wrócił do Łodzi, bo tylko tu dobrze się czuje, bo tylko tu Barbara Wałkówna może podejść do niego, czule pogłaskać i pocałować. Żegnamy Cię czule, Darku.*

Na jednym z internetowych forów ktoś, wspominając Darka, przywołał cytat z ks. Jana Twardowskiego: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...*" Darek w istocie odszedł tak szybko – zbyt szybko, zbyt nagle, zbyt młodo...

Ktoś inny napisał: *Kochaliśmy Go jako Pawła.*

Najsmutniejszy był jednak ten krótki wpis: *Żegnaj, Wodzu...*

Małgorzata Kołowska
fot. Janusz Szymański

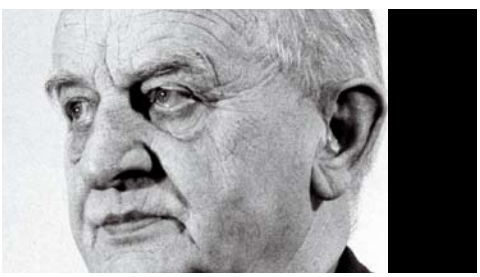

25 rocznica śmierci

Władysław Turowski (1906 – 1983)

Urodził się w Kępnie (Wielkopolska) w rodzinie o dużych tradycjach muzycznych i patriotycznych. Od najmłodszych lat pobierał lekcje muzyki, uczestniczył też w zajęciach miejscowego koła teatralnego. Jako uczeń gimnazjum założył kilkunastoosobowy zespół wokalny, którym dyrygował. Mając już stopień porucznika podjął studia ekonomiczne w Poznaniu, ale po dwóch latach je przerwał. Wrócił do Kępna, by bez reszty oddać się pracy na niwie kultury. Wtedy powstały pierwsze Jego utwory słowno-muzyczne: „Studenteria" i „Rozkoszna Madelon". W zespole teatralnym poznał swą przyszłą żonę Marię Wenclównę.

Wkrótce cała rodzina przeniosła się do Gdyni. Władysław Turowski zatrudnił się jako akompaniator w Gdyńskiej Szkole Tańca prof. Goluba, potem był kierownikiem Biura Informatora Morskiego w Gdyni-Orłowie, a następnie tłumaczem z języka niemieckiego w Stoczni

Gdańskiej. Po wybuchu wojny, podczas kampanii wrześniowej wraz z armią gen. Kleeberga uczestniczył w słynnej bitwie pod Kockiem, po czym trafił do niewoli w niemieckich obozach jenieckich. Przeżycia wojenne znalazły swój wyraz artystyczny w cyklu pieśni „Za drutami". W czasach obozowych nadal zajmował się działalnością muzyczną i teatralną.

Po wojnie Władysław Turowski z rodziną osiadł w Michałowie koło Jeleniej Góry. Do Koszalina z rodziną przyjechał w roku 1950. Od czasów jeleniogórskich do przejścia na emeryturę w 1971 związany był z Funduszem Wczasów Pracowniczych.

Do końca życia nie zaprzestał pracy artystycznej i pedagogicznej. W latach 1962 - 82 kierował Społecznym Ogniskiem Muzycznym w Koszalinie i jego oddziałach w miejscowościach regionu. Podopieczni ognisk muzycznych pod kierownictwem W. Turowskiego zdobywali liczne nagrody na konkursach ogólnopolskich. Przez wszystkie lata spędzone w Koszalinie wydawał kolejne zbiory pieśni skomponowanych do tekstów własnych, pisał scenariusze widowisk słowno-muzycznych, założył i z powodzeniem prowadził chór „Ławica" w Mielnie (obecnie reaktywowany przez Jana Kowalczyka). Był animatorem społecznych działań, jako współzałożyciel Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego, oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr oraz Związku Chórów Ludowych. Stworzył organizację pod nazwą Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych.

Jego „Pieśń o Ziemi Koszalińskiej" stała się hymnem miasta i sygnałem rozpoznawczym Radia Koszalin. Po raz pierwszy popłynęła z ratuszowej wieży w marcu 1970 r. i do dziś rozbrzmiewa każdego dnia w samo południe.

Władysław Turowski zmarł 1 września 1983 roku. Pochowany został w Alei Zasłużonych na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym. Jego imię w tym samym 1983 r. nadane zostało koszalińskiemu Społecznemu Ognisku Muzycznemu. Jest On także patronem ulic w Koszalinie i rodzinnym Kępnie.

Małgorzata Kołowska, fot. archiwum

20 rocznica śmierci

Ludmiła Popiel (1929 – 1988)

Do Koszalina przyjechała w roku 1954 wraz z mężem Jerzym Fedorowiczem, jako stypendystka Ministerstwa Kultury i Sztuki, tuż po ukończeniu architektury wnętrz w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zamieszkali w mieście ponurym, nieoświetlonym, pełnym gruzów. Po dwóch latach otrzymali małe mieszkanie w bloku przy ulicy Młyńskiej, a wkrótce i pracownię na strychu. Mogli już malować, by brać udział w dorocznych pokazach nielicznego wówczas koszalińskiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, który tu, wspólnie, zakładali.

Jako absolwenci architektury wnętrz realizowali również zlecenia na prace użytkowe. Wystrój wielu ówczesnych koszalińskich urzędów, instytucji i lokali użyteczności publicznej było ich dziełem, a nagrody i wyróżnienia w konkursach na plakaty i projekty były potwierdzeniem ich sumiennego i poważnego udziału w przeobrażaniu zastanej sytuacji.

Często wspominamy Plenery Osieckie i dumni jesteśmy z kolekcji zgromadzonej w naszym Muzeum, nie zapominajmy jednak o udziale i zasługach Ludmiły Popiel i Jerzego Fedorowicza. To oni właśnie w 1962 w Koszalinie poznali Marian Bogusza, twórcę i animatora galerii „Krzywe Koło" w Warszawie. To w ich właśnie mieszkaniu zrodziła się wizja spotkań plenerowych najwybitniejszych artystów polskich, by rok później mogli – już jako gospodarze – witać gości pierwszego Pleneru w Osiekach, opatrzonego charakterystycznym logo zaprojektowanym przez Jerzego Fedorowicza.

Przez kolejne lata Ludmiła Popiel wraz z mężem regularnie uczestniczyli w spotkaniach osieckich; przez pierwsze pięć lat jako organizatorzy i gospodarze, później, aż do ostatniego pleneru w roku 1981 byli gośćmi-uczestnikami.

Coraz częściej oboje angażowali się w znaczące wystawy, sympozja i akcje plastyczne. m.in. I Biennale Form Przestrzennych w Elblągu, Sympozjum w Puławach, parokrotnie gościli we Wrocławiu, Zielonej Górze, Poznaniu, także Edynburgu. Częste podróże zagraniczne stwarzały okazję do szerokiej konfrontacji własnych przemyśleń z tym, co wówczas dominowało w sztuce europejskiej.

Zainteresowania Ludmiły Popiel sztuką awangardową i konceptualną zaowocowało wieloma realizacjami malarskimi i instalacyjnymi, które dzisiaj na nowo są odkrywane i odczytywane; dowodem niech będzie częstotliwość, z jaką Jej prace wypożyczane są ze zbiorów Muzeum w Koszalinie. Ostatnio prezentowane były na zamku w Szczecinie, na wystawie „Prekursorzy współczesności", zorganizowanej przez Ryszarda Ziarkiewicza, a reprezentującej sztukę Koszalina.

Ludmiła Popiel nigdy nie doczekała się indywidualnej wystawy w Koszalinie. W 1995 roku – 7 lat po śmierci Artystki – próby retrospekcji Jej twórczości podjęła się galeria „Moje Archiwum", opierając się na zbiorach ówczesnego Muzeum Okręgowego w Koszalinie i własnej dokumentacji.

Wspomnienie po 20 latach niech będzie jeszcze jedną próbą ocalenia pamięci o Ludmile Popiel i Jej sztuce – mimo, że – jak sama pisała w 1972, w „Definicji sztuki" w Galerii Richarda Demarco w Edynburgu: s*ztuka niczemu nie służy...*

Andrzej Ciesielski, fot. Muzeum w Koszalinie

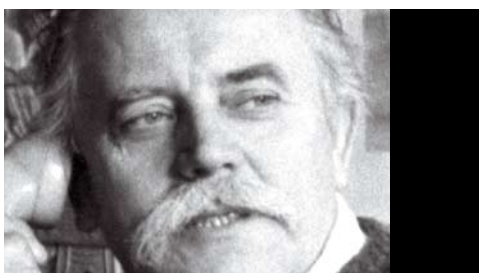

15 rocznica śmierci

Leonard Kabaciński (1934 – 1993)

Leonard Kabaciński urodził się 17 października 1934 roku w Tarnowie Podgórnym k/Poznania. Ukończył najpierw trzyletnie Studium Nauczycielskie, potem - studia magisterskie na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Kierował domami kultury w Pile i Sławnie, gdzie był także kierownikiem Wydziału Kultury tamtejszej Powiatowej Rady Narodowej. Do Koszalina przyjechał w 1972 r., by 9 maja tego właśnie roku objąć kierownictwo Biura Wystaw Artystycznych. Dyrektorem BWA pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1983 r. Przez wszystkie te lata działał (na wysokim poziomie) nie tylko salon wystawienniczy przy ulicy Piastowskiej, ale powstały także Galeria „U"

w Urzędzie Wojewódzkim oraz letnia galeria „PRO" na terenach tzw. „podożynkowych", gdzie m.in. w 1976 roku odbyła się wielka wystawa prac Władysława Hasiora. Koszalińskie BWA za czasów Leonarda Kabacińskiego organizowało znakomite wystawy i prowadziło szeroko zakrojoną działalność edukacyjną, a sam jego szef wielokrotnie był komisarzem słynnych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. BWA było domem sztuki i wszelkich środowisk twórczych: tu spotykali się plastycy, architekci, aktorzy, muzycy, dziennikarze. Jako autor modelu organizacji i działalności BWA w województwie koszalińskim został uhonorowany nadanym przez „Zachętę" i ZG ZPAP Medalem Pamiątkowym „Za upowszechnianie sztuki".

Czy tylko choroba serca kazała Mu ustąpić z miejsca, w którym pełnił tak szczególną rolę? Pisała o tym Walentyna Trzcińska w opublikowanym w „Faktach (1983/45) artykule pod znamiennym tytułem „Boczny tor": *Było to wprawdzie w tych odległych czasach, gdy środowiska plastyczne żyły w pełnej symbiozie z państwowymi placówkami upowszechniania sztuki. Nikt jednak, ani nic – poza własną i nieprzymuszoną wolą – nie mogły artystom podyktować ani narzucić tematu ściennego malowidła realizowanego we wnętrzu, którego czuli się najwłaściwszymi gospodarzami. Wtedy to, na jednej ze ścian koszalińskiego Klubu Związków Twórczych pojawił się – nadnaturalnej wielkości – jeździec ustrojony w (królewską chyba) purpurę. Przydano mu fotograficzną twarz Leonarda Kabacińskiego z jego słowiańskim, bujnym wąsem, ze spojrzeniem tak charakterystycznym: ni to kpiącym, ni poważnie badającym wartość stojącego przed nim obiektu.*

– Od dziś jestem jak pociąg. Wysłużony, odstawiony na boczny tor – mówił w rozmowie z W. Trzcińską. Nie wytrzymał jednak zbyt długo na bocznicy. Już w tamtym czasie – w roku 1983 – zakładał w Koszalinie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. W 1991 r. zrealizował swoje wielkie marzenia stworzenia własnej galerii. Na I piętrze secesyjnej kamienicy przy ulicy Dworcowej zorganizował galerię „Na Piętrze", która łączyła funkcję wystawienniczą ze sprzedażą dzieł sztuki i przedmiotów sztuki użytkowej oraz materiałów artystycznych. *Podobnie jak w latach prowadzenia BWA wywierał wpływ na wyjątkową atmosferę tamtego miejsca, tak dziś nadaje swoistą aurę prowadzonej od dwóch lat galerii „Na Piętrze"* – można było przeczytać w Koszalińskim Informatorze Kulturalno-Społecznym (nr 1 maj 1983). Dzieło Leonarda Kabacińskiego w galerii „Na Piętrze" kontynuuje i rozwija Jego żona Jadwiga Kabacińska.

W przywołanym wyżej wywiadzie Leonard Kabaciński mówił: *– Każdy w coś wierzy. Ja wierzę w sztukę. Że to ona właśnie czyni człowieka człowiekiem.*

Żegnając Leonarda Kabacińskiego w dniu pogrzebu 5 czerwca 1983 r. przyjaciele z Pracowni Sztuk Plastycznych pisali w „Głosie Pomorza" (1993/129): *Był człowiekiem uważnym. Niekłamanie ludziom życzliwym. Pragnął, aby poczesne miejsce w Koszalinie zajęły zbiory sztuki współczesnej, a stworzona z nich galeria mogła prowadzić działalność znaczącą nie tylko dla regionu.*

Małgorzata Kołowska, fot. archiwum

5. rocznica śmierci

Jadwiga Ślipińska (1929 – 2003)

Po ukończeniu studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim otrzymała nakaz pracy kierujący Ją do Koszalina. Nie wiedziała, gdzie to jest. Na pewno nie sądziła, że to już będzie na całe życie.1 listopada 1952 r. rozpoczęła pracę w „Głosie Koszalińskim", po podzieleniu „dużego" województwa przemianowanym na „Głos Pomorza". Z tym też tytułem była związana aż do przejścia na emeryturę w 1994 r., mimo, że po dwóch latach „zesłania" na koszalińską prowincję otrzymała propozycję podjęcia pracy w jednej z warszawskich redakcji.

Już jako „wolny człowiek" na emeryturze współpracowała z „Gońcem Pomorskim", współtworzyła dwutygodnik „Wiadomości Koszalińskie" (oba tytuły już nie istnieją). Od września 2000 r. aż do samej śmierci była sekretarzem redakcji wydawanego w Koszalinie ogólnopolskiego Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik". Nie bez racji redaktor naczelna tego pisma Maria Ulicka nazwała Jadwigę Ślipińską „Arcymistrzem dziennikarstwa. Perfekcjonistką w każdym calu". Tak też wspominała na łamach redagowanego przez siebie pisma Jadwigę po Jej odejściu:

Od początku pisała o kulturze. Najpierw – o powstających wówczas, niekiedy przedziwnych, zespołach amatorskich mających w swoim repertuarze piosenki typu „Czerwony kapelusik z zielonym piórkiem". Wkrótce zaczęły powstawać Jej artykuły na temat tradycji i kultury Kaszub. Została członkiem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Razem z dziennikarzem „Głosu", Antonim Kiełczewskim, napisała tom reportaży na temat dziejów i współczesności Kaszub pt. „ORŁY I GRYFY".

Ale przede wszystkim – przez wiele lat była główną recenzentką spektakli Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w „Głosie Koszalińskim". Teatru, który zresztą – z ramienia redakcji – współtworzyła. Bo to właśnie dziennikarze „Głosu Koszalińskiego" ponad pięćdziesiąt lat temu pierwsi wysunęli postulat utworzenia teatru dramatycznego w Koszalinie – stolicy nowo utworzonego województwa. (...) Wraz z aktorami i wiernymi widzami cieszyła się, kiedy 12 kwietnia 1958 roku, podczas przygotowanej z okazji pięciolecia premiery „Fantazego" (w reżyserii Tadeusza Aleksandrowicza) uroczyście otwarto własną siedzibę teatru i nadano mu nazwę – Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego, a kilka miesięcy później – 13 grudnia 1958 roku – otwarto także stałą scenę w Słupsku.

(...) Jadwiga cieszyła się z każdego sukcesu koszalińskiego teatru i bardzo przeżywała te sezony, w których zabrakło w nim znaczących wydarzeń artystycznych. Z radością powitała spektakl „Clowni" (autor i reżyser - Andrzej Strzelecki), który – po kilku latach nieurodzaju dla BTD zdobył II nagrodę na XXIV Festiwalu Teatrów Polski Północnej (sezon 1981/82). Później z trwogą przyglądała się „karuzeli" dyrektorów teatru, bo sytuacja ta, delikatnie mówiąc, nie pomagała w jego harmonijnym rozwoju… Z wielką uwagą i nadzieją sekundowała działaniom dyrektorów BTD (Jadwigi Soleckiej – naczelnego i Józefa Skwarka – artystycznego), którzy swoje funkcje objęli w roku 40-lecia teatru...

Kochała koszaliński teatr, ale bezkompromisowo wskazywała na popełniane przez aktorów i reżyserów niedociągnięcia. Jak twierdziła – jej recenzje, niekiedy bardzo ostre, zawsze miały na celu dobro teatru i sztuki. Kiedy zapytałam, co sądzi o nie zawsze pozytywnych opiniach na ten temat, powiedziała: Jestem dobra wtedy, kiedy pi-

szę dobrze, a jak piszę źle, to niektórzy uważają, że źle widziałam. Po moim powrocie z Francji mówiono nawet, że w pisaniu o BTD przeszkadza mi „perspektywa paryska". Ja staram się chronić teatr, ale uważam, że należy od niego wymagać określonego poziomu. (...)

Nie siedziała z założonymi rękami także w 1959 roku, kiedy tworzył się „Dialog". Jej nazwisko znalazło się wśród członków-założycieli Stowarzyszenia, których zebrała wokół siebie Henryka Rodkiewicz (aktorka i reżyserka) i wśród wykonawców. Opracowywała scenariusze, reżyserowała (choćby – znakomite „Spotkanie z twórczością Wisławy Szymborskiej", „Myśl jest przestrzenią" według tekstów Karola Wojtyły, wraz z Markiem Kołowskim – „Poemat o mowie polskiej" według Mieczysława Jastruna, montaże poetyckie z okazji benefisów ludzi kultury i promocji książek), była członkiem jury Konkursów Recytatorskich im. C.K. Norwida i jednym z wykonawców cyklu głośnego czytania dzieciom, wiele lat przewodziła Radzie Artystycznej Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog", opracowała tomik wierszy Henryki Rodkiewicz i dwa wydawnictwa na kolejne jubileusze „Dialogu", walczyła jak lew w obronie tego unikatowego już dzisiaj w skali kraju amatorskiego teatru poezji...

Przez wielu mieszkańców Koszalina nazywana była Szarą Eminencją Koszalińskiej Kultury. Nieprzypadkowo. Jeżeli tylko mogła – aktywnie uczestniczyła we wszystkich, jej zdaniem ważnych, wydarzeniach artystycznych – koncertach, spektaklach, sławnych nie tylko w Polsce plenerach artystów i teoretyków sztuki w Osiekach, które zresztą przed laty współorganizowała. (...)

Była kopalnią wiedzy o literaturze i teatrze. Kultura literacka, głęboka znajomość opisywanych zagadnień, piękny, czasem cięty język, elegancja – to charakterystyczne cechy dziennikarskiej osobowości Jadwigi Ślipińskiej. Ta właśnie osobowość sprawiała, że opracowywane przez nią materiały i strony gazet były niepowtarzalne, miały, jak mawiał przyjaciel Ślipińskiej, znany poeta, Marek Wawrzkiewicz – swoisty „sznyt".

(...) Nie cierpiała dyletanctwa i zarozumiałości niedoświadczonych, ale mających o sobie wysokie mniemanie dziennikarzy. Mówiła: Dziennikarz musi się bez przerwy uczyć, a przede wszystkim – mieć tzw. wewnętrzny słuch. To znaczy – musi nie tylko umieć wsłuchiwać się dokładnie w to, co mówią ludzie, ale także uważać na rytm tego, co pisze. Tylko dziennikarz obdarzony wewnętrznym słuchem potrafi tworzyć logiczne całości.

Ta, zdawałoby się, oschła i groźna Jadźka, miała jednak złote serce. Potrafiła znakomicie się bawić i bawić innych, znała i recytowała mnóstwo tekstów literackich, świetnie się czuła w gronie młodych – zdolnych i utalentowanych, na przykład aktorów, plastyków czy muzyków. Wychowała wielu koszalińskich dziennikarzy i cieszyła się z ich prawdziwych zawodowych sukcesów.

(...) Nadal pamiętamy Jej przesłanie mówiące o tym, że nieprzekraczalną granicą szlachetnej i uczciwej wobec widza sztuki są: teatralna rzetelność, artystyczne doświadczenie oraz czytelność przekazu teatralnego stawiana ponad wątpliwej jakości eksperymentowanie i teatralny ekscesy. Obawiała się tego ostatniego i szkód, jakie może wyrządzić teatrowi, odsuwając od niego publiczność...

fot. Jerzy Patan

5. rocznica śmierci

Piotr Jaroszyk (1942 – 2003)

Ktokolwiek wspomina Piotra Jaroszyka, nie może zapomnieć o jego związku ze sztuką filmową, której poświęcił znaczną część swego życia. Jego nazwisko związane jest nierozerwalnie z dwoma festiwalami filmowymi, te zaś z historią i dniem dzisiejszym kulturalnego Koszalina.

Ale związki Piotra z historią, i to historią Polski, są głębsze. Pochodził bowiem z rodziny znanej nie tylko w Koszalinie. Jego ojcem był Henryk Jaroszyk, który całe życie poświęcił walce o polskość Ziem Zachodnich, po wojnie był posłem na Sejm, zaś w naszym regionie organizował kulturę i szkolnictwo. Dziadek - Kazimierz Jaroszyk walczył o polskość Warmii i Mazur. Kuzyn Witold Jaroszyk był lotnikiem słynnego Dywizjonu 301.

Możliwe więc, że wzorem ojca i Piotr, skończywszy w 1963 roku Studium Nauczycielskie w Gdańsku-Oliwie, podjął pracę nauczyciela w Koszalinie, dokąd zjechała cała rodzina. Ale szybko pochłonęła Go inna pasja – film. Zaczął pracować w Centrali Wynajmu Filmów w Koszalinie. I nawet ukończone na kierunku historii studia na Uniwersytecie Gdańskim z tej drogi Go nie zawróciły i do szkolnictwa nie wrócił. Pracę w nowym zawodzie zaczął od stanowiska zastępcy dyrektora, by przez długie lata, już jako dyrektor kierować instytucją, aż do 1990 roku. Zmieniała się jej nazwa, ale celem było wciąż to samo – rozpowszechnianie w sieci kin w całym województwie filmów i organizowanie imprez upowszechniających tę sztukę. To do „Adrii" chodziło się na „Konfrontacje" czy pierwsze nocne seanse. A kierownicy sieci kin województwa koszalińskiego w dziale dystrybucji przy ul. Morskiej wykłócali się o premiery, będące wtedy rarytasem plakaty i fotosy i o... wskaźniki oglądalności. Mogę jednak powiedzieć z własnego doświadczenia, że choć wytyczne co do premier w wybranych kinach były sztywne, Piotr miał czasem chwile słabości do pasjonatów sztuki filmowej i do kina „Kryterium" (o statusie studyjnego), a szczególnie Dyskusyjnego Klubu Filmowego udawało się „wyrwać" jakąś jeszcze „ciepłą" przedpremierę. Piotr Jaroszyk miał także inny, szerszy wpływ na to, co pojawiało się na naszych ekranach, bowiem w latach 1966 – 1990 był członkiem Komisji Selekcyjnej zagranicznych zakupów filmów dla kinematografii polskiej i telewizji.

Niemal na początku tej drogi zawodowej podjął wyzwanie – zorganizowanie w Koszalinie festiwalu filmowego. W 1973 roku odbyła się pierwsza edycja imprezy znanej dziś pod nazwą „Młodzi i Film". Piotr był dyrektorem festiwalu przez 16 jego edycji, do 1989 roku. Poznałam Go w latach, gdy Koszalińskie Spotkania Filmowe „Młodzi i Film" (bo tak brzmiała pełna nazwa festiwalu) ściągał co roku rzesze młodych ludzi poznających tu tajniki sztuki filmowej, ich nauczycieli a przede wszystkim aktorów i ludzi kina, prezentujących swoje najnowsze filmy. Koszalińscy kinomani także wyczekiwali na tych kilka letnich dni, które spędzali w salach kinowych oglądając filmy i dyskutując z twórcami. A Piotr Jaroszyk był swoistym łącznikiem między tym, czego oczekiwała ówczesna władza, a tym, na co liczyli miłośnicy kina. Różnie się to udawało, ale Piotr, na ile to było możliwe, nadawał festiwalowi blask i styl wielkiej, dobrze zorganizowanej imprezy, pełnej gwiazd i ważnych zdarzeń. Uczestnicy festiwalu z tamtych lat – zarówno artyści, jak i widzowie do dziś wspominają pobyt w Koszalinie, dys-

kusje „Szczerość za szczerość", nocne rozmowy w klubie „Antyk", premiery w amfiteatrze, kłótnie o werdykt. Gości oficjalnych umiał – jak mało kto – „oswajać", a wschodzącym gwiazdom kina dodawać odwagi, w efekcie czego wszyscy przyjeżdżali tu chętnie.

Festiwal odbył się nawet w roku stanu wojennego - 1981, ale po 1989 przestał być organizowany. I choć wszyscy bardzo żałowali, niemal nikt nie chciał się przyznać do godzin spędzanych pod ekranem i braku tej imprezy w pejzażu kulturalnym miasta. Mówiono, że impreza miała właśnie wychodzący z mody kolor i nigdy się z niego nie wyzwoli. Piotr z żoną Barbarą musieli jakoś zagospodarować swoje umiejętności i zainteresowania. Wzorem wielu Polaków w tym czasie wzięli sprawy w swoje ręce. Założyli firmę produkcji i dystrybucji filmów na kasetach video z siecią obejmującą całe Pomorze. Prowadzili też impresariat.

A festiwal?

Dopiero po 10 latach, w 1999 roku został wznowiony przez... Piotra Jaroszyka, który założył dwa lata wcześniej Instytut Kultury Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego w Bałtyckiej Wyższej Szkole Humanistycznej w Koszalinie. Uczelnia była organizatorem jeszcze następnej edycji festiwalu w 2000 r. W kolejnych latach organizację spotkań filmowych przejął Miejski Ośrodek Kultury (dziś Centrum Kultury 105) i to swoiste święto kina i sztuki filmowej odbywa się w Koszalinie znów co roku.

A dla Piotra praca w Instytucie Sztuki Filmowej BWSH była ostatnim etapem pracy zawodowej. Wskutek zmian organizacyjnych na uczelni Instytut przestał istnieć. Ale Piotr i Barbara nie myśleli wcale założyć rąk. Postanowili zorganizować kolejny festiwal filmowy, lecz zupełnie inny, niż ten duży, już dojrzały, który radził sobie całkiem dobrze. Wymyślili formułę imprezy unikatowej w Europie: Festiwal Filmowy Integracja „Ty i Ja", poświęcony ludziom niepełnosprawnym, ich problemom, sposobom na życie i sztuce, która o tym mówi. Pierwszy festiwal odbył się 23 czerwca 2003 roku, w Kołobrzegu.

Piotra już na nim nie spotkaliśmy, choć był blisko – w szpitalu po drugiej stronie ulicy, przy której stoi hala Millenium, gdzie odbywały się projekcje i spotkania. Po ciężkiej chorobie odszedł 23 września. Zdążył się dowiedzieć, że wszystko sie udało, że festiwal miał wielkie powodzenie u widzów, zarówno tych zdrowych, jak i tych, którym trudniej żyć.

Choć kin w Koszalinie coraz mniej, choć „Adrii" i „Antyku" już nie ma, dwoje „dzieci" z bogatego dorobku zawodowego Piotra Jaroszyka – „Młodzi i Film" i „Integracja" – ma się dobrze, rozsławiając Koszalin w kraju, Europie i świecie. I niech tak zostanie.

Dana Jurszewicz, fot. archiwum

Kalendarium
wybranych wydarzeń kulturalnych w Koszalinie w 2008 roku

MUZYKA

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

10-11 stycznia „Melodie południowych winnic"; Ruben Silva – dyrygent, Beata Wardak – mezzosopran, Leszek Świdziński - tenor
17-18 stycznia „Symfonika z przymrużeniem oka"; Bernard Chmielarz – dyrygent, Waldemar Malicki - fortepian
1 lutego grupa rockowa Żuki – The Beatles; Marek Czekała - dyrygent
7-8 lutego „Love songs – miłość w muzyce"; Sławomir Chrzanowski – dyrygent, Ewa Uryga, Zbigniew Wodecki – śpiew
22 lutego koncert rodzinny muzyki hiszpańskiej – Tomasz Bugaj – dyrygent, Aleksandra Bugaj – skrzypce, Christian Danowicz – skrzypce, Alicja Paleta-Bugaj – fortepian
27 lutego „Kobieta... balet i śpiew"; Ruben Silva – dyrygent, Grażyna Brodzińska – sopran, Kamila Święcicka i Jurij Stesew – soliści baletu Teatru Muzycznego w Gliwicach
29 lutego koncert jubileuszowy z okazji 80-lecia Andrzeja Cwojdzińskiego; Andrzej Tatarski i Maciej Pabich – fortepian
7 marca muzyka skandynawska; Ruben Silva – dyrygent, Natan Dondalski – skrzypce
14 marca muzyka amerykańska; David Handel – dyrygent, soliści zespołu wokalnego American Voices: Charlae Olaker – sopran i Lawrence Craig – baryton, Chór Opery Nova w Bydgoszczy
28 marca koncert symfoniczny; Piotr Wajrak – dyrygent, Łukasz Długosz – flet
4 kwietnia „Od opery do piosenki"; Tomasz Tokarczyk – dyrygent, Katarzyna Dondalska – sopran
18 kwietnia muzyka chińska w wykonaniu Chińskiej Orkiestry Kameralnej
25 kwietnia koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Tomasz Strahl – wiolonczela
9 maja koncert symfoniczny; Jerzy Salwarowski – dyrygent, Wojciech Waleczek – fortepian
16 maja koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Beata Bilińska – fortepian
23 maja koncert symfoniczny; Łukasz Borowicz – dyrygent, Stanisław Drzewiecki – fortepian
6 czerwca koncert uczniów ZPSMuz. w Koszalinie; Piotr Sułkowski – dyrygent
13 czerwca zakończenie sezonu 2007/2008; Ruben Silva – dyrygent, Kaja Danczowska – skrzypce, Bartosz Koziak – wiolonczela, Justyna Danczowska – fortepian
21 czerwca Giuseppe Verdi, „Trubadur" – opera w 4 aktach; Ruben Silva – dyrygent, Edward Kulczyk i Marcin Naruszewicz – tenor, Gabriela Silva – sopran, Włodzimierz Skalski – baryton, Przemysław Firek – bas, Barbara Krahel i Aleksandra Pliszka – mezzosopran, Chór Opery Nova w Bydgoszczy
5 lipca Lato z Filharmonią: „W gorącym słońcu koszalińskiego lata"
12 lipca Lato z Filharmonią: „W nastroju wiedeńskiego walca"
26 września inauguracja 53. sezonu – 50-lecie pracy artystycznej Kazimierza Rozbickiego; Ruben Silva – dyrygent, Marta Kowalczyk – skrzypce, Joanna Marcinkowska – fortepian
3 października muzyka duńska; Ruben Silva – dyrygent, Ulla Miilmann - flet
10 października koncert symfoniczny; Andrzej Knap – dyrygent, Zdzisław Stolarczyk – puzon basowy
23 października koncert symfoniczny; Karol Borsuk – dyrygent, Natalia Nikołajewa – fortepian
7 listopada „Melodie polskie"; Ruben Silva – dyrygent, Joanna Ławrynowicz – fortepian
14 listopada koncert symfoniczny; Piotr Sułkowski – dyrygent, Maciej Strzelecki – skrzypce, Adam Krzeszowiec – wiolonczela
21 listopada muzyka hiszpańska; Ruben Silva – dyrygent, Tomasz Zawierucha – gitara
30 listopada koncert specjalny; Marcel Legun – sopran, Nikodem Legun - alt
5 grudnia laureaci konkursów: Eugene Tzigane – dyrygent, Agata Szymczewska – skrzypce
12 grudnia koncert symfoniczny; Mieczysław Nowakowski – dyrygent, Piotr Różański – fortepian

42. Międzynarodowy Festiwal Organowy (Katedra NMP)

27 czerwca inauguracja; Aude Heurtematte – organy, Bohdan Jarmołowicz – dyrygent, Magdalena Gruszczyńska-Wojtczak – sopran, Wiesława Maliszewska – alt, Piotr Kusiewicz – tenor, Piotr Lempa – bas, Chór Akademii Pomorskiej (Słupsk), Chór „Kakofonia" (Kartuzy), Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

4 lipca Henning Dembski (Niemcy) – organy, Eugeniusz Kus – dyrygent, Leszek Skrla – bas, chór „Camerata Nova", grupa chóru Politechniki Szczecińskiej, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
11 lipca Matti Hannula (Finlandia) – organy, Przemysław Fiugajski – dyrygent, Kamila Orchowska-Hilla – sopran, Artur Janda – baryton, Chór „Ojczyzna", Chór „Repetitio", Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
18 lipca Urszula Grahm (Niemcy) – organy, Ruben Silva – dyrygent, Marcel i Nikodem Legun – sopran, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
25 lipca Conrad Zwicky (Szwajcaria) – organy, dyrygent, Salome Zwicky (Szwajcaria) – sopran, Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz – alt, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
1 sierpnia Marek Toporowski – organy, klawesyn, Julieta Gonzales – sopran, Teresa Kamińska – wiolonczela
8 sierpnia Marek Kudlicki – organy, ks. Bogdan M. Drozd i Roman I. Drozd – dyrygenci, Chór muzyki cerkiewnej „Syntagma"
15 sierpnia Elżbieta Karolak – organy, Dirk DuHei (Tajwan) – dyrygent, Chór Kameralny Filharmonii w Tajpej
22 sierpnia zakończenie; Waldemar Krawiec – organy, Roman Grucza – dyrygent, Anna Maria Fabrello – sopran, Piotr Kusiewicz – tenor, ks. Robert Kaczorowski – baryton, Katedralny Chór Chłopięco-Męski „Pueri Cantores Thorunienses", Chór Żeński Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st. w Bydgoszczy, Chór Salezjańskiej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st. w Lutomiersku, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
Koncerty odbywały się także w Białogardzie, Darłowie, Dźwirzynie i Sarbinowie.

Polonijne Lato

6-20 lipca Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych
14-27 lipca Polonijne Warsztaty Edukacyjno-Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży
17-27 lipca Polonijne Warsztaty Chóralne

Inne

16 stycznia Salon Muzyczny Radia Koszalin: Koncert karnawałowy Zespołu „Triada"
25 stycznia „Napiórkowski Kwartet". Domek Kata
23 lutego Big Star Jazz: Marcin Wasilewski Trio. Kino „Kryterium"
27 marca z cyklu „Dźwięki": Tymon Tymański & The Transistors. Domek Kata
12 kwietnia Mack Goldsbury and the Polish Connection. Centrala Artystyczna
16 kwietnia „Ksylofon Kwartet". Domek Kata
20 kwietnia koncert jubileuszowy Chóru „Frontowe Drogi". Kino „Kryterium"
24 kwietnia Big Star Jazz: Krzysztof Popek International Quintet. Kino „Kryterium"
7 maja Big Star Jazz: Adam Wendt Power Set International Edition. Kino „Kryterium"
9 maja Konkurs Piosenki Francuskiej. Domek Kata
16 maja z cyklu „Dźwięki": Ken Vandermark i Tim Daisy. Domek Kata
26 maja koncert z okazji 90-lecia Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. BTD
28 maja koncert finałowy VIII Konkursu Muzycznego „Muzykorama". Bałtycki Teatr Dramatyczny
28 maja Gryfy i Riffy: Enver Izmaylov. Domek Kata
31 maja Koncert charytatywny Zespołu Muzyki Dawnej „Cappella Gedanensis". Katedra NMP
31 maja-1 czerwca 19. Festiwal Pieśni Religijnej im. Jana Pawła II „Cantate Domino". CK 105
7-8 czerwca 33. Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych – Koszalin 2008. BTD
19 czerwca Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Dawida Andraszewskiego
22 czerwca Jerry Bock/Joseph Stein „Skrzypek na dachu" w reż. Jana Szurmieja – gościnnie Teatr Muzyczny w Łodzi. Amfiteatr.
6 września Polsko-Niemiecki Festiwal Rockowy „GENERACJA 2008". CK 105
13 września koncert Skaldów wraz z Filharmonią Koszalińską z okazji 10-lecia Telewizji Max. Amfiteatr
24 września koncert charytatywny dedykowany Kasi Sobczyk. Amfiteatr
25-28 września 8. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej. CK 105
5 października Gryfy i Riffy: Joscho Stephen. Kino „Kryterium"
14 października Big Star Jazz: Dorota Miśkiewicz. Kino „Kryterium"
22-25 października 4. Hanza Jazz Festiwal. CK 105, puby
5 listopada koncert argentyńskiego artysty Cristobala Repetto. BTD
6 listopada Salon Muzyczny Radia Koszalin: Koncert kameralny (J. Ławrynowicz, A. Tobik, A. Vogelsinger, M. Śmietański, W. Cisoń
16 listopada 8. Przegląd Zespołów Śpiewaczych i Folklorystycznych „Złota Jesień". CK 105
22-23 listopada 5. Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej „Reflektor 2008". PM /BTD
22-23 listopada 14. Konkurs Poezji i Piosenki Lwow-

skiej. Domek Kata
25 listopada „Ksylofon Kwartet". Klub Osiedlowy „Na Skarpie"
27-29 listopada 50-lecie Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych
28 listopada „Free Jazz Elektro Trio". Centrala Artystyczna
12 grudnia Renata Kuczyńska „Arie operetkowe". Domek Kata

TEATR

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego

4-6 stycznia „Taniec ze wspomnieniami", reż. Jerzy Wojtkowiak
16-17 stycznia J. Słowacki, „Balladyna", reż. Jan Machulski
22-23 stycznia „Smok Wawelski" – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
31 stycznia J-P. Thérond, „Dialogi penisa", reż. Krzysztof Galos
4-5 lutego „Baśnie braci Grimm"– gościnnie Teatr Dramatyczny z Elbląga
8 lutego „Turniej poetów" wg B.Rudnickiego, reż. Sławomir Gaudyn PREMIERA
16 lutego K. Szymczyk-Majchrzak, „Od czasu do czasu" reż. Zdzisław Derebecki
19-20 lutego F. Hrubin, „Piękna i Bestia", reż. Czesław Sieńko
28-29 lutego, 1 marca Molier, „Skąpiec" – gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna
11-14 marca T. Jansson, „Lato Muminków czyli Narzeczone Lwa", reż. Paweł Szumiec
16-17 marca A. Long, D. Singer i J. Winfield, „Dzieła wszystkie Szekspira", reż. Piotr Krótki
29 marca A. Pałyga, „Wodzirej. Koszalin Kulturkampf" reż. Piotr Ratajczak PREMIERA
11-12 kwietnia „Café Sax", reż. Cezary Domagała
15 kwietnia A. Rimbaud, „Statek pijany", reż. Marzena Wysmyk, Teatr Na Bosaka
4 maja E.E. Schmitt, „Wariacje enigmatyczne", reż. Bogusław Semotiuk
7-8 maja „... syn", reż. Michał Siegoczyński, monodram Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej
9-11 maja G. Zapolska, „Ich czworo. Tragedia ludzi głupich w trzech aktach" – gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna
16 maja „No i jak tu nie jechać... czyli powrót Starszych Panów" – gościnnie Teatr im. K.I. Gałczyńskiego z Michałowa oraz Towarzystwo Teatralne „Pod Górkę"
3-6 czerwca „Jaś i Małgosia" – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
20 września A. Fredro, „Damy i huzary", reż. Piotr Ziniewicz PREMIERA
14-15 października „Czerwony Kapturek" – gościnnie Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego z Płocka
16-18 października M. de Cervantes „Don Kichot" – gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna
21 października Z. Książek, „Sceny dla dorosłych, czyli sztuka kochania"– gościnnie Teatr Bajka z Warszawy
4-5 listopada „Kopciuszek" – gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
21 listopada S. Parulskis, „Cavewoman – kobieta jaskiniowa" – gościnnie, monodram w wykonaniu Hanny Śleszyńskiej
6 grudnia V. Čtvrtek, „Przygody Rozbójnika Rumcajsa", reż. Kazimierz Mazur PREMIERA
8 grudnia „Przyjaciele dzieciom" – koncert charytatywny w wykonaniu koszalińskich VIP-ów
10-11 grudnia J. Słowacki, „Balladyna" – gościnnie Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
21 grudnia „Kolęda na cztery głosy" wg Leona Schillera – gościnnie Towarzystwo Teatralne „Pod Górkę"
31 grudnia „W krainie operetki i musicali" – gościnnie Teatr Muzyczny z Łodzi

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog" im. Henryki Rodkiewicz

17 stycznia recital Lecha Dyblika „Rosyjski szanson"
24 stycznia „Tryptyk rzymski" Jana Pawła II – spektakl własny
6 marca „Zwierzęta i ludzie" wg R.Ulickiego „Album zwierzyny dzikiej, domowej i łonowej" i bajek Ignacego Krasickiego, reż. Maria Ulicka
3 kwietnia F. Dostojewski, „Raskolnikow" - gościnnie Edward Żentara
10 kwietnia H. Böll, „Wstyd" wg powieści „Utracona cześć Katarzyny Blum", gościnnie Scena Off de Bicz w Sopocie
15 maja M. Gogol „Nos"– gościnnie Teatr STOP z Koszalina i Teatr Małych Form Teatralnych z Bydgoszczy
29 maja S. Wyspiański „Wesele", reż. Stanisław Miedziewski, monodram Jerzego Bokieja
19 czerwca „Nie zamykajcie, proszę, drzwi" – recital Pawła Orkisza (scena – MUZA)
25 września W. Jerofiejew „Moskwa – Pietuszki", reż. Stanisław Miedziewski, monodram Jerzego Bokieja
16 października „Higiena" wg Witkacego – gościnnie Teatr STOP z Koszalina i Teatr TEATREZJA ze Słupska

13 listopada „Noel wspak" wg „Matki" Wtkacego – gościnnie Scena Off de Bicz w Sopocie
11 grudnia Wieczór poezji i prozy C.K. Norwida, reż. Maria Ulickia

Inne spektakle w Domku Kata

28 lutego-1 marca 13. Festiwal Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Średnich
7, 9 marca „... syn", monodram Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej

LITERATURA

17 stycznia „Karnawał w tańcu i w wierszu". Wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
24 stycznia Spotkanie z prezesem ZLP Markiem Wawrzkiewiczem. KBP
21 lutego „Kochaj i pisz – pisz bo kochasz...". Wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego, Klub Garnizonowy
4 marca promocja książki Wojciecha Grobelskiego „Historia garnizonu w Koszalinie. Cz. 1: od średniowiecza do 1945 r.". KBP
12 marca Promocja albumu „Zbuntowane miasto: szczeciński Grudzień '70 – Styczeń '71" Małgorzaty Machałek oraz Pawła Miedzińskiego. KBP
13 marca Spotkanie z Natalią Piekarską-Ponetą, autorką książki „Siedziałam za Katowice" oraz z Anną Walentynowicz, autorką książki „Moja Solidarność". KBP
27 marca Promocja książki „Album polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956" oraz spotkanie z Rafałem Wnukiem. KBP
27 marca „Wiosna, kobieta i nie tylko...". Wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
2 kwietnia Dziecięca sesja naukowa: „W świecie poezji Juliana Tuwima", spotkanie z autorką książek dla dzieci Kaliną Jerzykowską. KBP
2-3 kwietnia Spotkanie autorskie z Kaliną Jerzykowską. KBP – Filia nr 9, 6
9 kwietnia Spotkanie z ks. Henrykiem Romanikiem i promocja „Modlitewnika za wstawiennictwem Jana Pawła II". KBP
18 kwietnia Spotkanie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim i promocja jego książki „Moje życie nielegalne". KBP
29 kwietnia Promocja tomiku wierszy Reginy Adamowicz „Nie żałuj motylom". Domek Kata
7 maja Powiatowy Konkurs Recytatorski „Bądź wierny – idź – śladami Zbigniewa Herberta". KBP – Filia nr 6, 11
9 maja „Noc w bibliotece, czyli literacka zadyma w Krainie Czarów". KBP
14-15 maja Spotkanie z Czesławem Kuriatą i jego książką dla dzieci „Ile zawodów ma mama?". Galeria Zbigniewa Murzyna
15 maja „Wszystko, co piękne zdarza się w maju" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
30 maja Finał Wojewódzkiego Konkursu „Literacki Start". KBP
4 czerwca Finał 40. Regionalnego Turnieju Recytatorskiego „Ptaki, ptaszki i ptaszęta polne". KBP
9 czerwca Finał 12. Miejskiego Konkursu Dziecięcej Twórczości Poezji i Prozy. Pałac Młodzieży
10 czerwca Spotkanie z pisarką dla młodzieży Ewą Nowak. KBP
12 czerwca Spotkanie z Tomaszem Jastrunem. Klub Garnizonowy
16 czerwca Promocja publikacji „Kultura koszalińska. Almanach 2007". KBP
30 lipca-3 sierpnia I Seminarium Literackie „Literatura i sztuka wobec problemów i wyzwań współczesności", zorganizowane przez ZG ZLP i redakcję „Miesięcznika"
1 sierpnia Promocja książki Ryszarda Ulickiego „AFA". Galeria „Na Piętrze"
18 września „Powakacyjne klimaty". Spotkanie Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
22-23 września Spotkanie z pisarką Martą Fox. KBP – Filia nr 6, 8
25 września Spotkanie autorskie z Małgorzatą Gutowską-Adamczyk. KBP
26 września Promocja książki „Twarze koszalińskiej bezpieki". KBP
30 września Spotkanie z poezją Haliny Poświatowskiej „Delikatnie niosę moje serce". Domek Kata
1 października Promocja książki Ireny Kuncewicz „Legenda dla dorosłych". KBP
9 października „...bez pocałunku...", wieczór literacko-muzyczny Leszka Dembka i Grzegorza Haciskiego. Domek Kata
11-13 października II Międzynarodowe Forum Pisarzy „Słowo bez granic" w Kijowie.
Gośćmi Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy byli: Marek Wawrzkiewicz, Walentyna Mikołajczyk-Trzcińska, Adam Marszałek, Maria i Ryszard Uliccy
15 października Promocja książki ks. Henryka Romanika „Rok św. Pawła". KBP
17 października Finał XIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Buczaka „Istota Człowieka". Klub Garnizonowy
25 października 3. Turniej Recytatorski Twórczości Religijnej. Domek Kata

20 listopada „Jesień i pamięć". Wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego Klub Garnizonowy
21 listopad – jubileusz wydania 100 numeru Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik" – Domek Kata
25 listopada Spotkanie z Czesławem Kuriatą. Klub Osiedlowy „Na Skarpie"
4 grudnia Spotkanie z Szymonem Hołownią i promocja jego książki „Ludzie na walizkach". KBP
6 grudnia Turniej Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida. Domek Kata
16 grudnia promocja książki Krzysztofa Bukowskiego „Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego na Pomorzu Środkowym w latach 1945-1956". KBP

SZTUKA

Muzeum w Koszalinie

do 2 marca „Kontakt" – wystawa z Kolekcji Regionalne Zachęty Sztuki Współczesnej w Szczecinie
6 marca-20 kwietnia „Muzeum gry: polska sztuka po 1945 roku ze zbiorów kolekcji zachodniopomorskich"
30 maja-15 lipca Wystawa malarstwa Andrzeja Piwarskiego „Czerwienie, szarości i błękity..." na 50-lecie urodzin artysty
19 sierpnia Otwarcie stałej ekspozycji „Sztuka dawna i rzemiosło od baroku do secesji" ze zbiorów własnych
22 sierpnia-15 września „Bolesław Kurzawiński - malarstwo i rysunek". Wystawa w 110 rocznicę urodzin artysty
25 września-24 listopada „Muzealne Spotkania z Fotografią" – wystawa pokonkursowa
14 października Promocja publikacji „Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981" Otwarcie długoterminowej wystawy dokumentów i fotografii związanych z historią Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

Bałtycka Galeria Sztuki

7-31 stycznia „W poszukiwaniu nowego domu. Migracje ludności na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1950". Hol kina „Kryterium"
2 lutego-2 marca „Fotografia dzikiej przyrody"
28 lutego-31 marca „Czarno-białe" – malarstwo Tomasza Pławczyka. Hol kina „Kryterium"
4 marca-28 kwietnia „Impresje kanadyjskie" malarstwo Andrzeja Filipowicza
4-21 kwietnia Wojtek Szwey – fotografia. Hol kina „Kryterium"
9-26 maja wystawa grupy VariArt
24-31 maja „Włatcy Móch". Hol kina „Kryterium"
30 maja-21 czerwca „Malarski Teatr Mody Krzyk" Artura Krajewskiego
4 lipca-30 sierpnia wystawa poświęcona plenerom malarskim w Osiekach z lat 1998-2007
1-20 sierpnia „Warszawskie dzieci" – wystawa fotografii. Hol kina „Kryterium"
2-30 września wystawa z okazji 35-lecia pracy twórczej Marka Łęgowskiego
23 września-7 października Zdzisław Krzyszkowiak na zdjęciach. Hol kina „Kryterium"
2 października-3 listopada „Znaki i zamysły" – wystawa skandynawskiej grupy Quilt Qunstnerne
16-31 października wystawa prac Anny Koniecznej. Hol kina „Kryterium"
4-30 listopada „Wyzwoliciele Pozytywnej Energii", fotografie Fundacji Nauka dla Środowiska. Hol kina „Kryterium"
7 listopada-14 grudnia „Fala", interdyscyplinarna wystawa koszalińskich artystów
12 grudnia-14 stycznia 2009 6. Wystawa Group 4. Hol kina „Kryterium"
18 grudnia-24 stycznia 2009 „Od realizmu do abstrakcji" – 50-lecie pracy twórczej Renaty Semrau-Łaby

Galeria „Centrum"

15 stycznia ogólnopolska Wystawa Marynistyczna.
12 lutego malarstwo Anny Nesteruk
11 marca „Fantasmagorie ezoteryczne", malarstwo Roseline Łazowskiej-Weiss
8 kwietnia „Nauczyciel i jego uczniowie"
27 maja „Koszalin i inne zakątki Polski", wystawa ogolnopolska
październik-listopad malarstwo Marka Wardeckiego
9 grudnia fotografie Katarzyny Raczkowskiej i Janusza Graczyka

Galeria „Na Piętrze"

26 stycznia-15 lutego „Po drugiej stronie – wyzwalanie znaku", malarstwo Elżbiety Kalinowskiej-Motkowicz
23 lutego „Draperie" - rysunki Jana Macieja Bojko
5 kwietnia-13 maja „Wystawa na poziomie", malarstwo Piotra C. Kowalskiego
16 maja „Notatki" – malarstwo Krzysztofa Rećko-Rapsy
1 sierpnia „Antysilikon – Cyc Polski", rzeźby R. Ulickiego
13 września „Grafika" Jacka Papli
15 listopada-12 grudnia „Małe malarstwo" Mileny Szczepańskiej

Galeria „Ratusz"

16 stycznia-31 marca malarstwo Hanny Gumowskiej i Arne Wagnasa (II p.)
5 lutego-2 marca wystawa poplenerowa Zespołu Pracy Twórczej Plastyki „Lato w mieście – Koszalin 2007" (I p.)
4 marca-11 kwietnia Wystawa poplenerowa Zespołu Pracy Twórczej Plastyki „Orawka 2007" (I p.)
3 kwietnia-12 maja „Na styku lądu i morza", jubileuszowa wystawa malarstwa Jerzego Ściesińskiego (II p.)
15 kwietnia-22 czerwca prace studentów Instytutu Wzornictwa PK (I p.)
14 maja-30 czerwca malarstwo Krzysztofa Grajczaka (II p.)
24 czerwca-6 lipca „Moje miasto", prace studentów Instytutu Wzornictwa PK (I p.)
8 lipca-10 sierpnia „Czas", malarstwo Zofii Rudeckiej
lipiec-październik „Międzynarodowy Plener Malarski Osieki 2008" (II p.)
12 sierpnia-7 września wystawa poplenerowa Zespołu Pracy Twórczej Plastyki „Wiosna 2008" (I p.)
9 września-12 października „Na granicy rzeczywistości", malarstwo Maryli Violetty Kwiatkowskiej (I p.)
14 października-16 listopada „Stary Koszalin", malarstwo Andrzeja Filipowicza (I p.)
7-14 listopada „Droga do Niepodległości" (I p.)
13 listopada-31 grudnia „Ogrody", malarstwo i rysunek Doroty Boruckiej (II p.)
18 listopada-31 grudnia „Koszalińskie klimaty", prace studentów Instytutu Wzornictwa PK (I p.)

Galeria „Region"

17-24 stycznia fotogramy Włodzimierza Wysockiego towarzysząca Festiwalowi Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim
5-29 lutego „Kenia – Tanzania – Zanzibar" – fotografie Edwarda Grzegorza Funke
3-14 marca „Kobieta w literaturze i sztuce", zbiory KBP
19 marca-25 kwietnia „W świecie poezji Juliana Tuwima", wystawa pokonkursowa
29 kwietnia-30 maja „Bądź wierny – idź – śladami Zbigniewa Herberta"
2-30 czerwca prace uczestników zajęć z biblioterapii prowadzonych w KBP
8-26 września wystawa towarzysząca Europejskiemu Festiwalowi „Integracja Ty i Ja"
1-16 października malarstwo Ireny Kuncewicz
28 października-7 listopada „Wielcy nieobecni"
8 listopada-1 grudnia „Polska Odrodzona – politycy i żołnierze", zbioy KBP i koszalińskich kolekcjonerów
8-31 grudnia „Wyzwoliciele Pozytywnej Energii", fotografie Fundacji Nauka dla Środowiska

Galeria >Scena<

30-31 stycznia „Śpiewające kury" – performance Paula Pozozza i pokaz filmów artystycznych Maixa Mayera
25 lutego Debata „Sztuka w przestrzeni miejskiej"
12-20 marca „Małe rozdziały o dużym znaczeniu" – wystawa i wieczór autorski Ewy Zarzyckiej
30 kwietnia-30 maja „Suma=Różnica2" – pokaz studentów Instytutu Wzornictwa PK, z pracowni prof. Marcina Berdyszaka
6 maja „Estetyka robotyki" – wykład M. Rajkowskiego
23-29 czerwca „Piękna Polska" wystawa z udziałem m.in. Pawła Grzesia i Jagody Glińskiej
10 września „PROJEKT" Marii Stafyniak i Pawła Kuli
30 października Performance „Cień" – z udziałem m.in. Roberta Knutha, Szymona Wierzchowieckiego i Tima Flavio

Inne

10 stycznia fotografie Mariusza Wacławiaka. Centrala Artystyczna
11 stycznia „Tęsknoty", batiki Beaty Piwar. Pałac Młodzieży
14 stycznia-20 lutego „Twarze koszalińskiej bezpieki". IPN
17 stycznia „Dowody podróży" Andrzeja Ciesielskiego. Centrala Artystyczna
6 lutego-1 sierpnia „Sowieckie piekło 1939-1956". IPN
22 lutego-7 marca „Zbrodnie Wehrmachtu". IPN
28 lutego-marzec witraż, malarstwo i grafika Anny i Grzegorza Machłajow. Pałac Młodzieży
29 lutego-marzec fotografie Natalii Kaczmarek. Pałac Młodzieży
12 marca-30 kwietnia „Szczeciński Grudzień '70". IPN
18 marca fotografie „Moja Wenecja" Sandro Ercolani'ego. Centrala Artystyczna
4 kwietnia-10 maja I Pomorskie Biennale Rzeźby, wystawa „Głowa pełna marzeń". Pałac Młodzieży
11 kwietnia-30 maja Człowiekiem po prostu być", fotografie Anny Jochymek Pałac Młodzieży
12-31 maja I Ogólnopolski Konkurs Plastyczny „Muzyką malowane". Pałac Młodzieży
23 maja „Znaki w kamieniu: ryby i ptaki", malarstwo Krystyny Brzeskot. Centrala Artystyczna
od 4 czerwca „Köslin-Koszalin – miasto pomorskie".

Archiwum Państwowe

6-8 czerwca IV Koszalińskie Młodzieżowe Spotkania z Fotografią. Pałac Modzieży

6 czerwca-31 lipca „Tuż za oknem mym", fotografie Radosława Nykiela. Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata"

6 czerwca-16 sierpnia 7. Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda". Pałac Modzieży

4 sierpnia-17 października „W poszukiwaniu nowego domu. Migracje ludności na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1950". IPN

19 września-23 października „Armenia – tam i z powrotem", fotografie Ireny Nowogrodzkiej i Michała Dudka. Pałac Modzieży

25 września-29 października Wystawa „Marzec '68". IPN

10 października grafika Jacka Witczyńskiego. Centrala Artystyczna

15-22 października wystawa filatelistyczna „Poczta na ziemiach polskich wczoraj i dziś". Klub Garnizonowy

30 października-30 listopada VIII Konkurs Ekologicznego Wakacje z Naturą „Ja i moje środowisko". Pałac Modzieży

4 listopada-10 grudnia fotografie Aleksandry Krasnodębskiej. Pałac Młodzieży

od 11 listopada otwarcie stałej wystawy „Koszalin 1945-1950. Historia na nowo odkryta". IPN

6 grudnia „Portret zwielokrotniony" Krzysztofa Rećko-Rapsy. Centrala Artystyczna

6 grudnia Spotkania ze sztuką, Galeria Z. Murzyna

8-31 grudnia prace uczniów Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Koszalinie. Pałac Modzieży

FILM

19-20 stycznia 6. Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje według świętego Włodzimierza". KBP

17-21 czerwca 27. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film"

10-13 września 5. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". KBP

Inne wydarzenia

17 maja Noc Muzeów.

30 maja Święto Wody

6 lipca 3. Spotkanie Czterech Kultur. Amfiteatr

26 lipca 14. Festiwal Kabaretu „Autostrada do śmiechu". Amfiteatr

23 sierpnia Koszaliński Festiwal Kulinarny na Ulicy Smaków

27 września-30 października 16. Koszalińskie Dni Kultury Chrześcijańskiej

Opracowała: Anna Kowal

Kto jest kim?

Autorzy Almanachu od A do Z

Jacek Borkowski – kierownik Działu Archeologicznego Muzeum w Koszalinie.

Andrzej Ciesielski – mieszkający w Koszalinie artysta plastyk.

Zdzisław Derebecki – aktor, dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

Zbigniew Dubiella – mieszkający w Koszalinie gitarzysta, pedagog, publicysta muzyczny.

Beata Górecka-Młyńczak – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Ryszard Hetnarowicz – mieszkający w Słupsku poeta, krytyk literacki, publicysta.

ks. Arkadiusz Jędrasik – mieszkający w Mirosławcu absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, krytyk muzyczny „Naszego Dziennika" i „Muzyki 21".

Dana Jurszewicz – koszalińska dziennikarka.

Małgorzata Kołowska – koszalińska dziennikarka.

Jadwiga Koprowska – dziennikarka Radia Koszalin.

Anna Kowal – starszy bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Stefan Kurzawiński – mieszkający w Kazimierzu Dolnym artysta fotografik.

Anna Maria Marcinek-Drozdalska – specjalista do spraw wydawnictw w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Anna Mosiewicz – etnograf, publicystka Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

Izabela Nowak – publicystka Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

Zbigniew Pawlicki – mieszkający w Warszawie krytyk i działacz muzyczny.

Kacper Pencarski – adiunkt w Instytucie Historii Akademii Pomorskiej w Słupsku, współpracuje z Archiwum Państwowym w Koszalinie.

Irena Piłatowska-Mądry - redaktor naczelna Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia.

Ewa Pliszka - kierownik Działu Etnografii Muzeum w Koszalinie.

Sylwester Podgórski – dziennikarz Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Jupi Podlaszewski – mieszkający w Koszalinie twórca teatralny, publicysta.

Anna Małgorzata Rawska – dziennikarka Radia Koszalin.

Kazimierz Rozbicki – mieszkający w Koszalinie kompozytor, dyrygent, pedagog, krytyk muzyczny.

Jolanta Rudnik – dziennikarka Radia Koszalin.

Magdalena Sendecka – mieszkająca w Warszawie publicystka i krytyk filmowy, m.in. miesięcznika „Kino".

Maria Słowik-Tworke - dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Kamila Wielebska – krytyk sztuki, publikowała m.in. w „Odrze", „Czasie kultury", „Ha!arcie", „Panoptikum". Redaktorka działu „Teksty" na stronie internetowej CSW Łaźnia w Gdańsku.

dr Jan. Janusz Zagrodzki – historyk sztuki, prof. na Wydziale Reżyserii PWSTF i TV w Łodzi.

Spis treści

I • MUZYKA
1. Kazimierz Rozbicki, Dobry rok z nadziejami. Rok 2008 w Filharmonii Koszalińskiej. • **6**
2. Sylwester Podgórski, Kameralistyka na salonach. O Salonie Muzycznym Radia Koszalin. • **19**
3. ks. Arkadiusz Jędrasik, Wspólnota muzycznych pokoleń. Szymczewska, Cwojdziński i Rozbicki na jednej płycie. • **22**
4. ks. Arkadiusz Jędrasik, Zespolone mistrzostwo. Joanna Ławrynowicz i koncerty Melcera. • **25**
Koszalin to niezwykłe miejsce... Rozmowa z Joanną Ławrynowicz. • **27**
5. Zbigniew Dubiella, Z gitarą w roli głównej. O cyklu koncertów „Gryfy i Riffy". • **30**
6. Beata Górecka-Młyńczak, Jazzowe apetyty rosną. • **32**
7. Beata Górecka-Młyńczak, Koncerty na wiele serc i akordeonów. • **35**

II • TEATR
1. Jadwiga Koprowska, Powinno boleć. Recenzja spektaklu „Wodzirej" w BTD. • **38**
2. Małgorzata Kołowska, BTD po liftingu. • **41**
3. Izabela Nowak, Aktorstwo, sztuka pokazywania emocji. Lech Dyblik w „Dialogu". • **43**
4. Małgorzata Kołowska, Podróż de-liryczna. • **46**
5. Jupi Podlaszewski, Z Melpomeną na lekcjach. • **49**

III • LITERATURA
1. Ryszard Hetnarowicz, Poezja tła. O tomie wierszy Halszki Olsińskiej. • **54**
2. Gra szklanych kostek. O książce A. Turczyńskiego „Ten szalony pan Puszkin" (opr. M. Kołowska) • **58**
3. Małgorzata Kołowska, Powabność bytu na pustyni miast. Debiutancki tomik Jana Wyrwasa i nowe opowiadania Anatola Ulmana. • **60**
4. ks. Henryk Romanik, Rok św. Pawła i Modlitewnik. • **63**
5. Liliana Zubińska, Cisza wie. • **65**
6. Ryszard Ulicki, „Afa". • **66**
7. Jerzy Żelazny, „19 bułeczek". • **66**
8. Anna Marcinek-Drozdalska, Dobra Nowina bez sutanny. Spotkanie z Szymonem Hołownią. • **67**
9. Spotkanie z Markiem Wawrzkiewiczem. • **69**
10. Koszalinianie w almanachu „Wokół Słowa". • **70**

IV • SZTUKA I ARCHITEKTURA
1. Janusz Zagrodzki, Odnajdywanie i nadawanie znaczeń. O twórczości Elżbiety Kalinowskiej-Motkowicz. • **72**
2. Kamila Wielebska, Osieki. Sztuka na wolności. • **76**
3. Anna Mosiewicz, Sztuka dawna w nowych salach. • **80**
4. Stefan Kurzawiński, Godziny wśród kształtów i barw. W 110. rocznicę urodzin Bolesława Kurzawińskiego. • **83**
5. Anna Rawska, Zacznijmy od dworca… Debata o architekturze. • **86**

V • FILM
1. Magdalena Sendecka, Młode lwy prężą mięśnie przed skokiem.
27. Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film". • **92**
2. Izabela Nowak, Sztuka z misją społeczną. V Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". • **95**

VI • HISTORIA
1. Jacek Borkowski, Badania archeologiczne na Rynku Staromiejskim. • **102**
2. Anna Mosiewicz, Umieć czytać historię. Trasa edukacyjna. • **106**
3. Anna Mosiewicz, III zeszyt „Źródła do historii Koszalina". • **109**
4. Wystawa „KOSZALIN 1945-1950. HISTORIA NA NOWO ODKRYTA". • **112**
5. Wojciech Grobelski, Historia garnizonu w Koszalinie. Cz. I. • **114**

VII • JUBILEUSZE
1. Anna Rawska, Byłoby co świętować. 55 - lecie Radia Koszalin. • **116**
2. Maria Słowik-Tworke, Jubileuszowe triduum koncertowe. 50 lat Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych. • **121**
3. Kacper Pencarski, Życie dobrze skomponowane. W 80. rocznicę urodzin Andrzeja i Gabrieli Cwojdzińskich. • **124**
4. Zbigniew Pawlicki, Nie czekając na setne jubileusze. 50-lecie pracy Kazimierza Rozbickiego. • **128**
5. Małgorzata Kołowska, „Wielki szacun..." 25 lat teatru STOP**.** • **131**
6. Jubileusze w kręgu sztuk pięknych. • **134**

VIII • NASI W ŚWIECIE
1. Sylwester Podgórski, Poezja jazzu. O Marcin Wasilewski Trio. • **138**
2. Irena Piłatowska-Mądry, Mistrzyni reportażu radiowego. „Melchior" i nominacja do Prix Italia dla Jolanty Rudnik. • **141**
3. Ewa Pliszka, Nie tylko świątki... Wystawa etnograficzna Muzeum w Koszalinie w Bułgarii. • **145**
4. Prekursorzy awangardy. Koszalińskie zbiory sztuki nowoczesnej w Szczecinie i Toruniu. • **148**
5. Nagroda ZG ZPAP dla Weroniki Teplickiej. • **150**
6. Rapsa w rozjazdach. • **151**
7. Noc z Wysockim nad Wisłą. • **153**
8. Nagrody Prezydenta Koszalina w dziedzinie kultury. • **155**

IX • POŻEGNANIA
1. Irena Górska – Damięcka • **158**
2. Jerzy Balbuza • **159**
3. Zbigniew Rogowski • **160**
4. Zbigniew Grabski • **162**
5. Dariusz Siatkowski • **164**
6. 25. rocznica śmierci Władysława Turowskiego • **165**
7. 20 rocznica śmierci Ludmiły Popiel • **166**
8. 15. rocznica śmierci Leonarda Kabacińskiego • **167**
9. 5. rocznica śmierci Jadwigi Ślipińskiej • **169**
10. 5. rocznica śmierci Piotra Jaroszyka • **171**

IX • KALENDARIUM 2008 • **173**

X • KTO JEST KIM. Autorzy „Almanachu" od A do Z • **180**